

Wasył Zemiak

Łabędzie stado

Łabędzie stado

Łabędzie stado

Wasył Zemplak Łabędzie stado

Przełożył z ukraińskiego
STANISŁAW EDWARD BURY

Ludowa
Spółdzielnia
Wydawnicza
Warszawa 1975

Tytuł oryginału
ЛЕБЕДЫНА ЗHРАЖА

Obwolutę, okładkę i kartę tytułową projektował
WOJCIECH FREUDENREICH

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
Warszawa 1975

Nasz stary, grzeszny, a jednak ciągle daleki od zmierzchu Babilon, który oprócz nazwy nie ma nic wspólnego z Babilonem mezopotamskim, leży nad rzeczką Czebreć, mało znanym dopływem południowego Bugu, manifestującą hałaśliwie swą obecność raczej w czas suszy niż powodzi. Na wysokim brzegu kwitnie przez całe lato macierzanka, najmniejszy z kwiatów, dając nazwę rzeczce¹. Czebreć przywabia gaje jesionowe, brzozowe, czeremchowe, sam się w nich gubiąc, lecz nie na długo, bo zaraz za Babilonem wyskakuje spod starych olch i już swobodnie płynie nie do takich znów nieznanych krajów — do Żurbowa, gdzie przegradza go grobla, a stamtąd piołunowym stepem do Glińska, gdzie wpada do południowego Bugu i gdzie właśnie będziemy razem przebywać...

Wzdłuż tego szlaku wodnego, kluczącego beznadziejnie wśród oczeretów i kamieni, na kilku jak gdyby wygrazających sobie wzajemnie wzgórzach, rozsiadł się Babilon, stary i nowy

¹ czebreć — macierzanka (ukr.)

połączony zmurszałą groblą, którą trzeba umacniać po każdym wylewie rzeki. Tej wiosny chyba po raz pierwszy grobla oparła się powodzi. Do grobli przylegał mały staw, nad którym niedawno świętowano Kupalę, zimą zaś, kiedy staw był skuty mrozem, odprawiano tu święto Jordanu¹, przekształcając je w huczną i wesołą zabawę. W Babilonie każda zagroda uważała się za „państwo morskie”, bo każdy ma tu jakieś dojście do „morza”, wystarczające, by postawić kładkę do prania bielizny i zasiać nad samą wodą konopie. A kiedy konopie pną się w górę, chcąc przerosnąć sąsiednie, wówczas jeden z tutejszych dziwaków, cap Fabian (już samo imię rzuca pewne światło na jego osobowość), wybiera te najwyższe i najgęstsze, robiąc sobie w nich legowisko, w którym może nie tylko schronić się przed poobiednią spiekotą, ale również podumać w samotności o tym konopianym państwie z niewymierną w czasie historią...

W Babilonie jest dwóch Fabianów: cap oraz człowiek, znakomity miejscowy trumniarz i mędrzec zarazem, którego usług tak czy inaczej nie sposób uniknąć. W metryce trumniarz figuruje jako Lew Chrobry i wywodzi się podobno z mędrców babilońskich, chociaż nie ma na to niezaprzeczalnych dowodów. Otóż według świadectwa tego wytrawnego znawcy dziejów ojczystych, nasz Babilon był ongiś dwupoziomym grodem z dwiema wieżami, północną

¹ chodzi tu o rzekę Jordan.

i południową, na których dniem i nocą czuwała straż, i otoczonym wałami, szczątkowo zachowanymi jeszcze do dziś. A w centrum Babilonu, pod samym niebem, gdzie wszystko widać w zupełnie innym świetle, miał kiedyś stać tak zwany Kamień Słoneczny, jak u dawnych Inków, który wskazywał mijanie czasu — miesiące i lat. Tradycja przekazuje wiele innych szczegółów o przeszłości tego wczesnego osiedla, założonego ponoć przez na pół mitycznych Taurów, kiedy ich wyparli najeźdźcy z ciepłych brzegów Pontu i zmusili do osiedlenia się w innym miejscu. Fabian nie wierzy, by cały naród mógł zniknąć bez śladu, wysuwa więc hipotezę, że Taurowie mogli przetrwać się w jakiś inny naród i jeszcze kiedyś przemówią z niebytu, niech mu będzie, skoro sprawia mu to przyjemność, zaginione narody i tak mają niewiele zwolenników.

A tymczasem Babilon stracił już swą dawną wielkość, już dawno nie ma w nim wież, a na miejscu Kamienia Słonecznego stoi wysoki krzyż z czasów zakonu karmelitów bosych, którzy władali tymi ziemiami aż do momentu wypędzenia ich przez pułkownika Bohuna. No cóż, podupadł mocno i skapcaniał ten nasz Babilon, zaginęła też ostatnia armata, z której jeszcze nie tak dawno strzelano na Jordan w stronę domniemanego wroga, podczas gdy wróg prawdziwy czaił się w samym środku Babilonu.

Starożytni mawiali o rozkładzie świata: „Z upływem czasu wszystko zmienia się i krusze-

je”¹. Tylko niespożyty lud babiloński, w którym dawno już mieszała się krew dalekich i bliskich narodów, pozostał sobą ze swym gorącym sercem dla rodzinnego Babilonu, jak gdyby czas nie wyrządził mu żadnej szkody. I jeśli na znamienitych jarmarkach glińskich pytano, skąd są te piękne konie czy woły lub też ci piękni chłopcy, odpowiadano na to z poczuciem własnej wyższości: „Od nas, z Babilonu”, jak gdyby przyjechali na jarmark Bóg wie z jakiej starożytności.

Taki to już jest ten nasz Babilon. To spali się głupio, to znów wśród biednych strzech na pagórkach zalśni kokieteryjnie cynkowymi dachami, to wyhoduje szare woły z takimi rogami, że trudno minąć się z nimi na drodze, to znów zmarnuje je doszczętnie i przerzuci się na małe koniki mongolskie, na jakich przybyli tu kiedyś najeźdźcy, to nagle zawiruje na wzgórzach całą rodziną wiatraków, to spalony wiatrami tauryjskimi przechodzi na żarna, bieduje i nawet żebrze ukradkiem, ale i wówczas trzyma swoich żebraków w ukryciu i nie wypuszcza ich w świat, by nie hańbili wielkiego narodu babilońskiego. A jeśli już jakiś niesubordynowany żebrak wyrwie się na świat, to musi milczeć, skąd jest, lub w ostateczności może wymieniać Czupryniki, Kozów lub nawet sam Glińsk... Trzeba tu jeszcze powiedzieć, że robiła też swoje świadomość wspólnoty z Kamieniem Słonecznym oraz z tym wszystkim,

¹ Sulpicius Lupercus (przyp. aut.)

czego już wprowadzie od dawna nie stało, ale co było zdolne pobudzać po wszystkie czasy wyobraźnię dumnych babilończyków.

Nie wiemy dokładnie, czym kierowali się założyciele Babilonu¹, nadając grodowi tak pretensjonalną nazwę. Przejść przez same Wrota Boga, przenieść przez nie wszystko, co najpiękniejsze, a co uważano wówczas za duszę? Bardzo możliwe, że ci nieznani założyciele pragnęli wznieść się nad ówczesny świat aż tak wysoko. Wspominamy ich dziś, kiedy łabędzie stado jak duch nieujarzmiony szybuje nad nami w mroku nocy, pokonując olbrzymie zmęczenie, lub też wydaje okrzyki zwycięstwa, przemierzając ciężkimi kluczami jesienne niebo. I chociaż to, co cudowne, wydaje się zawsze ludziom czymś niezwykłym, to jednak — jak twierdzi miejscowy filozof — w godzinie próby ci sami ludzie przypominają czymś łabędzie stado w drodze. Czy nie tym podświadomym pragnieniem dotarcia do nieosiągalnych wyżyn, osiągnięcia czegoś nie do końca uświadomionego? Oczywiście każdy na miarę własnych możliwości, bez pretensji do doskonałości. Dlatego też cenimy różnicę zdań w widzeniu tej samej rzeczy. Nasz Babilon na pierwszy rzut oka może na obcych nie sprawić żadnego wrażenia, ale czyż mamy im zaraz wyrzucać obojętność lub brak spostrzegawczości, zwłaszcza że w niczym nie zaćmi to jego blasku? Nie osiągnąw-

¹ Babilon oznacza po asyryjsku „Wrota Boga” (przyp. aut.)

szy ani sławy, ani doskonałości swego wielkiego poprzednika, ciągle jednak trwa, natomiast tamten żyje tylko w legendach i mitach, których nadmiar jest oczywisty, jak sądzimy, dla każdego.

Kamień Słoneczny na podniebiu mógłby potwierdzić zbliżanie się lat trzydziestych tego niespokojnego wieku. Rozpocznijmy jednak od spraw małych, w przekonaniu, że kiedyś odkryjemy przez nie sprawy wielkie. Mamy nadzieję doprowadzenia tej biografii do naszych dni, bez zbytniego jednak pośpiechu, pamiętając, że nie jest on sprzymierzeńcem w realizacji odważnych zamierzeń, choć szczerze będziemy pragnąć jej zakończenia.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Dziewczęta babilońskie, skazane na beznadziejne staropanieństwo, od pewnego czasu znajdowały dla siebie mężów na huśtawce. Ten prosty, kołyszący wynalazek należał do Orfeusza Kozusznego, dziś już nieżyjącego, miejscowego agenta maszyn do szycia niemieckiej firmy Singer, która miała w całej Europie swoich przedstawicieli, więc ze względów prestiżowych musiała mieć również w naszym Babilonie, pomyliwszy go być może z Babilonem mezopotamskim. Jakiś urzędnik tej firmy w jednym z listów zapytywał pana Orfeusza, czy zachowała się wspaniała Wieża Babilońska. Pan Orfeusz odpowiedział twierdząco, gdyż był przekonany, że to wpłynie na jego karierę. Agentowi płacili od każdej sprzedanej maszyny, Orfeusz Kozuszny ganiał więc po świecie, żeby sprzedać tych maszyn jak najwięcej. Powiadają, że docierał do Syberii i jeszcze dalej, a kilka razy był nawet w samej Mandżurii. Zawsze nim dobrnął stamtąd do rodzinnego Babilonu, gdzie nie udało mu się nigdy sprzedać ani jed-

nego singera, zastawał w domu nową dziewczynkę, z których jedną nazwano Malwą.

Kiedy Orfeusz zestarzał się w swych handlowych wojażach, firma — osiągnąwszy gdzieś w Niemczech niebywały rozkwit — zapomniała o nim. Dziewczynki podrosły, wszystkie jak malowane, jedna ładniejsza od drugiej, jednak kawalerowie nie kwapili się jakoś do żeniaczki, bo całym posagiem córek Kozusznego były one same. Wówczas sprytny agent wpadł na pomysł urządzenia na swoim podwórzu huśtawki, a „klientami” miały się już zająć same dziewczęta, a było ich coś pięć czy sześć. Podobno średnia, najbardziej urodziwa, spadła z huśtawki razem z geometrą, który u nich kwaterował. Na szczęście obeszło się bez kalectwa. Po zakończeniu pomiarów ożenił się, wyjechał z nią i nigdy już nie zjawił się w Babilonie. Nazywał się Kenda, był podobno Niemcem, ale różni przecież bywali na huśtawce Orfeusza Kozusznego. Chyba jednak najwyżej wznosili się na niej z pięknymi „Zingerkami” (jak nazywano jego córki) budionnowcy. Jedną zabrali ze sobą podczas wojny z Polską, została ponoć żoną jakiegoś znakomitego dowódcy. Miała na imię Krystyna, a jej pojawienie się na świecie przypisywano samemu dziedzicowi Tysewiczowi, o czym zresztą budionnowcy mogli nie wiedzieć. Żadne serce nie mogło pozostać obojętne wobec lekkiej jak skrzydło ptaka klonowej deseczki, zawieszanej na czterech sznurach.

Faktem jest, że od czasu Kamienia Słonecznego Babilon nie dokonał większego ponad ten

wynalazku. Miejsce na huśtawkę wybrano cudowne: nad samym urwiskiem, między dwoma starymi wiązami, górującymi od dawna nad Babilonem. Kiedy zabrakło Orfeusza, huśtawkę przejęła rada gromadzka, zlecając opiekę nad nią woźnemu, Sawce Czybisowi. Na zimę ją zdejmowano, a zawieszano wczesną wiosną. Na otwarcie huśtawki przychodzili wszyscy, którzy pragnęli wznieść się na niej do wysokości wiązowych konarów. Pili tu, szaleli, latali nad Babilonem, a gdy nawet ktoś się zabił, to śmierci na huśtawce nie uważano za śmierć zwyczajną. Nawet miejscowy filozof Fabian uważał, że ze wszystkich możliwych rodzajów śmierci najłżejszą jest śmierć przez rozbitcie się na huśtawce. A już dla capa huśtawka była ósmym cudem świata, którego rozumem nie ogarnie do śmierci.

Najdłużej spośród wszystkich „Zingerek” huśtała się nad urwiskiem Malwa — z wszystkimi, którzy lubili to romantyczne miejsce i nie bali się urwiska, póki nie wyhuśtała sobie swojego wuja Andriana, niezmiernej dobroci, wysokiego mężczyznę z bujną czupryną. W chacie Wałachów (tak nazywała się moja rodzina) było sporo płaczu i lamentu, kiedy wujek wymienił imię swej narzeczonej. Był już niemłody, ukończył czterdziestkę, posiwiiał w niewoli niemieckiej, przebacząc wszystko światu i ludziom, zaś na wszelkie złośliwe uwagi dotyczące Malwy odpowiadał stanowczo: „W Europach na to nie zważają”.

Oddali mu chatynę¹, przebili do niej oddzielne drzwi wejściowe w głuchej ścianie², Andrian dobudował do nich ganek z czerwonym dachem, wybielił wydzieloną część domu z zewnątrz i wewnątrz, postawił piec z własnym kominem, żeby się od nas uniezależnić, i przyprowadził Malwę na gotowe.

Żyli spokojnie i uczciwie, wujek kurz zmiatał sprzed jej stóp, mimo to po drugiej stronie domu nie uznawano ich małżeństwa. Co niedziela chodzili do teścia na huśtawkę i pierogi z rybą po sybirsku. Andrian wracał stamtąd (pod rękę z Malwą — nabrał w Europie kultury) w wojowniczym nastroju. Odgrodził w stajni swego konia od naszego, nie chciał go z naszym sprzęgać, groził, iż podzieli na pół podwórze i wszystko, co przylega do chałupy. Domyślaliśmy się, że to robota chytrego i podstępного agenta, który miał z naszą rodziną nie załatwione porachunki. Nasz dziadek, Łewon, przejął kiedyś po Kozusznich w dzierżawę dieścicinę od sławnego żeglarza kapitana Siromaszki. Kapitan wędrował po świecie, a ziemię wydzierzawiał miejscowym chłopom lub najchętniej mieszkańcom Glińska, bo ci sumienie za nią płacili. Kapitana Siromaszkę, który przeszedł na stronę rewolucji, zatopiono razem z jego fregatą, a nasz zapobiegliwy dziadek

¹ wydzielona dla młodych mniejsza część domu (przyp. aut.)

² północna ściana domu, bez drzwi i okien (przyp. tłum.)

zmarł na tyfus plamisty w jednym dniu z babką. Ziemią Siromaszki, wkrótce uspołecznioną, obdzielono Wałachów i Kozuszných. Przez kilka lat i u nas, i u nich, stała odłogiem, nie orana i nie zasiewana, ale chłopci są pamiętliwi i długo chowają w sercu zastarzałą wrogość.

Z czasem Andrian zupełnie przystał do „Zingerów”. Zażądał należnej mu po dziadku połowy sadu przy domu i połowy łąki i to właśnie tej, na której stały bardzo urodzajne orzechy włoskie, okazało się bowiem, że Malwa jest z rodu, który też lubił zimą tłuc orzechy. Wujek odgrażał się, że jeśli nie oddadzą mu dobrowolnie przynajmniej trzech z siedmiu drzew orzechowych, to pewnej pięknej nocy wszystkie pościna, aby nikt już nie mógł nimi się rozkoszować. A one właśnie tej jesieni obrodziły jak nigdy, orzechy spadały i same się wyłuskiwały, a potem pachniały na strychu zimową bajką, nam na złość. Zima nastała sroga, drzewa wymarzły i pousychały, więc wszyscy byli przekonani, że to przez Orfeusza i jego zięcia. Nie było dnia, żeby nie przeklinano u nas Kozusznego. Obrywało się też przy okazji niemieckiej firmie Singer, która, zdaniem Wałachów, wychowała na ich utrapienie takiego agenta.

Czas nie stoi w miejscu. Starego Orfeusza koń kopnął w piersi i stary już się nie podniósł. Pomęczył się jeszcze tylko z tydzień. Zapobiegliwy zięć, utraciwszy swego doradcę, przycichł i złagodniał, chociaż chwycił jeszcze niekiedy za widły. Pewnego razu doszło nawet do bójki z moim ojcem koło obmarzniętej studni. And-

rian powrócił właśnie z nocnej zmiany z cukrowni w Żurbowie. Pojąc ślepego kasztana ojciec zapytał krewniaka: „A z kim to twoja huśtała się tej nocy?” Aluzja była przejrzysta, bo huśtawkę na zimę zdejmowano.

Wuj nosił swoją Malwę na rękach i nie pozwalał jej niczego tknąć palcem, a że chciał się bogacić, imał się różnych rzemiosł, bo był majstrem do wszystkiego: garbarzem, stolarzem, zdunem, ale sławę światową zdobył na studiach, których wiele wykopał w Niemczech, a potem tutaj, w Babilonie i w okolicznych wsiach. Brał sobie do pomocy Fabiana albo innych nie przykutych do ziemi i wydobywał z głębin, niekiedy zawrotnych, wieczne źródła, wyczuwając, gdzie biją.

Jeśli gdzieś nie mogli doszukać się wody, to wzywali jego. Niekiedy przyjeżdżali po niego z odległych wsi stepowych, zupełnie pozbawionych wilgoci. Podobno przejął od pewnego mieszkańca stepów, z którym był w niewoli, niezawodny, a dawno zapomniany sposób wykrywania wody, znany już Scytom przy zasiedlaniu Południa. Otóż szukał wody używając do tego słomy. W miejscu, w którym ktoś chciał mieć studnię, rozkładał na noc słomę lub — jeszcze lepiej — wiązkę sitowia. O świcie oglądał je i ponoć wiedział już, co się dzieje pod ziemią. Wybierał do swych badań noce bez rosy. Najbardziej wilgotna rogoża wskazywała miejsce źródła. Niekiedy musiał powtarzać to wróżenie przez kilka kolejnych nocy w różnych miejscach. Na nizinach szło mu o wiele łatwiej, bo

potrafił też wnioskować z trawy i drzew, znacznie trudniej było odnaleźć źródło w wyższych partiach wyżynnych, a najtrudniej przebić się do niego przez tłustą glinę Południa. Najgorsze było zmniejszające się coraz bardziej nad kopiącym niebo, jakby miało zupełnie zniknąć. Za to później przychodził szczęśliwy moment, kiedy nagle wieczystą ciszę przerywało trwożne bicie źródła, jak samo serce ziemi, momentalnie jednało to Andriana z niknącym niebem, rozhuśtanym przez Malwę Kożuszną...

Malwa nie tęskniła zbyt za mężem, kiedy od czasu do czasu przepadał na dłużej. Chodziła na wieczorną huśtawkę jak za panieńskich czasów. Nie stroniła nawet od cygańskiego taboru, kiedy rozkładał się nad Czebreciem — wesoły i bogaty, z okutymi wozami, jedwabnymi namiotami i ognistymi końmi. Koczujący swobodnie po świecie Cyganie przybywali do Babilonu z Besarabii i nieomal aż z samej Serbii, co roku inni. Malwa zapewniała, że wbrew złej o nich opinii Babilonu są uczciwi i dumni. Pociągał ją nieznany świat, jednak pozostawała za naszą ścianą, Andrianowi na uciechę. Kiedy powracał od swoich studni, kochał ją jeszcze mocniej i bujał gdzieś w obłokach, nie czując ziemi pod stopami. „Boże, co to Europa robi z mężczyzny!” — dziwili się w naszym domu, nie chcąc przyznać, że to nie Europa, tylko Malwa Kożuszna.

Przed ślubem faworyzowała z miejscowych chłopów chyba tylko Dańka Sokoluka, w którym pociągało ją coś cygańskiego czy też serb-

skiego. Naszego Andriana, szpakowatego, przystojnego i nieśmiałego olbrzyma, chyba nigdy nie kochała i wyszła za niego tylko na złość Wałachom. Ale rozkwitała przy nim, a niewysoki wzrost nadrabiała wysokimi obcasami. Oczy miała niezwykle, ciemnobłękitne i głębokie, jak Andrianowe studnie, poruszała się harmonijnie i z gracją — co zdaniem Fabiana jest w kobiecie najważniejsze — a przecież nikt nigdy nie uczył babilonianek pięknego chodzenia. Malwa nie należała do babilońskich śmieszek, ale umiała śmiać się na huśtawce tak żywiołowo i zaraźliwie, z takimi psotnymi nutkami, że mniej odporni chłopcy omdlewali od samego jej śmiechu, a mężczyźni żonaci przenosili go w sobie do domu, do swych żon. I chyba nie było mężczyzny, który nie marzyłby o pohuśtaniu się z Malwą nie zważając na złą opinię o niej. Jedynie ciąża, przed którą babilonianki umiały się bronić ziołami, mogłaby popsuć jej urodę. Andrian już w pierwszym roku ich pożycia zmajstrował wysoką orzechową kołyskę z wymyślnymi poręczami na wzór tych, jakie widział w Niemczech; stała przy oknie czekając na promień, któremu nie dane jednak było wpaść do niej.

Kiedyś, gdy na wyżynnym chutorze, jakich wiele na Pobużu, kopiąc z Fabianem dla pewnego bogacza chyba najgłębszą studnię w życiu dotarł wreszcie do źródła, przeziębził się i dostał galopujących suchot. Lekarz przywieziony z samego Berdyczowa, jakiś geniusz od suchot, po osłuchaniu go nie powiedział nic pociesza-

jącego, napomknął tylko Malwie, że za sześć tygodni, a najpóźniej za pół roku zostanie wdową. Geniusze, jak wiadomo, nie potrafią milczeć, nawet jeśli dokonują najgorszych odkryć. Było to na przedwiośniu, kiedy opada kwiat jabłoni.

Andrian leżał i kochał swoją Malwę miłością coraz bardziej zachłanną i zazdrosną, do jakiej zdolni są tylko nieodwołalnie skazani na śmierć. Znikło gdzieś jego opanowanie, coraz częściej czynił jej bezpodstawne zarzuty lub reagował ostro na to, na co dotychczas nie zwracał uwagi, domagał się ciągłych spowiedzi i odgrażał się, że pomści wszystko, kiedy tylko znów stanie na nogi. Osłabiony bardziej przez zazdrość niż suchoty, przykuty do łóżka, podstępnie przyciągał ją do siebie i bił zapamiętale, aż do sińców — słyszeliśmy to bicie, które znosiła bez jęku. A on krzyczał w rozpacz „Żebyś już raz zdechła, ty moja karo babilońska!” wyganiał ją precz i pozostawał sam, niekiedy przez kilka dni, bo krewnych też nie chciał widzieć na oczy: „Cieszyć się?! A jak będziecie śpiewać, kiedy ona wróci?” Malwa rzeczywiście wracała, ale znów nie na długo. A Andrian przekonywał mnie, że to on sam poradził jej przenieść się do matki, żeby nie zaraziła się od niego suchotami.

Pewnego razu Andrian zastukał do nas w ścianę, pod którą leżał. Wysłali do niego mnie. Przyjaźniłem się z nim w tajemnicy przed wszystkimi i nie podzielałem wrogości, żywionej przez naszą rodzinę do Malwy.

Przy chorym siedział Fabian w swoich zło-

tych okularach i czytał na głos „Pana Tadeusza” w oryginale. Fabian dumny był z tego, że umie czytać nie po naszemu. Przyniosłem dla obu kolację, trzeci, cap, stał na podwórzu i wpatrywał się w rysunek na księżycu, który właśnie zawisł nad wiatrakami.

Starsi krewni niezbyt chętnie odwiedzali Andriana, obawiając się pewnie suchot. Ja nie przywiązywałem do tej choroby żadnego znaczenia, więc Fabian, przerywając czytanie „Pana Tadeusza”, zawyrokował, że będzie ze mnie wielki lekarz. Tymczasem jednak wujek Andrian korzystał z moich wcale nie lekarskich usług. Przynosiłem mu śniadania, obiady i kolacje. Miał oddzielne naczynia, nikt z nich nie korzystał oprócz mnie i capa Fabiana, który często przychodził tu posłuchać mądrych rzeczy albo rozerwać się lekturą „Pana Tadeusza” w recytacji jego pana. Resztki jedzenia oddawałem capowi, który rozkoszował się maminym barszczem i jadł pierogi wprost z makutry, nie mogąc w żaden sposób zrozumieć, jak na takim wikcie można myśleć o śmierci. Zresztą wujek też myślał o niej coraz rzadziej. Leżał na łóżku jakiś uroczysty, wymyty, ogolony przez Fabiana, w białej koszuli, która nigdy się na nim nie mięła, wyczerpany suchotami i miłością. A jeszcze nie tak dawno przynosił Malwie ze swoich studni nieskalaną wodę¹, która wywoływała przedziwne sny, Malwa umiała je

¹ pierwsza woda wytryskująca po przebicciu się do źródła (przyp. aut.)

opowiadać z najdrobniejszymi szczegółami, za co miłował ją jeszcze bardziej.

Zauważyłem, że wujek wstydzi się swojej choroby. Wychodził na dwór tylko w nocy, w białiznie, stawał pod domem i długo wpatrywał się w Babilońską górę, gdzie mieszkała teraz jego Malwa. Dopiero gdzieś po północy, kiedy wracał do domu, słychać było człapanie, a z okna sączyło się światło aż do świtu, wydobywając z zarośli ławeczkę, którą zmajstrował wkrótce po ślubie. Rzadko widywałem go na tej ławeczce z Malwą, natomiast ona sama prześiadywała na niej bardzo często, kiedy wujek udawał się do odległych wsi i wracał po miesiącu lub dwóch. Byłem bardzo ciekaw, co on robi w nocy, bo niemożliwe, żeby spał przy świetle (wówczas nie marnowało się nafty na byle co, przywozili ją do spółdzielni rzadko i trzeba było jej oszczędzać). Kiedyś w nocy wymknąłem się cichaczem z mieszkania i zajrzałem przez okno: leżał z rękami założonymi pod głową i wpatrywał się przed siebie. Długo stałem pod oknem, ale on nawet nie drgnął, był w tym jakiś odwieczny, ludzki smutek. Odrywał się od tych swoich metafizycznych transów tylko wówczas, gdy trzeba było podkręcić knot w lampce stojącej na skrzyni obok przeczytanych i czytanych książek, które Fabian przynosił dla chorego. Pozwalano mi wielkodusznie oglądać w nich obrazki. Ulubionym moim bohaterem był Pan Tadeusz, ale dopiero po wuju, z którym nikt w mojej wyobraźni nie mógł się równać.

Prócz mnie i Fabiana odwiedził wuja jeszcze niekiedy Kłym Synycia z Semywód. Przyjeżdżał wieczorem jednokonnym wózkiem i siedział u Andriana do późnej nocy. Był to mężczyzna wysoki, szczupły, bez ręki, z twarzą męzną i smagłą i dużymi dobrymi oczyma jaśniejącymi uśmiechem. Nosił szerokie spodnie wojskowe i niebieską welwetową koszulę z paskiem. Dużo palił, mało mówił i to przeważnie wtedy, kiedy musiał odpowiadać na pytania Andriana. Wujek znał Kłyma Synycię chyba jeszcze z czasów, kiedy ten był bardziej rozmowny, wybacział mu więc dzisiaj jego małomówność i chełpił się tymi jego wieczornymi wizytami. Za każdym razem Synycia przywoził choremu z komuny albo bańkę miodu, albo funt masła zawiniętego w wilgotne białe płótno, albo czerwoną główkę sera z własnej serowarni.

— Bądź pewny, chłopcze, że teraz już się z tego wykaraskam — chwalił się wuj, kiedy przynosiłem mu śniadanie. — Znowu Kłym podrzucił mi leki. Chcesz świeżego miodu?

Nakładał mi do czystej miseczki miodu, mówiąc: — Zanieś Wałachom, niech nie sądzą, że całkiem przepadłbym bez nich. Cała komuna wzięła się za mnie. Widzisz sam, chłopcze, co to za człowiek ten Kłym...

Poznali się przed wojną w cukrowni Tereśczenki w Żurbowie. Co roku chodził tam do roboty sezonowej. Kłym stał przy kralalni, a wuj Andrian jako palacz obsługiwał kocioł parowy. Kiedy dziedzic babiloński nosił się z za-

miarem zainstalowania maszyny parowej, dziadek Łewon, na wiadomość o tym, wysłał syna do fabryki kotłów parowych, żeby nauczył się je obsługiwać i zajął w cukrowni intratne stanowisko. Żurbów był niedaleko, dziesięć wiorst od nas, więc Andrian w każde święto wpadał z przyjacielem do dziadka. Dziadek miał jeszcze trzy córki na wydaniu, ale żadna z nich nie poruszyła serca młodego robotnika sezonowego, czym się dziadek nie przejmował, bo nie podzielał buntowniczych poglądów towarzysza swego syna. A kiedy jeszcze dowiedział się, że ojcem Kłyma jest biedak z Kozowa, który rozwozi po świecie czerwoną i białą glinę, stał się wobec niego zupełnie chłodny.

Kłym nie na próżno jednak przychodził do Babilonu, znalazł tu bowiem wybrankę serca, jedynaczkę Rózię, daleką krewną Wałachów, melancholijną, małomówną krasawicę. Zakochała się w nim bez pamięci, wykazując przy tym wiele odwagi. Kiedy Kłym nie zjawiał się zbyt długo w Babilonie, sama chodziła ukradkiem do niego do cukrowni. Jednak rodzice Rózi nie chcieli zgodzić się na takiego zięcia i wbrew jej woli narzucili jej innego, jakiegoś Petra Dżurę z Pychowa. Był starszy od niej o co najmniej dziesięć lat, jeszcze teraz zwracała się do niego przez „wy”. Zajął w cukrowni miejsce przy maszynie parowej, którą właśnie sprowadzono z Odessy, a dziadek z Andrianem zostali na łodzi, okazało się bowiem, że wuj nie miał do maszyny żadnych zdolności i zbliżał się do niej tylko na odległość łopaty. Bał się jej, gdy

była w ruchu, a poza tym nie znosił zapachu maszyn. Wkrótce lokomobila spłonęła razem z majątkiem Tysewicza, ale mąż Rózi okazał się człowiekiem przedsiębiorczym i zdecydowanym. Bardzo sprawnie załatwił się z rodzicami Rózi — oboje pochowano w jednym dniu — (potem krążyły pogłoski, że Dżura ich otruił) sprzedał cały ich majątek — woły, owce, zagajnik jesionowy na łące — wkrótce sprowadził traktor aż z Ameryki. Ku wielkiemu podziwowi babilończyków zorał nim własne pole, a potem dogadał się z właścicielem młockarni z Kozowa i w każde żniwa jeździli razem po okolicznych wsiach, młócąc maszyną zboże. Jeden zarabiał w ten sposób na własną młockarnię, a drugi na własny traktor, żeby w następne żniwa pracować już każdy oddzielnie.

Rózia, na którą spadły wszystkie kłopoty, odczuwała coraz większą obcość wobec niekochanego męża. Skazana na samotność przestała pokazywać się ludziom, a na dzień zawieszała w oknach zasłony. Spośród wszystkich krewnych odwiedzał ją tylko Andrian, dopóki był zdrow. Jej obszerny dom z wysokimi oknami stał niedaleko naszego, za groblą, w wilgotnej dolinie, i trudno było uwierzyć, że gdzieś w ciemnościach tego domu, gdy Dżura szuka po świecie roboty dla swego traktora, żyje Rózia, niedawna piękność babilońska i pierwsza miłość Kłyma Synyci. Wydawało się dziwne, że teraz Synycia nigdy nie wspominał Rózi, podobnie jak wuj Andrian swej Malwy, jednak kiedy przejeżdża koło jej domu, to na pewno serce mu

mocniej zabije, nie ożenił się dotąd, a dla ludzi zagasły dom Rózi był jak wyrzut sumienia.

Tym razem Kłym Synycia przyjechał do przyjaciela koło północy. W komunie żniwa przebiegały niezbyt rytmicznie, nie mógł więc wybrać się za dnia. Przywiózł mu zamiast zwykłych „leków” wiązkę przepiórek, które upolował w koszonej dziś pszenicy. Na skrzydłach przepiórek widniały zakrzepłe krople krwi. Andrian przekazał mi ptaki i prosił, by mu je upiec na śniadanie. Wyglądał kiepsko, ciężko oddychał, bo noc była parna. Fabian powiedział, że suchoty nie lubią Sybiru i znikają tam w ciągu jednej zimy, ale jest już za późno, by się tam wybrać. Kłym uśmiechnął się.

Kiedy wracałem z przepiórkami od wuja na naszą połowę, gdzie wszyscy już spali, przywidziała mi się jakaś czarna postać, wyglądająca na kobiecą. Zupełnie zapomniałem o Rózi i pomyślałem, że to śmierć przyszła po wuja. Trwonię parsknął koń Kłyma Synyci. Postać, na moje szczęście, pobiegła w dół świerkową alejką do grobli, a potem znikła. Drzwi jak zawsze były otwarte. Dałem nura w uśpioną izbę, w której prócz sporej rodziny porozkładali się na sianie krewni ojca, przybyli w goście bardzo nie w porę z jeszcze wówczas mało mi znanego „królestwa”, odległego o trzydzieści pięć kilometrów od Babilonu.

Kłym Synycia posiedział jeszcze przez jakiś czas u wuja, a potem usłyszałem, jak jego wózek zaturkotał na grobli. Z Babilońskiej Góry miał, jak zawsze, ruszyć na Semywody, do do-

mu, tym razem jednak turkot ucichł znacznie bliżej, gdzieś koło huśtawki, a więc wózek mógł zatrzymać się na podwórzu „Zingerów”. Chyba tak... I dopiero po pewnym czasie ruszył stamtąd swoją zwykłą drogą.

Kiedy rano przyniosłem wujowi pieczone przepiórki, zastałem przy łóżku Malwę. Stała tak, jak stoi się nad zmarłym, ocierała końcem chusteczki łzy, pomyślałem więc, że „scytyjski król” — jak nie wiadomo dlaczego nazywała Malwa męża — przestał ją kochać dopiero tej nocy. Kiedy postawiwszy gorące przepiórki na stole wybiegłem z izby, by powiadomić moją rodzinę o śmierci Andriana, ujrzałem na ścieżce Rózię. Była w czerni, wyglądała na obłąkaną. Trudno powiedzieć, skąd obłąkani dowiadują się o śmierci swoich bliskich. Różia szła do człowieka, który kiedyś przyprowadził do Babilonu Kłyma Synycię, a potem jako jeden z nielicznych odwiedzał ją w jej mrokach. Postawwszy przez chwilę na ganku, Różia lękliwie weszła do domu, chociaż wiedziała na pewno, że o tej porze nie może tam zastać Kłyma, z którym spotkania obawiała się bardziej niż czegokolwiek, bo byłoby to spotkanie z miłością, jakiej już nie była godna...

Rano uderzył żałobny dzwon w starej cerkiewce, do której od czasu do czasu dojeżdżał pop z Glińska (tutejszy, pop Soszka, zmarł w poście). Fabian odruchowo zmiótł z warsztatu wióry, włożył za cholewę metr stolarski i byle jak przymknąwszy drzwi mieszkania, którego nigdy nie zamykał, ruszył wraz ze swym wier-

nym towarzyszem na Czapłą Górę, gdzie mieszkali Wałachowie. Nigdy nie brał ze swoich klientów miary wcześniej, a jednak niczyja śmierć go nie zaskakiwała.

Przedtem o śmierci zawiadamiał sam Soszka, który nie chcąc utrzymywać zbędnego pracownika, łączył swój wysoki urząd z obowiązkami dzwonnika. Obecnie obowiązki te przejął woźny rady gromadzkiej, Sawka Czybis, na tej podstawie, że rada ma do śmierci babilończyków taki sam stosunek, jak i do ich narodzin. Niekiedy Sawka wyprzedzał wydarzenia, szczególnie w wypadku zamożnych babilończyków, stawiając filozofa-trumniarza w kłopotliwej sytuacji. A może i tym razem zwariowany Sawka coś tam pokręcił. Było przecież rzeczą stwierdzoną, że nawet najbardziej zgrzybiali babilończycy rzadko kiedy umierają w żniwa, bo wtedy nie ma na to czasu. Dlatego też o tej porze dom Fabianów był pusty, a bezrobocie trwałe i Babilon nie zdziwiłby się, gdyby któregoś pięknego dnia dzwon żałobny uderzył jednemu z Fabianów, jednak tym razem nie mogło być żadnych wątpliwości.

W uliczce, w pobliżu domu Wałachów, Fabianowie zobaczyli Rózię, całą w czerni, zatroskaną, zaleknioną. Szła w tym kierunku, co oni. Niosła dla Andriana ciemnoczerwone dalie, całe w kroplach smutku. Powiedziała: „Teraz, Lewku, już zupełnie osierociałam”.

Do żeńskiej połowy Babilonu, jak wszędzie bardzo wpływowej, obaj Fabianowie odnosili się z pewnym uprzedzeniem. Jednemu minęły

już lata, kiedy mógł swobodnie wybrać dla siebie żonę spośród pięknych babilonianek, a drugą tę samotność filozofa tłumaczył po swojemu i żywił dla nich uczucia bliskie pogardy. Kobiety odpłacaly capowi takąż pogardą, a niektóre z nich otwarcie szydziły z niego, musiał się więc ich wystrzegać, zwłaszcza kobiet w ciąży, które przy spotkaniu z nim, na ulicy, w radzie gromadzkiej czy gdzie indziej, żegnały się i wznosiły oczy ku niebu.

Spośród wszystkich kobiet chyba tylko jedna Malwa Kozusznna odnosiła się do capa przychylnie i nawet witała się z nim, jak z samym filozofem, pytając przy każdym spotkaniu: „Co słychać, Fabianie?”

Andrian leżał na łóżku w białej, długiej koszuli, surowy i milczący.

Chowali go z powagą, cicho, jak chowa się wielkich ludzi, bez hałaśliwych manifestacji. Trumnę niesiono na ramionach, za trumną dwaj mali chłopcy prowadzili jego konia z czarną wstążką w grzywie. Od pewnego czasu konia doglądał mój ojciec, zmarniał więc nieco pod obcą opieką, ale ciągle jeszcze prezentował się nieźle i stapał z gracją, nie wiedząc, że od dziś przechodzi pod kobiece rządy.

Rózia, ubrana na czarno, przez całą drogę uśmiechała się, a kiedy Kłym Synycia, który szedł z odkrytą głową, uklonił się jej, odwróciła się i znikła w tłumie. Malwa zapłakała dopiero na cmentarzu, kiedy Fabian wbił pierwszy gwóźdź w trumnę przyjaciela. Na wieku nie było wizerunku Malwy, która go tyle ko-

sztowała. „Scytyjski król” chciał kiedyś tego, ale potem się rozmyślił. Kłym Synycia nie został na stypie, prosto z pogrzebu pojechał swym wózkiem do komuny. Kiedy już wypili, Różia zaśpiewała dawno zapomnianą pieśń *Oj, zakwitły fiołki*.

Tylko koń płakał w stajni i nawet nie tknął stypowego siana, jakie włożono mu do żłobu.

Nie mogłem pogodzić się z myślą, że już więcej nie będę chodzić na połowę Andriana, gdzie — niezależnie od jego choroby — stykałem się z jakimś nie znanym mi światem cudów, zwłaszcza wieczorem, kiedy schodziło się jego towarzystwo.

Następnego dnia spalono wszystkie rzeczy Andriana: pościel, bieliznę i jego białe koszule, których nigdy nie zdierał do końca, bo nie lubił łać na odzieży. Paliło się to na podwórzu, gdzie miały się kiedyś bawić jego dzieci. Oprócz Malwy, która to palenie zorganizowała, obecny był Fabian, nie mogący odżalować, że Malwa nie domyśliła się, by mu zaproponować porządne jeszcze koszule Andriana, można by w nich jeszcze poparadować, a te gorsze niechby zostały na pamiątkę po przyjacielu. Włańchowie też nie pozwoliliby niczemu zmarnować się. Tylko cap nie znalazł dla siebie wśród rzeczy nieboszczyka nic odpowiedniego. Fabian przyszedł, by uratować książki, które przynosił choremu. Inkwizytorka chciała je również spalić, obawiając się rozniesienia po Babilonie suchot. I kiedy Fabian, obciążony książkami, na których nie zaschły jeszcze ślady palców jej

męża (wuj ślinił palce przed odwróceniem każdej kartki, niepomny na europejskie wychowanie), zapytał ją delikatnie, jak teraz będzie żyć sama, Malwa mimo woli spojrzała na dopalający się wyszywany kołnierzyk koszuli. „Ktoś tak spali i mnie, kiedy umrę na suchoty...” Najdłużej tlił się brezentowy kombinezon, w którym Andrian kopał swoje studnie. Cieszyłem się w duchu z tego, że nie może się spalić...

Fabian w towarzystwie capa wracał do domu ze sporym pakietem mądrych książek, sam jakby spalony i samotny jak nigdy dotąd. Kiedy dotarł na najwyższe wzgórze Babilonu i zatrzymał się pod krzyżem, skąd miało się jakby cały świat pod stopami, ogarnęła go dojmująca tęsknota.

W dole Babilon żył swoim zwyczajnym życiem. Z turkotem jechały puste arby, spieszące do snopów, a z pól wracały pełne, skrzypiąc i stękając jak stare dziady pnące się pod górę. W kilku stodołach waliły na przemian cepy, jak gdyby chciały wzajemnie zatłuc się na śmierć. Gdzieś, chyba u Matwija Husaka, Pańko Koczubej bił tuczniaki, które aż chrypły od kwiku, jakby to mogło im pomóc. Z podwórza Andriana snuł się lekki dymek i ciągnął się jak resztki duszy aż tu, do krzyża, do starego przyjaciela. Pod krzyżem stał cap jakiś zmarniały i markotny.

Na progu rady gromadzkiej siedział Sawka Czybis i śmiał się z czegoś... Mało im Rózi, to zrobili wariata jeszcze z Sawki, a teraz pewnie przyjdzie kolej na mnie, pomyślał Fabian.

— Z czego się śmiejesz, Sawko? — zapytał go przez zagon. Sawka zerknął na obu dziwaków, z których jednego już dawno uważał za pomyłonego.

— A wam co do mojego śmiechu? A może ja tak się śmieję z Babilonu? Nie jesteście radą gromadzką, żebyście musieli wszystko wiedzieć... — powiedział śmiejąc się dalej.

Kiedy Malwa opuszczała nas, zaszyłem się w drewnutni i rozplakałem się. Plakałem nie dlatego, że już nigdy nie będzie w naszej rodzinie takiej urodziwej kobiety, ale chyba dlatego, że Wałachowie już nigdy nie będą mieli takiego drugiego wuja Andriana, który by tę kobietę potrafił obronić przez pożądlwym Babilonem, i że ona okraszi sobą jakiś inny ród, jakieś inne gospodarstwo. Byłoby mi lżej, gdyby umarła na suchoty razem z wujem i gdybyśmy pochowali ich razem. Co prawda babilońskie babki były przekonane, że ona długo nie pociągnie, bo jeśli mąż umarł na suchoty, to pójdzie wnet za nim i jego żona. Malwa po spaleniu koszul i ubrania wyniosła na strych poduszki, żeby się przewietrzyły, a potem związała tłumok ze swoimi rzeczami (najcenniejsze już wcześniej przeniosła do matki), zamknęła mieszkanie i przeżegnawszy się pod drzwiami, za którymi nie zaznała zbyt wiele szczęścia, poszła do stajni. Ponieważ od pewnego czasu my zajmowaliśmy się koniem Andriana, uważaliśmy go więc za swego. Wałachowie byli pewni, że Malwa nie odważy się go zabrać, poprzylepiali więc teraz nosy do szyb, a może

mieli nadzieję, że koń sam nie pozwoli się zabrać? Ale koń potulnie wyszedł ze stajni i poczłapał trzymany na lejcach, tak jakby go prowadził sam Andrian. Nasz ślepy Kasztan, tracąc nie tylko pomocnika, o wiele młodszego od siebie, ale i przewodnika w drodze, zarżał w stajni smutno i potem długo jeszcze za nim tęsknił.

Była to bezsprzecznie największa grabież dokonana na Wałachach, nawet większa niż śmierć Andriana. Nasze pole będzie teraz stać nie zaorane, a Malwie koń jest niepotrzebny. Na taką okazję Babilon wymyślił mnóstwo przekleństw: „Aby cię nosił głową na dół!” „Aby cię hufnalami stratował!” Skąd to się u ludzi bierze?

Tylko ojciec nie rzekł ani słowa. Wydostał ze studni wiadro wody i zalał dopalające się ognisko, aby w nocy podmuch wiatru od wiatraków nie spowodował pożaru. I w tym, w jaki sposób on to zrobił, odczułem dobrego gospodarza, który nam, ograbionym, nie pozwoli zginąć. A kiedy rodzina Wałachów w smutnym nastroju zebrała się na kolację (znów jak zwykle kasza na rzadko, okraszona konopnym siemieniem), ojciec przypomniał sobie o klarncie i zagrał Wałachom coś bardzo skocznego. Właściwie to mogliśmy się cieszyć, że nie ma już za ścianą Malwy Kozuszej. Ale nikt się nie cieszył. Zapracowani Wałachowie nie mogli odczuć, że utracili kogoś niezwykłego, o kogo zaledwie otarli się swym życiem... Teraz już tylko wypalony na podwórzu ptasi rdest, który nie chciał

odrosnąć, ciągle o niej przypominał, i chyba jeszcze okno w mieszkaniu, które było bezbron-
ne wobec zdobniczych talentów pajaków.

ROZDZIAŁ II

Kłym Synycia urodził się w miejscowości, którą łatwo można było dojrzeć z Babilońskiej Góry w pogodne jesienne dni, kiedy powietrze jest przezroczyste i nieruchome. Kiedyś było to miasto Kozów, niewielkie, ale gęsto zaludnione, z białymi dzwonniceami i ruinami starej fortecy oraz jarmarkami o europejskiej sławie, po których pozostało jedynie porzekadło „długi jak kozowski jarmark”. Ród Synyciów sprzedawał na tych jarmarkach czerwoną glinę, której niewyczerpane pokłady znajdowały się na terenie ich zagrody. Każdej wiosny ich dom malowany był na kolor jaskrawo-pomarańczowy, co miało być reklamą sprzedawanego towaru. Kiedy Kłym podrósł, ojciec również jego przysposobił do wydobywania i sprzedawania gliny. Wyrabiali ją ręcznie, jak chleb, suszyli w chłodnym miejscu, żeby nie popękała, i wędrowali z nią po okolicznych wsiach wymieniając na zboże, bo własnego pola nigdy nie mieli. I byliby może wzbogacili się na tej glinie, gdyby nie zaczęły krążyć o nich wieści jako o dwóch buntownikach z Kozowa, ojcu i synie, którzy dla nietrudnych do zdemaskowania celów farbują całe wsie, a nawet miasta na czerwono. Nieboracy nie mieli nawet pojęcia, jakiej

sławy przysporzyła im glina. Wezwano ich do urzędu, gdzie im zagrożono, że jeśli nie zaprzestaną czerwonej agitacji, to skonfiskują im na rzecz państwa pokłady gliny, i ich samych wysła na białe niedźwiedzie. Musieli więc poszukać innego chleba.

Na szczęście nastały inne czasy. „Agitatorami” zainteresował się pierwszy rewkom. Teraz nie odzegnawali się od zasług, w wyniku których ojca wyznaczono na stanowisko przewodniczącego wiejskiego komitetu biedniaków, a syn dostąpił honoru wcielenia do Pierwszej Konnej. Kłym miał nogi jakby stworzone do konia: długie i mocne, krzepkie od noszenia gliny. W szwadronie pokpiwali, że Kłym ma nogi jak sam Budionny, którego Synycia dotąd jeszcze uważa za najznakomitszego — po napoleońskim marszałku Maracie — kawalerzystę wszystkich czasów. Kłym daleko mógłby zająć na tych marszałkowskich nogach, gdyby w bitwie pod Brodami nie obcięto mu lewej ręki po sam łokieć. Chodził więc teraz z pustym rękawem, a komunowi dowcipnisie przezwali go „Półtorarekim”.

Przed nim kierował komuną Innocenty Mściśławowicz Sośnin, człowiek inteligentny i oświecony, utrzymujący korespondencję ze znakomitościami stolicy. Jedną z nich uważał nawet za bliskiego przyjaciela, nazywając w rozmowach Karolem Karolewiczem. Kiedy Karola Karolewicza zdjęto z wysokiego urzędu, Sośnin pozostawił komunę bez opieki i wybrał się do Moskwy bronić towarzysza. Nie wiadomo, czym

skończyła się ta jego obrona, w każdym razie do komuny już nie wrócił, a jego pokój w byłym pałacu Rodzińskich długo jeszcze stał nie zajęty, w komunie mieli bowiem nadzieję, że Sośnin powróci. I kiedy Kłym Synycia, wyznaczony na miejsce Sośnina, otworzył jego pokój, to znalazł w nim nie czyszczoną od ostatniego polowania strzelbę, przywiezioną z majątku Semywody, gdzie Sośnin organizował komunę, i niedużą bibliotekę, uzupełnioną resztkami biblioteki Rodzińskich. Synycia znalazł tam wiele książek polskich, które leżały teraz bezużytecznie, bo nie znał języka polskiego i odnosił się do niego nawet z pewną niechęcią z powodu swego kalectwa.

Była to inkrustowana komnata na drugim piętrze, z weneckimi oknami, wychodzącymi na park i parkowy staw, oraz z balkonem, z którego widać wieś — niektóre domy jeszcze dotąd przypominają Synyci jego „rewolucyjną działalność”, bo i tu docierał z ojcem ze swoim towarem. Ściany w komnacie zapisane były różnymi aforyzmami, które nowy lokator uznał za odpowiednie również dla siebie. Sośnin zapisywał je chaotycznie, bez żadnego systemu, i rozklejał zapisane kartki na widocznych miejscach, żeby je zawsze mieć przed oczami. Nad balkonem, na całą szerokość drzwi, widniały słowa młodego Garcii Lorki: *Gdy umrę, zostawcie balkon otwarty*. W innym miejscu widniała taka oto złota myśl: *Jeśli masz mieszkanie na wsi i w mieście, a chcesz pozostać na wsi, to jak najszybciej sprzedaj swe miejskie mieszka-*

*nie, w przeciwnym bowiem razie stanie się odwrotnie. Najbardziej jednak przypadły Kłymowi do serca słowa: Ziemia powinna być słabsza od rolnika, bo jeśli chociaż na moment uzyska nad nim przewagę, rolnik zginie*¹.

Wśród bez liku aforyzmów nie było jednak ani jednego, który Synycia mógłby spożytkować dla dobra komuny. Zaczął więc poszukiwać recept w książkach swego znakomitego poprzednika, jednak lektura wielkich dzieł utopistów nie mogła zapobiec licznym kłopotom i trudnościom, jeszcze za Sośnina spychającym komunę na granicę bankructwa, od którego była niedaleko i teraz. Często ludzie trafiali do niej z przypadku, a nie dorożbiwszy się ani majątku, ani sławy opuszczali ją, bogacąc się na własną rękę i na własnej ziemi, przydzielanej każdemu, kto chciał, bez troski o to, czy takie bogacenie się będzie korzystne dla ogólnego dobra. A tymczasem zboże w komunie stało w stertach nie wymłócone, zżerane przez myszy, nie wykopane buraki gniły, a na dużą fermę owczą, zorganizowaną przez Sośnina, padła zaraza, która przerzuciła się na prywatne stada i wyniszczyła je co do sztuki, powiększając i tak już znaczną liczbę wrogów komuny. Sośnin kiedyś zażartował, że w Anglii owce pożarły ludzi, a tu pożrą komunę. Kłym nie miał jednak ochoty do żartów. Owce, które przed jego przybyciem ocalały od zarazy, ka-

¹ Autorem cytowanych aforyzmów jest kartagiński polityk Mago (przyp. aut.)

zał pozarzynać i natopił kilka stągwi łoju, a mięso przeznaczył do kuchni komuny. Szukał rady u samego Fouriera, a nie znalazłszy jej, skłął Sośnina za niewytłumaczalną namiętność do owiec, które niby miały rozślawić imię komuny.

I w takim właśnie niepomysłnym dla komuny okresie przybyła Malwa Kożuszna. Przybyła konno wieczorem, na wyszywanej poduszeccze, zastępującej siodło. Uwiązała konia przy głównym wejściu do pałacu i z witką w ręku poszła prosto do komnaty Kłyma. Była w czerwonych butach, kupionych przez Andriana za jedną z ostatnich jego studni, w czarnym szalu gazowym, kryjącym osmaganą wiatrem twarz o czystych liniach, zielona suknia opinała jej kształtne ciało, którym zawojowała zupełnie filozofa Fabiana, kiedy odtwarzał jej postać na życzenie swego przyjaciela Andriana na wieku przeznaczonej dla niego brzozonej trumny.

Kłym Synycia kończył właśnie czytać Fouriera. Był w podkoszulku, co jeszcze bardziej powiększyło jego zmieszanie, więc zamiast ucieść się spóźnionym gościem i posadzić go w głębokim skórzanym fotelu, w którym Sośnin lubił popijać herbatę, sam w nim usiadł. Podobno Sośnin zapraszał na herbatę pracujące sezonowo dziewczęta, od kiedy jednak zajął ten pokój Synycia, żadna kobieta nie przekroczyła progu jego ascetycznej samotni, prócz starej Sipowyczki, która sprzątała tu raz na tydzień. Ta jego samotność była przedmiotem kpin dziewcząt z komuny i złośliwych plotek kobiet,

on jednak pozostał wierny Rózi, wierząc skrycie, że kiedyś jeszcze zmańdrzeje, rzuci tego żulika Petra Dzurę i przyjdzie tu, do komuny. Nagle zjawiała się zamiast niej Malwa. Ich rozmowa, gdyby chciało się ją zapisać dokładnie, wyglądała przypuszczalnie tak:

— Dlaczego przyszedłeś tak późno? Wszyscy porządni ludzie śpią już o tej porze, a ty błaskasz się po nocy jak dusza potępiona. Szukasz tu nowej przygody? Źle trafiłaś...

— Nie przyszedłam, tylko przyjechałam tu na koniku... Kiedy jeszcze jako dziewczyna pasażowa z chłopcami ojcowe konie, hasałam na nich jak szatan, ale ten Andrianowy jest łagodny jak sam Andrian. Nie wierzy pan? Przeszło z gospodarza na konia. Uwiązałam go przy głównym wejściu, ale to nie szkodzi, prawda? Najwyżej trochę napaskudzi i oberwie się panu od komuny nie tyle za mnie, co za mego konika. Cha, cha, cha!...

— Nie śmieję się tak głośno, bo ludzie śpią. Natrudzili się przez cały dzień... Ślicznie ci jest w tym szalu gazowym, ale wiem, co z ciebie za ptaszek. Jutro cała komuna będzie wiedziała, że byłeś tu, u Kłyma Synyci. Mów szybko, czego chcesz ode mnie, i zmykaj na swoim koniu do stu diabłów. I nie gap się na ściany, i tak nic z tego nie zrozumiesz, chyba tylko ten cytat z Garcii Lorki: Nie myśl, że to kobieta, to — człowiek.

— Kiedyś mieszkał tu prawdziwy mężczyzna, podobają mi się te napisy. Mój Andrian domagał się tylko przysięg, nie pozostawił po sobie

żadnych napisów, żadnych listów. Ale wówczas, w nocy, kiedy przyszedłem do niego, żył jeszcze i powiedział mi, że mogę być szczęśliwa tylko z jednym człowiekiem, z jego towarzyszem, który pozostał mu wierny do grobu. No więc przyszedłem, a raczej przyjechałem do pana. Sama przyjechałem. A pan wie przecież, że w rowie leży pełno zabitych denikinowców i nawet jeden generał.

— No cóż! Sośnin być może padłby przed tobą na kolana, nie bacząc na kanty spodni, które sam prasował, jeśli wierzyć ludziom z komuny. Nie mam mu zresztą tego za złe. Ale ja jestem z innej gliny, z czerwonej, o której do dziś jeszcze krążą legendy. Dlatego musisz odejść. Wypraszam cię ze względu na komunę, na Fouriera i Saint-Simona, pozwól mi dowożować się wyżyn w miłości i w rewolucji. I nie zważaj na to, co Andrian bąknął coś tam o mnie w agonii... Mam go ciągle przed oczyma, samotnego i czystego jak jego studnie.

— Kiedy tu jechałem, to wyobrażałem sobie, że komnaty tego pałacu pełne są muzyki, blasku świec w kandelabrach i gwaru pięknych kobiet w jedwabiach... A tu życie szare, smutne, takie jak wszędzie...

— Płonie zboże w stertach, giną owce, zarażone przez kułaków...

— A pan w takiej koszuli, że chciałoby się zdjąć ją z pana i pójść z nią do rzeczki na kładkę... Gdy ujrzałem pana po raz pierwszy tamtej nocy, kiedy wszedł pan do naszego domu z batóżkiem, to zdawało mi się, że przyszedł pan

mnie wysmagać. Tak wiele nasłuchiłam się o panu od Andriana, że wyobrażałam sobie pana jak jakiegoś rycerza, jeszcze jako dziewczynka słyszałam od starszych o pańskiej miłości do Rózi, a tymczasem pan to taki zwyczajny, zakłopotany, taki dziwak ulepiony z czerwonej gliny. Cha, cha, cha! — śmiała się Malwa, wolna, zaborcza, oczekująca, podniecona jazdą na koniu, nocnym stepem i rzymską wspaniałością tego pałacu, gdzie spodziewała się zastać inne życie...

— Nas tu nie lubią, szerzą o nas różne plotki, jesteśmy jakby we wrogim oblężeniu. Żyjemy skromnie i cicho, dętej orkiestry nie trzymamy, bankietów nie urządzamy, nie nacieramy posadzek woskiem i nawet wrota komuny otwieramy nie dla wszystkich. Z denikinowskiego rowu już dwa razy do mnie strzelali, kiedy wracałem nocą z Glińska. Ale kiedyś wyrwiemy się z tego okrążenia i zaczniemy wtedy inne życie. Już teraz mamy więcej, niż było w majątku Rodzińskich. Silnik parowy angielski, młockarnia belgijska, krowy sprowadziliśmy aż z Holandii, mamy własną serowarnię, własnego poetę, a nawet białe łabędzie przyleciały do nas tej wiosny, chociaż nie było ich już kilka lat i szeptano złośliwie, że demonstracyjnie odcięły się od komuny.

Podprowadził ją do okna, wskazał na staw parkowy — ledwie majaczyły tam w białym śnie.

— A dlaczego tak od pana zalatuje owczym łojem?

— Przez wiele dni ściągałem z owiec skórę i topiłem łój. Ciągłe za mało u nas rąk do pracy, więc trzeba wiele rzeczy robić samemu. Młóćę, układam sterty, chodzę za pługiem, tylko przy burakach nie pracuję, bo tam pięć palców nie wystarcza...

— Przez całe życie marzyłam, żeby mieszkać w tym pałacu, od dziecinnych lat wydawał mi się taki wspaniały i tajemniczy. No więc może wstąpię do waszej komuny? Andrian żałował, że nie wstąpił.

— Wiem o tym. Mówił mi. Ale dla ciebie już za późno. Nam potrzebni są ludzie dzielni, oddani sprawie, bezkompromisowi. To zrzeszenie dobrowolne, jak zaporoska Sicz. Niechętnie przyjmujemy kobiety samotne, a zwłaszcza takie... Nie dla babilońskiego pędziwiatru nasze wysokie progi! Nie, żyj sobie w swoim Babilonie, będzie ci lepiej bez nas, a nam bez ciebie.

— Przepraszam, że tak późno zawitałam do pana. To dlatego, żeby nikt nie widział. Może mnie pan teraz odprowadzi? Boję się denikinowców. Jadę, a oni jeden po drugim wstają z rowu... Konika pan chyba ma, jakieś siodło też się znajdzie?

Zmysłowy zapach zżętego zboża, ostra woń chwastów kwitnących w pozornie uśpionym denikinowskim rowie, konie strzygą uszami zawierając z sobą znajomość — kto wie, czym to się może skończyć?

W mansardzie mieszkał poeta Wołodia Jaworski, chluba i duma komuny, więc Synycia wziął wiosło rybackie stojące samotnie w kącie,

wrócił na środek pokoju i postukał w sufit.

W dzień Wołodia warzył ser, a w nocy pisał wiersze. Sośnin był nimi zachwycony. Nowemu przewodniczącemu komuny Pan Bóg poskąpił zdolności odczuwania poezji, ale również nie wyobrażał sobie komuny nie tyle bez poety, co bez serowara, uważając, że Wołodia rozśławia imię komuny nie tyle swoimi wierszami, rzadko drukowanymi w miejscowej gazecie, co czerwonymi główkami sera, które komuna sprzedaje, nie mając konkurencji na całym Pożu.

Po pewnym czasie, kiedy wiosło wróciło do swego kąta, dały się słyszeć na schodach ostrożne kroki i po chwili pojawił się w drzwiach Wołodia Jaworski. Był jeszcze bardzo młody, ubrany w czerwoną bawełnianą koszulę wypuszczoną na obcisłe spodnie, na nogach miał czerwone buciki, przefasonowane z damskich, w których wyglądał na średniowiecznego granda hiszpańskiego. Włosy wojowniczo nastroszone, w oczach surowość i niezależność ducha, wojowniczości dodawał też twarzy nos, skrzywiony w walkach o wolność, nie na tyle jednak, by miał psuć harmonię i wyraz portretu, twarz ta mówiła o twardym losie członka komuny, chociaż teraz sprawiał przede wszystkim wrażenie chłopca zawstydzonego obecnością kobiety. Kiedy jednak Malwa, która pierwszy raz widziała żywego poetę, parsknęła na jego widok śmiechem, Wołodia przybrał dumną pozę i rzucił lekceważąco przewodniczącemu komuny:

— Jeśli ma pan do mnie interes, to może pan sam się pofatygować. Towarzysz Sośnin robił to często, Kłymie Iwanowiczu.

Kłym Synycia usprawiedliwiał się przed nim, bo wcale nie zamierzał urazić jego ambicji, po czym rzekł:

— Pamiętasz, jak mówiłem ci kiedyś o moim przyjacielu, tym, co kopał studnie? To jest właśnie wdowa po nim, Malwa Kozusznia. Mimo nocy przyjechała z Babilonu. Muszę wcześniej rano jechać do Glińska, więc może osiodłałbyś konia i odprowadził ją do wiatraków czy nawet do samego Babilonu.

— Boję się denikinowców — rzekła szczerze Malwa.

— Jakich denikinowców? — spytał poeta, wietrząc znowu jakiś zamach na jego ambicję.

— Martwych — uśmiechnął się Kłym Synycia. — Tych, co leżą w naszym rowie.

Wołodia w duchu żałował, że nie są żywi, bo pokazałby tej powabnej kobiecie, jaki jest poeta w boju. Sośnin, kiedy opuszczał komunę, oddał mu na przechowanie swoją szablę, której nareszcie może użyć.

Wróciwszy do swojej mansardy Wołodia przypiął szablę do pasa, włożył starą budionówkę, chociaż noc była wyjątkowo ciepła, wzuł buty z cholewami, też podarowane przez Sośnina, i poszedł do stajni osiodłać konia. Marzyła mu się już noc pełna wojennych przygód i pojedynków, w których będzie mógł się sprawdzić jako żołnierz. Ale zanim rozbudził stróża w stajni i wyprowadził konia, trzyma-

nego w oddzielnym pomieszczeniu, zanim skrócił dla siebie strzemiona (bo Kłym Synycia miał, jak wiadomo, marszałkowskie nogi), jego duch bojowy osłabł nieco.

Koń Sośnina (kupił go za duże pieniądze) w sposób hałaśliwy zawierał pod pałacowym balkonem znajomość z wierzchowcem, przeznaczonym do boju na szable.

— Hej! Gdzie się pani tam zaprzepaściła?! Proszę wychodzić! — zawołał ostro wojowniczy poeta.

Kłym Synycia wyszedł na balkon i ujrzał, jak pod balkonem niecierpliwi się nie tylko jeźdźcie, ale i jego wierzchowiec przebierając nogami, pomyślał więc, czy nie zawrócić chłopca i odprowadzić Malwę samemu.

Malwa wyszła, podniosła z ziemi zrzuconą przez konia poduszeczkę i nałożyła ją tak jak siodło. Już na koniu zorientowała się, że zapomniała witkę.

— Tam gdzieś jest moja szpicruta — zawołała unosząc głowę ku balkonowi. Ale Kłym nie zdążył jej znaleźć, bo jeźdźcy ruszyli. Jechali stępa. Konie ciągle jeszcze zaznajamiały się z sobą, prychały, strzygły uszami, niechętnie ruszając w noc. A potem również jeźdźcy poszli w ślady swych koni i zaczęli rozmawiać. Nic ich jeszcze nie łączyło, prócz gęstej ciemności i zapachu ściernisk.

Malwa była podekscytowana tym, że on, Wołodia, wielki poeta (tak wyraził się o nim Kłym Synycia), nie odmówił odprowadzenia jej. Koń jej stąpał tak blisko konia poety, że dumny

wierzchowiec dość stanowczo przeciął tę poufałość, zakłócając jednocześnie atmosferę zbliżenia między jeźdźcami.

Za polami komuny rozpoczął się denikinowski rów, który służył kiedyś za okopy. Konie stąpały czujnie, reagując nerwowo na każdy szelest w zaroślach, daremnie jednak poeta trzymał rękę na rękojęści szabli, daremnie wpatrywał się w ciemność — nie zjawił się najniebezpieczniejszy nawet denikinowiec. Uczucie strachu nie opuszczało ich jednak, zwłaszcza że w pewnym momencie konie odskoczyły gwałtownie od rowu i poniosły jeźdźców klusem.

Minęli Abisyńskie Wzgórza, na których rodują się i zmagają czarne wichury, przejechali obok chutoru Bubęły i w końcu zatrzymali się przy wiatrakach. Malwa wzięła poetę za rękę, w której trzymał uzdę, i powiedziała mu, że nigdy nie zapomni jego rycerskiego czynu, a jeśli jeszcze kiedyś odwiedzi komunę, to na pewno złoży mu wizytę. Chciałaby bardzo zobaczyć jego mieszkanie, nie była nigdy wyżej w ich pańskim domu niż na drugim piętrze. Wołodia obiecał pokazać jej sam szczyt tego domu, starą basztę, z której w dzień widać pół świata. Malwa wyraziła żal, że nie może przyjechać do pałacu w dzień, bo boi się plotek, ale w nocy na tej baszcie chyba jeszcze ciekawiej. Poeta nic nie mógł na to odpowiedzieć, w nocy tam nie był, wystarczyło mu jego poddasze.

Wołodia wracał truchtem, jadąc ostrożnie, jakby obawiał się, że w wyniku wstrząsów może rozwiąć się dziwne uczucie, jakie nagle nim

owładnęło po pożegnaniu się z tą cudowną kobietą. Miał ochotę śmiać się głośno i radośnie, a jednocześnie ogarniał go smutek na myśl o tym, jakie jest ono nietrwałe i ulotne jak nasienie dmuchawca. Pragnął bardzo, by uczucie to trochę w niego wrosło, wkorzeniło się, chciał je przewieźć na swoją mansardę i być z nim chociaż przez jakiś czas. Ale oto znowu rów i znów żadnego denikinowca ani żadnej innej żywej duszy do pojedynku w sytuacji, kiedy stan jego uczuć wymagał chociażby jakiegoś małego zwycięstwa. Lecz nagle koń zatrzymał się, wparł się w ziemię przednimi nogami i zaczął strzyc uszami. Jeździec bezwiednie wyjął z pochwy szablę, na której zaskrzyła daleka gwiazda.

— Kto tu?! — rzucił w czarne zarośla dzierżąc wysoko szablę.

— Denikinowcy — odpowiedziano mu wśród tłumionego śmiechu.

— Jacy denikinowcy? Nie ma ich już teraz. Za kogo walczyacie?

— Za cara i ojczyznę... A ty?

— Ano, pokażcie się! Wychodźcie!

— Jak mamy się pokazać, kiedy jesteśmy duchami? A ty kto? Też duch, czy z komuny?

Kiedy jeden z duchów wyjrzał z rowu, żeby popatrzeć, z kim mają do czynienia, koń stanął dęba, a jeździec omal nie spadł na ziemię. Po raz pierwszy uwierzył w istnienie duchów, przeciw którym szablą nic nie zdziałała, więc umknął z pola walki w takim tempie, że minął komunową bramę i zatrzymał się dopiero

w stawie, gdzie moczono zeschnięte koła i po-
jono wracające z pastwiska bydło. Gdy poczuł
wodę w butach, zorientował się, że szabla nie
jest mu już potrzebna, więc z trudem włożył
ją do pochwy. Koń też ochłonał z bojowego za-
pału i nasz bohater zaczął cicho poświstywać,
zachęcając go do picia.

Miłość do babilońskiej wdowy gdzieś się ulot-
niła, nękało go natomiast zaszczepione przez
wdowę podejrzenie, które teraz się potwier-
dziło, iż złe duchy rzeczywiście ożywają w ro-
wie i można je nawet zobaczyć. Czy powiedzieć
o tym Synyci? Lepiej chyba przemilczeć, on nie
wierzy w duchy, mimo iż Sośnin kiedyś po-
wiedział mu, że wszyscy wielcy poeci wierzyli
w ich istnienie i pisali o nich w swych genial-
nych utworach.

Oto po jeziorze płyną jak duchy białe łabę-
dzie, czyste i wspaniałe, to może przez nie Wo-
łodzia tkwi w dusznej serowarni i w mansardzie,
bo nikt nie wie o tym, że właśnie te ptaki zro-
biły z niego poetę.

Kłym Synycia był już na nogach, budził ko-
munę do pracy. Zupełnie zapomniał, że wysłał
serowara z Malwą. Przypomniawszy sobie, że kończy
się czerwony lakier nadający kolor i połysk se-
rom, wyjął więc notes i zapisał: „Zwrócić się
do komunistów holenderskich, żeby przysłali
lakier”. Aż tu zjawia się serowar, prowadzi ko-
nia za uzdę, człapie swoimi mokasynami, wło-
kąc za sobą długą szablę.

— Gdzie tak długo bawiłeś, chłopcze? —
spytał Kłym z uśmiechem.

— Proszę mówić ciszej... — odrzekł serowar z całą powagą. — No więc odprowadziłem tę kobietę do wiatraków. Wracam, trzymając rekę na rękojeści szabli, a tu w rowie denikinowcy. Jacy tam, do diabła, denikinowcy! Jakaś całkiem współczesna kontrrewolucja zrobiła na mnie zasadzkę, chcąc wziąć mnie żywcem. Ale się nie dałem!

Po czym z błyskiem zaczął opisywać, jak to rąbał walecznie szablą. Zagalopował się jednak, zapominając, z kim ma do czynienia. Kłym Synycia kazał mu wyjąć z pochwy szablę i chuchnąwszy na nią, powiedział:

— Ta szabla jeszcze nigdy nie była w boju i radzę ci oddać ją do naszego muzeum.

A ponieważ muzeum było dopiero w jego planach, więc oddał szablę serowarowi, który schował ją do pochwy i poczłapał z koniem do stajni. Po tej scenie opadły ostatnie płatki uczuć, jakie tak bardzo pragnął zachować po tej nocy.

Podwórze napełniło się rykiem krów, od których odłączano cieleta na cały dzień, aż do powrotu z pastwiska, rżeniem koni, które nakarmione owsem gryzły się koło wodopoju, oraz codziennym ludzkim gwarem. Każdego ranka miało się wrażenie, że komuna lada chwila się rozsypie i nie rozpocznie już nowego dnia, chociaż poprzedniego wieczoru wydawało się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Poeta był już przyzwyczajony do tych hałaśliwych komunowych świtów, przeszedł więc wśród te-

go rozgardiaszu z dumnie podniesioną głową, świadom swej wysokiej pozycji w komunie. Czuł, że dziś zwarzy ser zupełnie wyjątkowy, jutro zaś powiezie do Glińska dojrzałe główki z wcześniejszych, wiosennych partii.

Około południa, kiedy nowa partia sera była już zwarzona, wyrobiona i poukładana na półkach w piwnicy serowni, a brygada Wołodi Jaworskiego wyległa z zaduchu i smrodu na murawę, żeby odpocząć w cieniu, zjawił się Kłym Synycia. Lubił zapach serowni, co prawda niezbyt przyjemny, ale w tym wypadku Synycia był zwolennikiem dewizy pewnego imperatora rzymskiego, iż pieniądze nie cuchną.

Serownia, założona przez Sośnina dla zaspokojenia własnych potrzeb komuny, z biegiem czasu stała się najobfitszym źródłem dochodu, bo prócz sera holenderskiego wyrabiała jeszcze — do czasu pomoru owiec — bryndzę. Żeby podreperować budżet komuny, wyroby serowni wywożono na targ do Glińska. Czerwone główki, które wydawały się glińszczanom czymś niezwykłym, rozślawiły komunę bardziej niż wiersze młodego serowara, pojawiające się od czasu do czasu w miejscowej prasie. I im bardziej glińscy nepmani starali się przechwycić sekret produkcji sera holenderskiego, tym staranniej komuna go strzegła, by nie utracić monopolu w tej rzadkiej, a intratnej produkcji. Osobom postronnym wstęp do serowni był bezwzględnie wzbroniony, mógł wchodzić do niej tylko przewodniczący komuny i to w obecności serowara. Sośnin lubił przyglądać się sa-

memu procesowi warzenia, natomiast Kłyma Synycię bardziej interesowała gotowa już produkcja, kiedy ostygły ser puszczał pierwszą łzę.

Właśnie teraz policzył czerwone główki, dojrzewające na półkach, podpisał serowarowi zezwolenie na sprzedaż sera, po czym skosztował kawałeczek z nadkrajanej główki degustacyjnej. Sośnin degustował zwykle tak sumiennie, że zjadał całą główkę, Kłym ograniczał się do niedużego plasterka, chwając za każdym razem serowara. Teraz jednak nie powiedział ani słowa, chociaż ser, zwarzony z pierwszego wiosennego udoju, wręcz rozpływał się w ustach. Kiedy już wychodził, wspomniał jakby mimochodem o Malwie.

— Cóż to za maniera przywiązywać konia przed głównym wejściem? Nie dość że koń stoi przez całą noc głodny i gryzie werandę, to jeszcze ludzie mogą pomyśleć, że ona przyjeżdża do mnie. Trzeba było jej powiedzieć, żeby zapomniała do nas drogi...

I z tym pojechał do młockarni, znajdującej się na odległym uroczysku. Maszyna warczała do późnej nocy jak wściekła, domagając się ciągle nowych snopów.

O świcie serowar wyruszył ze swym legendarnym towarem do Glińska. Czerwone główki były włożone do koszyków i przykryte brezentem. Malwa czekała na poetę, tak jak się umówili, koło denikinowskiego rowu, lekka i czysta jak sierpniowy poranek. Oczy jej śmiały się szczęściem, wskoczyła po dziewczęcemu na wóz, gdy ledwo się zatrzymał. Była w czerwonych

bucikach, sukience i zapasce, pod którą chowała kolana. Pachniała macierzanką czy jakimś innym ziele. Nie mieli ochoty do rozmowy, milczenie było dla nich bardziej wymowne i zrozumialsze od słów.

Przed samym Glińskim Wołodia zaczął popisywać się szablą, która dotąd leżała pod słomą. Wziął ją na wszelki wypadek, różnie może być w powrotnej drodze, kiedy będzie siedział na woreczku komunowych pieniędzy. Malwa jednak w obawie, by za tę szablę nie trafił do więzienia, odebrała mu ją i włożyła z powrotem w słomę. Nastrój jej się zmienił, kiedy przejeżdżali obok glińskiego więzienia. Nagle umilkła i przygasła, a potem właśnie schowała tę szablę. Wołodia zauważył jej zmieszanie, nie zauważył natomiast w jednym z okien więzienia Dańka Sokoluka, swego groźnego chociaż obecnie bezsilnego rywala. Malwa zerknęła tylko w stronę okna i spuściła oczy, bojąc się spotkać spojrzeniem z Dańkiem, który zjawił się w zakratowanym oknie jak wyrzut sumienia.

Wóz ich przecisnął się przez jarmarczną ciżbę do straganów, przeważnie pustych, i zatrzymał się przy straganie z czerwonym daszkiem. Malwa pomogła serowarowi wyładować koszyki i poukładać czerwone główki na półkach, jedna z nich upadła i potoczyła się po pochyłym placu, biegnącym w stronę Bugu, tak szybko, że Malwa ledwie zdążyła ją zatrzymać, co wywołało wesołość zebranych na placu ludzi, po czym zdmuchnęła z niej kurz i po-

łożyła na najwyższej półce. Może właśnie ta główka przyciągnęła do straganu kupujących. Serowar włożył biały fartuch i zaczął ważyć główki, dając też chętnym po plasterku na spróbowanie, jego zaś pomocnica przyjmowała od kupujących pieniądze.

A oto podchodzi do straganu sam towarzysz Tesla, sekretarz komitetu powiatowego partii. Nie spiesząc się wybrał najładniejszą główkę i poprosił o zważenie jej. Zanim włożył główkę do koszyka, długo przyglądał się jej pod słońce jak jakiemuś dziwolągowi, po czym zapłacił i poszedł ze swą gospodynią do straganów z powiazanym drobiem. Ludzie tłoczyli się przy komunowym straganie jak nigdy. Malwa ledwie nadążała z liczeniem pieniędzy, czerwonych główek było coraz mniej. Dańko krzyczał przez kraty, że za tanio oddają ser.

Kiedy już wszystkie główki sprzedano, Malwa i Wołodia zabrali wagę i puste kosze, układając je jeden na drugim, tak że w wozie było teraz znacznie więcej miejsca, wymościли słomą przednie siedzenie i opuścili targ. Pojechali jednak nie obok więzienia, jak oczekiwał Dańko, lecz w stronę starego młyna, w którym mieściła się teraz tak zwana proletariacka karczma. Pozostawimy ich tam i opowiemy o Sokolukach oraz o tym, jak dwaj bracia trafili tu z wiecznego Babilonu...

ROZDZIAŁ III

Ostatni raz Babilon spłonął przed dwudziestu laty, w same żniwa, kiedy ten szczęśliwy

w zasadzie kraj nawiedza od czasu do czasu przychodząca z południa taurydzka susza. Głowa od niej pęka, stają wiatraki na wzgórzach, a na przysypanych pyłem drogach polnych mającą zamki, w których mieszkają chyba legendarni Taurowie, założyciele Babilonu. Z tego pozornego bezruchu rodzą się trąby powietrzne. Odrywają się od ziemi i mkną gdzieś aż do fioletowego horyzotu. Babilon spłonął właśnie w jednym z takich dni, w południe, kiedy żeńcy szykowali się do odpoczynku i posiłku.

Pożar zaczął się od chałupy Sokoluków, przetrząsnął się na sąsiednie zagrody, pożerał szybko słomiane strzechy biedaków, ale też nie szczędził dachów blaszanych, zwijając je w białe rulony, lekkie jak pierze, i wystrzelając w niebo słupami ognia. Żniwiarze biegli do pożaru z kosami i sierpami, jak gdyby wieś podpalili Turcy czy Tatarzy, którzy w dawnych czasach nieraz puszczali Babilon z dymem. Tym razem jednak nie starzy wrogowie Babilonu byli winni. Podpalaczy ujęto na gliniankach, w ówczesnej sytuacji miejscu bezpiecznym i zacisznym, związali ich i sprowadzili do Glińska przed oblicze naczelnika policji razem z ich ojcem Mikołajem Sokolukiem.

Jeden z podpalaczy, Dańko, miał wówczas dziesięć lat, drugi brat, Łukian, młodszy był o dziesięć miesięcy i kilka dni. Podczas śledztwa wspomaganego różgami szybko wyjaśniło się, dlaczego spalił się Babilon. Okazało się, że prawdziwym sprawcą tragedii wsi był kot z sąsiedztwa, który upatrzył sobie ogród So-

koluków i przez całe lato wypijał tam kurze jaja, aż go wytropili ci dwaj psotnicy, schwytali, przyczepili mu knot oblany naftą i podpalili. Podpalony kot, mszcząc się, wskoczył na najbliższy strych Sokoluków.

Podpalacze są już teraz po trzydziestce, nie ośmieliliby się już jednak podpalić po raz drugi Babilonu, chociaż niekiedy mają na to wielką ochotę, zwłaszcza Dańko.

Teraz też są żniwa, jednak od wielu już dni żaden z braci nie może wybrać się na ich pole, porozrzucane w kilku miejscach, podobnie jak pole ich sąsiada Jawtucha: jeden zagon pod Czuprynkami, drugi pod Kozowem, trzeci zaś, największy i najgorszy, aż na Abisynii, jak nazywają rude pagórki, które do reformy rolnej należały chyba do Pana Boga. Matka przeklęła za te pagórki mierniczego Kendę, Niemca z pochodzenia, ale dzięki Dańkowi zaczęły one przynosić obfite plony. Teraz sypie się już tam jęczmień z opadającymi jak u Jawtucha wąsami i czas najwyższy go kosić, ale matka mogła w każdej chwili umrzeć i młodszy, Łukian, bał się pozostać w domu sam, bez Dańka. Poza tym matka wyraziła życzenie, by obaj synowie byli koniecznie przy jej śmierci, sami zresztą przeczuwali, że matka ma im coś ważnego do przekazania, nie mogli jednak wydobyc z niej tego wcześniej. Jej upór drażnił ich, zwłaszcza Dańka, który nie mógł być przy niej bez przerwy i obawiał się, że może przekazać swą tajemnicę bratu.

Aby nie marnować czasu, a jednocześnie być

w pobliżu matki, Dańko młóci na klepisku żyto, zwiezione w nocy spod Czuprynek. Jego dudniący cep budzi wszystkich o świcie i usypia wieczorem. Nie cichnie nawet w południe, kiedy kto żyw chowa się przed spiekotą, tylko cap Fabian człapie w pocie czoła na obiad do Jawtucha Gołego. Od czasu do czasu młóckarz zrasza klepisko, by się nie kurzyło, nawilża kapice i znowu niezmordowanie wali cepem, w którym jakby stękała żywa, zmęczona, przepracowana istota. „Nasz Dańko zupełnie oszalał” — mówi matka, która pragnie ciszy.

Młodszy syn milczy, wie bowiem, skąd w Dańku taka zawziętość. Na jednego pracują pszczoły, na drugiego miechy kowalskie, trzeciemu diabeł dziecko kołysze, czwartemu wiatr obraca wiatraki, a w tym gospodarstwie wynalazczość i postęp kończą się na cepie. Łukian hodował gołębie, wnet jednak zorientował się, że to niemal to samo, co hodować wróble: dziś one niby twoje, a jutro pofruną i wybiorą sobie innego pana. A filozof Fabian, mając przypuszczalnie na uwadze swego capa, powiada: wszystko, co zdatne jest do latania, nie może należeć do jednego. Jednak Łukian nie porzuca swoich gołębi, ma ich mnóstwo, w tym kilka bardzo rzadkich, szczególnie radujących jego serce. Miał na swojej głowie całe gospodarstwo: krowę, którą sam doił, kury, które ciągle znosiły jaja w ogrodzie Jawtucha, kaczki cesarki, których nie można było dowołać się co wieczór ze stawu, moczenie i międlenie konopi, pielęgnowanie i przygotowywanie tytoniu tu-

reckiego dla Dańka, basztan¹ plądrowany ciągle przez dzieci Jawtucha, i wreszcie wszelakie zielsko w ogrodzie, od rozsady po szatkowanie kapusty — to też spadło na jego głowę, od kiedy matka zachorowała.

Pole natomiast jest domeną Dańka. Pracuje tam od świtu do nocy w przekonaniu, że tylko ono może ich postawić na nogi. Pole wyczerpuje, zwłaszcza w jesienne słoty, więc na młodszego brata spadł jeszcze jeden obowiązek: przynoszenie Dańkowi gorących obiadów. Trudność polega na tym, by w drodze nie ostygły, więc Dańko jest pełen podziwu i uznania dla brata, że mu się to udaje, i ceni go coraz więcej. Tajemnica tkwi w ręcznikach, którymi Łukian owija każdy garnek, kiedy niesie je kawał drogi, przez zimne zawsze Czuprynki, od wieków wylęgarnię żebraków. „Skąd wy, dziadku?” „Z Czuprynek”. Żebracy babilońscy daliby sobie raczej język wyrwać, niż przyznać się, skąd pochodzą.

Teraz Łukian nie odstępował matki. Siedzi na stołku i wyszywa czerwonymi krzyżykami dla siebie koszulę, skrojoną przez glińskiego krawca, u którego ubierają się wszyscy zamożniejsi babilończycy oraz ci, co za wszelką cenę chcą się do nich podciągnąć, największą bowiem hańbą dla babilończyka jest wyjść z domu i pokazać się ludziom w niewyszywanej koszuli. Nie znaczy to wcale, by nie doceniano spodni, jednak koszula była tu swego rodzaju

¹ ogród, w którym uprawia się melony, kawony i kukurydzę (przyp. tłum.)

biletem wizytowym, stąd wzięło się porzekadło: pokaż się, w jakiej jesteś koszuli, a powiem ci, kim jesteś.

Łukian ma talent do wyszywania. Pół Babilonu chodziło w jego wyszywankach, nawet sąsiad Jawtuch, któremu ozdobił w natchnieniu koszulę kolorowymi krzyżykami, zanim się powaśnili.

Czerwony kłębek podskakuje na glinianej podłodze coraz bardziej nerwowo i niepostrzeżenie maleje, a kiedy Łukian zdjął okulary, by je przetrzeć, kłębek znieruchomiał jak coś żywego. Łukian nosił okulary od niedawna z powodu krótkowzroczności. Namówił go na nie Fabian, dowodząc osobistym przykładem wielkich zalet tego, jak mówił, najbardziej humanitarnego wynalazku człowieka. Matka nie mogła jednak przyzwyczaić się do syna w okularach.

— I skąd ci się to przyplątało?

— Co, mamó? — pyta Łukian, patrząc na nią przez okulary.

— To twoje kalectwo, ta ślepotą...

— Nie przejmuję się tym. Przywykłem.

— Czy to nie z tego, że kiedy się urodziłeś, to ci przecięto pępówinę na książce? Ktoś podsunął akuszerce modlitewnik. A litery takie ma-lutkie...

— Ten, który Dańko spalił?

— Spalił, niegodziwiec, taką pamiątkę...

Dańkowi zaś, o czym Łukian dowiedział się dopiero teraz, przecięto pępówinę na łyżce, stąd pociąg do jedzenia, ale i do roboty. Czy to czło-

wiek wie, co mu tam zaprogramują, kiedy przychodzi na świat?

— A skąd w Dańku pociąg do koniokradztwa?
— zainteresował się Łukian.

— To nie od Sokoluków. Moja to wina. Była kiedyś w moim rodzie ta choroba. Mego dziadka zabili czumacy. Kradł woły na czumackim szlaku.

— Woły? — zdziwił się Łukian, czując jakąś ulgę spowodowaną chyba świadomością, że od dziś brat nie będzie już jedynym złodziejem w rodzinie.

— Dziad polował na dymany¹. Maść wołów go zgubiła. A Dańka?

— Dla niego maść konia nie gra roli. Pociąga go co innego.

— A co? Pieniądze? Gdzież one są?

— Przygoda, mamó... Czy nie zauważyła mama, jaki Dańko jest, kiedy w stajni rzy skradziony koń? Wtedy do rany go przyłożyć...

Dziwna rzecz: konie babilońskie mogły sobie żyć spokojnie, zgodnie z jakimiś nie pisanymi prawami koniokradzkimi nie budziły one w Dańku pożądania. Ofiary wyszukiwał w odległych wsiach. Teraz marzył o pewnym rączym koniku, którego wytropił na ostatnim glińskim jarmarku. Miał już o nim wszystkie dane, które nęcą nową koniokradzką przygodą: koń pochodzi z Owczego, niedużego, ale zamożnego osiedla, właścicielem jego jest Łarion Batiuh, na dachu domu drewniany kogut...

¹ woły ciemnobrązowej maści (przyp. aut.)

— Zawołaj tego pomylenca — poprosiła bez złości matka, w duchu zaś pomyślała: Na którymś jarmarku końskim chłopci zasmagają go batogami i przyjdzie ci, Łukianie, zabrać do domu jego krwawe resztki.

Kłębek potoczył się pod ławę, gdzie wylegiwał się kot, który tylko czekał, aż kłębek znieruchomieje, by wziąć go w swoje łapki. Łukian wyszedł na ganek.

— Co tam, bracie? — spytał czarnobrody Dańko spośród białych snopów, którymi obstał kłepisko tak gęsto, że podczas młócki żadne ziarno nie mogło wypaść na zewnątrz.

— Szybko, Dańko!

— Myślisz, że to tak łatwo umrzeć, jak ci się zdaje? Zaraz domłócę snop i przyjdę.

— Nie darmo przecięto ci pępówinę na łyżce! — przyciął bratu Łukian z powodu jego ociągania się.

— Na czym?

— Na tej szczerbatej łyżce, którą jesz jeszcze do dziś.

— A tobie na czym? — spytał Dańko.

— Mnie, jeśli chcesz wiedzieć, to na modlitewniku, który spaliłeś.

— Teraz rozumiem, skąd w naszej rodzinie wzięła się taka „Bozia” — zaśmiał się Dańko, wychodząc z kłepiska. — Czy to wszystko, co matka chciała nam powiedzieć przed śmiercią?

— A co, nie interesuje cię, dlaczego właśnie jesteś taki, a nie inny?

— Jaki? No, jaki, powiedz! Chcę usłyszeć...

— nalegał Dańko, dając bratu tęgiego kuksańca.

Na ganku zaczęła się bijatyka, która szybko zakończyła się pokojowo, jak zawsze. Śmierć nie mogła jednak czekać, i kiedy dwaj bracia z synowską pokorą i smutkiem na twarzy weszli do izby, byli już sierotami. Kot bawił się czerwonym kłębkim, który migał w jego łapkach jak rozżarzony węgielek, znalazł sobie odpowiedni czas na zabawę.

Matki nie lubią, żeby dzieci widziały, jak one umierają. Chłopcom było teraz przykro z powodu tej bójki na ganku. Często czubili się bez przyczyny, ale drewniany tłuczek w ręku matki momentalnie ich godził, teraz tłuczek ten będzie wisiał przy kredensie, nawet jeśli by mieli pozabijać się na śmierć. Już chociażby tylko dlatego matka powinna była żyć. W każdym domu potrzebny rozjemca.

Starego Sokoluka uduszono w gliniankach za pański skarb, który podczas rabowania dworu wpadł w jego ręce. Zaduszono go postronkiem. Jedni twierdzą, że oddał skarb swym zabójcom, wymieniano nawet ich nazwiska, ludzie bowiem po tym morderstwie nieoczekiwanie wzbogacili się, inni jednak jeszcze dotąd w noc kupałową szukają na gliniankach skarbu. „Niech szukają...” stara Sokolukowa uśmiechała się zagadkowo.

Bracia nie byli na pogrzebie ojca, przebywali wtedy na froncie austriackim, więc postawili teraz świeczkę również ojcu przed obrazem czczonego przez niego Mikołaja Cudotwórcy.

Dańko stał przed zapaloną świeczką jak skamieniały.

— A skarb jest... — rzekł cicho Łukian.

— Bracie, co ty mówisz?! — rzucił się do niego Dańko.

— Przysiągłem nie ruszać go... Jej przysiągłem — wskazał nieboszczkę.

— Co takiego?! — Dańko schwycił go za piersi. Łukianowi ścierpły nogi. Czuł się tak, jakby stał na mrowisku.

— Odczep się! Widzę w twoich oczach, że potrafiłbyś zabić...

— A że w robocie wypruwam z siebie ostatnie żyły, to tego nie widzisz?

Coś huknęło w kominie. To pewnie przypomniał o sobie skrzat domowy. Zimą grzał się tam na wewnętrznym gzymsie, zwiesiwszy kosmate bosc nogi. Z całą pewnością bosc, żeby mógł bezszelestnie stąpać po swoim królestwie. Teraz takich kominów w sieni już nie stawiają, budują kominy wewnątrz puste, z przypieckami, w których te dobre duchy domowego ogniska osiedlają się niechętnie. Dlatego też w nowych domach szczęścia jest jeszcze mniej niż w starych.

Dańko odstąpił od brata, próbując po dobroci wydobyć z niego tajemnicę skarbu.

— Domyślałem się, że matka przechowuje coś dla nas. Ale kiedy pomyślę, że przez tyle lat milczała, to krew mnie zalewa, niech mi to Bóg przebaczy...

— Matka bała się, żeby nie spotkało nas to, co ojca. Złoto to straszna pokusa, zwłaszcza w

naszym nędzarskim Babilonie. Przysięgnij, tu, przed matką, że nie stracisz głowy, kiedy złoto porazi ci oczy — rzekł Łukian.

— Przysięgam na krzyż, że będę potulny i mięciutki jak jedwab, i uznaję twoją zwierzchność nad sobą dziś i na wieki, bo masz już to, czego ja jeszcze nie mam.

— No więc, bracie, jestem jedynym, który zna tę tajemnicę. Nie, kłamię. Zna ją jeszcze Fabian. Był wtedy, gad, w sieni i podsłuchiwał.

— Filozof?

— Nie, cap. Przepędziłem go wtedy miotłą.

— To niedobrze, że wie jeszcze ktoś trzeci...

— Ale to przecież cap!

— E, różnie bywa... A jeśli to nie był cap, tylko sam Fabian zmienił się w capa? To co wtedy?

— Co ty wygadujesz? Ostatni czarownicy skończyli się na wielkim Mamajewie.

— Nie wierz żadnemu rogatemu diabłu... A gdzie, na gliniankach?

— Nie, tu... Pod gruszą lipcówką.

Gdy tylko wyszli z domu, zbaranieli: w otoczonym tajemnicą miejscu, pod wspomnianą gruszą lipcówką, którą widać aż z Glińska, kiedy zakwitnie i przez tydzień lub dwa stoi w białej aureoli, leżał cap i spokojnie przeżuwał. Zatrzymali się przed nim jak wryci. Tego już było za wiele. Miało się ochotę zapytać: „Czy to nie ty, Fabianie?” Ale i tak by się przecież nie przyznał.

W oczach capa nie było ani krzty rozumu. Przypuszczalnie dopiero co zjadł obiad u Ja-

wtucha, który z Prisią i dziećmi wybrał się w pole zbierać kłosa, i zachciało mu się położyć w chłodku właśnie pod tą gruszą, mimo że na podwórzu Jawtucha stała taka sama. Dlaczego nie został tam, ale przylazł tu i struga wariata leżąc na złocie? Dańko zareagował tak, jak należało oczekiwać w takich okolicznościach: poszedł po cep. Rogaty drań nie miał najmniejszego pojęcia o tym, co mu grozi, i nie wiadomo, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie zjawił się we własnej osobie jego pan ze składanym metrem za cholewą. Fabiana nigdy nie wzywają, sam domyśla się, kiedy przyjść.

— Umarła?

— Umarła — znieruchomiał na klepisku Dańko z cepem.

— I chwala Bogu. Jak miała się tak męczyć, to lepiej do pradziadów...

I wszedł do mieszkania.

A do tego, który spoczywał na złocie, przyleciał konik polny, usiadł na końcu rogu i zatrzepotał skrzydełkami. Takiego złotego konika polnego nigdy jak żyją jeszcze nie widzieli, więc tylko wymienili wymowne spojrzenia...

Po Fabianie momentalnie zjawili się wszyscy ci sanitariusze śmierci, których nigdy nikt nie wyznacza, sami od wieków wywodzą się w Babilonie nie wiadomo skąd, podobnie jak ci, co przyjmują nowo narodzone dzieci. Jedni czują się odpowiedzialni za początek życia, inni za jego koniec i nikt nie odważyłby się występować tu w podwójnej roli. Na poły mistyczne babki babilońskie znały dobrze swój fach, odprawiły

już niejedną śmierć: wysłały podłogę przeciw muchom orzechowym liściem, zapaliły świeczki wszystkim wielkim męczennicom, od świętej Barbary począwszy, i zaintonowały nad Sokolukową odpowiednią pieśń, szepcąc w przerwach o czymś dla nich bardzo ważnym. Milkły, kiedy któryś z synów wchodził do izby, by postać przy matce, i zaczynały nową pieśń, niekiedy wesołą zamiast smutnej, co prawda tonem bardzo żałosnym, synowie uważali to za dopełnienie rytuału, łagodziło to zresztą ich synowską rozpacz.

Tymczasem zboże osypało się i żadna śmierć nie potrafiła oderwać od żniw tak gorliwego żeńca, jak ich sąsiad Jawtuch, który przyszedł do nieboszczki razem z Prisią dopiero w nocy. Stali przy sobie w milczeniu. W owłosionych piersiach Jawtucha kipiała nienawiść do Sokoluków. Wbił sobie do głowy, że obaj cieszą się jej wielką sympatią i że obaj darzą ją taką samą sympatią. Śmierć Sokolukowej mogła być ostatnią okazją do pogodzenia się, więc Jawtuch skorzystał z niej i przyszedł. Był niedużego wzrostu, włochaty jak zarosłe perzem jego pole pod Czuprynkami, miał jasne włosy oraz — dodajmy jeszcze i ten szczegół — ręce i nogi czerwone jak podgotowany rak: ta ostatnia cecha wynikała z tłumionej przez całe lata złości do Sokoluków. A jednak tliło w nim coś przyjemnego, przynajmniej w odczuciu capa, o czym wspomniano tu już wcześniej. Prisia stała przy nim urodziwa, jędrna i zatroskana, pachniała żniwami. Popłakiwała jednak bardzo

cicho, żeby mąż nie słyszał, bo pomyślałby zaraz Bóg wie co. Kiedy wychodzili, zapytał Łukiana:

— Czy matka nic wam nie przekazała?

— A co takiego?

— Powinna była chyba wam coś powiedzieć...

— rzekł z chytrym uśmieszkiem i wypchnął żonę z izby.

Dańko ściągał skórę z byczka przy świetle wiszącej na belce latarni. Zapach krwi, a chyba i światło, zwabiły do stodoły nietoperze, takie jakieś strwożone, że Jawtuchowi zdawało się, iż wylatują z jego włochatych piersi. Kiedy przyszedł do domu, zaczął bić Prisię jeszcze w sieni, za nic, Bóg świadkiem zupełnie bez powodu, po prostu odczuwał duchową potrzebę zbicia jej ot, tak sobie, profilaktycznie.

Resztę nocy spędził na nowym wozie, pod jedyną na jego podwórzu gruszą, która w tym roku nie urodziła ani jednej gruszki, co jeszcze bardziej podsycalo jego nienawiść do Sokoluków. Nietoperze zlatywały się ze swoich nocnych łowów i cicho siadały na jego piersiach, składając utrudzone błoniaste skrzydła.

Na wozie raz po raz otwierało się jedno oko, jednak do końca nocy niczego nie dostrzegło na podwórzu Sokoluków, gdzie do świtu czuwało okno z czterema szybami. O świtaniu Dańko wyszedł z domu z okrągłym koszem wiklinowym: podszedł do gruszy, stał przez chwilę na tajemnym miejscu w jakiejś słodkiej zadumie, postawił kosz na ziemi, po czym zręcznie, ale powoli, jak jaguar, zaczął wlażyć na drzewo.

Chciał strząsnąć wszystkie dojrzałe gruszki, żeby nie kusiły ludzi, którzy przyjdą na pogrzeb. Tępy stukot spadających owoców obudził również drugie oko na wozie. Jawtuch zlął, przeciągnął się, też wspiał się na swoją nieplodną gruszę i zaczął trząść nią wyładowując swoją złość. Nie spadła oczywiście ani jedna gruszka, Dańko zaczął więc śmiać się na swoim drzewie. Jawtuchowi jakoś głupio było teraz złązić, nie miał zresztą nic pilnego do roboty, więc siedział na gruszy jeszcze długo, póki żona nie zawołała go na śniadanie. Najeżony zsunął się z drzewa i wszedł do domu.

Mimo że Dańko szedł bardzo szybko z cmentarza z młodszym bratem pod rękę, pamiętając przy tym, że z pogrzebu wraca się z powagą i smutkiem na twarzy, to jednak chytre i żwawe babiny babilońskie wyprzedziły go, a może w ogóle nie były na cmentarzu. Babule doszły do wniosku, że lepiej urządzić stypę nie w mieszkaniu, gdzie jeszcze snuł się duch zmarłej, lecz na podwórzu, pod gruszą lipcówką, a tego obawiał się Dańko najbardziej. Jawtuch i Prisia już tu byli. Ona w białym fartuszkunakrywała do stołu, a jej wiecznie skrzywiony mąż usiadł właśnie w tym miejscu, gdzie był skarb. Jego czerwone nogi były jakby w złocistej aureoli od bijącego spod ziemi blasku. Można wyobrazić sobie nastrój Dańka, zwłaszcza że nie było żadnego sposobu na wykurzenie Jawtucha z miejsca, na którym można było posadzić kogoś bardziej godnego zaufania lub też usiąść samemu. Jawtuch od razu zaczęłyby

doszukiwać się powodów przesiedlenia, co mogłoby sprawę jedynie pogorszyć, więc Dańko usiadł tylko naprzeciw, starając się nie patrzeć na jego nogi, które po prostu kąpały się w złocie. W końcu Jawtuch zdenerwował się i usiadł po turecku. Dańka wiele kosztowało zachowanie obojętnej twarzy wobec harców znienawidzonych nóg sąsiada po jego złocie.

Narodu zeszło się mnóstwo, proszeni i nie proszeni. Babilończycy bardzo lubili pojeść i popić za darmo. Zabrakło stołów dla tej całej zgrai, trzeba więc było rozwinąć na trawie dwa zwoje nie bielonego płótna, przy których rozsiadł się pogrążony w smutku Babilon. Wszyscy mieli podstawy, by oczekiwać takiego właśnie dużego przyjęcia, mimo że nieboszczka nie należała przecież do zamożnych. Spadek po niej był na oczach wszystkich, nie wiedzieli tylko o nie zapłaconym pługu siedmioskibowym i o innych jeszcze sprawach, zaś babiny poszeptywały między sobą tajemniczo o zagadkowej malowanej skrzyni z niesłychanymi skarbami pana Rodzińskiego, za które położył głowę Mikołaj Sokoluk. Na stypie pojawiły się pierwsze oznaki tego, że „brodate sieroty” uchyliły już wieka skrzyni, bo zastawiono stoły pieczystym i gotowanym i zasuszone babusie po prostu nie wiedziały, za co się łapać: za pieczone gołębie, za cielęcinę, podaną w wielkich plastrach z młodymi ziemniakami, czy za emaliowane karafki z wódką, które szybko przekształciły stypę w wesołą i beztroską biesiadę.

Pierwszy upił się Jawtuch, więc Sokolukowie

pochwycili go skwapliwie za ręce i nogi i chcieli przerzucić przez płot w wysokie chwasty, jakie hodował na swoim podwórzu, jednak Prisia ubłagała ich, by tego nie robili, zresztą sam Jawtuch zmiękł, i nie wyrywał się, więc zanieśli go i ułożyli na wozie pachnącym jeszcze warsztatem stelmacha. Jawtuch zasnął twardo i chrapał potężnie. Nagle poderwał się, przypomniawszy sobie, że zostawił u Sokoluków Prisię. Zawołał ją ze złością (nawet w resztkach świadomości tkwiła nienawiść do Sokoluków), po czym znów runął na wóz i więcej już nie przeszkadzał Prisi w pełnieniu na wieczery obowiązków gospodyni.

Fabian utracił rozeznanie stron świata, tu jednak przyszedł mu z pomocą jego niezawodny w takich wypadkach towarzysz, który powiódł filozofa do domu, na Tatarskie Wały, gdzie obaj znowu, przynajmniej do jakiejś następnej okazji, będą żyć lekko i beztrosko, nie kłopotując się o dzień jutrzejszy. Tym razem cap prowadził filozofa niezbyt pewnie, bo go stare figlarki spoiły wlewając mu do jedzenia wódkę, lubiły znęcać się nad capem, sądząc, że jest on uosobieniem samego diabła babilońskiego, a przecież cap był stworzeniem potulnym, i stawał się hardy tylko wtedy, gdy chodziło o honor obu Fabianów.

Potem wyruszyły na swój Bełeben babilońskie baby. Kiedyś były chlubą i ozdobą Babilonu, parobcy bili się o nie na jarmarkach, dziś jednak niektóre z nich nie mogły trafić do do-

mu, przeklinając nieboszczkę i babilońskie pagórki.

Jako ostatni opuścili stypę tak zwani arbuzowi krewni, krewni dalecy, którzy uważają, że pogrzeby urządza się po to, żeby rozerwać się i spotkać ze znajomymi. Był wśród nich również Pańko Koczubej, krewny Sokoluków. Prisia z kilku innymi kobietami w białych chustkach posprzątała, zwinęła płótno, zmyła naczyńia i poszła do śpiącego na wozie Jawtucha.

Skarby wydobywa się w absolutnej ciszy, nie mniej napiętej od tej, jaka panowała podczas chowania ich przed ludzkim okiem. Kiedy wyparowywał z głów stypowy rausz, a pijaniusięńkie, poprzedzane przez capa, babule z trudem wdrapywały się na babilońskie góry do swoich nędznych chatynek, szczerbaty księżyc wydobył czarne wiatraki, które wiecznie jakby się dokądś zrywały, przykute do swoich wzgórz.

Sieroty siedziały pod domem na przyzbie, czekając aż zapieją babilońskie koguty, bowiem według wierzeń ludowych skarby należy wydobywać o północy, najlepiej oczywiście w noc świętojańską, kiedy zakwita paproć. Tamtą noc zmarnowali jednak na huśtawce i na skakaniu przez ogień jak za czasów Peruna, Łukian spalił przy tym swoje kortowe spodnie. Zresztą wtedy nie mieli jeszcze pojęcia o skarbie. A teraz siedzieli pod domem napięci, uroczyści, pełni smutku i nadziei. Pierwszy odezwał się kogut Jawtucha, po nim ogłosiły północ koguty gdzieś na wzgórzu, a dopiero wówczas obudził się ich

kur, poprzedniego dnia ogłuszony przez Dańka cepem. Bracia wstali i podeszli do gruszy, która przez tyle lat była ulubionym miejscem wszelkich rodzinnych i kawalerskich uczt i pogaduszek.

Im głębiej wkopywali się, tym mniej wierzyli w ten skarb. Raz po raz natykali się na pocięte spróchniałe korzenie. Dańko chwycił je i sprawdzał, czy może były świeżo rąbane, nawet je wąchał.

— Och, pokpił nasz tatuńcio, pokpił! Wszystko przepadło, tu już ktoś był przed nami.

— To Jawtuch, to na pewno Jawtuch — wyszeptał tragicznie Łukian. — Przecież widzisz, jak im się powodzi.

— I jeszcze narzeka, że ma za dużo chłopców — zażartował Dańko, robiąc aluzję do podejrzeń Jawtucha. Ale nawet gdyby podejrzenia te były uzasadnione, to Jawtuch jeszcze na tym skorzystał, bo podczas przeprowadzania reformy rolnej przydzielono mu na chłopców kilka dziesięcin ziemi zbywającej przy podziale. Sokolukowie przy dobrych chęciach mogliby zrobić z Jawtucha wielkiego obszarnika, ale wcale tego nie chcieli. A jeśli już mówić całą prawdę, to poza dziećmi niewiele więcej miał Jawtuch majątku. Jednak skarb mógł się dostać w jego ręce, bo kopanie było coraz złejsze, co mogło świadczyć o tym, że ktoś tu już był przed nimi. Sądząc jednak po porąbanych korzeniach stało się to nie teraz, lecz chyba niedługo po zakopaniu skarbu. Dańko spocił się jak mysz i stracił już nadzieję, a Łukian zgubił

w jamie okulary, bez których był jak ślepy. W ich głębokim przekonaniu skarb jest już od dawna w rękach Jawtucha, spokojnie śpiącego teraz na wozie bez dyszla, co chroniło wóz przed kradzieżą.

— Jest coś? — Dańko, który pracował siekierą, przecinając korzenie, zadrżał z emocji, usłyszawszy zgrzyt łopaty o żelazo.

— Metal... Najprawdziwszy metal — wyszeptał nabożnie Łukian. Teraz postępowali już tak delikatnie, uważnie i ostrożnie, jakby to, czego jeszcze nie mieli, było żywe, miało ręce, nogi i oczy, na razie jeszcze zamknięte, oraz piersi, które już oddychały pod ziemią.

— Ostrożnie, Łukian... Ostrożnie, bo uszkodziysz...

Kiedy stali już na skrzyni z okutym wiekiem, kiedy majak szczęścia stał się faktem, Dańka opadła jeszcze jedna wątpliwość.

— A teraz wyobraź sobie, Łukianie, że ta skrzynia jest pusta, że ją wypatroszyli przed nami...

Łukian nigdy nie przypuszczał, że przecucie bogactwa może napełnić taką straszliwą trwogą. Miał teraz ochotę zbić brata za jego niedowiarstwo. W jamie pachniało świeżą ziemią, złotem i pleśnią zbutwiałego korzenia, porąbanego chyba jeszcze przez ojca. Upływały minuty, a oni trwali nieruchomo w swym szczęściu, bojąc się je spłoszyć, nie kwapili się więc z wydobyciem skarbu.

— Popatrz najpierw, co tam na górze —

przerwał wreszcie to błogie milczenie Dańko, siadając w kucki i zapalając papierosa.

Cicho szeleściła nad nimi stara grusza, symbol dawnego i kiedyś wielkiego rodu, który mógł tragicznie skończyć się tej nocy, ale mógł też wybuchnąć z nową siłą.

— No, co tam w Babilonie? — zapytał.

— Ćma — odrzekł lakonicznie Łukian.

Gdzieś daleko czaiła się burza, księżyc utonął w czarnych zwojach chmur, potonęły w mrokach nocy czarne wiatraki wraz ze wzgórzami, śpi nędzne ludzkie robactwo. No więc nie mają się czego spieszyć. Ludzie w ich sytuacji powinni snuć jak najpiękniejsze marzenia o przyszłości, która wydała się obu braciom bardziej niepewną niż kiedykolwiek dotąd, nie wiedzieli bowiem, kim staną się za kilka minut. Jeszcze w dzieciństwie nasłuchali się różnych dziwnych i strasznych historii o skarbach.

Babilon przycichł, przycichł się jakby w oczekiwaniu tego, co stanie się z nimi, kiedy podniosą wieko skrzyni.

Łukian zajrzał do jamy, Dańko ciągle pali, pewnie obmyśla jakiś straszny podstęp. Łukian jest przerażony. Gotów jest oddać wszystko, by móc jutro, jak codziennie, stać na podwórzu z rzeszotem i przywoływać gołębie, sypnie im garstkę ziarna, żeby nie odwykały od niego i wiedziały, kto jest ich panem.

— O czym tak myślisz, Dańko? Nie warto układać żadnych planów...

— Jak myślisz, czy rzucę koniokradztwo, kiedy zostanę bogaty? Czy też dopiero wtedy,

kiedy mnie chwycą i zasmagają batami na śmierć? Wiesz, coś mnie takiego napada...

— Rzeczywiście, skąd ci się to wzięło? W naszym rodzie kradli woły, kradli gołębie, ale koni nie kradł nikt. Czyś ty czasem nie Cygan? Podobno kiedyś babilonianki grzeszyły z Cyganami.

— Nie czuję w sobie cygańskiej krwi. I kiedy przyjeżdżają tu Cyganie, też są mi obojętni. Nie możesz zrozumieć, że w człowieku jest jakaś dzika siła. Przez tę jedną noc, kiedy polujesz na upatrzonego konika, tyle przeżyjesz i tak się namordujesz, że potem uspokajasz się na całe miesiące. Kiedy wreszcie wyrzucisz z siebie to, co cię tak nękało, to czujesz się lekki, jakbyś drugi raz się narodził. Gdybym się był dalej uczył, to na pewno zostałbym jakimś dowódcą. A tak skończyło się na kradzieżach koni. Wiesz przecież, że nie mam z tego ani grosza. Tylko Malwa dostawała od czasu do czasu jakiś prezent. Ale żebyś wiedział, jak to cudownie, kiedy przechowujesz w stajni cudzego konia. Gdzieś go tam szukają po jarmarkach, a ty go pieścisz, poidz, rozmawiasz z nim, koń przyzwyczaja się do ciebie jak człowiek, a potem którejs nocy rozstajesz się z nim, będąc pewny, że kiedyś ujrzysz go znowu na końskim jarmarku... E, ty nic z tego nie pojmujesz. Nie można żyć tak cnotliwie jak ty, człowiek musi mieć jakiś nałóg. Chcesz, to zabiorę cię kiedy z sobą. To taka zaraza, że jak spróbujesz raz, to już na całe życie cię opęta.

— Boję się ciebie, Dańko.

— Jak mogłeś coś takiego pomyśleć?

— Tak mi się przypadkowo powiedziało, ale wolałbym, żebyś rzucił siekierę, wtedy wróce do jamy.

Dańko wstał, podał Łukianowi siekierę, którą ten wrzucił do starej drewnutni. Potem wydobyli na powierzchnię skarb, oczyścili go z ziemi i jeszcze żywy, ciepły zanieśli do stodoły. Dańko zamknął drzwi i zapalił latarnię. Na belce suszyła się skóra z byczka, zabitego na stypę, babilońskie babinki dawno nie jadły tak smacznej cieleciny, nie mówiąc już o pieczonych gołębiach, ale to był dopiero wstęp, prawdziwą ucztę urządzą dla całego Babilonu po czterdziestu dniach. Dańko podważył łomem stary miedziany zamek i przed podniesieniem wieka powiedział:

— Będziemy prosić Boga, żeby obronił nas od wszelkiej napaści i od złego oka. Żeby złoto nie zaślepiło nas obu, proszę o to Wszechmocnego za siebie i za ciebie, a najpóźniej w niedzielę postawimy mu świece w obu glińskich cerkwiach — Zwiastowania i Zbawiciela. Nie zapomnimy też i o naszej kaplicy...

Jawtuch stał pod stodołą w nocnej bieliźnie. Już wieczorem zauważył złotą aureolę wokół swoich nóg, a kiedy zorientował się, że jest skarb, udał pijanego i jak tylko stypa się skończyła, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, śledził uważnie każdy ruch swoich sąsiadów. Kiedy w stajni się zaświeciło, zauważył w desce otwór po sęku, przez który teraz mógł obserwować, co się dzieje wewnątrz.

Dańkowi chciało się krzyczeć z radości, rwać włosy z głowy, tarzać się po snopach, powstrzymał się jednak w obliczu uroczystego momentu, Łukian zaś wstrzymał oddech na tę chwilę, po której będą mogli wypiąć się na babilońskich bogaczy. Od dziś i na długo będą mieli Babilon u swoich nóg, jeśli oczywiście przeżyją tę noc i jeśli los nie straci ich w przepaść, której bliskość Łukian coraz mocniej przeczuwał...

— No, chwała naszemu rodzicielowi, Mikołajowi Sokolukowi!...

Dańko otworzył skrzynię i zdrętwiał, Łukian zaś roześmiał się z wrażenia beztrosko, jak chłopak.

W skrzyni była zbroja, starannie zakonserwowana i pedantycznie poukładana. Zbroja z dawnych wieków i pokoleń. Rodowa kolekcja panów Rodzińskich. Miecze w srebrnych pochwach, zakrzywione szable tureckie, muszkiety kozackie, miedziany buńczuk z resztkami czarnego włosia, buława hetmańska, srebrne strzeamię i stalowa kolczuga jakiegoś książęcego osiłka. A pod tym średniowiecznym rupieciem — broń późniejszych już czasów: smith-wesson, dwa tulskie pistolety, strzelba myśliwska oraz miedziana w kilku miejscach zardzewiała trąbka, którą myśliwi zwoływali zgraje psów gończych.

Wyłożono to wszystko na słomę i każdy z braci mógł wybrać dla siebie, co mu najbardziej odpowiadało. Łukian wziął strzelbę i trąbkę myśliwską. Dańko zaś — miecz damasceński, ostrogę, którą szybko przypiął do buta,

oraz tulskie pistolety. Inkrustowana diamentami buława hetmańska jak niepotrzebny grat ciągle jeszcze leżała na słomie, chociaż właśnie ona wywołała w Jawtuchu największy zachwyt, mimo że znał się na kosztownościach nie lepiej od świeżo pasowanych rycerzy. Zwrócili na nią uwagę dopiero wówczas, gdy zaczęli wszystko wkładać z powrotem do skrzyni. Na lasce buławy był wygrawerowany napis *Konieczpolski*.

Dańko zatknął buławę za pas, tak jak ją nosił kiedyś wielki hetman koronny Stanisław Konieczpolski, i zamknął skrzynię, po czym obaj rycerze usiedli na snopach, by zastanowić się nad sytuacją, o wiele gorszą niż była dotąd. Mikołaja Sokoluka uznano za ostatniego durnia, który położył głowę, rzec można, nie wiadomo za co; oberwało się przy tym i rodzicielce, chociaż w łagodniejszych słowach. Gdyby nie liczyli na skarb, który stał się teraz dla nich prawdziwym nieszczęściem, urządziliby stypę o wiele skromniej i taniej. Nie wiedzieli, co z nim zrobić, gdzie podziąć cały ten szmelc, który być może miał jakąś wartość w pałacu Rodzińskich, jednak w tej stodole niewart był nawet złamanego grosza.

Zupełnie inaczej myślał o tym człowiek pod stodołą. Na Jawtuchu silne wrażenie zrobiły sięjące blask kamienie na buławie, od których aż pojaśniało w stodole. Ważniejsza jednak była dla niego inna sprawa: jego życie byłoby teraz niemożliwe z tak uzbrojonymi sąsiadami. Spoglądał więc na nich nie tylko z nienawiścią, ale i z zazdrością. Wyobraził sobie Prisie,

podglądającą ich tak, jak on teraz: jeden rycerz prezentował się wspanialej od drugiego. Ale w tym momencie wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego: zmoczone świeżą rosą nogi spowodowały, iż Jawtuch zakaszał pod stodołą na swą zgubę.

Sokolukom zdawało się, że ktoś się dusi lub kogoś duszą. Nie mogło być wątpliwości: to Jawtuch! Zdmuchnęli światło i przez chwilę stali nieruchomo w ciemności. Łukianowi przywidział się ojciec, zaduszony postronkiem na gliniankach.

Wyszli ze stodoły i obeszlą ją dokoła, Jawtuch jednak zdążył już się przedostać na swoje podwórze, dokąd spieszyli teraz dwaj rycerze, z nie najlepszymi chyba zamiarami. Mógł wprowadzić schronić się w mieszkaniu, przy Prisi, ale mogliby go dostrzec, więc wrócił szybko tam, gdzie go położono wczoraj wieczorem.

Kiedy bracia podkradli się do wozu, ujrzeni na nim Jawtucha w nocnej bieliźnie. Spał na wznak, poświstując przez nos, pod którym biegały wąsy. Nad nimi toczył się cicho Wielki Wóz. Braciom było teraz głupio z powodu tego najścia. Gdyby jednak nie bładzili myślami gdzie indziej i byli uważniejsi, zauważyliby, że stopy Jawtucha, sterczące palcami do góry, jak u umrzyków lub wielkich aktorów, były zmoczone rosą. Jawtuch pomyślał o tym ze strachem, więc przewrócił się na bok, twarzą do przybyszów, i schował swoje mokre nogi w sianie. Zamiast poświstu rozległo się najpierw ciche, a potem coraz potężniejsze chrapanie, jak-

by ktoś podrzynał mu gardło damasceńskim mieczem. Łukian nie wytrzymał tego chrapania i odszedł od wozu; za nim poczłapał Dańko, przekonany teraz, że białym widmem, które niedawno mignęło, był nie Jawtuch, lecz sam diabeł, wieczny prześladowca tych, którzy wydobywają skarby.

Przez resztę nocy Dańko bił się z Turkami na starych babilońskich wałach, koło nie istniejącej już wieży południowej, Łukian zaś spał bez żadnych snów.

Rozbójników schwytano w stodole. Spali na snopach w całym rycerskim rynsztunku, po dokonaniu tej nocy Bóg wie jakich wyczynów. Łukian, jako były żołnierz frontowy, poddał się od razu, Dańko natomiast próbował stawiać opór, chwyciwszy za buławę hetmana Koniecpolskiego. Kiedy jednak dwa karabiny wparły się w piersi, roześmiał się i podniósł ręce do góry. Rozbroili ich, przeprowadzili rewizję, nie mogli teraz w żaden sposób pomieścić całej zbroi w skrzyni, jak gdyby albo zbroi przybyło, albo skrzynia się zmniejszyła.

Wóz Jawtucha stał tam gdzie zawsze. Obok wozu żuł zieloną mieszankę spieniony koń, na którym Jawtuch wierzchem podskoczył do Glińska i powrócił z patrolem milicji. Operacją kierował sam naczelnik milicji, Pyłyp Macedoński, który uparcie nazywał siebie Filipem, sądząc, że to dodaje splendoru jego i tak wysokiej randze. Do protokołu włączono również pastuszkę Darynkę, która pasła wraz z całym

stadem także krówkę Sokoluków. Łukian wydoił teraz krowę, żeby mleko się nie przepaliło. Macedoński oświadczył Darynce, że do czasu orzeczenia konfiskaty mienia Sokoluków, ona, bezdomna dotąd dziewczyna, będzie jedyną gospodynią tego gospodarstwa. Dańko wręczył jej pęk kluczy od wszystkiego, co się zamykało, Łukian zaś prosił ją, by opiekowała się ogrodem z kawonami oraz gołębiami, które bez niego mogą zdziczeć..

— Nie zapominaj zawsze rano sypać im po garści ziarna i goń z ogrodu dzieciska Jawtucha, bo nie dadzą dojrzeć żadnemu kawonowi, a to piękne gatunki, nie chciałbym stracić ich nasienia...

Kiedy aresztowanych wywozili, Jawtuch, z posiniaczonymi od jazdy pośladkami, stał u swoich wrót i uśmiechał się triumfalnie, ale nie złośliwie, od dziś bowiem, jak sądził, jego Prisia będzie rodzić dzieci tylko od niego, bo nie będzie już więcej biegać do Sokoluków to po sól, to po zapalki czy po coś jeszcze innego, jak Jawtuch znikał z domu nawet na chwilę. Wystarczy, że troje czy może nawet czworo dzieci spośród ośmiorga podobnych jest albo do Dańka, albo do Łukiana.

Prisia osłupiała, kiedy po wyjściu z mieszkania ujrzała obu Sokoluków na skrzyni pod konwojem milicji.

— Stary, a ich za co?

Ale Jawtuch zamiast odpowiedzieć żonie uśmiechał się tylko chytrze w jęczmienne wąsy.

Mieli nadzieję, że dowiozą ich tylko do rady

gromadzkiej, a tam już krewny, Pańko Koczubej, wydobędzie ich z tarapatów. Niestety wuja w urzędzie nie było, podobnie, jak jego zastępcy, Bonifacego, który już od świtu pracował w polu na dwóch wycyganionych dziesięcinach. Woźny, Sawka Czybis, który ciągle uśmiechał się bez powodu, zdradził Macedońskiemu, gdzie można o tej porze znaleźć wuja aresztowanych: kastruje wieprzki albo tu na miejscu, w Babilonie, albo w sąsiedniej wsi, która ma honor częstego goszczenia przewodniczącego babilońskiej rady gromadzkiej, nikt mu bowiem nie może w tym dorównać.

Oburzony Macedoński wszedł z powrotem do bryczki i udał się na śniadanie do jednego z miejscowych notabli. Najprawdopodobniej zaszczytu tego dostąpił Matwój Husak, właściciel wiatraka i sporej pasieki, który zwykł mawiać, że pracują na niego pszczoły i wiatr, sądząc naiwnie, że obie te siły nie pozostają w żadnym stosunku do władzy radzieckiej.

Macedoński wrócił ze śniadania nie taki już surowy i nieprzekupny, jak przedtem, wlokąc za sobą mauzer. W tym stanie byłby może skłonny wypuścić aresztowanych na wolność, natomiast jednak ich wuj nie zjawił się jeszcze, gdzieś daleko tylko kwiczały wieprze, które pozbawiał męskości.

Kiedy aresztowani znaleźli się znowu na skrzyni, Sawka Czybis roześmiał się: oto idzie na marne znakomity ród Sokoluków tylko dlatego, że ich wuj, Pańko Koczubej, jest zajęty w tym czasie zabiegami mającymi zapewnić

babilończykom grubą słoninę. Umiał znakomicie godzić to zajęcie z funkcją przewodniczącego rady gromadzkiej, zastępował go tam bowiem w tym czasie Bonifacy. Woźny gromadzki, który zwykł śmiać się w najbardziej nawet tragicznych momentach i sytuacjach, zarobił sobie tym w gromadzie przezwisko pomyłonego Sawki. Każdy Babilon ma przecież takiego swojego pomyłonego dla dopełnienia krajobrazu, a jeśli nie ma prawdziwego pomyłonego, to zawsze robią nim któregoś z mieszkańców.

Za wiatrakami Filip Macedoński na wszelki wypadek położył mauzer na kolana, nigdy nie wiadomo, co tu w polu może tym dwóm rozbójnikom wpaść do łba. Oni tymczasem siedzieli grzecznie na skrzyni, w której znajdowała się buława hetmana Koniecpolskiego, najbardziej obciążający ich rekwizyt, bo jak napomknął jeden z konwojentów, sprawa nabierała przez to politycznego znaczenia. Nie brało się pod uwagę, że to był przecież hetman polski, który nie miał żadnego powiązania z Babilonem. Konwojent powiedział, że cudzoziemiec jeszcze bardziej komplikuje sprawę, bo z wszystkimi swoimi hetmanami już dawno zrobiliśmy porządek.

Kiedy przejeżdżali obok drogich im Abisyńskich Wzgórz, Łukian cicho zapłakał, a Dańko zaczął śpiewać, żeby konwojenci nie słyszeli, jak młodszy brat płacze. Bo w wypadku więźniów politycznych takie łzy mogą narobić wiele biedy. Możliwe, że był nawet taki moment, kiedy Dańko potrafił wyobrazić sobie siebie

jako rewolucjonistę, Łukian powinien więc być wiedzieć, że tacy nie płaczą i idą na śmierć odważnie i dumnie. Nie darmo parobcy we wsi przezywali Łukiana Bożą. „Cygan” szturchnął Bożę w bok, by wziął się w karby. Opanowawszy się, Łukian zaczął wsłuchiwać się w to śpiewanie brata, szybko jednak zorientował się, że była to pieśń bez słów, wyrażająca rozpacz za utraconymi Abisyńskimi Wzgórzami...

Żegnajcie, Abisyńskie Wzgórza. Bez niego, Dańka, staniecie się znowu wypalonym, rudym poligonem dla wichrów. Nie usłyszycie już więcej pysznego śmiechu Malwy Kozuszej, której pole, kiedy zachorował jej mąż, przeszło zupełnie w ręce Dańka. Teraz Malwa nie ma już dla kogo śmiać się ani do kogo wykradać w pobielone bzem noce...

Na zboczu wśród czerwieniejących chwastów wyprawiał harce spętany koń Andriana, szukając paszy, a nieco dalej Malwa żęła mizerne, przestale żyto. Ujrawszy Sokoluków na skrzyni, i to pod strażą, Malwa w pierwszej chwili roześmiała się — co też znowu nabroili? Przystała się jednak śmiać, kiedy przypomniała sobie, że nie dalej jak wczoraj na pogrzebie Dańko obiecał jej z pierwszą rosą pomóc w żniwach. Przyjechała, tak jak się umówili, o świcie, podniecona jazdą na koniu, i nie doczekawszy się kosiarza, sama stanęła z sierpem do żyta. Jedna zaledwie dziesięcina spalonego słońcem ugoru zapewniała jej nie tyle chleb, co swobodę. „A dokąd to, Malwo?” „Na swoją dziesięcinę...”

Koń, poznawszy ich, uniósł łeb i pozdrowił

rzeniem, Malwa natomiast stała nadal bez ruchu, nie dając Sokolukom żadnego znaku. A nuż zabili kogoś tej nocy z powodu skrzyni, na której teraz siedzą? Malwa zaczęła snuć różne inne przypuszczenia. Wiedziała o pociągu Dańka do cudzych koni, a w kim siedzi jeden diabeł, to może mu towarzyszyć drugi, jeszcze gorszy. Miała dość własnej niesławy, po co ściągać na siebie jeszcze cudzą. Udała, że nie zna Sokoluków i zaczęła dalej żąć żyto, jeszcze niżej niż dotąd, przy samej ziemi.

Łukian zerknął na Dańka, który nagle zamilkł. Wrzał teraz z gniewu i żalu, a przecież jeszcze nie tak dawno leżeli razem na wozie, konie gryzły się w chwastach, Droga Mleczna, jakby wysypana solą, wabiła zmęczonych ludzi do nigdy nie urzeczywistnionej wędrówki... Tymczasem koń Andriana, przedzierając się przez chwasty, dobrał się w końcu do owsa Dańka, który poderwał się z miejsca.

— Zabierz konia, do jasnej cholery!... — krzyknął z wściekłością.

Ale to co innego w nim krzyczało...

Nie usiadł tak długo, aż Malwa zawróciła konia z owsa; ujęła lejce i poprowadziła go miedzą na swoją dziesięcinę.

— Stawiam na niej krzyżyk i od dziś nie chcę jej znać aż do grobowej deski — powiedział, kiedy usiadł, z trudem wstrzymując łkanie.

— Niech tylko kiwnie na ciebie, to pognasz za nią jak pies za suką — rzucił sceptycznie Łukian.

— Nie wierzysz? No to masz! — i Dańko przeżegnał się.

A koń pomarkotniał na dziesięcinie i znowu zaczął ciągnąć w stronę owsa, stąpał jednak ostrożnie, by nie zwracać uwagi tych z wozu.

Dańko przestał już zajmować się Malwą, z takiej odległości i tak by go nie usłyszała, koń zaś już bez przeszkód pasł się w jego owsie. Nie tyle tego szkoda, co on zje, ile tego, co stłucze, zmarnuje. Jeszcze przez pewien czas widzieli pochylającą się Malwę i hasającego po owsie konika...

A jednak nie ma na świecie takiego drugiego Babilonu jak nasz! Gdzie jeszcze spotkacie tak znakomitego filozofa, którego sam cap prowadzi krętymi uliczkami na śniadanie do Sokoluków? Obydwaj Fabianowie jeszcze nic nie wiedzą o tym, co przydarzyło się tej nocy sierotom; liczyli na resztki stypy, którą Sokolukowie mogli zaimponować wielu babilońskim bogaczom. Taka uczta pod gruszą mogła być tylko w samym raju. Gruszki, które spadały na ziemię, brało się za ogonek i rzucało capowi, który zajadał się nimi z wielkim ukontentowaniem. A ile niedopitych karafek pozostało na stołach i przykrytej płótnem murawie. No i komu przyszłoby do głowy nakarmić wręcz po królewsku cały Babilon pieczonymi gołębiami? Na samą myśl o takim śniadaniu ciekła ślinka...

A Jawtuch stoi przy swojej furtce (dziś niedziela, jego dzień), bez trudu odgaduje bieg myśli tych dwóch zbliżających się hultajów, z

których jednego tak bardzo chciałby dostać w swoje ręce, i uśmiecha się chytrze pod zwisającymi jak zwiędłe kłosa wąsami.

Resztki stypy u Sokoluków okazały się tak obfite, że śniadanie, już bez gospodarzy, z niedużą przerwą na obiad, trwało do wieczora, wieczorem zaś obaj ruszyli do komuny, by próbować ratować Sokoluków. Po długich namysłach filozof doszedł do przekonania, że będzie najlepiej, kiedy wstawi się za nimi sam przewodniczący komuny. No więc cap wiódł tam teraz swego towarzysza, wykazując zdumiewającą orientację w stronach świata.

A propos: czy nie czas już opowiedzieć o obu Fabianach, szczególnie zaś o Fabianie-filozofie, z którymi przyjdzie nam często jeszcze się spotykać? Na pewno już czas. Dodajmy tylko, że komuna już spała, kiedy ci dwaj obrońcy Sokoluków doczłapali do niej. Świeciło się tylko w oknie Kłyma Synyci, co bardzo filozofa ucieszyło. A capowi przyszło spać przy paradnym wejściu, nie umiał bowiem chodzić po krętych schodach, których liczba znacznie przewyższała babilońską normę.

ROZDZIAŁ IV

Cap uważał się za własność filozofa, chociaż zdarzały się momenty, kiedy filozof bliski był tego, żeby uważać siebie za własność capa. Po raz pierwszy paradoks ten ujawnił się jeszcze wtedy, kiedy na konopnym postronku prowadzono tego cudaka do Babilonu. Wyglądało tak, jakby cap wiódł człowieka, chociaż powinno

było być przeciwnie. Dociekliwi babilończycy byli poruszeni nie tyle tą zmianą ról, a nawet pojawieniem się capa, co jego ludzkim imieniem. Imieniem tym powinno się nazwać po jego śmierci — zważywszy że na Ziemi wszystko już zostało nazwane — jeden z rejonów niewidocznej strony Księżyca, z którym cap utrzymywał bliski kontakt duchowy, jako że miał słabość do ciał niebieskich w ogóle, a do tej ustawicznie zmiennej kuli w szczególności. Nieraz przecież oświeślała mu drogę do domu, kiedy wracał z nocnych wędrówek, nieraz pomogła mu, kiedy zakradał się do cudzych ogrodów. Mimo wspaniałego imienia, które mógł przecież otrzymać przypadkowo, cap Fabian daleki był od zarozumiałstwa, właściwego istotom capiego rodu, skłonny do wyolbrzymiania swych zasług dla ludzkości. Władze babilońskie odnosiły się przychylnie do tego skrzydlatego plemienia koziego, które od dawna cieszyło się opinią znakomitych szczytołazów, co ze względu na ukształtowanie terenu miało tu szczególne znaczenie. Proszę zwrócić uwagę: na pastwiskach nikt nie wdrapie się tak wysoko, jak kozy, a tym bardziej capy — są więc jak ptaki.

Początkowo Fabian nie miał żadnych iluzji zarówno co do bezrogich ślicznotek babilońskich, jak i własnej wobec nich pozycji i roli. Żeby podobać się babilońskim furiom, zmieniał kolor sierści w zależności od pory roku, dając przewagę tonom jasnym: latem była ona żółtoszara z czarną łatką na lewej łopatce. Ten szczegó

jego urody był dla niego samego wieczną zagadką, nie mówiąc już o jego wybrankach. Urodę potęgowały rozumne, malinowowiśniowe oczy, które co prawda niekiedy nabierały nieokreślonej barwy pozornej bezmyślności. Ten mankament rekompensowała bródka, która to liniała i ginęła zupełnie, to znów bujnie odrastała, kędzierzawiła się, przybierając kolor dymnoniebieski ze srebrzystymi pręgami, i wówczas nikt nie mógł odmówić tej brodzie wrodzonej mądrości, którą z całą powagą przypisywano Fabianowi capowi.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa z Fabianem człowiekiem. Jak już wspomniano, nie od razu został Fabianem; w metryce urodzenia był wpisany jako Lew Chrobry. Był to dziwak, wiecznie biedny, z tego samego rodu filzofów, co Fabian cap, kupiony w Glińsku dosłownie za kopiejki. Nie miał wprawdzie w dorobku żadnych napisanych dzieł filozoficznych, ale wielki Sokrates przez całe życie też nie napisał ani jednej linijki, co przecież nie daje podstawy do tego, by nie uważać go za filozofa. Wobec braku dzieł napisanych tym większego znaczenia nabierały jego wypowiedzi, bardzo zresztą ostrożne i powściągliwe. Mieszkał na skraju Babilonu (będziemy jeszcze mieli okazję gościć w jego spartańskim mieszkaniu), w sąsiedztwie wiatraków, z których łatwo odczytywał kierunek wiatru, nigdy jednak z nich nie korzystał, bo nigdy nie miał zboża, a ostatnio chleb pieczono tu za życia jego matki. Podczas rewolucji, która przebiegała tu nie tak bez-

krwawo, jak gdzie indziej, Lew Chrobry bez wahania opowiedział się po jej stronie, jednak nie położył żadnych szczególnych zasług, a jego talent filozoficzny ujawnił się nieco później, w ogniu walki o ostatnią reformę rolną.

Otóż ten dziwak zrzekł się publicznie swego przydziału na rzecz gromady i namawiał innych, by zrobili to samo, przez co z miejsca utracił reputację normalnego babilończyka, chociaż można było pewne odchylenia od normy zauważyć jeszcze wcześniej. Wystarczy powiedzieć, że sprzedał swego jedynego konia, wsławionego tym, że nigdy nie pozwolił nałożyć sobie żadnej upręży, i za otrzymane pieniądze (za całego konia!) kupił okulary w złotej oprawie, co Babilon przyjął jako kpiny ze zdrowego rozsądku. Kiedy umarł stary trumniarz babiloński Pankrat, Lew Chrobry zajął jego niezbyt wesołe miejsce. Nie było jednak w tym nic dziwnego: każdy filozof kroczy niezbadanymi szlakami ku szczytom doskonałości.

Ponieważ miał na tej nowej posadzie czasu więcej niż dużo, wziął się do czytania świętych ksiąg, pozostawionych przez Pankrata w warsztacie, a potem dobrał się do świeckich traktatów filozoficznych, wykazując duży do nich pociąg i cierpliwość. Książki takie zdobywał w rodzinnym mieście capa, w Glińsku. W wyniku tych lektur doszedł w końcu do zupełnego zubożenia, najpierw materialnego, a potem duchowego, o czym najwymowniej miało świadczyć kupno capa, uważanego przez babilończyków za szczytowe osiągnięcie jego myśli filozoficz-

nej. Nie chciano zrozumieć, że do tego dziwacz-
nego kroku popchnęło go nie ubóstwo myśli,
lecz beznadziejna bieda filozofa i gorące prag-
nienie wydobyć się z niej za wszelką cenę.

Doprowadzony do rozpaczyny nędznymi zarob-
kami na trumnach, wykombinował chytrze
plan, który miał go doprowadzić do bogactwa,
a do tego w niczym nie naruszał godności trum-
niarza i filozofa ani nie zmieniał jego dotych-
czasowego niefrasobliwego trybu życia, jedynie
możliwego dla takiej osobistości, za jaką uwa-
żał Lwa Chrobrego, czyli siebie. Uzbrojony w
okulary nie mógł nie zauważyć, że w naszym
przesławnym Babilonie było mnóstwo kóz, ale
nikt nie pomyślał o capie, trzeba było więc do-
prowadzać je do Glińska, miasteczka już wów-
czas dość cywilizowanego, i pozostawiać tam,
właściwie za nic, pieniądze, które z powodze-
niem mogły napływać do pustej kieszeni filo-
zofa, gdyby miał pod ręką jakiegoś, chociażby
nędznego capa. Obawiając się, że ktoś może go
uprzedzić, szybko odłożył zarobioną na trum-
nach niedużą sumkę (tego lata trafiło się kilku
zamożnych klientów) i udał się do Glińska na
pierwszy jesienny jarmark, żeby tam zrealizo-
wać swój podstępny zamiar pozbawienia Gliń-
ska dalszych dochodów oraz postawienia Babi-
lonu przed faktem niezwyklej pomysłowości, a
może i mądrości filozofa, w zależności od tego,
jak będą się rozwijać dalsze wydarzenia. Na
szczęście trafił na capa w rozkwicie sił, o czym
świadczyły jego wspaniałe rogi, z których fi-
lozof bez trudu odczytał wiek swego nowego to-

warzysza. Poprzedni właściciel chciał się pozbyć capa na zimę i zażądał tak niskiej ceny, iż filozof ze zdumieniem pokiwał głową.

Teraz trudno byłoby już ustalić, kto kogo prowadził wówczas do Babilonu, gdzie od dziś miało być o jednego biedaka mniej, czyli o jednego bogacza więcej. Wiadomo, jak prawosławni filozofowie fetują korzystne transakcje na jarmarku. Nasz bohater nie mógł nacieszyć się, że niemal za bezcen nabył tak urodziwego capa, poszedł więc wyładować swą radość do szynku. A cap, przeklinając w duchu swego poprzedniego właściciela, starego wyzyskiwacza, zdał sobie sprawę, że trafił do rąk dobrych i czułych i że nareszcie zażyje swobody, której pragnął od urodzenia. Słowem już w drodze osiągnęli wyższy stopień porozumienia duchowego, świadczący o tym, że spotkanie ich było nie tylko obustronnie korzystne, ale wręcz przesądzone.

Ponieważ na capa wołano Fabian, więc to rzadkie raczej imię, nie bez udziału babilońskich dowcipnisiów, przylgnęło wnet i do samego filozofa. Po pewnym czasie „Lew Chrobry” pozostał już tylko w papierach gromadzkich i w pamięci babilończyków. Kto inny być może protestowałby przeciw takiej swawoli babilończyków i szukałby ochrony swego imienia i nazwiska w radzie gromadzkiej; ale nasz filozof uznał to swoje nowe imię nie tylko za sensowne, lecz wręcz niezbędne, wychodząc ze słusznego założenia, że każdy prawdziwy filozof musi mieć przede wszystkim niezwykle nazwisko, wyróżniające go spośród tłumu i skłaniające do

rozmyślań. Sokrates, Platon, Seneka, Spinoza, Skoworoda¹... i po długiej przerwie — Fabian. Czy czujecie, jak działa na was sam dźwięk tych wspaniałych nazwisk, jak gdyby to były jakieś gigantyczne świątynie myśli. Z tego więc punktu widzenia kupno capa w zupełności się opłacało.

Rozwiały się natomiast miraż filozofa co do wzbogacenia się na capie, nie przynosił mu bowiem ani kopiejki dochodu. O grzeszkach capa dowiadywał się za każdym razem niestety dopiero post factum. Najbardziej oburzały go późniejsze podziękowania gospodarzy oraz ich pochwały dla capa, filozof nie mógł jednak wystąpić z żadnymi pretensjami, nawet wedle prawa rzymskiego, które zaczął z nadzieją studiować, widząc jak podupada jego gospodarstwo, chociaż cap pozostawał nadal w aktach gromadzkich jako własność Lwa Chrobrego.

Do tych akt była wpisana maść capa (w najkorzystniejszym dla niego wariantcie), jego wartość w cenach stałych, waga, określona na oko, oraz mało wiarygodny roczny dochód od capa jako podstawa do wymiaru podatku. Sekretarz rady gromadzkiej, Bonifacy, był służbistą i fanatykiem systematyczności i dokładności, zwłaszcza jeśli chodziło o akta gromadzkie, więc i w tym wypadku nie zważał na to, że jest dalekim krewnym Fabiana, kiedy ten błagał go o powściągliwość przy zapisywaniu rzekomych dochodów. Bonifacy był pozbawiony poczucia

¹ Hryhoryj Sawycz Skoworoda (1722—1794) — ukraiński filozof i poeta (przyp. tłum.)

humoru, a może właśnie poczucie humoru ka-
zało mu wyznaczyć podatek od capiego docho-
du, wobec czego biedny filozof musiał jeszcze
radzie gromadzkiej dopłacać do tego kiepskie-
go capiego interesu. Ale czy to po raz pierwszy
filozof stał się ofiarą swoich genialnych idei?

Fabian miał teraz dwie rzeczy, o których nikt
w Babilonie nie mógł nawet marzyć: okulary
w złotej oprawie (próba 96 wybita na lewym
zauszniku, każdy niedowiarek mógł sam to
sprawdzić, filozof chętnie zdejmował w tym
wypadku okulary i pokazywał próbę złota) oraz
capa, który nie tylko przyniósł niemal bezi-
miennemu filozofowi imię, ale zmusił ponadto
Babilon do patrzenia innymi oczyma na same-
go filozofa; dzięki capowi nie był już teraz tak
zupełnie bezmajętny jak dotąd, a wiadomo
przecie, że na tym najlepszym ze światów czło-
wiek jest coś wart tylko wówczas, kiedy oprócz
sławy ma jeszcze coś konkretnego, ot, chociażby
żywego capa, którego w najgorszym wypadku
można sprzedać i spłacić te mizerne długi, nę-
kające wiecznie wszystkich filozofów, nie uzna-
wanych za życia przez niewdzięcznych współ-
czesnych. Niekiedy do takiego uznania brak
zwyczajnego capa, który od razu podnosi filo-
zofa w oczach współczesnych i sprawia, że nie
jest on już samotny na polu walki.

A oto jeszcze jeden szczegół dopełniający por-
tretu Fabiana capa. Jeśli broda stanowiła w tym
portrecie element mądrości, to wspaniałe rogi
były oznaką niezwyklej siły i dzielności. Po-
krywała je przezroczysta perłowa rogówka,

końce ich przeświecały jak zielona śliwka węgierka. Nic więc dziwnego, że nikt nie odważyłby się zaczepiać capa, kiedy odbywał poobiedni spacer do stawu lub udawał się codziennie wieczorem aż do wiatraków na spotkanie z powracającą z wypasu trzodą babilońską, stawał wówczas na jej czele i z dostojną gracją prowadził ją do przesławnego Babilonu.

Cap znał wszystkie zagrody babilońskie, aż do najdrobniejszych szczegółów, oraz ich przydatność obronną; szczególnie tego ostatniego nie można było lekceważyć w sytuacji, kiedy dla zachowania swego biologicznego istnienia trzeba było czasami uciekać się do skrajności, ryzykując niekiedy życiem, którego cena w momentach głodowej rozpaczyny spadała do zera, podobnie jak cena tak umiłowanej przezeń swobody, przeklinanej jako wymysł istot sytych. I tak na przykład w zagrodzie Matwija Husaka, gospodarza majątnego, cap lubił wykraść z koryta studzące się tam codziennie rano gotowane ziemniaki dla świń. Pociągały go nie tyle same ziemniaki, co unosząca się z nich para, słodko drażniąca podniebienie, a przede wszystkim sól. Świnie, czując zapach świeżo gotowanych ziemniaków oraz widząc, jak rozkoszuje się nimi ich stary znajomy, kwiczały w chlewach jak opętane. W takich jednak chwilach Fabian był głuchy i ślepy na wszystko. Kończyło się zwykle tym, że Husak lub jego żona chwyтали go znienacka i tłukli nieszczęśnika gdzie popadło. Za każdym razem poprzysięgał sobie już nigdy więcej nie zaglądać do

tej zagrody, nie mógł jednak wytrzymać bez soli dłużej niż dzień i nogi same niosły go do rozkosznej katowni. W chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa cap rozwijał szybkość zależną od rodzaju uzbrojenia jego prześladowców.

Bezkarnie natomiast mógł przychodzić na obiady do Jawtucha Gołego, jeszcze jednego dziwaka babilońskiego, który już dawno obmyślił przywabić capa na stałe do siebie i za jego pomocą przejść z nędznego stanu średniaków do wyższego stanu majątkowego, zwłaszcza że samo określenie „średniak” budziło w nim odrazę.

Obiady jadano w cieniu pod gruszą, gdzie zbierała się cała rodzina. Nic nie podejrzewając, cap przychodził na nie z gorliwością bezdomnego hulaki. Po obiedzie lubił pospać razem z Jawtuchem, który sypiał na wozie, cap natomiast kładł się o piętro niżej, pod wozem, gdzie nogi ledwo mogły mu się zmieścić i wyglądały z daleka na jeszcze jedną parę kół. Capowi imponowała atmosfera panująca w tej wielodzietnej rodzinie, która miała osiem morgów pola gdzieś na końcu świata, tu zaś własną ścieżkę do rzeczki, własną kładkę, skrawek łąki z krzakiem kaliny i bajecznie wysokimi konopiami, gdzie zazdrosny Jawtuch urządzał często zasadzki na swoich sąsiadów, co prawda bez rezultatu. Cap uważał go jednak za zbyt sympatycznego, by miano go zdradzać w konopiach.

Szczególnie wzruszająco wyglądał Jawtuch w dni świąteczne. Nie uczęszczał, jak inni, do cerkwi, nie chodził w gości do kumów, swatów i krewnych, bo wówczas trzeba by było

zapraszać ich do siebie, na co Jawtuch nie mógł sobie pozwolić nie tyle z powodu ubóstwa, co ze skąpstwa. Znalazł więc lepszy sposób kontaktowania się z ludźmi, nie pociągający za sobą żadnych dodatkowych wydatków. Otóż w każdą niedzielę ubierał się w wyszywaną koszulę i beżowożółtą kamizelkę — jedyne co dostało mu się swego czasu z pańskiej garderoby, wkładał na głowę własnoręcznie wypleciony kapelusz i tak wystrojony stawał z samego rana przy swoim płocie i sterczał przy nim nieruchomo tak długo, jak chciał, udając Bóg wie jakiego gospodarza. Spodnie zaś miał w strzępach, a nogi popękane i czerwone jak u podgotowanego raka, ale płót zakrywał go do pasa; z tym większą ostentacją demonstrował się od pasa do głowy. I kiedy pozdrawiał z powściągliwą godnością przechodzących obok jego zagrody babilończyków, to ci niewątpliwie uzupełniali w wyobraźni niewidoczne części garderoby Jawtucha: piękne szarawary, eleganckie buty z cholewami z miękkiej skóry oraz solidny, trójkolorowy pas wełniany, jakie nosili babilońscy dziedzice.

Capowi chciało się śmiać, kiedy patrzył na tego kuglarza spod gruszy, gdzie oczekiwał obiadu, sam Jawtuch jednak nie przejmował się tym świadkiem, wiedział bowiem, że cap nie może przecież zdradzić niewinnej mistyfikacji, obliczonej na naiwnych. Jawtuch nie liczył się też z sąsiadami, swoimi zaciekłymi wrogami. Nie zamierzał ukrywać przed nimi swej dolnej części, której bardziej istotne braki mogła znać

chyba tylko Prisia. W jej chłopczykach, których na podwórzu ciągle przybywało, Jawtuch nie mógł odnaleźć żadnego podobieństwa do siebie, więc dobrze maskując wzrastającą w nim z każdym nowym dzieckiem podejrzliwość, czekał tylko na okazję pomszczenia się na Sokolukach, co wreszcie mu się udało, chociaż wina Sokoluków polegała tylko na tym, że Prisia za każdym razem, gdy była w ciąży, zbyt może namiętnie chciała „zapatrzyć się” na nich, błagając Boga, by jeśli ześle jej chłopczyka, był on podobny do jednego z jej urodziwych sąsiadów. Żywiła dla nich uczucia wyłącznie sąsiedzkie, uważając również swego Jawtucha za dostatecznie sympatycznego, by nie szukać innych. Zresztą Jawtuch będzie mógł to sam sprawdzić przy następnym chłopczyku... Teraz najważniejszą sprawą było zupełne zawładnięcie capem, który doprowadzał już cierpliwość Jawtucha do ostatecznych granic.

Po każdym obiedzie i słodkiej drzemce pod wozem ten niegodziwiec najspokojniej powracał do zagrody filozofa, który już dawno przejrzał dalekosiężne plany Jawtucha i czekał na rozwiązanie tej sprawy z filozoficznym uśmiechem, maskowanym okularami. Nie miał wcale ochoty tracić towarzysza tylko dlatego, że jakiemuś średniakowi zachciało się awansu do wyższej warstwy społecznej. Nikt, nawet filozof, nie mógł przewidzieć, że Jawtuch zapłaci jeszcze kiedyś za swoje sterczenie przy płocie.

Stosunki obu Fabianów z radą gromadzką są już częściowo znane. Pod koniec każdego ro-

ku filozof gotówką płacił za capa podatek, który w wyniku szatańskich sztuczek Bonifacego zamiast maleć — rósł, w miarę jak capowi przybywało lat.

Był też jeszcze inny aspekt tych stosunków. Kiedy staw zamarzał, wówczas cap, pozbawiony wodopoju, udawał się często do budynku rady gromadzkiej, gdzie mógł pić do woli z dębowej beczułki, w której codziennie zmieniano wodę. Przewodniczący nie przeganiał go mimo protestów tego pyszałka Bonifacego. Mało tego: cap pił wprost z beczułki, co było wyłącznym przywilejem przewodniczącego, podczas gdy wszystkim innym babilończykom wolno było pić smaczną wodę gromadzką tylko miedzianą kwartą, przytwierdzoną do beczułki łańcuszkiem. Cap chlubił się tym przywilejem i przez pewien czas uważał się nawet za drugą osobę w Babilonie po przewodniczącym, aż do momentu, kiedy Bonifacy wybił mu to skutecznie ze łba, na długo odstręczając go od beczułki. Chytry karmelita dokonał tego rzecz jasna bez żadnych świadków, nie chcąc zyskać opinii dręczyciela zwierząt.

Od tego czasu cap nie odważył się więcej pić wody z beczułki rady gromadzkiej, od czego zmarniał we własnych oczach, poczuł się bowiem osobistością całkiem drugorzędną. Mimo to jednak, tak jak i dotychczas, przychodził gorliwie na wszystkie zebrania i narady, będąc przekonany, że godnie reprezentuje na nich obu Fabianów. Nie tylko nie przepędzono go, ale nawet chętnie dopuszczano do najbardziej

tajnych spraw Babilonu, Koczubej zaś tak bardzo przywykł do jego obecności, że nie rozpoczynał bez capy żadnego ważniejszego posiedzenia. „Zaczekamy na Fabiana”, mawiał przewodniczący uśmiechając się i nikt nie ośmielił się sprzeciwić, mimo iż wszyscy domyślali się, o którego Fabiana chodzi. Decydowała tu, jak się zdaje, pewna delikatna okoliczność. Otóż kiedy następnego dnia po takiej tajnej naradzie tajemnice klasowe rady gromadzkiej znane były całemu Babilonowi, winnym uznawano zawsze capy, co nie przeszkadzało Koczubejowi zapraszać tego gadułę na następne tajne obrady. Nie dopuszczano natomiast do nich Fabiana filozofa, uważając że nie dorósł jeszcze do wielkiej polityki. Była to jedna z największych pomyłek, świadcząca o tym, że ojczyzna nie zna swoich przyszłych bohaterów.

ROZDZIAŁ V

Wesoły klekot wozu zbudził o świcie Sokoluków, śpiących w denikinowskim rowie. Zachciało się jednemu z nich wyrzeć, kto jedzie. Koń dostrzegł bystre oczy w zaroślach, szarpnął wozem, prychnął ostrzegawczo i zastrzygł uszami. Oczy należały do czarnobrodego, który natychmiast zniknął w rowie. Kłym Synycia wyjął nagan, zeskoczył z wózka, strzelił w górę, by zaalarmować komunę, i krzyknął w stronę rowu:

— Wychodźcie! Widzę was... Bo inaczej wszyscy zginiecie!

Odpowiedziała mu martwa cisza, słychać było tylko spłoszone myszy. Nagle ożyła zaalarmowana komuna, przygotowując się do śmiertelnego boju z bandytami.

— Do kogo ja mówię? — krzyknął Synycia, wzmocniony przygotowywaną odsieczą.

Najpierw wyszedł jeden z podniesionymi do góry rękami, za nim zaś drugi, chyba ten, którego oczy spłoszyły konia. Zmieszani, żałośnie bezradni, przestępowali z nogi na nogę.

— Obaj na wóz! — rozkazał Kłym Synycia, domyślając się, że są to ci, za którymi wstawiał się poprzedniego dnia Fabian.

Posadził ich po bokach drabiniastego wozu, plecami do siebie, by nie mogli porozumiewać się, sam zaś usiadł na przodzie i ruszyli do Glińska. W komunie przestano wprowadzić uderzać na alarm, ale podniesiony zgiełk dobitnie świadczył, iż cała komuna szykowała się do rozprawy z bandą. Na czele tego wojska, uzbrojonego w widły, kosy i cepy, stanie niewątpliwie serowar z dobytą szablą.

Kłym Synycia obejrzał się: pospolite ruszenie komuny przekraczało właśnie bramę pałacu. Pierwszy promień słońca rozprysł się na brzeszczocie śmiercionośnej tureckiej szabli serowara. Synycia pomyślał, że bez bębna żadne wojsko nie jest nic warte. Nie zatrzymywał ich, nie dał im żadnego znaku. Niech przeczeszą rów denikinowski, może znajdą w nim prawdziwych bandytów.

Ci dwaj schowali się w tym rowie, ponieważ obawiali się pogoni, a w zdenerwowaniu

nie mogli wymyśleć żadnej lepszej kryjówki. Jeden z nich błagał drugiego, by pójść do komuny i zdać się na jej łaskę, podczas gdy ten drugi był temu stanowczo przeciwny. Zielska w rowie tak wysokie, że można przesiedzieć tam spokojnie do nocy, a potem ruszyć pod jej osłoną, gdzie oczy poniosą. Chyba nie szukaliby ich po całym świecie, nie są przecież jakimś złoczyńcami, których trzeba skazać na rozstrzelanie... Właściwie to warto byłoby spytać Macedońskiego, za co ich aresztowano. Za to, że wykopali pańską skrzynię, którą ich ojciec zamelinował pod gruszą diabli wiedzą po co? Czy może za buławę Koniecpolskiego, o którym dowiedzieli się dopiero tam, w więzieniu, od ludzi odczytanych, że wbił na pal niejednego ich przodka? Więc jeśli władza jest niesprawiedliwa, to trzeba się było samemu jakoś ratować, co właśnie tej nocy uczynili. No ale dziś to już szkoda gadać, na pewno ich rozstrzelają, jeśli towarzysz Synycia nie zlituje się nad nimi i nie puści ich wolno... Na przednim siedzeniu trwało milczenie, więc zapytali Synycię, co by na tym stracił, gdyby podarował życie dwom nieszczęsnym sierotom, które zeskoczą z wozu tak cicho, że nie będzie nawet wiedział, kiedy...

W odpowiedzi nagan zmienił pozycję w sposób bardzo wymowny i jednoznaczny. Na wozie znowu zapanowała dyktatura. Licho ich wie — wierzyć im, czy nie wierzyć... Jeśli odkopują broń, to chyba po to, by z niej skorzystać. Przeciw komu?

Łukian poprosił, by mu pozwolono wciągnąć na wóz nogi, bo mu całkiem ścierpły. Dańko popłakiwał cichutko, mocząc łzami zżęty step, nogi też mu zdrętwiały tak, że o ucieczce nie mogło być mowy, więc jemu również pozwolono ulokować je na wozie. No i widzisz, Dańko, co wyszło z naszej ucieczki? Dańko zupełnie podupadł na duchu...

W dali zamajaczył Glińsk — najpierw dwiema cerkwiemi, a potem tym wszystkim, czym takie miasta prezentują się z odległości. Z bliska tracą nieco, nie przestają jednak być sobą, ze swą codziennością i swą trwałą specyfiką, wyznaczającą im miejsce na świecie.

Glińsk był miastem błotnistym jesienią, zakurzonym w lecie i nieprawdopodobnie zimnym w miesiącach zimowych, bo nie było w pobliżu lasów, ogrzewało się więc słomą. Niewiele dawała ciepła, starczało jej zaledwie do połowy zimy, kiedy właśnie są największe mrozy, mawiało się więc w tych okolicach: „zimno jak w Glińsku”. Miasto rozsiadło się na pagórkach, przebijających rudą, a również i białą gliną, z daleka więc te wysokie strome wysepki przypominają góry kredowe, od których ciągnie chłodem nawet w lecie. Dzięki temu swojemu wrodzonemu ubóstwu i niezaradności Glińsk uważał się za wolne miasto, chociaż nikt mu nie nadał praw magdeburskich, jakie otrzymał Babilon od księcia litewskiego Jagiełły, ani też żadnych innych przywilejów, i całym jego majątkiem były setki pagórków, na których rozdziły się wolne glińskie dzieci oraz mnożyły

stada nietoperzy. W Glińsku mógł osiedlać się każdy, kto zdecydowany był życie oddać za chwilę wolności, albo też kto nie umiał znaleźć sobie lepszego miejsca na tej rajskiej ziemi. Obywatele Glińska, nękani biedą, stawali się twardzi, wytrwali i pomysłowi, z biedy rodziły się talenty i uzdolnienia, zaś kobiety glińskie cieszyły się sławą niedoścignionych gospodyń. Glińskie pierogi z fasolą, glińskie strucle i zawijańce, flaki po glińsku i barszcz z karasiami do dziś są uważane za najznakomitsze smakołyki narodowej kuchni.

Osiedlenie się w Glińsku ludzi kochających wolność, a jednocześnie utalentowanych, wyniosło to miasto w górę. Zaczęli ściągać do niego kupcy i rzemieślnicy, tak iż gdzieś na początku dwudziestego wieku Glińsk pod względem powierzchni dorównywał Kartaginie. Nie miał tylko niewolników, akweduktów ani senatu i nikt nie zagrażał mu zniszczeniem.

W tym właśnie czasie zwróciło na Glińsk uwagę okoliczne ziemiaństwo, które zaczęło organizować tu swe zebrania, zbudowało więzienie, szkołę, szpital, a na miejsce jednej małej, drewnianej cerkiewki, wzniesionej przez pierwszych osiedleńców, stanęły w jednym roku aż dwie cerkwie, jedna na Zwiastowanie, a druga na święto Przemienienia Pańskiego. Cerkwie te potajemnie prowadziły z sobą wojnę. Archimandryta podolski nieraz przyjeżdżał uśmierzać te spory i nawoływał w kazaniach, by nie hańbić swarami wiary chrześcijańskiej,

stawiając zwaśnionym jako przykład wiernych glińskiej synagogi.

Pełnię rozkwitu osiągnął Glińsk dopiero, jak stał się siedzibą powiatu, rządzonego przez przewodniczącego rady powiatowej Czuprynę z Czuprynek. Wówczas pojawiło się w nim wszystko, co powinno znajdować się w mieście powiatowym: własna poczta, kierowana przez byłego poczmistrza carskiego Charytona Hapoczkę, własna milicja pod wodzą nieprzekupnego Filipa Macedońskiego, własna spółdzielnia spożywcza, sąd powiatowy, powiatowy zakład ubezpieczeń, powiatowy punkt skupu żywca, powiatowy wydział finansowy, a nawet własny bank, który nie miał żadnych dotacji odgórnych i utrzymywał się z grzywien, konfiskat, asekuracji oraz opłat za wyrób kielbas, które od dawna rozsławiały Glińsk.

Komitet powiatowy partii, serce Glińska, mieścił się w schludnym budyneczku nad Czebreciem, wpadającym w tym miejscu do południowego Bugu. Ten przyjemnie prezentujący się domek z zielonym dachem miał małe okna, dzięki którym ciepło było tu w zimie i chłodno latem, odkrytą werandę, białe kominy. Bzowa alejka przecinała zarośnięte ptasim rdestem podwórze, gdzie przyjemnie było poleżeć i posłuchać szumu wody spadającej na młyńskie koło, które kiedyś poruszało nieduży młyn — od czasu jak młyn spłonął, koło kręciło się w próżni, zatrzymując się tylko podczas silnych mrozów, w okresie święta Jordanu, kiedy Czebreć zamarzał w tym miejscu na kość. W po-

wiecie było kilkudziesięciu komunistów, wszyscy przychodzili tu na zebrania partyjne. Najdalej miał Kłym Synycia, zwykle przybywał jednak pierwszy i wracał do komuny dopiero o świcie, bo zebrania zaczynały się wieczorem i trwały do późnej nocy — zwyczaj ten przetrwał jeszcze z czasów podziemnej działalności bolszewików. Chyba po raz pierwszy wezwano go wczesnym rankiem, co wywołało jakiś nieokreślony niepokój.

Glińsk tego ranka był taki jak co dzień. Piały koguty, w step ciągnęła leniwie trzoda, pasły się przywiązane kozy, w stodołach nawoływały się cepy. Była to jednak codzienność pozorna, bo śródmieście przedstawiało niezwykle widok, od którego powiało minionymi czasami grozy. W pobliżu milicji wałęsali się cywile uzbrojeni w muszkiety, strzelby i piszczele, ci zaś, dla których zabrakło broni palnej, nie pogardzili wytworami epoki żelaza, które są w użyciu od czasów bitwy grunwaldzkiej aż po dzień dzisiejszy. Jak zdołał zauważyć Synycia ze swego wózka, to pospolite ruszenie nosiło swą broń dumnie za pasem, bo nie mieściła się w kieszeniach, co w żadnej mierze nie wpływało na bojowego ducha, a świadczyło jedynie o niezwykłości chwili.

— Widzicie, coście narobili? — powiedział Kłym Synycia do swoich jeńców, domyślając się, że powodem tego rwetesu i paniki są właśnie oni.

Jeńcy siedzieli na wózku półżywi, poznali bowiem część uzbrojenia pospolitego ruszenia...

Do tych dzielnych wojaków spieszył teraz od strony poczty Charyton Hapoczka, były poczmistrz carski. Odpowiednio do rangi służbowej uzbrojono go w buzdygan.

— Co tu się dzieje, towarzyszu Hapoczka? — spytał Synycia.

— To wy jeszcze nic nie wiecie? Dziś w nocy uciekli z więzienia dwaj rozbójnicy babilońscy. Zaraz ruszamy na Babilon.

Kłym Synycia nie ufał zbyt temu rycerzowi, pomyślał więc teraz, że kiepsko będzie z Glińskiem, kiedy będzie miał takich obrońców, jak ten. Uśmiechnął się ironicznie, w odpowiedzi na co Hapoczka wydobył buzdygan i machnął nim w powietrzu, co miało oznaczać: rozwalę nim głowę każdej kontry. Jeńcy na wózku mimo woli wciągnęli głowy w ramiona, a Synycia roześmiał się, bo po tym goście sytuacja Glińska wydała mu się jeszcze bardziej niepewna: dzielny poczmistrz rzeczywiście umiał władać bronią i tylko czekał na okazję, żeby pokazać, co potrafi.

Synycia nie zatrzymywał się dłużej przy tych rwących się do boju rycerzach, obawiał się bowiem o swych jeńców, szybko więc jego wóz wydostał się z kurzu i zatrzymał przed domem komitetu powiatowego. Zlął z wozu, otworzył bramę, wjechał na dziedziniec.

— Złaźcie! — nakazał więźniom.

Zleźli, przez jakiś czas nieporadnie jeden drugiego oczyszczał ze słomy, w której chcieli schować się przed glińszczanami.

Z ganku zwisała flaga, nie było wiatru, nad

ziemią unosił się kurz, wzniecony przez trzodę, koło młyńskie kręciło się w próżni, niczemu i nikomu nie służąc, samo dla siebie, podwórze zalegały kupki zwiedłego, ściętego wczoraj lub może już dziś rdestu, pod drewnutnią stała kosa z pałakiem i płachtą, czerwony szyld też był na swoim miejscu, nie zakurzony, jak na innych urzędach, bo codziennie go przecierano.

— Oto, chłopcy, powiatowy komitet partii — powiedział Synycia. — Popilnujcie się nawzajem, a ja wpadnę na kilka minut do środka.

Nic nie rozumiem, pomyślał Łukian, gdy Synycia wszedł z batogiem do wnętrza. Nie wracał dość długo, więc Dańko po cichu namawiał brata do ucieczki.

— Resory lekkie, koń dobry, dmuchniemy do mego przyjaciela w Tałajach, a stamtąd do jakiegoś wielkiego miasta, i już. Słyszałeś, jacy staliśmy się sławni. Tyle narodu uzbroiło się naszym skarbem! Jednak fajnie to wyglądało, kiedy tak patrzyło się z boku na tych rycerzy. Jak spojrzałem na poczmistrza, to mało nie zemdlałem ze strachu... Decydujemy się, Łukian.

Na ganku zjawił się Kłym Synycia, ale bez batoga. Pochwalił ich za to, że siedzieli grzecznie na wozie, i kazał iść za sobą. Korytarze były wąskie, podłoga skrzypiała, na ścianach plakaty, które zupełnie dobiły Sokoluków, wzywały bowiem: zgnieć nepmana, zduś kułaka, bij zabij wszystkich, co są kontra. Sokolukowie nie mieli dotąd pojęcia, że władza radziecka ma aż tylu wrogów.

Zaprowadzo ich do sekretarza i powiedziano tak:

— Oto oni. Znalazłem ich w rowie, w pobliżu komuny. Spali. To dość przyzwoici i posłuszni chłopcy. Odkopali skarb swego ojca, spodziewali się znaleźć złoto... — Synycia uśmiechnął się niewymuszenie. — A znaleźli buławę Koniecpolskiego, którego nasza milicja uważa za ukraińskiego hetmana. Zadzwoń do nich, Maksymie, i powiedz im, że to był hetman polski i że ci chłopcy tyle mają wspólnego z jego buławą, co i my obaj. Całą zbroję zabiorę do komuny, do muzeum. To rzadka kolekcja i nie pozwolę, żeby zaginęła.

Maksym Sakowicz Tesla, bardzo spokojny, zrównoważony i chyba dobry z natury chłop, długo przyglądał się obu Sokolukom, najpierw Dańkowi, a potem Łukianowi, i nie mając przeciw nim żadnych poważniejszych zarzutów, powiedział:

— No cóż, oni rzeczywiście nie są winni, że kiedyś rozbito hetmana Koniecpolskiego i zabrano jego buławę. Ale po co było uciekać z więzienia?

— Zacząłem tam ślepnąć — odparł Łukian potulnie, a Dańko poparł go tragicznym kiwaniem głową.

Maksym Sakowicz był wprawdzie człowiekiem dobrym, ale nieco ostrożnym. Wszystkie nadzieje Sokoluków skupiły się na dołeczkach, jakie pojawiły się na policzkach Tesli, kiedy się uśmiechał. Dołeczki te wyraźnie pogłębiały się, gdy Tesla poprosił Sokoluków, by usiedli. Po-

tem podszedł do ściany, na której wisiał telefon, zadzwonił do Macedońskiego i — nie do wiary! — powiedział mu cichym głosem, żeby zaraz tu przyszedł, zabrał uciekinierów, zwrócił im konie z wozem i jeszcze dziś puścił ich do domu. A pospolite ruszenie trzeba rozbroić. Synycia mrugnął do Sokoluków, kiedy Tesla powiedział przez telefon, że sam chce zobaczyć buławę Koniecpolskiego. Przy tych słowach na policzkach znów mu się pojawiły wiele obiecujące dołeczki.

Łukian cicho zapłakał pod okularami i otarł ręką łzy z twarzy. Koń na podwórzu zjadł jedną kupkę rdestu i wraz z wozem podszedł do drugiej.

Sokoluków zwolnili. Zwrócono im konie, wyraźnie zmarniałe na jenieckim obroku, oraz wóz i próżną skrzynię po zbroi jako dowód tego, że nie trzymali ich niewinnie. Filip Macedoński był łagodny i dobry, usprawiedliwiał się przed nimi i przeproszał za poniewierkę, ale muszą zrozumieć, że wróg klasowy nie śpi. Na pożegnanie życzył im, by już nigdy więcej nie trafili do tego niezbyt sympatycznego pensjonatu, który jemu samemu nie przynosi nic prócz bezsen-nych nocy.

Zamoczyli koła na mieliźnie i ruszyli do domu. Obaj mieli teraz tylko jedno pragnienie: wydostać się jak najprędzej z Glińska, który utracił teraz dla nich całą swą dawniejszą romantykę. Darynka, nic nie wiedząc o ich ucieczce, przyniosła dla nich paczkę i teraz siedziała na skrzyni powożąc końmi, które też liznęły tu

biedy, a Dańko i Łukian upajali się wolnością, siedząc na drabiniastym wozie obok siebie, z opuszczonymi nogami, w zapleśniałych w więzieniu butach. Żegnaj Glińsku! Jeszcze dziś zmyją w drewnianej balii swoje grzechy, włożą czyste koszule i pójdą po obiedzie na huśtawkę, jak gdyby nigdy nic. Niech cię diabli wezmą, Glińsku, i chwała Tesli, który tam mieszka!

Spod kół unosił się przyjemny drażniący zapach drogi...

Kłym Synycia powracał do komuny późnym wieczorem. Ostrzygł się i ogolił u cyrulika i miał trochę w czubie, był bowiem na kolacji w „Zielonym Młynie”. Młyn spalił się podczas wojny domowej, pozostał po nim tylko wypalony budynek nad Czebreciem, w którym kooperatywa robotnicza urządziła tak zwaną karczmę proletariacką, mającą stanowić przeciwwagę knajp nepmańskich. W „Zielonym Młynie” jeszcze Sośnin miał otwarty rachunek, dostarczał tam przecież ser z komunowej serowarni. Kłym Synycia też podtrzymywał stosunki z karczmą, lecz w odróżnieniu od swego poprzednika zapisywał skrupulatnie każdą kopiejkę wydaną tu na siebie, za co proletariacka karczma nazywała go „glinianym diabłem”, bo nie miała z niego żadnego zysku. Synycia nie obrażał się za to, bo oprócz sera opchnął tu kilka beczulek owczego łoju do wypieku gliniskich placków, które wprawdzie zalatywały trochę starym tłuszczem, ale za to rozpływały się w ustach.

A w ogóle to wracał dziś z Glińska w nastroju lepszym niż kiedykolwiek, a najwięcej radości sprawiał mu fakt, iż przyczynił się do uwolnienia niewinnych ludzi.

Noc była piękna. Glińskie nietoperze długo jeszcze mu towarzyszyły, przelatując nad samym wozem, a niektóre z uporem próbowały wlecieć koniowi do ucha, więc potrząsał łbem, jakby strącał nietoperze z czarnej grzywy, na której chciały odpocząć.

W Glińsku pospolite ruszenie poszło już spać, haniebnie rozbrojone i wyśmiane przez Tesłę, który jak gdyby urodził się już ze znajomością wszelkich niuansów sprawowania władzy. Czupryna i inne miejscowe znakomitości kierowali się giętkim, wygimnastykowanym rozumem Maksyma Tesli. Powiatowy komitet partii co raz widoczniej stawał się ośrodkiem myśli i nerwów całego powiatu, który przypominał teraz arkę Noego. Maksym Tesla chyba dotąd jeszcze nie zdecydował się, co zabrać na arkę, a co pozostawić na pastwę losu.

Po zwolnieniu Sokoluków Kłym rozmawiał długo z Tesłą o różnych sprawach tego świata, a nawet o miłości, którego to tematu dotąd nie poruszali. Skłaniał ich do tego szum spadającej na koło młyńskie wody oraz intymny nastrój „Zielonego Młyna”. Tesla stołował się tu, a dziś nawet wypił na koszt komuny. Dotąd uważano go tu za abstynenta, więc obsługa karczmy przyjęła ten nowy przejaw bardzo przychylnie.

Tesla przybył do Glińska niedawno, mieszka

na razie sam, u Waroczki Szatrowej z domu Snihur, pięknej wdowy po oficerze, o czym dowiedział się dopiero znacznie później. W Glińsku jest cała ulica zamieszkała przez Snihurów, Waria powróciła tu jako Szatrowa. Żona Tesli z dwojgiem dzieci pozostała w Kramatorsku i wcale jej nie spieszo do Glińska, o którym wyrobiła sobie pojęcie na podstawie listów męża, Tesla był zdania, że każdy kąt na ziemi jest piękny, jeśli przeniknie się go i za- puści weń korzenie.

Synycia przemilczał swą smutną historię z Rózią, to już stare dzieje i nie ma sensu przypominać ich właśnie w karczmie proletariackiej. Ale o Malwie Kozuszej opowiedział. Nie dalej jak wczoraj przyjechała do niego do komuny zupełnie niespodzianie. Kiedyś przyjaźnił się z jej mężem, który niedawno umarł niemal na jego rękach. „Jaka może być miłość, towarzyszu, w tych warunkach? No więc przepędziłem Malwę”.

W denikinowskim rowie było nad podziw spokojnie. Późny czarny bez pachniał w białej poświacie odurzająco, Kłym Synycia znowu pomyślał o Malwie, przypomniał sobie, jak weszła do jego pokoju z witką w ręku, i nieoczekiwanie zaśmiał się. Tesla poruszył czułą strunę w jego sercu...

Przy głównym wejściu stał koń, przywiązany zbyt krótko, z poduszczką zastępującą siodło. Synycia był bardzo zaskoczony tym widokiem, chociaż teraz mógł już przyznać się

przed sobą samym, że przez całą drogę z Glin-ska marzył o tym, by zastać ją tu, w swoim pokoju. Aż dziw, że nie wybiegła jeszcze na balkon. Pewnie śpi na kanapie w niszy. Popieścił konia, który marniał bez męskiej ręki, przywiązał go luźniej, by mógł się położyć, jeśli jego właścicielka zabawi tu dłużej, rozczesał palcami jego chłodną, zroszoną grzywę. Gdyby nie stróż, to najlepiej byłoby zaprowadzić konia do stajni i uwiązać przy drabinie z sianem. Dopiero teraz zrozumiał uśmieszek, z jakim stróż go powitał: proszę iść, Malwa czeka już na pana od wieczora...

Od rowu doleciał odurzający zapach bzu.

Synycia wszedł do swego pokoju, zamknął drzwi, wyjął z kieszeni zapalki, zaświecił. Na moment ogarnęło go wzruszenie, po czym poczuł w sercu pustkę. Znad drzwi balkonu krzyczały słowa Garcii Lorki: *Kiedy umrę, zostawcie balkon otwarty*. W pokoju nie było nikogo, tylko patrzył na niego młody Marks z medalionem na szyi. Synycia pomyślał po raz pierwszy, że był to niewątpliwie Marks zakochany. Zapalka parzyła palce, przeszedł jednak z tym nikłym ognikiem przez ciemność do innych drzwi, otworzył je jak najciszej i wyszedł na balkon.

Koń stał przy werandzie smutny, cichy. W oświetlonym okienku mansardy pojawiała się od czasu do czasu postać poety, który gestykulując recytował z przejęciem z pamięci Lermontowskiego „Demona”.

Obaj Sokolukowie znali Darynkę, rzecz można, od dziecka. Dańko przyjaźnił się z jej ojcem, kiedy pasali razem konie, chociaż był od niego o wiele młodszy. Podczas nocnych wypasów podrostki zawsze garną się do starszych. Parobcy wyłaniają spośród siebie atamana, odważnego, dzielnego, a przede wszystkim sprawiedliwego jednako dla wszystkich, także i tych najmłodszych, którzy lgnęli do ogniska jak nocne ćmy, słuchając, oczarowani, bajd starszych oraz ich prawdziwych opowiadań o Babilonie i sąsiednich „plemionach”.

Ojciec Darynki atamanował dłużej niż inni. Przez niejedno lato przewodził parobkom w nocnych bataliach wydawanych „tyczkowatym”, „kapelusznikom”, „zdechłym muchom” i innym „plemionom”, które pod wodzą hardej i zawziętej wsi Pryćkie prowadziły z Babilonem długotrwałe wojny, właściwie o nic, a w rzeczywistości o honor i swobodę, których nikt nie zamierzał pozbawiać żadnej z wojujących stron. Kiedy kończyło się lato, wrogość wygasła i Babilon posyłał spokojnie swatów do okolicznych wsi i przywoził na swoje pagórki najpiękniejsze przedstawicielki wrogich „plemion”.

Ataman upodobał sobie owdowiałą wcześniej szlachcianeczkę, Jasię Zakrzewską z Pryćkiego, którą przywiózł do Babilonu razem z jej córką z pierwszego małżeństwa. Jasia wkrótce umarła na tyfus, pozostawiając atamanowi dziecko. Jednak ojczym żywił dla Darynki uczucia oj-

cowskie, a dziewczynka nazywała go tatą. Nie chciał zostawiać jej samej na noc w domu, więc ją zabierał na nocny wypas koni. Wkrótce Darynka zaczęła dosiadać kasztanki, ku radości ojczyma, który z dumą mówił do swoich bojowców: „Patrzcie na moją Darynkę!” Razem z dorosłymi dokonywała wypadów na wroga, będzie kiedyś atamanką.

Ostatnim razem walczyli bezprzytomnie z zawziętym plemieniem „zdechłych much”. Ktoś rzucił w naszego atamana kamieniem. Nie zdążyli go nawet dowieźć do szpitala, zmarł w drodze. Po tej historii Babilon wezwał sam siebie i swoich sąsiadów do trwałego pokoju. I jeśli nawet wybuchały od czasu do czasu jakieś bójki, to tylko na pięści, albo też odbywały się zapasy między siłaczami, wśród których największą sławę zdobył Dańko Sokoluk, pokonany tylko jeden raz przez jakiegoś drągala z Pryckiego.

Darynka jeszcze przez pewien czas pasła w nocy swoją kasztankę. Starsi nauczyli ją palić, wymyślać po parobczańsku oraz innych zwyczajów pastuszych, nie przejmując się tym, że mogą dziewczynę wypaczyć. Kiedy pewnego wieczoru Darynka nie zjawiła się na pastwisku, wszyscy uświadomili sobie, jak bardzo ją lubili, a te różne psoty, w które wciągnęli dziewczynę, były jedynie godną pożałowania rozrywką w porównaniu z prowadzonymi dawniej sławnymi bataliami. Darynkę razem z kasztanką, a mówiąc ściślej dzięki kasztance, zabrali jacyś dalecy krewni z Pryckiego. Następ-

nego lata uciekła od nich, gdyż okazali się źli i chytrzy. W Babilonie niestety nie zastała już ojcowej chałupy. Sąsiedzi zdążyli ją rozebrać na opał i spalić w ciągu jednej zimy.

Za wszystkie przykrości i poniewierki doczekała się teraz wysokiej godności: została głównym pastuchem babilońskim. Sama dobierała i zmieniała swych pomocników, małych pastuszków, przyjmując tylko chłopców chwackich i posłusznych, i gdyby miała jeszcze swoją kasztankę, przywłaszczoną przez nieuczciwych krewnych, zupełnie serio mogłaby uważać się za atamankę. Pozornie pogodziła się ze swym losem, tylko gdy wracała z trzodą do wsi, ściągając wyłoczone latem brwi, wyrzucając w duszy ojcu, że dał się tak głupio zabić i bił się nie z tymi, z którymi należało się bić wielkiemu atamanowi. Trzeba było bić się z właścicielami wypasanych przez nią krów i owiec, które rozmnażały się w takim tempie, jak gdyby płodziły je jakieś niespożyte potwory. Wkrótce owiec tych będzie tyle, że zjedzą cały Babilon. Najbardziej dziwi Darynkę to, że poszczególne stada owiec nie mieszają się z sobą. Każda trzoda ma dzwonki o zupełnie innym brzmieniu, ale Darynka nie może wnikać w świat tych muzykalnych stworzeń, które słyszą najśłabszy nawet dźwięk i chodzą za swymi dzwonkami jak zaczarowane.

Darynka miała przyjemną, piegową twarz, długie, zawsze spuszczone rzęsy, kryjące zielonkawe oczy, figurę miała smukłą i giętką jak młody pęd, tylko w chodzie było coś chłop-

czyńskiego, owa kanciastość ruchów, psująca harmonię dziewczęcej postaci. Miała jeszcze jedną wadę: gruby, chociaż dość przyjemny głos, następstwo tego, że w dzieciństwie paliła; może też dlatego pojawił się nad jej górną wargą mało jeszcze teraz widoczny czarny puszek, którym Darynka chlubi się, będąc przekonana, że ma to po matce, Jasi Zakrzewskiej, kobiecie urodziwej i dumnej. Jedni nazywali ją Darynką, inni — Daryną, chyba z powodu tego niskiego głosu, bo miała nie więcej lat niż inne dziewczęta babilońskie, nazywane Marfusie, Dyzie, Pyzie lub jeszcze bardziej pieszczotliwie, ale nie przejmowała się tym. Dziewcząt zresztą nie uznawała, kolegowala tylko z chłopcami. Jeśli dochodziło do bójki, to biła się na równi z nimi. Spośród wszystkich parobków bała się tylko Dańka Sokoluka, i to nie tyle jego samego, co jego czarnej brody. Wydawało się jej, że gdyby chciał, mógłby tą brodą załaskotać na śmierć.

Jej ulubionym filozofem był Fabian, mogła go słuchać bez końca. Jeśli chodzi natomiast o Fabiana capa, to tolerowała go tylko w obecności jego pana. Bez niego cap wydawał się jej jednym z chytrych wcieleń filozofa i prawdę mówiąc bała się tego cwanego bydlątka. Nie raz korciło ją powiedzieć: „Fabianie, nie rób kawałów, zamień się z powrotem w człowieka...”

Darynka przynosiła Sokolukom do więzienia paczki. Raz nawet udało jej się przemycić w chlebie piłkę, którą włożył tam pewien znako-

mity spec z Glińska od ucieczek z więzienia, narajony przez Petra Dżurę majster od wszystkiego. Za tę piłkę Darynka dała mu ładny po-
łec słońiny. Była to dla niej niezwykła, podnie-
cająca gra. Bardzo pragnęła ich uwolnienia i
kiedy ich potem wiozła, siedząc na skrzyni, nie
wstydziała się Babilonu, a nawet odczuwała
szczególną satysfakcję. Darynka nie miała ni-
kogo, komu mogłaby okazać swe oddanie, prze-
lała więc je na Sokoluków. Wdzięczności za to
starczyło im akurat na drogę z Glińska do Ba-
bilonu. Zmienili się od razu, kiedy skończyła
się droga z niewoli, zwłaszcza Dańko; stali się
teraz tacy mali i nędzni w jej oczach, że po-
myślała, czy warto było wypuszczać takich na
wolność.

Po wyprzęgnięciu konia Dańko poszedł od
razu na strych, żeby sprawdzić, ile słońiny, któ-
ra wisiała w woreczku na belce, zużyła Daryn-
ka podczas ich nieobecności. Darynka nawet jej
nie skosztowała, ciągle zanosila im do więzienia
w Glińsku, a ten zlażł ze strychu, poklepał ją
poniżej pleców i powiada:

— Widzisz, Łukian, jaki piękny zadek wy-
hodowała sobie na naszej słońinie?

Zamiast wziąć dziewczynę w obronę, Łukian
roześmiał się. Właśnie zaczął zwoływać gołę-
bie i kiedy te zlatywały się ze wszystkich stron,
siadając mu na rękach, ramionach, a nawet na
głowie, był tym tak uradowany i przejęty, że
całkiem zapomniał o Darynce. A potem, nadal
ją ignorując, opiekun gołębi pobiegł obejrzeć
basztan, splądrowany przez dzieci Jawtucha,

Dańko zaś, zaniepokojony zniknięciem słoniny, wybiegł do zagajnika, gdzie nie mógł doliczyć się kilku najokazalszych wiązków, posadzonych jeszcze przez ojca. Wszystko wskazywało na Jawtucha, który mógł rozpocząć od słoniny, a skończyć na wiązach, bo przecież sama Darynka nie mogła wynieść całego worka.

Obok na trawie jaśniało kilka ścieżek płótna; Prisia bieliła je na łące Sokoluków, żeby na jej łące mógł spokojnie odrastać potraw. Dańko chciał pozrzucić płótno na łąkę Jawtuchów, kiedy z konopi wypadło kilku wojowniczo nastrojonych Jawtuszątek. Ojciec ciągle je mylił, bo mieli podobne imiona: Todoś, Antoś, Iwaś, Staś. Zmusiwszy Dańka samym spojrzeniem do odwrotu, strażnicy płótna znowu zasiedli w konopiach, zachowując się tam tak cicho, jakby rzeczywiście czatowali na złodzieja. W tym czasie ich mateczka stroiła się wybierając się do Sokoluków, a ojczulek ucinał sobie pod gruszą poobiednią drzemkę. A to się tatulo zdziwił, kiedy po przebudzeniu zobaczył na wolności swoich sąsiadów...

Jawtuch zdążył już bez żadnego aktu właszczenia przyswoić sobie wiązowy zagajnik. Dańko chciałby jedno tylko teraz wiedzieć: gdzie on przechowuje ukradzione wiązki. A na basztanie Łukian omalże nie zapłakał z rozpaczy: największe kawony znikły, zaś cały basztan świadczył wymownie o tym, że małe Jawtuszątka plądrowały tu bez przerwy. Grusze i jabłonie też były odpowiednio zdewastowane,

ocalały tylko późne gatunki, które Jawtuszątka zachowały sobie do jesieni.

Kiedy bracia wrócili do mieszkania — jeden z basztanu, a drugi z zagajnika — Darynki już nie było, na ławie zaś siedział Fabian, który wprawdzie nie przemycił dla nich piłek, chodził jednak prosić za nimi do Kłyma Synyci, bo inaczej długo by jeszcze kukali w Glińsku. Zawstydził ich teraz z powodu Darynki, oświadczając, że na ich miejscu zatrzymałby to dziewczynisko do lepszych czasów, miejsca w chałupie by nie przesiedziała i chleba też by nie przejadła, a jeszcze przyniosłaby do domu jakie takie kopiejki za trzodę. Łukian chciał ją zawrócić, ale Dańko powstrzymywał go.

— Chwileczkę, braciszku, nie jesteś tu sam...

Prisia skorzystała z tego, że Jawtuch spał, i wystrojona poszła do sąsiadów. Na podwórzu spotkała Darynkę.

— I co, idziesz od nich?

— Idę.

— Szkoda. Przywykłam do ciebie... Moim chłopczykom też się spodobałaś. Niechby już, myślę sobie, została tu... Chłopcy na schwał. Jeden w drugiego...

— Odwykniecie, ciotko. — Darynka uśmiechnęła się.

— Masz ostry język — zauważyła Prisia.

Dotknięta postawą hardej dziewczyny wróciła pod gruszę, powstała chwilę przy wozie i upewniwszy się, że Jawtuch mocno śpi (to na deszcz), ostrożnie odsunęła deskę w płocie, prze-

lazła przez dziurę i zasunawszy deskę pobiegła do Sokoluków.

Fabian strzygł Dańka przed kąpielą, posadziwszy go na stołku przy oknie, a młodszy brat grzał dla niego na piecu wodę w dużym kotle. Darynka okazała się przewidującą, nosiła bowiem całą beczkę wody; pływała w niej mała zielona żabka, która uciekła na dno za każdym razem, kiedy Łukian czerpał wodę miedzianym kubkiem. Darynka nosiła wodę w nocy lub o świcie i pewnie tę żabkę przyniosła ze studni razem z wodą. A w ogóle to Darynka znakomicie radziła sobie z gospodarstwem; wszystko pozmywała, poprzepierała, ręczniki na obrazach były jak nowe, powtykała kwiaty polne, gdzie się tylko dało, podłogę wymazała świeżą, złocistą gliną, wybieliła przypiecek i komin. Jeszcze długo będzie się w tym domu odczuwało jej zapobiegliwość i gospodarność.

Stał już przygotowany wierzbowy szaflik, w którym kiedyś mieszcili się obaj bracia razem. W tym szafliku kąpało się kilka pokoleń, a także pierwsze Jawtuszątka, bo Jawtuch nie od razu zdobył się na własny, więc Prisia dobrze знаła ten duży szaflik z blaszaną łatką na dnie. Nic nie może równać się z nim, jeśli go dobrze rozparzyć. Kąpiel pachnie wierzbą, dzieci rosną po niej jak na drożdżach. Bywają jeszcze szafliki lipowe, wiązowe i klonowe, ale tamte ożywają powoli, gdzie im tam do wierzbowych.

Prisia zachowywała się zupełnie swobodnie, tak jak wtedy, kiedy przychodziła po szaflik

lub sól. Zauważyła od razu, że szaflik jest rozeschnięty. Usiadła na ławie, wystawiając na pokaz ładne, smagłe nogi obute w łapcie. Dańko, okutany ręcznikiem, zerknął na nie i uśmiechnął się, co zakłóciło Fabianowi rytuał golenia. Łukian wrzucił do pieca nie skręcony wiecheć i na izbę dmuchnął dym.

— Pomóż mu, Prisiu — zwrócił się do niej Dańko.

Prisia natychmiast poderwała się z ławy, jakby tylko na to czekała.

— Spłoszyliście taką ładną dziewczynę, a teraz nie ma was kto wykąpać — powiedziała stając przy piecu i roześmiała się. — Jacy jesteście bezradni bez nas!...

Śmiał się piec, śmiała się Prisia, Dańko też chichotał, więc Fabian zdzielił go w kark, żeby nie wiercił się i siedział spokojnie.

— A mój Jawtuszek kąpie się w stawie, nie taki on pan, jak wy... — powiedziała Prisia, chociaż dobrze wiedziała, że jej mąż nie kąpie się w stawie, bo się boi końskiego włosia.

— Kiedyś twój Jawtuch będzie jeszcze w smole się kąpał za nich — zauważył Fabian, doprowadzając do ludzkiego wyglądu głowę Dańka.

Prisia zbyła tę uwagę milczeniem. Szybko zagrzała dwa duże garnki wody i napełniła trzeci. Szaflik rozparzył się, zapachniało wierzbą, w kącie izby zapłakał od pary Mikołaj Cudotwórca. Łukian poszedł jeszcze po wodę, teraz już dla siebie. Jawtuch spał na wozie, Jawtuszątka baraszkowały na łące na płótnie. Łu-

kian zaczerpnął wody i niósł pod górę wiadra na koromyśle. Jawtuch przewrócił się na drugi bok, twarzą do Sokoluków.

Łukiana strzygł Fabian na podwórzu, na klocu do rąbania drzewa, a w izbie Prisia kąpała w szafliku Dańka. Najpierw nacierała mu plecy owsianym wiechciem, potem myła głowę. Napomknęła, że Jawtuch doniósł na nich bez żadnej złej intencji, chyba z zazdrości, głupio było mu później, no a ona, Prisia, bardzo za nimi tęskniła i to zupełnie bezinteresownie, nie tak, jak Malwa czy inne... Sąsiedzi powinni żyć w zgodzie, bo to niemal rodzina. Jej opowiadanie o serowarze Dańko przyjął z lekkim uśmiechem. Dopóki istnieje na świecie on, Dańko, każdy inny będzie tylko przelotną przygodą.

Wyszedł z chaty rozgrzany i czysty jak Cygan w święto.

— A teraz idź ty, braciszku, wykąpać się, trzeba będzie jakoś uczcić tę kąpiel — rzekł do Łukiana śmiejąc się.

Woda z kąpieli zlane do cebra, szaflik już wymyty, czysty, znowu paruje. Prisia wyglądała przy nim bardzo ponętnie. Wrzuciła do szaflika jakieś ziele. Łukian wstydzi się rozbierać przy niej.

— Nie widziałeś, czy Jawtuch jeszcze śpi? — spytała.

— Śpi.

— To kąp się szybko...

Ten cygan jest ordynarny, łapczywy, a on, Łukian, taki delikatny jak chłopczyk.

— Pora wam się żenić — powiedziała — bo

zmarniejecie jako starzy kawalerowie. Już moi chłopcy was doganiają...

Dańko zastukał konspiracyjnie w szybę: Jawtuch przebudził się pod gruszą...

Spojrzał na słońce: jest już nad wiatrakami, a więc za długo spał. Chciał wyładować złość na żonie, więc ją zawołał. Potem przypomniał sobie, że miała bielić płótno na łące. Zaprzągnął szybko konie, rzucił na wóz widły do snopów i otworzył bramę.

A to co takiego?! Na przyzbie sąsiadów siedział razem z Fabianem starszy Sokoluk; młodszy wyszedł właśnie w tej chwili z chaty i ukłonił się osłupiałemu Jawtuchowi, który zaczął się odklaniać, zdumiony i stropiony — może to sen? A kiedy zobaczył na wozie kutą skrzynię, zupełnie pociemniało mu w oczach, bo nawet przez myśl mu nie przeszło, że skrzynia ta mogła być pusta. Kiedy odzyskał głos, zawołał:

— Hej, diabły! Jak się macie... Dopiero co śniliście mi się... Tfu, żeby was!...

W tym momencie Fabian ujrzał Prisię idącą z łąki... Z wszystkich znanych mu była to jedyna podróż dookoła świata, której nie mógł zrozumieć do końca swoich dni. Wiedział przecież, że Prisia nie wychodziła z chaty przez drzwi. Tak go to zaintrygowało, że wstał i poszedł do mieszkania, by dokonać wizji lokalnej.

W sieni spał cap. Łóżko pod oknem było zasłonięte paradnie, z całym stosem poduszek zgodnie ze zwyczajem od największej u spodu

do najmniejszej na górze. W izbie żadnych oznak panicznej ucieczki. Zaskoczony filozof podszedł do zapoconego jeszcze obrazu Mikołaja Cudotwórcy i przeżegnał się, chociaż nigdy tego nie robił. Kiedy wyszedł, Prisia siedziała już na wozie, w białej chustce na głowie, świeża, czysta, uosobienie wierności i uczciwości. Za godzinę lub dwie będą wracali z pola na wysokiej furze ze snopami, z wbitym w środek snopów drągiem wiązowym, wyciętym na cudzej łące. Z tej żytniej wysokości Jawtuch będzie spoglądał z pogardą na grzeszną ziemię, a Prisia przez całą drogę będzie leżała na wznak, wpatrując się w nasycające się fioletem niebo. Jeśli za dziewięć miesięcy pojawi się chłopczyk podobny do Dańka, to Prisia przypomni Jawtuchowi, kiedy to się stało: jak zwozili żyto spod Czuprynek, na wprost pola, na wozie, zaczęło już zmierzchać, chyba pamięta, wciągnął ją na snopy lejcamy, w dole znacząco prychały konie... „To było w tym dniu, kiedy dwa razy przewróciliśmy się ze snopami”, powie z pewnym wahaniem uśmiechnięty już Jawtuch, i uwierzy jej i będzie kochać najmłodszego chłopczyka nie bardziej, ale i nie mniej niż pozostałych, a jeśli Bóg da dziewczynkę, to będzie już zupełnie szczęśliwy i nazwie ją Malwą, aby to piękne imię nie zaginęło w Babilonie. Znakomite rody silne są nie tym, że w nich nikt nikogo nie zdradza, lecz tym, że zdradzani nie wiedzą o zdradzie. Spośród wszystkich Babilończyków chyba tylko cap uważał Jawtucha za dostatecznie męskiego, by niemożliwe

było zdradzanie go, pozostałym trudno było uwierzyć, że Jawtuch potrafił postarać się sam o tylu chłopczyków, jednocześnie jednak Babilon odnosił się z całym szacunkiem do tego przyrostu rodzaju męskiego, mając świadomość tego, że w przyszłości chłopcy będą mu potrzebni, bowiem rodziło się ich mniej, podczas gdy na dziewczynki nigdy nie było kryzysu.

Sokolukowie hucznie uczcili swój powrót z Glińska. W tej kawalerskiej bibce uczestniczyli obaj bracia i obaj Fabianowie, do późna śpiewali, bijąc przy tym w pokrywę od pieca jak w kotły, nie obeszło się pewnie i bez tego, że próbowali wywabić z domu Prisie, ale Jawtuch pilnował ją, nie pozwalając ani na krok ruszyć się z podwórza. Capa najszybciej znużyły te orgie, więc zamęczał filozofa, by wracali do domu, ale w pewnym momencie któryś z nich, chyba Łukian, wpadł na genialny pomysł: zamknąć capa do rana w skrzyni, aby nie pętał się pod nogami. Wszyscy trzech chwycili go — cap nie protestował, bo wiedział, że to daremne — i zanieśli do wozu, potem otworzyli skrzynię i wrzucili go na kożuszki, przyniesione przez Darynkę do Glińska na wypadek, gdyby mieli wywieźć Sokoluków gdzieś dalej. O wspanialszej pościeli cap nie mógł nawet marzyć. Ledwie zamknęło się nad nim wieko skrzyni, rozłożył się wygodnie na kożuszkach i pograżył się w słodkim śnie bez niepokoju o swój dalszy los. Jeśli Sokolukom udało się wydostać z więzienia, to i on jakoś tam przecież wylezie z tej skrzyni. W jej wieku

było na szczęście kilka szpar, cap miał więc nie tylko świeże powietrze, ale i kilka smużek rozgwieźdzonego nieba nad sobą.

Dalsze wydarzenia rozgrywały się w normalnym trybie. Zapomniawszy o capie, Fabian sam zaczął wspinać się na Tatarskie Wały. Było to bardzo ryzykowne, bo w takich sytuacjach zawsze prowadził go do domu cap; filozof trzymał się go za lewy róg (z przybywających na rogu z każdym rokiem karbów można było odczytać dokładnie sędziwy wiek capa) i z takim przewodnikiem mógł dojść, dokąd tylko chciał. Gdzieś w połowie drogi nagle przypomniał sobie o capie, nie pamiętał jednak, gdzie ten mógł się zawieruszyć. Pozbawiony pomocy wiernego towarzysza, położył się na trawie, by trochę odpocząć, i z miejsca zasnął beztróska. Sokolukowie też już mieli dość; jeden wylądował na ławie, a drugi utonął w poduszkach.

Jawtuch tym razem wykazał większą odporność na sen niż Prisia. Kiedy jej wysokie piersi, które stawiał ponad wszystko, zaczęły unosić się w spokojnym, sennym rytmie, cichutko wstał, ubrał się, przeżegnał się przed świętymi obrazami, świecącymi w ciemności martwymi oczyma, i po chwili odsuwał już swoją deskę w płocie (każde z nich miało własne tajemne wejście do Sokoluków, Prisia na pożyczki, a Jawtuch, by walczyć z sąsiadami) i ryzykując w pewnej mierze życiem przedostał się na ich podwórze.

Jawtuch nie wierzył własnym oczom: skrzynia stała na wozie, widocznie Sokolukowie przez

tę zabawę zapomnieli ją schować. W jego wyobraźni zalśniła wszystkimi rubinami buława Koniecpolskiego, miał poza tym nadzieję znaleźć w skrzyni jeszcze inne rzeczy, przynajmniej miecz, który bardzo by mu się przydał, szczególnie teraz, kiedy musi zetknąć się twarzą w twarz z sąsiadami. Ruszył w kierunku wozu, potem przez jakiś czas przesiedział pod nim w kucki. Przybiegła Muszka, polizała go w rękę. Do żadnej kobiety nie przemawiał jeszcze tak czule, jak do niej.

— Muszka, Musiu, Musiuniu, to ja, nie poznajesz mnie?

Uspokoiwszy sukę Jawtuch wlaźł na wóz, przyczał się tam jeszcze na chwilę, a potem ostrożnie podniósł wieko. Ze skrzyni wionęło na niego czarcim odorem i zamiast mającej mu się buławy hetmańskiej dojrzał jakiś żywy pysk, a za nim z ciemności wyłoniły się olbrzymie rogi i ogon, który domalowała chyba jego wyobraźnia.

— Diabeł! — wrzasnął Jawtuch i zwałił się z wozu na ziemię.

Krzyk ten, a może wstrząs spowodowany upadkiem, obudził śpiącego na ławie Sokoluka, który otworzył okno i zobaczywszy kogoś obcego przy wozie, zawołał:

— Łukian, złodzieje, rabują!

Kiedy wyszli z mieszkania na podwórze, zastali już tylko przeciągającego się w skrzyni capa.

— Skąd on tam się wziął? — zdziwił się Dańko, a Łukian rozłożył tylko ręce.

— To jakaś bardzo dziwna sprawa... Chyba ich było dwóch, bo jednemu w żaden sposób nie udało się wepchnąć capa do skrzyni.

Zdjęli skrzynię i wytrząsnęli z niej capa, który pokuśtykał do domu. Pod górą cap natknął się na swego pana. Zrozpaczony powstał nad nim przez chwilę, potem go obudził i powiódł do domu.

Jawtuch ledwie żywy wpadł do mieszkania, a kiedy Prisia spytała, co się stało, odpowiedział:

— Cśśś... Przed chwilą widziałem żywego diabła. Miał bródkę, oczy, uszy i wielkie, kręcone rogi. Strach!

— A czy to nie był przypadkiem cap Fabiana? — spytała Prisia.

— Potrafię chyba odróżnić capa od diabła...

Czy to możliwe, myślała, by świat miał kiedyś tak skapcanieć, żeby nie rodziły się Sokoluczki, a tylko same Jawtuszkki? Myślała teraz o nich, o obu braciach, a musiała pieścić swego Jawtucha, który ciągle jeszcze trząsł się po tym spotkaniu z diabłem. Kiedy wreszcie zachrapał tak, jakby go zarzynali, cichutko wysliznęła się z łóżka, które dawno już wymagało interwencji Fabiana, ale Jawtuch zwlekał z naprawą do lepszych czasów, usiadła na ławie przy oknie wychodzącym na dom Sokoluków, z przyjemnością wpatrując się w rozsrebrzone pełnią księżycową stare podwórze z wozem, stodołą, z dwoma oknami i z tą skrzynią na wozie, w której mąż zobaczył diabła. Teraz skrzynia leżała przewrócona, przepędzono z niej „diabła”,

który pospieszył na ratunek swemu panu, a jeden z Sokoluków spał na podwórzu, na kozuszkach wytrząśniętych ze skrzyni razem z capem.

Chciała już wracać do Jawtucha, kiedy nagle ujrzała dwóch jeźdźców, jadących drogą ponad wsią. Jawtuch, który sypiał na wozie, widział już ich przez kilka nocy. Usłyszawszy tętent, Dańko poderwał się z kozuszków i pobiegł w samej bieliźnie do wrót, płosząc konie, które pomknęły uliczką w dół obok chałupy sąsiada. W stajni zarżały jego konie, które nigdy nie rżą bez powodu. Po chwili również sam Jawtuch był na nogach.

Dańko rzucił się w pogoń za jeźdźcami w uliczkę, gdzie znikli, i ujrzał nagle u wrót Jawtucha. Dańko w bieliźnie wyglądał okropnie, takie w każdym razie wrażenie zrobił na przestraszonym już przecież mocno Jawtuchu, który przeżegnał się mechanicznie, przykucnął pod wrotami, a potem szyderczo się roześmiał. Rozdrażnił tym jeszcze bardziej Dańka, który pchnął na tego prześmiewcę wrota, ledwie trzymające się na konopianych powrósłach, i wrócił na swoje kozuszki.

— Żebyś zdechł! — zaklął Jawtuch i wyłazłszy spod wrót, zaczął je ustawiać na miejscu.

Teraz Dańko się zaśmiał, leżąc na kozuszkach i wpatrując się w rozpięte nad Babilonem niebo, na którym rozpoznał gwiazdę poranną, oglądaną nieraz z Abisyńskich Wzgórz. Leżał jednak niedługo. Włożył czystą koszulę, nowe

skrzypiące buty, narzucił na ramiona kożuszek — tak kiedyś ubierał się, kiedy szedł do Malwy na huśtawkę.

Łukian spał cicho i spokojnie, jak dziecko, jasne włosy zlewały się z białą poduszki. Dańko podszedł cicho do niego i pocałował go delikatnie w spotniałe czoło, bo nie miał teraz człowieka bardziej sobie oddanego.

Jawtuch ciągle jeszcze marudząc przy wrotach przemyślał, w jaki sposób zemścić się na Dańku za tak bezceremonialne i brutalne obalenie ich. Jeśli tak dalej pójdzie, to sąsiedzi mogą kiedyś przyjść i przewrócić wóz razem z nim lub rozwalić chałupę, a więc zniszczyć całe jego życie. Skrzypienie nowych butów Dańka jeszcze bardziej go rozdrażniło. Trzeba bronić się przed nimi, póki nie jest za późno.

Wszedł do mieszkania, zdjął cegłę z kowbaszki¹ i wyjął z kryjówki obrzynek² zawinięty w szmatę. Prisia nie zwróciła na to uwagi, zajęta była karmieniem najmłodszego syna, półtorarocznego Jaśka, którego nie odstawiała jeszcze od piersi. Wóz ze snopami stał przez noc na podwórzu, sądziła więc, że mąż poszedł znośić je do stodoły. Miała jednak jakieś złe przeczucie. Wiedziała o schowku, szybko więc poszła sprawdzić, czy karabin jest na miejscu. Po wyjęciu cegły z lękiem pomyślała o Jawtuchu, bo dobrze знаła jego mściwość. Nie próbowała jednak zatrzymać go, gdyż był uparty, musiała

¹ schowek przy kominie na zapalki, sól itp. (przyp. tłum.)

² obcięty karabin

myśleć też o sobie i o dzieciach, dla których trzeba było żyć. Jawtuch byłby zdolny własną żonę zdzielić między oczy, w niepozornym ciełe żyje duch złośliwy i przekorny. Czyżby dowiedział się, że dziś kąpała Sokoluków? Zrobiła to przecież wyłącznie po to, żeby pogodzić ich z Jawtuchem. Zresztą jeden Bóg raczy wiedzieć, jakim tropem biegły myśli strwożonej kobiety.

Góra Babilońska spała jeszcze w sinej mgłę, gdy Dańko już się na nią wspinał. Skupisko białych chat, które w nocy schodziły się, by szeptem poplotkować, i nie zdążyły jeszcze rozbiec się, przylepione do siebie — dach nad dachem, strzecha nad strzechą, sprawiało wrażenie czegoś potężnego i wiecznego. Kiedyś mieszkali na tych wzgórzach Taurowie, potem zawładnęli nimi Tatarzy i Turcy, następnie przyszli tu razem z Polakami Żydzi, którym ukształtowanie terenu przypominało ich starą ojczyznę; z czasem jednak wszystkie te nacje wymieszały się i wrosły w bujną glebę kozacką. Pięknym efektem tego tworzącego się przez wieki amalgamatu narodów i temperamentów była Malwa Kozuszna, która przez tyle już przecież lat fruwa beztrosko nad babilońskim światem, rozpętując burze namiętności w sercach wielu mężczyzn.

Nawet taki donżuan babiloński, jak Dańko, biegał za nią jak młokos. Wdzierał się teraz na Górę Babilońską jak szalony, chociaż nie miał do Malwy żadnych praw, zagwarantowanych przez cerkiew lub urząd stanu cywilnego. Szedł

do niej nie ze zwykłą sobie hardością, lecz z błagalną prośbą w sercu.

Kiedy wdrapywał się na górę, był pewien, że zastanie ich na huśtawce. Nie zastał ich tam jednak, nie było też ich koni na podwórzu. Chata stała w zamyśleniu, z cieniami drzew na bladoniebieskich ścianach; ta naturalna grafika stanowiła jakby projekcję wewnętrznych przeżyć Dańka. Podeszedł do okna z tym uczuciem niepewności, z jakim koniokrady dokonują zwiadu, i zastukał przekonany, że nikt się nie odezwie. Jednak za szybą zjawiła się Malwa, spokojna, opanowana. Otworzyła okno. Promieniowała dobrze mu znanym ciepłem. Położył rękę na jej rozpalonej głowie. Cofnęła się gwałtownie. Na szyi zafalowało kilka sznurów drobnych koralików, które kupił jej kiedyś w Glinisku, jasne włosy rozsypały się.

— Czy to prawda?...

— Prawda, Dańko...

Sznur czerwonych koralików pękł i wyciekł na łopuchy rosnące pod oknem, które gwałtownie zamknęło się przed nim. Dańko długo jeszcze stał pod tym oknem, zaciskając w garści gorące nasienie swej miłości, skamieniały i bezradny wobec kobiecej zdrady. Stał w białym, wyszywanym kożuszku, którego ciepło Malwa miałaby długo po tej nocy wspominać... Stał wymyty dla niej w wierzbowym szafliku, pachnąc jeszcze rumiankiem wrzuconym przez Prisię do kąpieli, kiedy myła mu głowę, żartując przy tym, że robi to dla Malwy...

Cisnął w szybę garść koralików i powłókł się do

huśtawki, na której wyhuśtał swoją miłość

Odbił się lewą nogą od wydeptanej ścieżki, huśtawka zakołysała się. Czekał w nadziei, że może Malwa jednak wyjdzie do niego. I kto wie, jak długo kołysałby się tak w zupełnym ośpieniu, gdyby nie usłyszał rżenia konia w stajni. Serce zabiło mu mocniej, pamiętał, jak rzy koń Andriana, znał się przecież na tym dobrze, był więc pewny, że tego konia słyszy po raz pierwszy.

W stajni stał mroczny zaduch sennych kur i gęstej woni siana na stryszku. Koń z komuny stał nie rozsiodłany przed drabiną z sianem, którego nawet nie tknął, kłapiąc nerwowo powiekami, jakby czuł niebezpieczeństwo, podczas gdy jego sąsiad, koń Andriana, pochłonięty był całkowicie wyszukiwaniem za drabinką świeżego siana.

Dańko nie mógł ścierpieć złego traktowania koni, zarzucił więc za drabinę siana i popuścił popręgów koniowi z komuny; był to wierzchowiec Kłyma Synyci, serowar prawdopodobnie zabierał go potajemnie na swoje eskapady. W Dańku odezwał się stary koniokrad, trudno nawet marzyć o bardziej sprzyjających nowej przygodzie okolicznościach. Do rana koń ten byłby już daleko stąd, gdyby nie stanowił własność komuny...

Dańko opuścił duszną stajnię i znowu podszedł do okna, jednak panująca za nim cisza miała teraz inną wymowę. Postukał w szybę z natarczywością, usprawiedliwioną jego stanem i wyglądem.

— Ano, pokażcie się, plugawe nasienie!
Wiem, że tam jesteście!

Czuł się moralnie wyższy od nich, nie uległ bowiem pokusie koniokradzkiej, odnosząc nad sobą zwycięstwo.

W oknie ukazał się ładny chłopiec w białej koszuli, z dumnym, jak mu się zdawało, wyrazem twarzy i rozwichrzonymi włosami.

— Ona śpi i nie radzę jej więcej niepokoić — powiedział z uśmiechem, mierząc wzrokiem nieproszonego gościa.

Tak, to ten sam, którego Dańko widział wtedy z więziennego okna na wózku. Poznał go po włosach i pięknie osadzonej głowie.

— Więc ją zbudź!

— Zaraz — odpowiedział serowar.

Odszedł od okna, a po chwili zjawił się w drzwiach z szablą wzniesioną do ataku i ruszył energicznym krokiem ku intruzowi.

Łeb mi utnie, wariat, pomyślał Dańko i wskoczył na huśtawkę. Miejsce to okazało się jednak nie dość bezpieczne, chłopak wywijał w powietrzu szablą tak, jakby jechał na koniu, ostrze jej było coraz bliżej nocnego amatora huśtawki. Dańkowi przypomniał się atak konnicy austriackiej na froncie zachodnim. Byłby wówczas niechybnie zginął, na szczęście koń atakującego go dragona potknął się, dragon wypadł z siodła i Dańko wykończył go kolbą. Ale przed tym szaleńcem, zaślepionym miłością, mógł się ratować tylko ucieczką, bez namysłu więc skoczył do rowu porośniętego widłakiem, tarniną i innym kłującym paskudztwem.

Serowara kosztowało wiele wysiłku, żeby nie skoczyć za nim, chociaż nie miał wcale zamiaru ścinać głowy swemu rywalowi. Roześmiał się, kiedy ujrzał, jak uciekinierowi spadł z ramion biały kożuszek i zawisł na moreli.

Dańko spadając poczuł nie tylko kłujące ciernie, ale coś żywego i ciepłego... To Jawtuch urządził tu na niego zasadzkę, czekając aż wyjdzie z Malwą na huśtawkę, zdecydowany wypalić do Dańka bez namysłu. Potem zawahał się chwilę, czujność osłabła, i zdrzemnął się pod morelą. Kiedy zapadał w drzemkę, pomyślał, czy warto tracić na Dańka ostatni nabój, jaki miał, czy może lepiej schować go na ważniejszą okazję. W potoku błogich przedsennych myśli było coraz mniej miejsca na śmierć Dańka...

I nagle zważyło się na niego coś niewiarygodnie ciężkiego i przygniotło go z taką siłą, że Jawtuch nie zdążył nawet krzyknąć, tylko strzelił w górę niemal bezwiednie, nie tyle broniąc się, co wzywając w ten sposób pomocy. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że zważyło się na niego sam czart, bo widział na własne oczy, jak za tym czartem leciał diabelski kożuszek i zawisł na moreli. Myślał, że z nim koniec, ale ten diabeł zawrzeszczał tak niesamowicie, że Jawtuchowi nie pozostało nic innego, jak zebrać resztki sił i próbować wydostać się spod włochatego straszdyła. Sytuacja była niemal beznadziejna, ale w sukurs przyszły spryt i pomysłowość. Udając, że Dańka nie poznał,

Jawtuch zaczął krzyczeć świadomie zmienionym głosem:

— Ratunku! Bandyci! Denikinowcy!

Dańko zgłupiał. Co za licho, jacy znów denikinowcy? Jawtuch skorzystał z zaskoczenia swego dusiciela, wysliznął się spod niego i czmychnął w ciemność tak szybko, że nie tylko Dańko, ale nawet sam diabeł nie dogoniłby go. Kiedy człowiek znajdzie się bez swego jedy-nego naboju we wrogim otoczeniu, to cała jego siła i nadzieja w nogach.

Dańko próbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, leżał więc dalej na wznak pod morelą. Nie mógł absolutnie zrozumieć, w jaki sposób jego kożuszek zawisł na samym wierzchołku drzewa, przecież dobrze pamiętał, że padał razem z kożuszką na ramionach. Piekła go twarz, nie wiadomo, czy z cierni tar-niny, czy dlatego, że osmalił ją strzał Jaw-tucha. Uświadomił sobie, że od dziś będą mieć do czynienia z uzbrojonym sąsiadem.

Ciągle jeszcze unosił się nad nim obłoczek po strzale, przypominający rozłożonego Jawtu-cha: ręce, nogi, głowa na krótkiej szyi, a na-wet postrzępione spodnie, jakby przed chwilą je zgubił. Kształty te stawały się coraz wyra-zistsze i tak bardzo podobne do sąsiada, że Dańko obawiał się, iż w każdej chwili Jawtuch może ożyć i zacznie się wyśmiewać z powalo-nego wroga. Nie mógł oczywiście do tego do-puścić, więc nabrał w płuca powietrza i dmu-chnął na obłoczek, który na moment zawahał

się, po czym odpłynął deformując kształty Jawtucha do niepoznania.

Tamci zaś, wystraszeni strzałem, po cichu wyprowadzili ze stajni konie i pomknęli w uliczką tak szybko, że Jawtuch ledwie zdążył usunąć się im z drogi, dając susa w przydrożny krwawnik. Rumak komunowy, czując w pobliżu obcy zapach, zaprychał i pocwałował wraz z jeźdźcem pod górę, pozostawiając w tyle nie tak przecież krwistego konika Malwy, która korzystając z tego zawołała w stronę rowu, będąc pewna, iż przyczaił się tam Dańko:

— Dańko, nie wygłupiaj się! Wylaź!...

W odpowiedzi usłyszała złośliwy chichot i dostrzegła jakąś drobną, skuloną postać.

Boże mój, co się z nim zrobiło w tym Glinisku! pomyślała Malwa i pochyliwszy się nad końską grzywą, pomknęła uliczką za jeźdźcem.

Po chwili obok Jawtucha pokuśtykał w kózuszkę Dańko, pokaleczony, zdradzony, nieszczęśliwy. Jawtuch ledwo wstrzymał się, by go nie powitać: „Dzień dobry, sąsiedzie!” Dławił się tłumionym śmiechem, bo bądź co bądź ten bój wygrał on, chociaż teraz nie miał już w gospodarstwie ani jednego naboju. Wylaźł z rowu i ze świadomością uzyskanej przewagi, już bez żadnego strachu, poszedł za Dańkiem wspinającym się pod górę.

Umocnił się ostatecznie w przekonaniu, że nie miał wcale zamiaru zabić go, a nawet poczuł dla niego współczucie, bo bardziej niż ktokolwiek mógł wyobrazić sobie, co dzieje się teraz w sercu sąsiada. Zdradzani są zawsze po stro-

nie zdradzanych. I dopiero koło przewróconych wrót nienawiść do Sokoluków wybuchła z nową siłą: skazany jest nadal na sąsiedztwo dwóch wrogów, tak jak przez wszystkie minione lata.

Łukian stał na ganku, wypatrując brata, którego mógłby nie doczekać się, gdyby Jawtuch wystrzelił nie ze strachu, lecz chociaż trochę celował w swoich wrogów, kiedy ci spadają na niego z babilońskiego nieba.

ROZDZIAŁ VII

Malwa odprowadziła serowara do wiatraków, gdzie nie zsiadając z koni, pożegnali się. Stróż Tychin Pełechaty, mający już wszystko za sobą, mimowolny świadek i protektor ich miłości, zauważył ze swego okienka na szczycie wiatraka, że im zawsze nocy za mało, a dla niego przecież każda bezwietrzna noc to niemal wieczność. Wiatraki ledwie skrzypią, jak gdyby zatrzymując czas.

Co innego, gdy dmuchnie z południa gorący wiatr z Mołdawii lub aż z Turcji albo sypnie piaskiem w oczy podmuch z Gliška czy też z innej strony. Wówczas wirują na górze wszystkie cztery wiatraki, ściągając z Babilonu i okolic ludzi ze zbożem do mielenia — wesołych, żwawych, dowcipnych, niekłótliwych, którzy umieją dogadać się z młynarzami, mrugając porozumiewawczo. Wtedy i czas płynie niepostrzeżenie, a i ty sam odczuwasz swoją waż-

ność, chociaż jesteś tylko stróżem cudzych wiatraków.

A noce bezwietrzne skraca mu chyba ta cudza miłość na koniach. Ho, ho, jakiego panicza Malwa złowiła! Młynarze mówią, że to komсомолец i że niełatwo mu było przywyknąć do Babilonu, ale gdy ożeni się z Malwą, to już tutaj pozostanie; że chce założyć w Babilonie własną komunę, uruchomi własną serowarnię i pewnie skonfiskuje wiatraki, bo władzę nad Babilonem ma ten, kto włada wiatrakami. Bóg z tobą, chłopcze! Ale nie mów hop, póki nie przeskoczysz.

Dozorca wiatraków, przyglądający się z tej góry Babilonowi już od wielu lat, jakoś nie uważał w nim chęci do założenia komuny. Nawet biedak, wdrapujący się tu z pożyczonym zbożem na plecach, nie traci nadziei, iż kiedyś postawi tu własny wiatrak, a co dopiero bogacze. Babilon ponosi jakaś sobiepańska, zachłanna witalność: każdy chce się bogacić, płodzić, wrastać korzeniami w grunt i prowadzić wojnę z wszystkimi i wszystkim wokoło. Podzielona ziemia rozbratała ludzi, wydobywając z nich drżące przez stulecia cechy negatywne, które osiągnęły teraz swój szczyt, widoczny zwłaszcza tu, na wiatrakach, których właściciele chcieliby nawet wiatr podzielić między sobą, żeby wiadomo było, co jest czyje. Nie ma gorszego żywiołu niż ludzka chciwość. Wierz mi, chłopcze, zwraca się stróż wiatraczny w myślach do serowara, bo nie odważyłby

się za nic zejść do nich, żeby im nie przeszkadzać.

Dziś Malwa zachowywała się swobodnie, po raz pierwszy mówiła do swego wybrańca przez „ty”, przyjechała boso, z gołą głową i bez poduszcзки, chroniącej przed „wilkiem”¹. Założywszy nogę na nogę — nawet nie każdy kozak potrafiłby utrzymać się w tej pozycji, a nauczyła się zachowywać równowagę na huśtawce — wiozła od wiatraków chyba jeden ze swych najpiękniejszych świtów. Kolana miała takie, że mogła nimi przywabić kogo chciała, nie tylko jakiegoś tam serowara z szablą. Młynarze chętnie mełli dla niej zboże za darmo. Jednak stróż nocny nigdy nie przyłapał Malwy na czymś takim, na co pozwalały sobie różne puszczałskie, przywożące tu zboże, bardzo wprawdzie dbające o ludzką opinię, przed którą mogły się jednak skryć się bezpiecznie w piołunowej gęstwinie stepowej, zdala od wścibskich wiatraków.

Stróż nie miał w Babilonie żadnego własnego kąta i tylko w zimie mógł sobie pomieszkać u babki Ojczenaszki. Właściciele wiatraków woleli, żeby zawsze był tu, na górze, płacili mu też stałą miesięczną pensję, niezależnie od tego, czy wiatry były, czy nie. Płacili mąką lub zbożem, odliczanym przy mieleniu, a jeszcze trochę nazbierało się z rozrzutu, Ojczenaszka zaś dbała o to, by jego zarobki nie zmarnowały

¹ ludowa nazwa choroby spowodowanej częstą jazdą wierzchem bez siodła (przyp. aut.)

się. Stara ma jeszcze mocne nogi, więc zanosi to wszystko do Glińska, przynosząc w zamian zapalki, tytoń, sól, kaszę kukurydzianą, a także czyste koszule. Niekiedy tu nocowała. Stary kurzył fajkę przez całą noc, a ponieważ babka nie znosiła dymu, więc spali w różnych wiatrakach; on w wiatraku Bubeły — temu pożar nie grozi, bo jest prawie cały z kamienia, a ona w wiatraku braci Radeńkich, gdzie pachnie żywicą jak w nowej chałupie, bo niedawno go postawiono.

W burzanach zaszeleścił wiatr, zachrząścił wiatrak Radeńkich, wrażliwszy od innych, więc stary zszedł na dół, obejrzyć swe gospodarstwo. Poprawił wiązania, potem rozpałił ognisko, nalał do kociołka wody z beczułki i już chciał zabrać się do warzenia kaszy, kiedy nagle usłyszał strzały od strony denikinowskiego rowu, co zmusiło go do powrotu na swoje poddasze w głównym wiatraku.

Rowem, w stronę bezpańskiego stepu, biegli „denikinowcy”. Było ich trzech, a może czterech, tak, na pewno czterech; jeden z nich, wysoki, niezgrabny, nie mógł schować się w rowie, potknął się o coś, upadł, a podniósłszy się skulony pobiegł dalej jako ostatni. Tychin bezwiednie odskoczył od okienka, rozpoznawszy w jednym z „denikinowców” Kindrata Bubełę. Biegli do pozostawionych w zaroślach koni. Wskoczyli na nie i natychmiast pomknęli w kierunku jaru. Tylko koń Bubeły, kary z białą gwiazdką, nie dawał się ująć. Bubeła szalał ze złości, to skradał się do konia kocimi rucha-

mi, to dopadał go znienacka jednym lub dwoma susami, a kiedy to nie przynosiło rezultatu, zaczął czule do niego przemawiać, błagał, składając przed nim ręce jak przed Panem Bogiem, aż wreszcie go ubłagał...

Pełechaty pobiegł do rowu śladem konia z komuny, na przełaj przez zroszone miedze i łąki, wzdłuż bezpańskiego stepu, zasnutego pajęczyną i jeżyną, na którym legły całe wieki wrogości, ciągnącej się jeszcze od czasów kozackich: Kozacy rejestrowi trzymali go do wypasu końskich tabunów, natomiast ludność wiejska chciała uprawiać na stepie zboże.

Chłopak żył jeszcze. Na drodze lśniła jego szabla, wyrwana z pochwy. Po twarzy spływała łza, dumna czupryna tarzała się w kurzu... Sądząc, że stary też jest z bandy, chłopak chciał napluć mu w twarz, odrzucając jego pomoc.

— To ja! Nie poznajesz mnie? — rzekł łagodnie stróż, wkładając nie wiadomo po co szablę do pochwy.

Podniósł chłopca z kurzu, zarzucił na ramię i ruszył w stronę dworu w momencie, kiedy rozległ się gong; to Kłym Synycia uderzał o kawałek szyny, budząc jak codziennie komunę, chociaż być może dziś był to sygnał alarmowy...

Podwórze zaroilo się od ludzi. Przyniesiono wodę, ręczniki z czerwonymi kogutami, obandażowano postrzelonemu piersi, odczepiono szablę, z którą na swoje nieszczęście rzucił się na „denikinowców”. Kiedy kładziono go na wóz, wymoszczony słomą owsianą, szukał oczami

kogoś w tłumie i wreszcie dojrzawszy stróża z długimi, zwisającymi rękami, zatrzymał na nim spokojny już wzrok. Potem ruszono z ranym do Glińska; jest tam teraz lekarz, ponoć wybitny, może chłopca uratuje...

A stróż wiatraczny, zaniepokojny z powodu swego chlebodawcy, poczłapał do wiatraków. Czekala tam już na niego Ojczenaszka. Skończył się miesiąc, więc przysłała po jego zarobek, przynosząc staremu, jak zwykle, świeżą koszulę i wszystkie niezbędne zapasy.

— Zaślepiło mnie czy poplątało mi w oczach...

— A co takiego, Tychińciu? Wiesz przecież, że stara Ojczenaszka potrafi milczeć... Mogę się przedtem przeżegnać.

— Widziałem ich z górnego okienka...

— Ślepy nie widzi, a głuchy nie słyszy. Chcesz jeszcze pożyć spokojnie?

— Nie, muszę o nich powiedzieć, nie mogę inaczej.

— Pomyśl, stary, nim powiesz... To nie żarty, to wielka siła, a my co? Za wiatrem się uganiamy i tyle... Modłę się za ciebie, Tychinie, a przy tobie to już ja nie zginę...

Kiedy Ojczenaszka gadała o modleniu, zjawił się Bubela we własnej osobie, zupełnie już odmieniony i na innym koniu. Był w słomianym kapeluszu, w pięknej koszuli wypuszczonej na spodnie, przepasanej jedwabnym pasem z frędzelkami. Wyciągnął dłoń badając wiatr, po czym podszedł do ogniska i pozdrowił gotujących kaszę starych, życząc im dobrej niedzieli.

Ojczenaszka wstała i pokłoniła się, zaś Tychin, mieszając chochlą kaszę, odpowiedział przez zęby:

— Nie będzie dziś wiatru, tylko lekkie podmuchy.

— A co to za historia z tym rowem? Słyszeliście?

— Nie, nie słyszałem. Spałem. Wiatrak jest głuchy. A ja też nie dosłyszę...

— A wy, Ojczenaszko, też nie słyszeliście?

— Tak tu biegłam, że zapomniałam słuchać...

Stróż powrócił do rytuału warzenia kaszy, dosolił, przygasił nieco ogień, żeby kasza powoli się prażyła, a niedzielny gość jeszcze stał przez chwilę, pokiwał głową, puścił konia, by się pasł, i ruszył do wiatraka. Kiedy wszedł po schodach na górę, przypadł do okienka i wszystko stanęło przed nim jak na dłoni: rów i ciągnąca się obok droga, bezpieczeństwa step liliiowy od kwiatu bodiaków, a za nim majaczące we mgle wieżyczki białego pałacu komuny. Kiedy stróż zdejmował z trójnoga garnek z kaszą, zauważył cień w górnym okienku. Ojczenaszka uklękła, zwrócona twarzą do stepu, i kończyła szeptać modlitwy. Wiatr targał niecierpliwie piołunowe burzany i wspinał się na skrzydła wiatraków, nie miał jednak siły ruszyć ich z miejsca i pognać w nieznane...

Pies milicyjny z Glińska, na którego długo trzeba było czekać, od razu potwierdził przypuszczenia starego stróża, kierując się na bezpieczeństwa step, leżący już kilka lat odłogiem, od

czasu ostatniej reformy rolnej. Step zdziczał, zarósł nieprzebytym lasem jeżyn i bodiaków, na które wspinała się ostnica. Gnieździły się tam żmije, trzmiiele, gzy, a od czasu do czasu zmartwychwstawali „denikinowcy”. Było tego pola ze dwieście, a może i trzysta hektarów i nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak wiele ziemi leży odłogiem. W ciągu lat, odcięto z niej po kawałku Jawtuchowi Gołemu i jeszcze kilku rodzinom, którym przybyło dzieci. Kiedy komuna próbowała przejąć te nieużytki, wieś zaprotestowała tylko dlatego, że ziemie te były „odwiecznie babilońskie”. Sośnin musiał więc pogodzić się z tym, a Synycia uważał, że byłby to dla komuny jeszcze jeden kłopot, a dość ich ma i bez tych nieużytków.

W tej piekielnej gęstwinie pies szybko się zmęczył, zgubił trop, zaczął fukać; wyglądało na to, że złoczyńcy zacierali ślad za sobą posypując go tartym tytoniem. W pośpiechu zgubili jednak konopne pęto, nowe, chyba użyte po raz pierwszy. Macedoński bardzo się z tego ucieszył. Przeniósł poszukiwania do Babilonu, spodziewając się znaleźć tam właściciela. Wezwał do rady gromadzkiej najzawziętszych wrogów komuny i pokazując im pęto pytał po kolei: „Wasze?” Towarzyszył temu obłąkańczy śmiech Sawki Czybisa, który jako woźny sprowadzał tu podejrzanych. Macedoński przeliczył się jednak, nikt bowiem się nie przyznał prócz capa Fabiana, który przybył tu bez wezwania, z zaciekawieniem obwąchał pęto i kichnął dwukrotnie, co najwymowniej świadczyło, iż na

pęcie pozostały ślady tabaki, użytej przez złoczyńców przeciw uczonemu psu. Pęto bardzo się spodobało Jawtuchowi; on jeden ocenił je gospodarskim okiem i chętnie by się do niego przyznał, gdyby nie był świadom opłakanych następstw takiego kroku. Potrzymał więc je końcami palców i westchnąwszy ciężko powiedział: „Nie”. Domyślał się jednak, do kogo z babilończyków mogło należeć takie piękne pęto.

Podczas tego wstępnego śledztwa cap Fabian zaprzyjaźnił się z uczonym psem, sam zresztą uważał się za nie byle jakiego detektywa, skoro bez trudu odnajdował zawsze ślad swego pana, jeśli ten wyruszał bez niego do Babilonu.

Następnej nocy babilońscy bogowie zstąpili na podwórze „Zingerów”. Pokuśtali się, po czym zaczęli się tłoczyć przy oknie. Bez żadnej broni i jakby bez złych intencji. Zastukali w okno, raz, drugi. Za szybą wyłoniła się z mroku stara „Zingerka”. Zobaczyła Kindrata Bubelę, poznała go po białych brwiach. Za nim stał Pawluk z dwoma synami. Za młodu, kiedy jej Orfeusz jako agent firmy Singer wyruszał w swe dalekie wędrówki po świecie, Pawluk, wówczas jeszcze kawaler, zalecał się do niej, ale go wyśmiała. A tam z boku czają się Skoromni i jeszcze ktoś, kogo „Zingerka” nie mogła w ciemności rozpoznać. Bubela, ujrzawszy ją, wskazał ręką na drzwi. Odeszła od okna, otworzyła. Stała przed nimi w płóciennej koszuli i białym czepku na głowie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Pawluk splunął

w milczeniu: i to miała być ta ślicznotka, za którą kiedyś uganiał...

Dopiero teraz poznała obu braci Radeńkich — Chomę i Fedota. Za nimi krył się jej chrzestniak Jawtuch. Koło furtki stały jakby na warcie jeszcze dwie postacie, których „Zingerka” nawet nie zauważyła.

— A ty tu czego, Jawtuch? — spytała.

— Ja?... — zmieszał się, chowając się za Radeńkich. — Nic, tak sobie. Z nimi...

— Zbudźcie Malwę. Mamy do niej interes — powiedział Bubela, ocierając dłonią mokrą brodę.

— Nie ma jej. Jeszcze za dnia pognęła do Glińska... Słyszeliście chyba, co się stało... Takiego chłopca wykończyli... I za co? Żeby ich...

— A co to, nie wiecie za co? — pod brwiami Bubeli zapaliły się złe ogniki.

— A skąd mam wiedzieć? Może jestem stara, głupia, ale...

— O Malwę się biją, a na nas się skrupi — rzekł Bubela. — Więc przyszliśmy powiedzieć... W imieniu całego Babilonu... Naprawdę jej nie ma?

— Przecież mówię, że pognęła na koniu. Jeszcze przed wieczorem. Już pierwsze koguty piałły. Powinna wnet być. Nie ma zwyczaju nocować poza domem... No więc jak, mam tu jeszcze stać, czy mogę wracać?

— A po co stać? Wracajcie z Bogiem...

Stara wróciła do mieszkania zamykając za sobą drzwi, a oni stali zbici z tropu. Przyszli zażądać od Malwy, aby wyniosła się z Babilonu — do komuny albo gdziekolwiek, dopóki nie jest

za późno, póki nie ściągnie na Babilon jakiegoś nieszczęścia. No bo nie skończy się na jednym serowarze, a cały Babilon dyszy nienawiścią do komuny, boi się jej jak zarazy, będzie się więc bronić przed nią wszelkimi sposobami, a odpowiedzialność za to może spaść na zupełnie niewinnych ludzi, ot, jak chociażby tych, którzy przyszedli tu w imieniu całego Babilonu.

Nie wszelki wypadek zajrzeli do stajni. Ktoś zaświecił zapalką. Upewnili się, że jest pusta, że konia nie ma. W słabym świetle zapalki Jawtuch zauważył wiszące na gwoździu kute wędzidła. Gdy zapalka zgasła, zdjął je po ciemku i włożył do kieszeni. Pobrzękiwały tam dekonspirująco, sam więc dziwił się, jak mógł dopuścić się czegoś podobnego w tak godnym towarzystwie, o którym marzył już dawno.

Wyszli z podwórza, rozeszli się po dwóch, po trzech, tylko Jawtuch musiał iść sam swoją straszną uliczką, obrośniętą po obu stronach krwawnikiem. Rósł tam też oset, który Jawtuch pamięta jeszcze z dzieciństwa — kiedy zakwitał, cała uliczka pachniała miodem, teraz wydało mu się, że to Dańko Sokoluk w kożuszku narzuconym na ramiona. Nie mógł się już cofnąć, bo co by o nim pomyśleli jego możni protektorzy! Ruszył więc na Dańka, który okazał się oczywiście bodiakiem. Splunął i starał się nie dopuścić do żołądka strachu, który jak wiadomo, wchodzi tamtędy, a wychodzi zupełnie inną stroną...

Gdzieś w połowie drogi alarmująco zabrzę-

czały w kieszeni cudze wędzidła. Ani się spostzegł, kiedy strach przebił się jednak do żołądka i zmusił do biegu — to jeden Jawtuch uciekał od drugiego, pewnie od tego, który dzisiejszej nocy dał z siebie zrobić „denikino-wca”...

Rano obiegła Babilon nowina: w głównym wiatraku powiesił się Tychin Pełechaty. Noc była spokojna, bezwietrzna, nikt nie mełł, nikt mu nie przeszkadzał. Kiedy przyszedł Fabian, by wziąć miarę na trumnę, starego już odcięto i ułożono w wiatraku, przykrywając ciało płachtą. Palily się świece. Ojczenaszka szeptała nad zmarłym swoje tajemne modlitwy. Zdejmując miarę trumniarz nie zauważył żadnych śladów przemocy ani walki, wyglądało to więc na samobójstwo.

Kiedy Fabian włożył już za cholewę metr stolarski i zabierał się do wyjścia, Ojczenaszka zatrzymała go, wzięła za rękę i zaprowadziła schodami do górnego okienka. Była straszna, ciągnęła go niemal na siłę.

Gdy weszli na górę, zaczęła nasłuchiwać, czy nie ma nikogo w pobliżu.

— Patrz, synku — poprosiła szeptem. — Tylko dobrze patrz. Niczego tam nie widzisz?

Przed jego oczyma widniała rozległa panorama, nie dostrzegał jednak niczego osobliwego czy niezwykłego. Komunowe stogi, biały pałac wyłaniający się z mgły, żadnej żywej duszy w ogromnej pustce. Tylko opodał dzieci pasły gęsi na ściernisku i zbierały pokłosie. Nie

dostrzegał więc niczego takiego, co mogłoby tak poruszyć Ojczenaszkę. Pewnie dlatego, że jest tu sama z wisielcem, pomyślał Fabian. Nie można jej tak zostawić. Za żadne skarby nie zgodziłby się pozostać tu sam, chociaż znał nieboszczyka od wielu lat, nawet zachodził do niego na kaszę.

— No i co, syneczku?

— Widzę gęsi i pastuszków. I chyba nic więcej. Stąd bardzo dobra widoczność. Widać Zapust, Abisynię...

— A on widział ich...

— Kogo, babciu?

— No, nie wiesz? Dlatego właśnie ta śmierć...

Po tych słowach stara zeszła na dół, a on jeszcze jakiś czas został przy okienku, aż zjawily się żwawe babinki babilońskie w czerni, te odwieczne opiekunki zgasłych żywotów.

Kiedy ciosał deski na trumnę, nie mógł pozbyć się wrażenia, iż otaczają go zewsząd okropne widma. Gdy wszedł Bubela, Fabian majstrował już wieko. Nie słyszał, jak podjeżdżał bryczką ani jak przestąpił próg. Bubela obejrzał trumnę, obstukał ją, pochwalił Fabiana za staranną robotę, po czym wyciągnął pugilares i zapłacił trumniarzowi taką sumę, jak gdyby chodziło o jego własną trumnę.

— Porządny był człowiek, więc spravimy mu porządny pogrzeb. W chutorze zarzynają już byczka, Radeńcy pędzą bimber, zaprosimy wszystkich, co u nas mieli, żeby na wiatrakach nie było smutku ani strachu. Niech mu ziemia

lekką będzie... A ty, Lewku, pomyśl, czy nie mógłbyś zająć jego miejsca. Praca spokojna, wieje czy nie wieje, płaca leci. Jednym słowem stróż wiatraczny. Zastanów się, Lewku. Bo przecież i tak musimy kogoś znaleźć na jego miejsce. — I wskazał na trumnę.

— Dobrze, pomyślę. Ale nie teraz. Bo to miejsce jeszcze jakby ciepłe po nim...

— Oczywiście. Przecież cię nie popędzam. Pochowamy go, zapomni się, co było, dmuchnie jeden wiatr, drugi... No, a wtedy pogadamy, jeśli łaska.

— Jeszcze muszę pomyśleć...

— Dobrze, pomyśl. A gdzie to twój cap?

— Gdzieś się wałęsa, zbój.

— Dawno nie był w moim chutorze.

— Ma dosyć spraw w Babilonie.

— Zdjąłeś miarę jak trzeba?

— A jakże bez miary?

— No więc kończ... z bożą pomocą... A stary mógł jeszcze pożyć... Ale widocznie tak mu w niebie pisano. Wszyscy tam pójdziemy, z wszystkich kiedyś Fabian weźmie miarę, he, he... A potem i dla niego ktoś wystruga trumnę...

— Zadbam już sam o siebie. Ale czyje serce nie chce umierać, ten nie umrze. Jeśli oczywiście nie powieszą go przemocą na belce...

— Ty o czym, Lewku?

— O tym, Kindracie Ostapowiczu, że nie mogę przyjąć od pana pieniędzy za tę trumnę. Kuźma był moim przyjacielem, a na przyjaciołach nie zarabiam.

— Tak się wzbogaciłeś, czy co?

— Nie, zawsze potrzebuję pieniędzy, ale nie takich...

— Pieniądze nie cuchną... Dlaczego masz traćć, skoro bierzemy pogrzeb na siebie?

— To wielkoduszne, ale pieniądze proszę zabrać.

— Czy u ciebie zamawiają trumny przedtem?

— Dlaczego nie, zamawiają. Dziwne, co? Trumna stoi na strychu, a człowiek żyje i żyje. Różna bywa zapobiegliwość...

— Kiedyś ty taki zapobiegliwy, to weź miarę i ze mnie. A te pieniądze zatrzymaj jako zadatek.

— Z żywych nie biorę miary.

— Więc jak, to na oko?

Rzucił spojrzenie na ciesielską siekierę trumniarza i zatrzymał je na ostrzu. Siekiera leżała na warsztacie zasłanym wiórami, Fabian otrzymał ją w spadku wraz z innymi narzędziami po swym poprzedniku Pankracie. Bubała pogłodził nerwowo krzaczastą brew i wyrzwał przez okno, czy koń z bryczką stoi.

— Mam już tyle lat, że trzeba pomyśleć o innym mieszkaniu.

— No dobrze, proszę podejść do ściany. O, tu. Jest tu miarka Bonifacego, to będzie i panna. Proszę stanąć równo. I opuścić ręce. I proszę zdjąć kapelusz, i tak trzeba będzie z nim się rozstać. I podnieść głowę. O, tak właśnie...

— A dlaczego Bonifacemu tak pilno?

— Pobił się z Zosią, więc przybiegł do mnie. Powiada, że popełni samobójstwo. No więc

wziąłem z niego miarę, ale potem pogodzili się. Żyją.

Fabian odstąpił parę kroków od klienta i z uśmiechem przyjrzał mu się przez okulary.

— Ładnie pan wygląda. Kiedy robiłem Bonifacemu krechę na ścianie, to aż zbladł. A pan mi się podoba. Będzie pan żył, Kindracie Ostapowiczu.

Wziął z warsztatu siekierę, stanął na ławie przy Bubele i siekierą zrobił na ścianie rysę.

Bubela spocił się jak mysz.

— To wszystko?

— Do Zwiastowania będzie gotowa. Albo i wcześniej.

— Mnie się nie spieszy. — Bubela odstąpił od ściany i zerknął na rysę. — No i patrzcie, jaki ten świat marny. Był wielki Bubela i już tak jakby go nie było. To miałeś na myśli?

— Nie rozumiem.

— Radziłbym ci, Lewku, pomyśleć i o własnej rysie na ścianie. Bywaj zdrów.

— Pierwszą trumnę zmajstrowałem właśnie dla siebie. Trzymam na strychu. Cóż za majster byłby ze mnie, gdybym nie zadbał przede wszystkim o własne mieszkanie...

ROZDZIAŁ VIII

Z każdym dniem zmienia się kolor kurzu wzbijanego nad Glińskiem przez trzodę — od tonów ciepłych po posępne. To niepostrzeżenie skrada się jesień w odwiecznym zamkniętym

cyklu. Ledwie rozpocznie się wyraj i zawiśnie nad Glińskiem pierwszy klucz żurawi, odmierzając niby sznurkiem pierwszy odcinek drogi na południe, kiedy już na jarmarcznym placu glińskim, zamiecionym przez wiatry (do niedawna robił to Austriak z drewnianą nogą, Szwarc), zaczyna szaleć jesienna cieczka, nieomylny znak, że lato się skończyło, że glińskie dzieci dość już wytarzały się w kurzu, że po okresie ciszy Glińsk znowu się rozebrzmi i zawiruje nadciągającą ze wszystkich stron jarmarczną cizbą i stanie się na pewien czas jak gdyby centrum świata, przekreślając normalne wyobrażenia o granicach i odległościach.

Tymczasem zaś tą mało raczej znaną światu stolicą ciągnie leniwie w step pstra trzoda glińska. Owce drą się, jakby wyganiano je stąd na zawsze, a odłączone od krów cielęta drepczą oddzielnie, w kagańcach na pyskach, uniemożliwiających im spijanie mleka.

Z nierozłącznym mauzerem idzie do pracy Filip Macedoński, ociężały, zmęczony, jakby go tej nocy ulepiono z gliny, z braku jakiegoś innego materiału, tchnięto w niego duszę i w ostatniej chwili, ku przestrodze innym, przyczepiono mu do prawego boku pistolet. Kiedy przyjdą deszcze i wszystko będzie tonąć przez jakiś czas w kałużach i błocie, podciągnie mauzer wyżej, wówczas ta groźna broń straci nieco na swym odstraszałym wyglądzie i mniej będą się jej bali glińscy drobnomieszczanie, niż teraz kiedy telepie się przy samej ziemi. Idzie, jak zwykle, w towarzystwie Malka, małego

pieska z krzywymi nogami, który biegnie za nim w znacznej odległości, pełen wigoru i zdecydowany na wszystko.

Na pustym targowisku, zastawionym mnóstwem straganów, pobudowanych za czasów ne-pu, rozegrała się pierwsza jesienna walka o małą, nędzną suczkę, na którą w lepszych czasach nie zwróciłoby się nawet uwagi. Gryzło się kilka olbrzymich psów, które Malko znał od szczeniąt, bo chociaż sam był mały, to jak na psa, miał już swoje lata. Teraz zapomniał o panu i rzucił się bez namysłu w wir namiętnych zmagañ. Podczas gdy psie olbrzymy walczyły między sobą na śmierć i życie, Malko jak fryga uwijał się koło ich wybranki, wywołując tym taki zachwyty swego pana, że ten omal nie zapomniał o swoim wysokim stanowisku w Glińsku; przypominał mu o nim cap, który zjawił się na placu w całej swej czystości i niewinności. Poznawszy starego znajomego, Macedoński bezwiednie uśmiechnął się i omal nie przywitał się z nim.

Już po raz drugi, o świcie, przed wyjazdem do Glińska na śledztwo, Pawło Koczubej w towarzystwie Bonifacego obchodził wozy i sprawdzał:

— Są oba Fabiany?

W krytycznych dla Babilonu momentach zainteresowanie nimi rosło; jeden reprezentował mądrość, która w chwilach rozpaczyny zazwyczaj wyparowuje z ludzi, natomiast drugi był dla babilończyków uosobieniem spokoju.

— Jesteśmy tutaj! — odpowiadał filozof z Dańkowego wozu.

Wnosiło to pewne ożywienie w te ich wędrówki do Glińska. Wygląda to na żart, ale w tym milczącym tłumie na wozach tliła się w podświadomości nadzieja, że wszystko mogłoby się skrupić na capie, gdyby udało się udowodnić jego udział w zbrodni dokonanej na komunie. Ktoś nawet rzucił głośno taką myśl:

— A czemuż to w Glińsku sądzą, że cap nie może strzelać? Ten babiloński cap zdolny jest do wszystkiego...

W drodze wszyscy byli bardzo rozmowni, pomysłowi, śmiali, dowcipni, wiedzieli jak się bronić i co powiedzieć na śledztwie, ale gdy stawali przed nieprzekupnym, groźnym Filipem Macedońskim, język im kołowaciał, przysychał do podniebienia, a w głowie panował zupełny chaos.

W dodatku niektórych dopadła niedźwiedzia choroba ¹, uniemożliwiająca powiedzenie czegoś mądrego na swoją obronę. Ot, choćby Matwój Husak, którego ta choroba męczyła, plótł takie androny, obciążające Babilon, że sam Macedoński był zmuszony go powstrzymać.

Spokojniej od innych zachowywał się na śledztwie Kindrat Bubela. Zabierał zawsze ze sobą w woreczku suchary, kilka granów ² słoni-ny, a w zależności od tego, czy śledztwo zbliżało

¹ ludowa nazwa silnej tremy (przyp. tłum.)

² używana dawniej jednostka masy, 1 gran=44 mg (przyp. tłum.)

się, czy też oddalało od jego osoby, zapasowe buty i kozuch.

Kiedy pytano w czasie śledztwa: „Proszę powiedzieć, jak jest wasz stosunek do komuny, obywatelu Bubela”, odpowiadał za każdym razem jednakowo: „Nie mam do niej żadnych pretensji i żyję z nią w zgodzie”.

W miarę jednak przebiegu śledztwa czuł coraz wyraźniej, że jego postać zajmuje centralne miejsce jako siła napędowa zbrodni. Najbardziej zaszkodziła mu śmierć stróża wiatracznego. Dopiero teraz uświadomił sobie, że był to błąd, być może nawet fatalny, ale jednocześnie lżej mu było, że ten najgroźniejszy świadek stracony jest dla śledztwa na zawsze. Bubeł robił teraz przejrzyste aluzje do Dańka, przypominając jego dawne związki z Małwą, by sprowadzić całą rzecz do banalnej historii miłosnej, do zemsty na tle zazdrości. Jednak zupełnie nieoczekiwanie dla Bubeły, jak też i dla innych, zaczął bronić Dańka, rozpaczliwie wręcz, Jawtuch, dotąd zaciekle wróg.

Kłaniał się przed śledczym, jak przystoi niewinnemu i dobrze wychowanemu człowiekowi, i przysięgał na wszystkie ośmioro dzieci, że on, Jawtuch, mówi tylko samą najprawdziwszą prawdę. Ciągłe zapewniał, że spał tej nocy jak zabity, bo przez cały dzień zwozili snopy z pola, a w dodatku dwa razy wóz ze snopami się przewrócił, więc była podwójna robota; a trzeba jeszcze wiedzieć, że Prisia wiąże snopy takie, iż można się nimi podźwigać, a nie jakieś tam wiechcie, jak u Skoromnych, Bezkorowajnych

czy innych. Nie może jednak zataić w śledztwie, że z wieczora słyszał — a ciągnęło się to gdzieś do północy — jak to sąsiedzi szaleli, grali na pokrywkach i bębnilili łyżkami, chcąc prawdopodobnie wywabić w ten niewinny sposób jego Prisię, która już od dawna nie jest im obojętna. W zabawie uczestniczyli też obydwaj Fabianowie, którzy nie przepuszczają żadnej okazji, żeby dobrze powieczerać, gdzie się tylko da, bo nie mają własnego pola i przywierają niemal głodem. Są tu obaj i można ich w każdej chwili wezwać. Potem wszystko uciхло, więc on też na tym zakończy i przejdzie do sedna sprawy. A sedno sprawy tkwi w tym, że powyglądawszy się z wieczora, Sokolukowie całą noc spali na kozuchach na swoim podwórzu i na pewno nic nie słyszeli, co działo się tej nocy. Zresztą czy jest do pomyślenia, by ludzie, którzy dopiero co wyszli z więzienia i tak hucznie uczcili odzyskaną wolność, pragnęli tam znowu wrócić?

Na pytanie, dlaczego ich nie zbudził, kiedy rozległy się w rowie strzały, Jawtuch znalazł jeszcze mocniej uargumentowaną odpowiedź:

— A niech ich cholera weźmie! Jeszcze miałbym ich budzić? Wolałbym, żeby już się nigdy więcej nie obudzili...

Oto wszystko, co Jawtuch ma w tej sprawie do powiedzenia w śledztwie na temat sedna sprawy. Co się tyczy „denikinowców”, to słyszał, że podobno pojawiają się w Babilonie, wiadomo jednak, jaki jest jego stosunek do nich, skoro w dziewiętnastym roku bił się z

nimi pod Czuprynkami przez kilka dni pod rząd w kawalerii dowódcy dywizji Kryworuczki. Na potwierdzenie tych słów wyjął dokument podpisany przez komisarza dywizji, towarzysza Hofmana. Co prawda papier jest mocno zniszczony przez korniki, bo trzyma go w skrzyni, ale jest to prawdziwy dokument, bo on, Jawtuch, jest takim człowiekiem, że lubi przechowywać ważne dokumenty. No i prosi o wybaczenie, jeśli użył w śledztwie niewłaściwego słowa, ale czuje tremę w nogach, żołądku i całym ciele... To pewnie przez tę niedźwiedzią chorobą, przed którą nie ma w Glińsku ratunku...

W odróżnieniu od innych Jawtuch wychodził ze śledztwa z miną zwycięzcy i szedł w stronę wozów, gdzie konie gryzły obrok w opałkach. Pod wozami radzili mędrcy babilońscy, do których Bóg wie dlaczego zaliczał i siebie, chociaż jego wóz mógł równać się z ich wozami tylko dlatego, że podobnie jak i tamte skierowany był dyszlem w stronę Babilonu; jego koń nie miał nawet opałki i wyskubywał przez drabinę słomę z wozu, a on sam przez cały dzień obywatł się ogórkami z własnej grządki i chlebem z nie przesianej mąki.

— No, jak tam, Jawtuch? — pytali go bracia Radeńcy, z których jeden, Fedot, był kumem Jawtucha jeszcze w czasach, kiedy sam był biedakiem.

— Już ja im pokazałem, kim jesteście! — przechwalał się Jawtuch, rozwiązując torbę z ogórkami.

Siedząc pod swoim wozem przecinał ogórki na pół, posypywał je solą przypominającą kolorem kurz uliczny i rozcierając sól obu przystawionymi do siebie połówkami ogórka, jadł z takim apetytem, jak gdyby przez cały dzień orał. Nic tak nie wyczerpuje, jak śledztwo, w którym trzeba ratować swego zaciętego wroga, żeby uchronić własną skórę.

Jak już wspomniano, na czele gromady stał Pańko Koczubej. Wobec władz śledczych był teraz odpowiedzialny za wszystkich, winnych i niewinnych. Bez jego pozwolenia nikt nie mógł odłączać się od grupy, wszyscy musieli być w ciągłym pogotowiu, bo nigdy nie było wiadomo, kogo jako następnego wezwą na przesłuchanie. Wyjątkiem był tylko cap Fabian, któremu pozwolono spacerować po Glińsku i odwiedzać swoich miejscowych krewnych, węgetujących na nędznych pastwiskach. Kiedy jednak długo nie wracał z tych spacerów, posyłano za nim kogoś z bardziej ruchliwych no i ten przyprowadzał capa na sznurku do milicji. A nuż będzie potrzebny do konfrontacji lub do czegoś innego.

Gdy wąsaty milicjant wychodził na ganek i wzywał kogoś z babilończyków, cap wstawał spod wozu i szybko, ale z godnością, podchodził do milicjanta, co za każdym razem wywoływało w nim coraz większy zachwyt. Ponury tłum ożywiał się wówczas i weselał, nawet milicjant pozbywał się surowości i pod koniec śledztwa każde wystąpienie capa przyjmował przyjaznym uśmiechem. Właśnie dzięki capowi i kilku

optymistom Babilon na zewnątrz prezentował się godnie i nie upadał na duchu, chociaż nie było żadnych podstaw do optymizmu.

Bubela stał na stanowisku, że lepiej poświęcić kogoś jednego niż cały Babilon, do którego Glińsk już od dawna ustosunkowywał się wrogo. Śledztwem interesował się bardzo sam przewodniczący rady powiatowej, towarzysz Czupryna z Czuprynek, znany dobrze ze swej niechęci do Babilonu. Wzorując się na wielkich mężach starożytności już nieraz nawoływał do zrównania Babilonu z ziemią. No i teraz właśnie nadarzała się okazja... Jakieś tam Czuprynki mają tu swego przewodniczącego, a dumny Babilon nie ma w Glińsku nikogo, kto by się za nim ujął i pomógł w nieszczęściu. Otóż musimy polegać wyłącznie na sobie, nie czekając, aż zadecyduje za nas Czupryna z Czuprynek.

Tak myślano na wozach i pod wozami i była to konkluzja ostateczna. Prowadzący śledztwo też jakby na to czekali. Wybór padł na Dańka Sokoluka...

Cap właśnie zamyślił się nad kołem, tym największym i dla niego niepojętym wynalazkiem ludzkości, mimo to pierwszy zareagował na kolejne pojawienie się wąsatego milicjanta i teraz jakby czekał, czyje padnie nazwisko. Wąsał, który — jak zdawało się babilończykom — wszystko wiedział wcześniej, objął spojrzeniem uspokojonych już wspólną decyzją zebranych, wyraźnie kogoś szukając; wreszcie wzrok jego zatrzymał się na Dańku.

— Obywatel Sokoluk Dańko Mykołowicz — wezwał obojętnym tonem. — Mykołajowicz — poprawił się.

Cap ruszył do ganku. Towarzyszyły mu uśmieшки babilończyków, którzy chyba po raz pierwszy od rozpoczęcia śledztwa mogli odechnąć z ulgą, przekonani, że kończy się wreszcie ich mordega. Cap nie był jeszcze zmęczony upałem, więc szedł z taką gracją i duchową wyższością, że mimo woli wywołał zachwyt nawet tych, którzy mieli jeszcze wątpliwości, czy jest on istotą myślącą. Zatrzymawszy się przed wąsałem, zmierzył go od stóp do głowy, potem przybrał wojowniczą pozę, dając tym milicjantowi do zrozumienia, że przebije się siłą na śledztwo, jeśli nie przepuszczą go po dobremu. Wąsał przypuszczalnie nie wiedział, że w babilońskiej radzie gromadzkiej cap przywykł do innego traktowania go, i chyba dlatego na wszelki wypadek zamknął przed nim drzwi.

Cap speszony odwrócił się powoli, jak robią to czworonogi, i odszedł, do ganku pokuśtykał natomiast Dańko, który zwichnął nogę jeszcze wówczas, gdy wpadł do rowu, i w normalnych warunkach powinien był leżeć bez ruchu.

— Pożegnaj się z ludźmi — szepnął mu wąsał, kiedy Dańko wszedł na ganek.

— Ludzie kochani — zwrócił się Dańko do zebranych na dziedzińcu. — Przecież mówiłem już, że nie strzelałem do serowara. Przysięgam na krzyż: nie strzelałem! Ale jeśli tak bardzo chcecie mojej śmierci, to pójdę... — Wyjął z kieszeni pęk kluczy, od mieszkania, od żelaznego

pęta dla koni i jeszcze od czegoś. — Klucze... — Rzucił je Łukianowi aż do samego wozu, po czym przepuścił wąsala i wszedł za nim.

Na dziedzińcu parskają konie z woreczkami obroku na pyskach, na trawie leżą zmęczone drogą źrebaki, słysząc, jak ktoś pije wodę z bańki. W pewnej chwili podniósł się filozof, poprawił okulary, przez moment jakby się wahał, staczał z sobą walkę. Siedzący pod wozem Bubela zmarszczył brwi i przytłoczył Fabiana ciężkim spojrzeniem. Ten nędzarz ma tu odwagę zabierać głos? Fabian poczuł na plecach toczące się ziarnka grochu.

— Niech wezwą tu stróża wiatracznego. On wie, kto strzelał...

— Co ty pleciesz, durniu? Jakiego stróża?...

— Z cienia wysunął się Pańko Koczubej, trzymając w palcach gotowane jajko, bo właśnie zabierał się do śniadania.

— Właśnie tego... Kogoż by innego?

— Co, chcesz wskrzesić umarłego?

— Ale Ojczenaszka żyje. Niech ją tu wezwą.

— Widzicie teraz wszyscy, że on pomyłony.

— Bubela wstał spod wozu. — Jego cap ma więcej rozumu od niego.

— Wiadomo.

— Już wtedy, gdy nie chciał brać ziemi...

— A konia zamienił na okulary...

— Filozof! Cha, cha, cha!...

Rozległ się śmiech. Jadowity, straszny, obłąkany śmiech.

Na ganek wypadł wąsal i skarcił ich, że przeszkadzają w prowadzeniu śledztwa.

Fabian skonfundowany powiódł po obecnych oczami zza szkieł, skłonił się przed nimi jakby przepraszającym gestem, podszedł do wozu, skreślił wiecheć ze słomy i zaczął nim ścierać kurz z butów. Ubierał się zwykle do Glińska w najlepsze, co miał. Po oczyszczeniu butów zapiał kołnierzyk niebieskiej satynowej koszuli, poprawił pas, sprawdził, czy ma w kieszeni chusteczkę.

— Gdzie tu jest komitet powiatowy? — spytał Łukiana.

— Po co ci? Przecież widzisz, że to jedna sitwa.

— Pójdę do towarzysza Tesli.

Pańko Koczubej omal nie udławił się jajkiem na twardo. Jawtuch zaś widząc to roześmiał się pod swoim wozem, gdzie rozłożył już chleb, ogórki i sól.

— Zawróćcie go! — niemal błagalnym tonem zawołał Bubeła.

Jednak ani Pańko Koczubej, który w tym właśnie momencie przełknął jajko, ani Bonifacy — bo tylko oni mieli prawo to uczynić — nie zareagowali na wezwanie Bubeły.

Pozostawili pod wozami śniadania i obstąpili Łukiana. Wyglądali bardzo groźnie. Bubeła chwycił Sokoluka za piersi, aż pękła w szwach jego wyszywana koszula.

— Ręce przy sobie! — Łukian odepchnął od siebie Bubełę.

— Pytam, po co trumniarz tam poszedł? — sapał ciężko Bubeła.

— Nie wiem — odrzekł cicho Łukian.

— Nie wiem, nie wiem... Żeby tak ludzie nie wiedzieli, gdzie twój grób, ty sukinsynie! — Bubela z całej siły pchnął Łukiana, który zatoczył się aż pod wóz i upadł.

— Za co?! — Przed Bubelą wyrósł wysoki, pobladły z gniewu Bonifacy.

Bubela zmieszał się, zauważywszy, że przecenił solidarność swych zwolenników. Chciał odejść, ale Bonifacy zastąpił mu drogę. Przez wszystkie te lata, kiedy był w radzie gromadzkiej, Bubela mełł mu za darmo i nie mógł mu teraz wybaczyć takiej niewdzięczności.

— Tfu! Ale z ciebie świnia! Jak Zosia może spać z tobą pod jedną pierzyną?! Zakała Babilonu! Karmelita przeklęty!...

To, co stało się w następnym momencie, przeszło wszelkie wyobrażenia babilończyków o Bonifacym, który ośmielił się podnieść rękę na samego Bubelę. Bubele kapelusz spadł z głowy, a on sam omal nie wylądował w opałce z owsem, skarmianym końmi Pawluków. Ojciec śniadał właśnie z synami pod wozem. Konie nie były wyprężone, szarpnęły do tyłu, Pawlukowie wrzasnęli pod kołami. Ochłonawszy, Bubela pobiegł do swego wozu, chwycił za maźnicę i ruszył z nią na Bonifacego. Ale Łukian odczepiał już orczyk od wozu. Jawtuch przerwał swe mizerne śniadanie i zastanawiał się, w co by najlepiej się uzbroić i po czyjej stronie walczyć, którą uważał za nieuniknioną, a nawet niezbędną dla śledztwa. Bracia Radeńcy uzbrojeni w luźne zajęli pozycje obronne przy swoim wozie. Po-

derwał się również Pawluk wraz z trzema synami. Matwój Husak szybko odpinał lejce od dyszla. Nawet Skoromni, cieszący się dotąd reputacją spokojnych i aż nazbyt zgodliwych, szykowali się do walki. Bezkorowajni nerwowo zdejmowali uzdy z koni... Pańko Koczubej wlaź na wóz i wzywał podekscytowany tłum do zachowania spokoju, było już jednak za późno.

Bójka rozgorzała ostra i bezpardonowa. Bubela szalał z maźnicą, nie szczędząc ani nowych koszul, ani twarzy. Łukian przebijał się do niego, dzielając po drodze orczykiem nie tylko jego popleczników, ale każdego, kto mu się nawinał pod rękę. Bracia Radeńcy walczyli jak lwy, dopóki ich nie przegonił Bonifacy. Skoromni — ojciec i dwaj synowie, którzy wstydzieli się nawet jeść przy ludziach, a co dopiero bić — teraz załatwiali jakieś stare porachunki z Pawlukami i tak bohatersko walczyli na pięści, że Pańko Koczubej, który ciągle jeszcze stał na wozie, był tym widokiem zafascynowany. Uzdy Bezkorowajnych spadały na wszystkie głowy. Jawtuch walczył wiśniowym batożkiem ciągle nie mogąc się zdecydować, po której stanąć stronie, smagał więc nim zarówno swoich jak i przeciwników, aż wreszcie spętały go lejce Matwija Husaka, w konsekwencji czego przeszedł zdecydowanie na stronę Bonifacego, a więc biedoty, którą Bubela zdążył już naznaczyć smarowidłem do kół, zanim ktoś wybił mu w końcu z ręki maźnicę.

Widząc, że drogą pokojową niczego tu nie

wskóra, Pańko Koczubej wyrwał dyszel z wozu, uniósł go w górę i był zdecydowany opuścić go na głowy walczących, celując rzecz jasna przede wszystkim w Bonifacego, jako najbardziej prawdopodobnego pretendenta w najbliższej przyszłości do stanowiska przewodniczącego rady gromadzkiej. Oczywiście od grabowego dyszla ucierpiałby nie tylko Bonifacy, gdyby z tyłu nieoczekiwanie nie zaatakował przewodniczącego cap Fabian. Bardzo możliwe, że w zamęcie bójki nie poznał go, bo przecież świadomie nie pozwoliłby sobie na coś takiego. Odskakując i atakując z rozbiegu cap załatwił w ten sposób jeszcze kilku innych najbardziej zawziętych w bójce, wśród nich i Bonifacego, który był już bliski tego, by uważać, iż bój ten wygrał.

Kiedy rozszalała gromada wreszcie miała dość bójki i zakończyła ją, wszyscy siedzący znowu pod swoimi wozami odczuli wielką ulgę. Tu i tam wybuchał nawet żywiołowy śmiech. Tylko stary Pawluk stękał pod wozem, bo bardzo mu teraz dokuczała przepuklina.

Ktoś rzucił myśl, że trzeba się pogodzić, żeby nie wracać do Babilonu jako wrogowie. Jawtuch chciał z entuzjazmem poprzeć ten projekt, ale musiał resztę dnia przesiedzieć pod wozem, bo podczas bójki pękły mu spodnie. Nie zażył niestety sławy w tej bitwie, a w obu obozach mówiono o nim jednakowo. Później zaś, gdy wszyscy pili w karczmie na zgodę, nikt go nie poprosił do kompanii, musiał więc potrząsnąć

własną kieszenią, w wyniku czego twarz jego przybrała wyraz tragiczny.

Tesla był już na nogach. Stał przy wymytych jak zawsze oknie, skąd roztaczał się widok na jego glińskie królestwo pełne porannych barw i dźwięków, do których po Kramatorsku przez dłuższy czas nie mógł się przyzwyczaić.

Przyjął Fabiana nie bez pewnego uprzedzenia, ale dowiedziawszy się, kim jest i z czym przychodzi, wyraźnie złagodniał. Wysłuchawszy uważnie filozofa napomknął, że on, Tesla, nie chce ingerować w przebieg śledztwa, nie może jednak pozostać wobec niego obojętny, jeśli sprawa ma charakter polityczny, klasowy, i wróg musi być ukarany, niezależnie od tego, kto by się nim okazał.

— Siedzimy na beczce prochu, rozumiesz? Jest nas zaledwie kilkudziesięciu komunistów i jeden kandydat na cały powiat. Sam widzisz, jaki jest Glińsk. I dawni denikinowcy, i petlurowcy, od nepmanów aż się roi... A wokół Glińska? Do kogo należą chutory, wiatraki, tartaki, olejarnie? Wszystko przycupnęło, przycaiło się, czeka... A ruszysz ich, to możesz biedy napytać. Poczucie własności jest silniejsze w człowieku od wszystkiego innego. Nawet jeśli nie ma nic, jeśli tylko marzy o tym, by coś mieć. Jesteś, widzę, człowiekiem pojętnym, rozumiesz więc, do czego to wszystko zmierza. Albo komuna weźmie górę, albo spłodziemy nową burżuazję i wtedy koniec z nami. A na przykład ty, Lew Chrobry, po której stronie chciałbyś być, jeśli nastąpiłby ten sądny dzień?

— Ja, towarzyszu Tesla, nie miałbym wtedy nic do stracenia. Rozumiejąc, że z wszystkich kajdan najcięższe są moje własne, sam je zerwałem, uwolniłem się od nich. Zrzekłem się ziemi, sprzedałem konia, nawet cap, tak naprawdę nigdy nie był moją własnością, bo należy do całego Babilonu. Mam już taki charakter, towarzyszu Tesla, że gdybym nawet opływał w dostatki, to starczyłoby ich tylko na jeden dzień, bo następnego dnia rozdałbym wszystko ludziom, by znowu zostać Lewkiem Chrobrym. Jedynym człowiekiem w Babilonie, który nie zamyka na noc bramy, bo jej nie ma, a drzwi mieszkania zamyka tylko przed zimnem, jestem właśnie ja, Fabian. Ale prócz mnie są jeszcze w Babilonie bracia Radeńcy z nowym wiatrakiem, jest Jawtuch Goły, który otrzymał więcej ziemi na dzieci, są Skoromni i Bezkorowajni... Nie będę wam wymieniał wszystkich, całego Babilonu, ale wszyscy oni ciągną do bogactwa.

Bubeła pokaszliwał leżąc na wznak pod rozworą, z głową na woreczku wypełnionym parą butów, sucharami i słoniną zalatującą strychem i myszami. A trumniarza jak nie ma, tak nie ma, przepadł w komitecie. Bubeła nigdy nie widział Maksyma Sakowicza Tesli, słyszał tylko, że mieszka u Snihurów, a że znał ich dobrze, więc jakoś lżej mu było na duszy. Najbardziej lękał się konfrontacji z poszkodowanym; na myśl o tym skubał nerwowo swe białe brwi, wyróżniające go spośród wszystkich babilończyków. Wszystko inne, nawet pęto, mniej go

niepokoiło. Wzywano na śledztwo Lejbę, glińskiego specja od sznurów i pęt. Gdy mu pokazano znalezione pęto, rozłożył tylko ręce. Ale bo też Lejba to prawdziwy mędrzec judejski! Sława mu za to. Który kupiec chrześcijański dbałby tak o swój sklep ze sznurami?

Jawtuch zdobył gdzieś igłę, chyba dostał od Bonifacego, który uważał, że w drodze wszystko może się przydać, i schowawszy się pod wozem, w samych kalesonach reperował podarte spodnie na wypadek, gdyby go znowu wezwali na przesłuchanie. I jak tu golcowi włączać się do bójki... Wszyscy go teraz widzą, bo wozy stoją blisko siebie.

— Hej, Jawtuch!

— Przepraszam, nie mogę wstać... O co chodzi?

— Nie rób wstydu Babilonowi. Masz tu pieniądze i idź kup materiał na nowe spodnie.

Twarz Jawtucha wydłużyła się, oczy zagrały, igła zatańczyła. Nikt nie potrafi nawet wyobrazić sobie, jak mu już te spodnie obrzydły i jak wstydzi się ich przy ludziach. W nocy to jeszcze jako tako, ale w dzień to prawdziwa rozpacz. Przeszkadzają swobodnie myśleć, oddychać, stąpać po ziemi. A im więcej łątek zjawiało się na nich, tym śmieszniej w nich wyglądał. Ale należycie je oceni, kiedy zdejmie je po raz ostatni, bo nie miał zielonego pojęcia, co go czeka w nowych spodniach... Nitka wysliznęła się z uszka, był tak zdenerwowany, że nie mógł jej nawlec.

— Zaraz, chwileczkę, Kindracie Ostapowiczu...

Wyprowadzają Dańka, sadowią na bryczkę i dokądś wiozą. Pod strażą. Bubela posłał Ra-
deńkich do węsala. Okazało się, że Dańka po-
wieźli na konfrontację z Jaworskim. Ten go
rozpozna — no i koniec całej sprawy...

Malwa siedziała w nogach rannego, w bia-
łym fartuchu, w szpitalnych kapciach. Nie od-
stępowała go przez wszystkie te dni z wyjąt-
kiem kilku godzin, kiedy wzywano ją na prze-
słuchanie. Poeta zaśmiał się, kiedy poznał Dań-
ka i przypomniał sobie, jak leciał za nim do
jamy jego biały kozuszek.

— Znalazł pan wtedy swój kozuch? — spy-
tał Wołodia.

— Znalazłem... Na moreli. Zawisł na samym
czubku. Ledwie go strząsnąłem.

— Pan rzeczywiście uwierzył, że chcę pana
zarąbać?

— Lepiej by było, żebyś mnie zarąbał, niż
znosić teraz te męki... Jakże mogłem znaleźć
się w rowie przed tobą, kiedy leżałem bez pa-
mięci w jamie?

— Jego nie było wśród nich... Nie, na pewno
nie było... Zapiszcie to, towarzyszu Macedoń-
ski... To moje ostatnie słowo....

Widać, jak ciężko było mu mówić. Dańko
padł przed jego łóżkiem na kolana i rozplakał
się jak dziecko. Konwojenci z trudem wypchnę-
li go z pokoju. Zauważył, że już tu, w szpitalu,
sypnął się serowarowi wąs, chyba od miłości,
dla Malwy zdolny był do wszystkiego, mógł

znieść każde cierpienie, a czupryna sterczała buńczucznie jak dawniej... I stało się dla niego jasne, za co Malwa pokochała tego zuchwalca. Za szlachetność i dzielność, nie inaczej...

Wracali do Babilonu bez Kindrata Bubęły. Jego wóz z końmi zabrali Radeńcy. Zlecił im też opiekę nad wiatrakiem. Radeńcy byli urodzonymi aktorami, uronili łzę na pożegnanie, myśląc jednocześnie o tym, że teraz, kiedy olbrzym Bubęły będzie stał z nieruchomymi skrzydłami, wiatry będą pracować tylko na nich... Na wozie Sokoluków spał cap, zmęczony nie tyle śledztwem, co tymi wypadami do Glińska... Filozof powinien był zmartwić się utratą posady stróża wiatracznego, jednak ten dziwak niepokoił się tym, jak ciężko Tesli rządzić powiatem, na którym niemal cała Droga Mleczna rozpina się na miliony kilometrów...

ROZDZIAŁ IX

Świty nadchodzą w Glińsku nagle, jakby przynosiły je wiatry razem z wonią zżętego stepu. Poeta nigdy nie przepuszczał tego momentu, siadając przy pomocy Malwy na antycznym krześle z głową smoka na oparciu; krzesło to znaleziono na szpitalnym strychu i za zezwoleniem lekarza postawiono tu, przy oknie. Za oknem piał dyszkantem młode koguciki, zmuszając do milczenia swoich rodzicieli, któ-

rzy zdarli już swój głos. Śmiać się chciało, kiedy taki ledwo opierzony kogutek, zaskoczony odkryciem w sobie wokalnego talentu, niespodziewanie dla siebie samego zaczął pisać na najwyższej, jednej nucie i schodził tragicznie ze sceny. Ci pechowi debiutanci przypominali poecie jego dzieciństwo w sierocińcu i pierwsze jego wiersze, które były dla niego jakimś cudownym objawieniem, chociaż nikt w Glińsku nie poznał się na nich do czasu, aż zawitał do sierocińca przewodniczący komuny Sośnin, posłuchał tych wierszy i uznał go za poetę. Były to wiersze o sierocińcu, o dziewczynce Fedorci i o pierwszych chłopięcych uczuciach do niej. Sośnin zabrał poetę do komuny, a Fedorcia pozostała w sierocińcu.

Rozczarowawszy się do poety, który nie potrafił napisać o komunie epokowego eposu, tylko ciągle opiewał białe łąbędzie na komunowym stawie, Sośnin posłał go do Kostromy na roczny kurs serowarów, uważając prawdopodobnie to zajęcie za bliskie poezji. Po powrocie z tego honorowego zesłania serowar nie zastał już w Glińsku Fedorci ani też sierocińca, który nie był w stanie utrzymać w karności tylu wyrostków i został zlikwidowany. Fedorcia wyjechała do jakiegoś dużego miasta. Była biała i lekka jak puch dmuchawca, więc wiatry mogły taką unieść wszędzie.

W nocy, kiedy szpital uspokajał się i zapadał w półsen, Malwa sadowiła się w antycznym krześle jak najwygodniej, z podciągniętymi nogami i czytywała na głos Mayne Reida, którego

tomik zawędrował tu ze strychu razem z fotelem. Podobno w tym fotelu zmarł kiedyś na astmę hrabia Arnautow, założyciel tego szpitala, i książka należała pewnie do niego. Malwa czytała tak długo, aż chory zmęczony tym czytaniem zasypiał. Lampa kopciła i Malwa zjawiała się rano na korytarzu z sadzą w nosie.

Tego dnia o świcie było tak samo, jak co dzień: Malwa pomogła choremu wstać z łóżka i usiąść na fotelu przy oknie, za którym koncertował cały chór koguci.

— Malwo, dlaczego koguty milczą? — spytał poeta.

Świat zawirował mu w oczach razem z Glińskim, poeta zaczął chwytać rękami powietrze. Na krzyk Malwy wbiegła starsza siostra operacyjna Waria Szatrowa i wskazała na drzwi, co Malwa zrozumiała jako nakaz przywołania lekarza.

Lekarz pochodził z Myrhorodu, ze znakomitej rodziny lekarskiej Szamrajów, których przodek leczył podobno ojca samego Gogola. Była to pierwsza praktyka młodego lekarza po ukończeniu instytutu medycznego. Szamraj mieszkał sam w pokoju przylegającym do apteki, więc zawsze było tam czuć lekarstwami, mimo iż okno było zdjęte i zasłonięte gazą chroniącą od much. Lekarz sypiał nago; przyzwyczał się do tego jeszcze za studenckich czasów, kiedy trzeba było oszczędzać na bieliźnie. To jego przyzwyczajenie zyskało mu przydomek „Marsjanina”. Waria Szatrowa, która musiała często budzić „Marsjanina” do ciężko

chorych, oswoiła się już z jego nagością, nie dopatrując się w tym niczego gorszącego. Malwa jednak nie chciała wierzyć własnym oczom i zanim go obudziła, przykryła prześcieradłem, które zsunęło się na podłogę.

— Panie doktorze... Proszę wstać... Z Wołodią jest bardzo źle...

Nad podwórzem szalały nietoperze, które potykały się teraz w locie o wysoką postać „Marsjanina” w nakrochmalonym fartuchu. Malwa zawsze bała się nietoperzy, biegła więc teraz za lekarzem pochylona, chroniąc głowę rękami. Stróż z drewnianą nogą, Austriak Szwarz, właśnie otwierał bramę przed olbrzymimi dymami, które przywiozły chorego z Nechworoszczy i teraz zmęczone drogą stały jak wrośnięte w ziemię. Na przodzie siedział woźnica, chłopczysko z rozwichrzoną czupryną, a gospodarz leżał na wznak w słomie, z której sterczały czarne, powyginane palce jego bosych nóg. Malwie zdawało się, że na wozie tym przywieziono jedynie same nogi...

Młode koguty jak gdyby opłakiwały dyszkantem swego mecenasa. Kiedy w pokoju pojawili się z noszami sanitariusze, lekarz kazał im wynieść najpierw to antyczne krzesło z głową smoka na oparciu, jakby to ono było przyczyną śmierci poety. Z trudem przepchnęli je przez drzwi, gdyż czepiało się futryn swymi rachitycznymi nogami. Obaj sanitariusze byli wąsaci i bardzo do siebie podobni, jak bliźniacy. Wynosili już różnych, ale poetę po raz pierwszy,

więc nieśli go tak uroczyście, jakby do pan-teonu wieczności...

Następnie sanitariusze przynieśli rzeczy zmarłego: spodnie, kurtkę skórzaną przestrze-loną na piersiach i buciki z wytartymi, ze-schniętymi językami. Malwa musiała to wszystko zabrać ze szpitala. Takie przepisy. Lekarz spoj-rzał współczująco na Malwę, która wiązała te-raz w tłumok rzeczy poety, zupełnie dla niej nieprzydatne, i z jakimś dziwnym rozgorycze-niem poszedł ratować chorego z Nechworoszczy.

Woły legły w jarzmach obok wozu, zajmu-jąc nieomal całe podwórze; była w nich jakaś pokora i mądrość. Jeśli ich gospodarz umrze na sali operacyjnej, jeszcze dziś zawiozą go z po-wrotem do Nechworoszczy, muszą więc odpo-cząć. Ich woźnica nie przejmował się chyba lo-sem gospodarza, śpiąc spokojnie na wozie, z rozrzuconymi rękami, w groszkowej koszuli i w łatanych na kolanach spodniach z żaglowe-go płótna. Malwa pomyślała, czyby nie poda-rować temu biedakowi rzeczy poety, jednak woły spojrzały na nią z takim wyrzutem, że nie ośmieliła się zostawić tłumoka na wozie i musiała paradować z nim przez cały Glińsk. A może w tej odzieży wyrośnie kiedyś jeszcze jeden poeta?...

Przed idącą ścierniskiem Malwą latały plisz-ki, wiodąc ją tą najcięższą z dotychczasowych, nieznaną drogą. Szła boso po niskich, kłują-cych ścierniskach raniących jej stopy. Pliszki to podlatywały do niej, to odlatywały, świer-gocząc, aż wreszcie wywiodły ją na czarną ko-

munową rolę i pozostawiły tam na łasce losu, bo miały jeszcze wiele innych spraw do załatwienia...

Glińsk nigdy nie miał własnego poety, więc ciała jego nie oddano komunie, chociaż tam wybrano dla niego miejsce: w komunowym parku, koło marmurowych bogów nad stawem, po którym pływają szykujące się do wyraju łabędzie. I dobrze, że go tam nie pochowano. Ktoś zauważył, że kiedy ptaki poczują, iż nie ma już poety, to więcej do komuny nie powrócą.

Pochowali więc poetę na placu w bratniej mogile wybitnych rewolucjonistów glińskich. Nazwisko poety będzie uwiecznione na kamieniu nagrobnym jako szóste po komisarzu ziemskim Naumencie, który zginął swego czasu w Babilonie, a pochowano go tu, w rodzinnym Glińsku.

Razem z orkiestrą babilońską, chyba jedyną w powiecie, przybyli do Glińska obaj Sokolukowie, nie dlatego, by okazać współczucie komunie, lecz by na pogrzebie przypilnować pewnej konkretnej sprawy. Chodziło o Malwę. Dańko miał nadzieję, że sprowadzi ją z powrotem na Abisyńskie Wzgórza i zabierze z Glińska po dobremu, a jeśli będzie trzeba, to i siłą. Śmierć poety wzbudziła w Dańku nowe nadzieje. Miłość i nienawiść do Malwy splotły się w jedną nie gojącą się ranę, która jątrzyła coraz dotkliwiej; przychodziły chwile, kiedy bliski był samobójstwa, zazdrościł wówczas poecie, że zmarł

na rękach Malwy. Szepnął więc do brata, że chciałby też mieć tak piękną śmierć.

Kiedy mieli już wynosić ciało z komitetu, Sokolukowie przepchnęli się do trumny i stanęli w głowach obok Malwy, jak jego bliscy krewni. Doradził im to Fabian, który przyjechał wraz z nimi jedną podwodą. Bracia stali z wyrazem cierpienia i smutku na twarzy, sprawiając takie wrażenie, jakby nikt od nich szczerzej Malwie nie współczuł. Łukianowi nawet okulary się zapociły z tego żalu, więc poprosił Dańka o chusteczkę, bo nie miał własnej. Nie było lawety, więc trumnę ustawiono na zwyczajnym wozie, zaprzężonym w trójkę koni. Komsomolcy wiedli za trumną osiodłanego konia, przybranego czarnymi wstążkami, który kulał jeszcze na lewą nogę, draśniętą przez kule. Zaśpiewano pieśń *Kozaka niosą i konia prowadzą*. Synycia niósł sztandar; przyspieszał kroku, sztandar mu ciążył, ale nie mógł przecież zmienić ręki...

Pomyślnie natomiast ułożyły się okoliczności dla Sokoluków. Bracia wzięli Malwę pod ręce i wiedli ją tak przez cały Glińsk. Wszelkie jej próby uwolnienia się od nich były daremne. Na twarzy Dańka malowała się pokora i niewinność. Gdy tylko zagrała orkiestra, Łukian zapytał: .

— No i co teraz będzie, Malwo? Zmarnowali takiego wspaniałego chłopaka. A może stałby się geniuszem? A ty przecież jesteś zwykłą sobie Malwa, jak wszystkie... — Zamilkł nagle,

bo w obu konkurujących z sobą cerkwiach rozległy się dzwony.

Maksym Tesla uznał to za profanację zmarłego i polecił milicji, by poskromiła dzwonników. Jedna dzwonnica, ta przy cerkwi Zbawiciela, wkrótce umilkła, tylko w największym dzwonie, dzwoniącym gęstym basem, serce nie mogło się uspokoić, druga natomiast, ta przy cerkwi Zwiastowania, zignorowała wezwanie milicji, napełniając Glińsk żałobnym dzwonieniem. Stary dzwonnik po raz pierwszy w swoim życiu dzwonił na śmierć poety, zapamiętał się więc w tym swoim dzwonieniu, jak gdyby ulla-tywał do nieba, póki nie wyrwali mu sznura z rąk. Wówczas rozległ się bęben, a potem mój ojciec wyciągnął na klawecie pasaż tak wysoki, że orkiestra, zepsuta przez wesela, nie mogła mu dorównać, więc każdy muzykant grał teraz po swojemu, starając się dmuchać w instrument jak najmocniej.

Kiedy ludzie stłoczyli się na placu, a członkowie komitetów biedniackich, przybyli na pogrzeb z okolicznych wsi, zaczęli wznosić okrzyki „Śmierć Bubele!”, do Dańka przecisnął się „Marsjanin” i zmierzył go od stóp do głów. Dańko poczerwieniał, w uszach zaczęło dzwonić, odczuł w tym spojrzeniu coś bardzo przykrego. Kiedy „Marsjanin” znikł w tłumie, zapytał o niego Malwę.

— To lekarz — odpowiedziała.

Pochyliła się, wzięła garstkę ziemi, rzuciła na trumnę — i dopiero teraz poczuła się żoną poety...

Stypę, na której Czupryna z Czuprynek wygłosił gniewnie przemówienie, skierowane przeciw światowej i miejscowej kontrrewolucji, urządzono w proletariackiej karczmie na koszt komuny.

Tesla przez cały czas myślał o sytuacji w podległym mu powiecie. Po zduszeniu nepu sytuacja stała się jeszcze bardziej skomplikowana, o czym świadczył ten pierwszy strzał w komunę... Stara wieś dożywa swych ostatnich dni. Kułacy czując już zaciskającą się pętlę, wyprzedają po cichu, jarmarki w Glińsku są tłumne jak nigdy dotąd. W tej sytuacji w każdej chwili trzeba się liczyć z rozpoczęciem zażartej walki na śmierć i życie.

Pod karczmą łomotało trwożnie koło młyńskie, które podczas cichych nocy słychać było w całym Glińsku. Czegoś takiego w Kramatorsku nie było. Waria Szatrowa i to koło młyńskie były dla Tesli największą atrakcją Glińska... Odnajdywał w nich jakieś wspólne elementy nieprzemijania, coś wiecznego, jak w marzeniach poetów. Ale być może są to tylko jego jakieś chorobliwe odczucia, z którymi trzeba skończyć.

Ci z komuny wracali z pogrzebu bardzo późno. Koń, którego jeszcze przez trzy dni nie wolno było dosiadać, biegł za wozem z opuszczonym łbem, strzygł uszami, wpatrywał się czujnie w ciemność, opędzając się od kobuzów i sów, które tłukły się w denikinowski rowie. Malwie ciągle wydawało się, że widzi na tym koniu poetę, i to bosego; być może to jego du-

sza powracała do domu. Malwa myślała o jego bucikach, no ale pewnie dusze zmarłych bląkają się po świecie boso.

Przez całą drogę powrotną jeden z wozów babilońskich jakby się skradał za komunową gromadą, to odstając od niej w jakimś niezdecydowaniu i ginąc w mrcku, to nagle wyłaniając się z nocy z turkotem. Malwa przytulała się wówczas ciepłym ramieniem do Kłyma Synyci, jakby szukała u niego obrony i ratunku. Ten wóz jak gdyby toczył się przez jej serce, póki na rozdrożu nie skręcił na Babilon...

Gdy umiera poeta, umiera wówczas wraz z nim i to, czego inni nie potrafią dostrzec. Z rowu ciągle wypełzały bezlice potworne zjawy. Kłym Synycia ignorował je, a koń nie lękał się ich, bo miał na oczach końskie okulary i widział tylko wąski pas drogi przed sobą. Na czarnej roli spały po pracowitym dniu pliszki, których też nikt nie zauważał. Tylko Malwa je widziała — senne, nastroszone i ciche jak grudki ziemi... Widziała je dzięki poecie.

ROZDZIAŁ X

Z wąskiego weneckiego okna mansardy widać niemal całą komunę, jej folwarki, pola, drogi i rowy, którymi komuna odgrodziła się od świata gospodarstw indywidualnych, a mówiąc ściślej, stary świat odgrodził się od niej. W rowach pleniły się bujnie chwasty, grożąc

wszystkim jednakowo swym nasieniem. Kłym Synycia dopiero teraz zorientował się, że można było z nimi walczyć tylko wtedy, kiedy jeszcze były zielone.

Drugie okienko, założone do połowy cegłą, wychodziło na stary park, w którym gnieździły się wrony, napełniając go niemilknącym wrzaskiem niezadowolenia. W zarośla parku wrzynał się staw — pełne ciszy i smutku schronienie dla kilku białych rzeźb nad wodą. Kiedyś krzaki otaczające posąжки były na pewno pielęgnowane i strzyżone, dziś zapuszczone zarośla nadawały marmurowym bożkom złowieszczy wygląd skazańców. Sośnin zamierzał kiedyś przenieść je w pobliże pałacu, nie zrealizował jednak tego zamysłu, a Kłyma Synyci to nie interesowało, przejmował się bardziej chwastami niż bogami.

Obleżenie komuny staje się coraz groźniejsze. Nie ma nocy, żeby nie odwiedzali jej nieproszeni gości. Spalono koniczynę w stogach, pocięto pas od młockarni, do paliwa nasypiano piasku, w wyniku czego lokomobila rano zaraz po uruchomieniu zakrzuszyła się, zachrząściła i stanęła na długo nieruchoma. Musieli do niej wzywać z Babilonu Petra Dzurę, który pracował kiedyś na pańskiej lokomobili. Dżura znalazł przyczynę awarii, więc lokomobila znowu pożąda snopów i pociąga członków komuny w nieznaną przyszłość. Synycia uważa, że dopóki pracuje lokomobila, dopóty istnieje komuna...

Którejś nocy zniknęły ze stawu łabędzie. Je-

dno łabędzietko z tegorocznego wylęgu nie mogło oderwać się od wody, więc całe stado krążyło nad żałośnie kwilącym, przyzywając je z wysokiego nieba. Dopiero o świcie poderwało się. Może na pewną śmierć, ale lepsza śmierć niż niewola. Teraz w ich drewnianych domkach, zmajstrowanych przez kogoś z komuny miały ochotę zamieszkać gęsi domowe. Ciągłe koło nich dreptały i gęgały donośnie, myśląc chyba i strony świata, i pory roku, i wszystko, co je otaczało, z wyjątkiem głosów gospodarzy, którzy co wieczora przywoływali je do domu jak kaczki: taś, taś, taś... Szły posłusznie białym sznurem, wywołując tym zdziwienie posągów w parku, które miały nieco inne wyobrażenie o wolności.

Malwa mieszka w mansardzie, jakby nad bogami. Przepełnia ją łagodny smutek, a jednocześnie czuje jakieś duchowe oczyszczenie. Kiedy w parku zaczynają opadać liście, bogowie występują ze swych zielonych kryjówek w całej swej nagości i bizantyjskiej doskonałości, ale i w zbeszczeszczeniu, zadany przez czas i ludzi. Ani jednego posągu całego, prawie wszystkie okaleczone, ale nawet w tym swoim kalectwie zachowały godność i niepodległość ducha.

Malwa codziennie wstaje do pracy, wychodzi razem ze wszystkimi w pole, odbiera snopy od skrzydlatych snopowiązałek, potem pracuje przy młockarni. Często pozostaje dobrowolnie na drugiej, nocnej zmianie, nie przyznając się, że boi się spać w mansardzie. We śnie pojawia

się serowar w czerwonych bucikach i czyta jej na głos Lermontowskiego „Demona”. Mieszkańcy komuny domyślali się jej lęków, a kiedy czynili przy niej aluzje do Kłyma Syny, który mieszka pod nią, to uśmiechali się wprawdzie bez obłudy, ale z wyraźną ironią.

Ogorzała w polu, stwardniała, zahartowana, czuła się coraz pewniej na swoim miejscu na ziemi. Członkowie komuny odnosili się do niej początkowo nieufnie, a niektórzy nawet wrogo, sądząc, że to przez nią utracili Wołodę Jaworskiego. Stopniowo jednak zaczęli o tym zapominać, przyzwyczajając się do niej, przyjaźnić się z nią. Błękit jej oczu nabrał ciemniejszych, gorących tonów, na ogorzałej twarzy z trudem tylko można było doszukać się śladów rozpacz, poruszała się z jakąś dumną pogardą, a nie przecież bardziej od chodu nie ujawnia istoty duszy kobiecej.

Bubełę ciągle jeszcze trzymali w Glińsku. Przeprowadzili konfrontację z Ojczenaszką i z samym filozofem, którego Ojczenaszka zasypała na śledztwie obraźliwymi epitetami, wychwalając własne cnoty i zasługi wobec Babilonu w ogóle, a wobec nieboszczyka Pelechatego w szczególności. Albo ją przekupili, albo zastraszyli. A tymczasem tu, do Malwy, przyjeżdżała żona Bubeły, Parfena, błagała ją na klęczkach, by zlitowała się nad duszą jej niewinnego męża. Przyjechała na bryczce, z olbrzymim psem, który czekał na gospodynię za bramą komuny. Malwa obiecała Parfenie, że będzie prosić Kły-

ma Synycię, bo ona sama bez poety nie ma przecież żadnego znaczenia.

Gdy zapadała noc, w komunowym ogrodzie błądził wśród białych bogów jakiś cień, nie odważył się jednak wyjść z mroku i przyjść do Malwy. To Dańko przychodził z Abisyńskich Wzgórz i krył się w parku, skąd mógł patrzeć na Malwę. Niekiedy wychodził na balkon ze swego pokoju Kłym Synycia; jego pusty rękaw kołysał się wolno na wietrze. Kiedy widział, że w mansardzie świeci się, wracał do pokoju, brał z kąta wiosło i stukał lekko w sufit. W ten sposób mówił jej dobranoc. Wiedział, że nie jest tam sama, lecz ze swoim poetą... I coraz mocniej utwierdzał się w tym, że wielka miłość jest wieczna, był jednak coraz bardziej zdecydowany przeczekać wieczność...

W piwnicy serowarni dojrzała ostatnia partia sera, zwarzonego jeszcze z letniego mleka przez Wołodę. Czerwone główki przeleżały na półkach siedemdziesiąt jeden dni. Kiedy Malwa je zobaczyła, pociągnęła ją ta rzadka u nas umiejętność. Poprosiła o przeniesienie jej do serowarni. Praca wprowadzie nieciężka, ale przez całe lato smród nie do wytrzymania, dlatego też nie było chętnych do tej pracy ani za czasów Wołodi, ani obecnie.

Wracali z ostatniego jesiennego jarmarku, na którym sprzedano partię sera zwarzonego przez Wołodę. Dańko też kupił główkę, ważyła trzy

funty z dekami, wioził ją teraz w opałce do domu. Malwa ważyła, a kasjer przeliczał pieniądze. Potem Dańko chodził jeszcze po jarmarku, a kiedy wrócił do komunowego straganu, zastał go pustym.

Minął wiele wracających z jarmarku podwód, mając nadzieję, że dogoni komunowy wóz z próżnymi koszykami wiklinowymi po serze. Dopędził Jawtucha z Prisią i dziećmi; starsze szły do szkoły, więc ojciec chciał je obuć na zimę. Chłopcy poznali wujka Dańka, kiedy więc wymijał ich, zawołali:

— Tato, nie dajcie mu się wyprzedzić!

Jawtuch podbechtany przez dzieci szarpnął za lejce, ale Prisia powstrzymała go:

— Gdzie tam waszemu ojcu do wuja Dańka...

Była to mocna ostroga, Jawtuch oszalał razem z końmi. Dopingowany głośno przez dzieci szybko pozostawił Dańka w tyle. Zafascynowana tym Prisia jakoś radośnie się zaśmiała, przygarniając chłopców, żeby nie wypadli z wozu.

Malwa wróciła późno, wstała rano niewyspana, ze śladami zmęczenia pod oczami. Uśmiechała się do siebie i jakby unikała spotkania z Kłymem Synycią, który kręcił się po podwórzu. Kasjer był nią zachwycony, sprzedali ser bardzo szybko; kiedy jarmark osiągał swój zenit, zjawił się Tesla, kupił resztę sera, jakieś półtora główki, i zaprosił ich oboje do siebie. Wypili po jednym, potem pod ser po drugim, pośpiewali — ot i cały jarmark, Kłymie Iwanowiczu...

W przeddzień jarmarku Kłym Synycia otrzymał list z zawiadomieniem, że w Kostromie znowu rozpoczyna się jednoroczny kurs, taki sam, na jakim był swego czasu Wołodia Jaworski. Tylko teraz jest to kurs państwowy, będą na nim wykładać wybitni fachowcy od serowarstwa, wśród nich z Holandii, którą musimy wyprzedzić na rynku światowym. Dyrektor i komisarz kursu wyraźnie przeceniali rolę wytwarzania serów w światowej rewolucji, ale ton listu nie zdziwił Synyci, kiedy ujrzał nazwisko dyrektora kursu. Był to Innocenty Mścisławowicz Sośnin, założyciel tej komuny. List pisany był przez kopię, nie było na nim żadnego dopisku Sośnina. Ani do jego wychowanka, którego nie ma już wśród żyjących, ani do komuny. Czy komuna mu już zobojętniała, czy może coś go zmusiło do zapomnienia o niej? Trzeba tam będzie posłać kogoś odpowiedniego, żeby nie mieli pretensji. Jeszcze kilka dni temu nie pomyślałby nawet o kandydaturze Malwy. Poszedł zaraz do serowarni. Malwa krzątała się tam sama, bielila, sprzątała. Synycia rozpoczął rozmowę o kursie.

— Każdego miesiąca komuna będzie ci poryłać pieniądze. Swoje rzeczy możesz zostawić tutaj, nie zginą. No a potem zobaczymy. A gdybyś nie wróciła... Bóg z tobą... Odwiozę wtedy rzeczy do matki. Przyzwyczaiłem się już do tego, że mieszkasz nade mną... Wiem, że jeszcze nie wydobyłaś się z tej jego miłości i dopiero teraz wierzę, że była naprawdę... Prze-

bacz, jeśli odnosiłem się do niej szorstko czy też bez tej uwagi, na jaką zasługiwała. A różnie z tym bywało...

Następnego dnia sam odwiózł Malwę na stację kolejki wąskotorowej. Z Glińska jeździł pociąg o wagonach małych jak zabawki dla dzieci. Gdy ruszył, Malwa rozplakała się, a Kłym Synycia stał z biczem, uśmiechając się niewinnie. Nie wiedział, że Malwa nie jedzie sama: poczuła już dziecko poety...

Słyszałam już od Wołodi, że ta Kostroma bardzo daleko, trzeba tam jechać kilkoma pociągami, a zimy tam takie białe, jak kostromskie sobory. No tak, Kłymie Iwanowiczu napisze do niego w pierwszym liście. A Sośnin, to ten sam, co założył naszą komunę. Nie wierzy, że Wołodi już nie ma, że byłam jego żoną, więc proszę mu o tym napisać, Kłymie Iwanowiczu... Nie wzięłam kożucha, a tu trudno dostać, a zima taka, że jak się plunie, to ślina zamarza w powietrzu... I polecą, polecą listy z zimnej, białej Kostromy — ciepłe, ludzkie, naiwne i czyste listy Malwy Kozuszej.

Po jej wyjeździe nikt nie zajął mansardy. Komuna przestała wywozić do Glińska czerwone główki sera, który zniknął z rynku. Kłymowi Synyci bardzo było tego szkoda, ale uspokoił się nieco. Jeszcze przez kilka nocy w ogrodzie pojawiała się niespokojnie poruszająca się postać, szeleściła w opadłych liściach, upewniwszy się jednak, że mansarda jest pusta,

zjawia zapomniana, drogi do pałacu. Synycia wiedział, że to Dańko Sokoluk. Objeżdżając w dzień wierzchem komunowe pole, widywał go na Abisyńskich Wzgórzach, jak zawzięcie rozorywał je aż do rudej gliny, żeby mogły się uodpornić i nabrać od wiatrów sił na zimę.

Samotny oracz wyglądał z daleka jak legendarny duch pól. Jego wóz stał pod górą z dyszlem wycelowanym w wilgotne niebo, jakby tam pokładał jeszcze jakąś nadzieję. Kiedy zaczynało mżyć, a takie mżawki o tej porze przenikają całe ciało kłującym zimnem, zakładał na głowę worek i wtedy zlewał się zupełnie z rudą ziemią; zdawało się wówczas, że konie same orały.

Dopiero w porze obiadowej przebijał się tu przez cudze miedze Łukian, przynosząc bratu gorący obiad. Szedł pod wiatr, walcząc z nim jak ptak, z szarym węzełkiem w rękach, w ciężkich butach oblepionych błotem. Kiedy Dańko jadł pod wozem obiad, Łukian nakładał worek, stawał u pługa i orał nadal to bezpłodne pole. Orali zawzięcie aż do pierwszych śniegów. Zao-rali też dziesięcinę Malwy.

Śnieg zawiął denikinowski rów, narzucając na zarośla smutny, uroczysty biały płaszcz. Tylko blekot stał z rozpękniętymi torebkami nasion, jakby zmartwiony, że nie zdążył ich rozsiać. Spokój i biel, od której oczy bolą aż do łez i pustoszeje dusza... Konie parują, sanie — jeszcze pańskie — suną lekko, zima wyczaruje swoje fantazje.

Tego zimowego, niedzielnego dnia Kłym

Synycia jedzie do Glińska, by nadać na pocztę kożuch dla Malwy, która jakby przeniosła się na inną planetę. Jest w nim jakaś czystość uczuć, lekko macona przez podświadomy niepokój.

Nad Glińskiem snuł się słomiany dym.

W długiej szubie, podbitej futrem, spieszy do pracy Filip Macedoński. Wiatr odgarnia połę szuby, ukazując ognistorude futro; mógł się na nie złożyć również jego własny piesek, którego nepmani obrzucali kamieniami z nienawiści do jego pana. Kramy nepmanów stały zabite na głucho, na niektórych były żelazne żaluzje opuszczone już na zawsze. Na jarmarczonym placu wiatr zerwał tej nocy daszek z komunowego straganu, gdzie na półkach nieszybko pojawiają się czerwone główki sera o przynajmniej europejskiej sławie.

Synycia nadał na pocztę paczkę, którą wręczył samemu naczelnikowi poczty. Charyton Hapoczka zainteresował się jej zawartością, postawił na niej stempel glińskiej poczty, zauważając mimochodem, że kożuch może w drodze przepaść, bo teraz już nie ta poczta, co dawniej, za cara.

Wieże konkurencyjnych dzwonnicy stały w śnieżnym milczeniu, gotowe w każdej chwili bić na alarm, jeśli zajdzie potrzeba. Maksym Tesla, ranny ptaszek, oczyścił ścieżkę od ganku do furtki. Koło młyńskie uwieszone przez lód, już nieruchome, umierało, było więc jakoś dziwnie w tym zakątku Glińska. Złodowaciał ten Bug, po którym snuli się teraz mali i żwawi

ludzie w wyprawionych, czarnych i białych kożuszkach, wyglądających z daleka jak kominiarze i młynarze.

Do niedawna Tesla też chodził na przełaj przez lód. Odważył się na to jeszcze przed innymi, kiedy lód załamywał się i trzeszczał pod nogami. Teraz lód pogrubiał i trząsał z hukiem, budząc po nocy Glińsk z zimowej śpiączki.

Kłym Synycia wjechał w śnieżną chmurę, powstała przy bramie od miotły Tesli. W Glińsku nastawała sroga zima, a wraz z nią kłopoty z opałem. Stojąca na podwórzu komitetu sterta słomy była już mocno oskubana, po jej białej czapie przebiegła dziś w nocy łasica.

Oczyszczoną ze śniegu ścieżką Tesla poprowadził gościa do wnętrza, by ogrzał się z drogi. W domu było ciepło i cicho jak w uchu. Olbrzymi fikus czuł się na korytarzu jak u siebie w domu. W mieszkaniu Snihurów już się nie mieścił, więc zanim jeszcze nastały mrozy Tesla przewiózł go tu. Niech pomieszka w komitecie do wiosny. Sam też przeniósł się teraz tutaj, chociaż właściwie mógł to zrobić znacznie wcześniej.

Konie Kłyma Synyci, przykryte ciepłymi kraśnymi pledami, przestały na podwórzu komitetu prawie pół dnia, podczas gdy ich gospodarz wraz z Tesłą, Rubanem i innymi, zaglądając od czasu do czasu przez mały skrawek czystej szyby, odchuchanej w dziwacznym białym kwiecie, suszyli sobie głowy, jak ze starego Babilonu zrobić nowy. Kiedy roztajała szyba pokrywała

się znów szronem, ktoś podchodził i chuchał na nią. Trwało to aż do zmierzchu, dopóki Tesla nie zapalił miedzianej lampy z pękatym szkłem.

— Nie odstępimy od tego za żadną cenę, nawet gdyby poszło na to całe nasze życie! — zreasumował twardo Maksym Tesla.

Na dworze szalała zamieć. Konie same schroniły się w zaciszny kąt podwórza. Tesla uspokoił wszystkich zapewnieniem, że na podwórzu stoi sterta słomy i nic się nie stanie, jeśli przyniosą sobie słomę i zanocują u niego. Muszą przecież w wyobraźni doprowadzić tę wspaniałą budowlę do końca, bo to nie żadna fantazja, tylko żywa rzeczywistość prostych ludzi.

C Z Ę Ś Ć D R U G A

ROZDZIAŁ I

Kiedy Sawka Czybis, czując zbliżającą się zimę, zdejmuje huśtawkę, jej sznury są już lodowato zimne. Wiadomo wówczas, że zaczyna się późna jesień babilońska.

U Sokoluków o tej porze dni mijają szybko, jednakowe i równe jak skiiby w orce. Nie ma ni wypoczynku, ni wytchnienia, zapomnieli już, jak ludzie żyją, a Babilon razem ze swoimi sprawami jakby odpłynął w przeszłość.

Dniem i nocą ciągnęły sennie do Żurbowa wozy naładowane burakami cukrowymi, zaprzężone w nędzne konie, przy nich szli woźnice, człapiąc w błocie. Wyglądało to jak olbrzymi pogrzeb jesieni. Nikt jednak się nie smucił, nie upadał na duchu, bo cała ta katorżna praca miała się obrócić w pieniądze. Sokolukowie nie uprawiali buraków, nie było do tego rąk kobiecych, więc odległe buczenie cukrowni przypominało im tylko o ponoszonych stratach. Nawet Jawtuch odwiózł do Żurbowa kilka wozów, pieniądze posypią się teraz do domu, jak manna z nieba. Nie darmo mówią,

że w każdą pracę trzeba włożyć jeszcze bodaj krztynę pomysłowości. No więc orał Dańko Abisyńskie Wzgórza głęboko, pod buraki, a o kobiecych rękach pomyśli się zimą, po Jordanie, kiedy posyła się swaty do wcześniej upatrzonych babilonianek. Jak dotąd Sokolukowie nie mieli jeszcze nikogo na oku. Tylko Dańko co pewien czas błakał się nocą pośród białych komunowych bogów.

Wracał do domu późno, zmordowany, upačkany błotem, byle jak się mył i po kolacji, nie rozbierając się, padał na snop słomy, przyniesiony przez Łukiana ze stodoły na podpałkę. Żeby się chociaż rozzuł, gderał w duchu Łukian. Już z na pół sennego zdejmował buty, które potem mył i suszył przy kominie, a rano smarował dziegciem, żeby nie przepuszczały wody. A jednak nie zdarzyło się, by Dańko kiedykolwiek okazał za to bratu wdzięczność, przyjmował te usługi jako w sposób oczywisty jemu należne. Ale to numer z tego mego braciszka, myślał Łukian za każdym razem, gdy mu czyścił buty. Obydwa obcasy były wykrzywione w lewo, a nosy w prawo; to od chodzenia po Abisyńskich Wzgórzach, od chodzenia bruzdą za pługiem, ciągle jednakowo. I jak tu nie zadbać o buty takiego oracza, nawet gdyby nie był bratem.

Łukian też nie próżnuje. Zwłaszcza w te dni, kiedy niezależnie od wszystkich innych zajęć gospodarskich trzeba jeszcze upiec chleb, co przypada zawsze pod koniec tygodnia. Chleba jedzą dużo, samemu Dańkowi ledwie starcza

bochenek dziennie, a wpada jeszcze na podwieczorek Fabian, no i Prisia niemal codziennie pożycza chleb, mimo że go nigdy nie oddaje.

Po wyprawieniu Dańka w pole Łukian zabierał się zaraz do palenia w piecu, pamiętając zalecenia matki, by przy wykonywaniu tych czynności zachować odpowiednią kolejność. Więc po snopku słomy, pachnącej jeszcze Dańkiem, wrzucał na palenisko wiśniowe gałęzie i dopiero wówczas zakasywał rękawy i zaczynał miesić ciasto, które już w dzieży urosło. Ciasto twardniało, myśli szły w zawody z goniącymi za oknami chmurami. Gdzieś tam są Turksyby, Traktorobudy i inne światy, o których wieści docierają do Babilonu, a on dzień za dniem musi tu dreptać w tej pradziadowskiej chacie, z której prawdopodobnie już nigdy się nie wydostanie i tak skapcanieje przy Dańku, przy kaganku, przy tej dzieży dębowej, w której z pokolenia na pokolenie pozostawiało się rozczyn, żeby zachować ciągłość i by ludzie nie musieli wracać do przasnego chleba. W czasach zamierzchłych tylko ogień podtrzymywano w ten sposób. Trzeba było zresztą dbać nie tylko o siebie, ale i o zapominalskiego sąsiada czy raczej sąsiadkę, żeby potem nie musieli biec po rozczyn na górny Babilon.

Kiedy skończywszy miesić Łukian chciał oczyścić z ciasta ręce, nagle zaczęła ujadać na podwórku czujna Muszka, po czym rzuciła się do bramy. Łukian wybiegł na ganek z ciastem na rękach. Przed bramą stała bryczka, siedziała

w niej jakaś kobieta otulona płaszczem, na przodzie woźnica, wąsał, w wysokiej czapie baraniej i samodziałowej świtce z odrzuconym kapturem. Konie w uprzęży prychały, na ujadającą Muszkę i przebierały nogami. Łukian bezwiednie schował pod fartuch rękę powalaną ciastem i pobiegł przegonić Muszkę.

Kobieta zsiadła z bryczki takim ruchem, jakby przez całe życie nią jeździła. Była to Malwa Kozusznia. W zwykłych butach, w ciepłej kraciastej sukni, w podróżnej chustce i w zielonym płaszczu z żaglowego płótna, bardzo długim, na pewno nie na nią szytym, z podwiniętymi rękawami. Łukian marzył zawsze o takim płaszczu na słotne dni, chociaż jednym na nich dwóch. Malwa nie mogłaby zrobić w nim ani kroku, gdyby nie odrzuciła ręką połów płaszcza do tyłu.

— Zobaczyłam, że się u was pali, to znaczy że jest ktoś w domu...

— Wchodź do środka. Bywałeś tu kiedyś. Dańka co prawda nie ma. Jestem sam...

— Zaczekajcie, Juchymie — zwróciła się do woźnicy. — Kto wie, kiedy znowu się zobaczymy — rzekła do Łukiana.

— Chciałabyś całkiem wyjechać z Babilonu?

— Może i całkiem... Czy tyle tylko świata, co tu?

Łukian spojrzał na tobołki, którymi była załadowana bryczka, i pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Ale płaszcz, to na ciebie za duży... — zauważył.

— To Kłyma Iwanowicza. — Malwa zaśmiała się.

— No jak ci tam, w tej komunie? W tym twoim gołębniku? Czy może przeniosłaś się już niżej? — Łukian uśmiechnął się zza okularów.

— A dokąd to, niżej?

— Do Kłyma Synyci... Dokąd by indziej... On samotny, ty samotna... Chyba jesteś sama?

— Nie, Łukianie. Nie jestem sama...

— Daj spokój, Małwo... Nieśmiertelni są tylko bogowie, i to dlatego, że ich w ogóle nie było...

— Nikt nie rozumie poetów. Ni królowie, ni prości ludzie. Zabili Wołodię... I czy przez to coś się zmieniło w Babilonie? Wcześniej czy później komuna tu i tak przyjdzie.

Chociaż chałupa Sokoluków wydała się Malwie zaniedbana i zapuszczona, gliniana podłoga była czarna, zakurzona, wyczuwało się w tej chacie mężczyzn, tych od ziemi i twórczej pracy, pachniało dymem z wiśniowego drzewa i żytnim ciastem, które właśnie wypuściło ostatnie banieczki powietrza, by opaść.

Tępą stroną noża zrobionego z kosy Łukian wyrównał ciasto i opłukał w kociołku ręce. Malwa tymczasem zdjęła płaszcz, poprawiła szczypcami żar w piecu, podeszła do dzieży, chwyciła ją oburącz i przeniosła z ławy na przypiecek: powinien przecież wiedzieć, że w cieple ciasto szybciej rośnie.

Łukian przyniósł z komory bimber, który trzymał dla Dańka, w razie gdyby się przezię-

bił, postawił na stole późne antonówki, duże, lśniące jak morskie perły, z tych, których Jawtuchowe dzieci nie zdążyły strząsnąć, nalał dwa kieliszki i przypomniawszy sobie, że nie ma chleba, postanowił upiec podpłomyki. Podczas gdy on przygotowywał palenisko, Malwa dmuchnęła na łołatę, przysypała ją mąką, w mig wyrobiła podpłomyk, który nie lepił się do rąk, bo podsypywała go mąką, i po chwili w mieszkaniu zapachniało chlebem. Malwa wydobyla podpłomyk z pieca, położyła na stole, rozłamała na kilka kawałków — zapachniał jeszcze mocniej.

Coś jednak jest w tej Malwie, pomyślał Łukian, kiedy stuknęli się kieliszkami.

Jak pięknie i niewymuszenie wpisała się w jego dzień, taki szary i przygnębiający jak fala morska, która wpadła na dno i nagle wyłoniła się na powierzchni i zaśniła barwnie. Wydawało się, że całe szczęście Babilonu skupiało się w niej, w Malwie: kiedy jej zabrakło, życie poszarzało, zgorzkniało, sprzaśniało jak ciasto bez rozczynu, bez drożdży. Przyznała się Łukianowi, że jedzie daleko, aż za Moskwę, na te same kursy, które kiedyś ukończył Wołodia Jaworski. Jedzie jako jedyna z całej komuny. Taki honor!

Dopiero przy bramie poprosiła:

— Nie mów Dańkowi, że byłam tu. I niech zostawi w spokoju bogów... Bywaj!

Palenisko iskrzyło się, kiedy zgarniał z niego wiśniowy żar. Wyrabiał bochenki ogromne, na całą łołatę, takie, jakie upieklaby Malwa.

Kiedy wrócił Dańko, nie wierzył, że brat sam je upiekł. Na rumianych bochenkach odcisnięte były szyszki. W te właśnie wgłębienia po szyszkach Dańko bardzo lubił wcierać sadło i czosnek. Była to dla niego wspaniała wieczerza, zresztą całkiem zasłużona, bo dziś wdarł się wreszcie z pługiem na sam dach Abisynii.

Zapach kolacji przepełnił mieszkanie, skazując na prawdziwe męki kota Tyrana oraz Muszkę, która z sieni łypała białkami przez uchylone drzwi. Ale tego wieczora zapomniano o zwierzętach domowych. Obydwaj bracia, ani wspólnie, ani oddzielnie, nie mogli się zdecydować, jak mają dalej postępować z babilońską pastuszką. Łukian, niewątpliwie pod wpływem odwiedzin Malwy, uważał, że jeszcze jedna osoba w domu wcale nie będzie im przeszkadzać, łóżko z dwiema stertami poduszek i tak stoi nie zajęte, a jeśli człowiek ma gdzie spać, bracie, to ma gdzie żyć. Chodzi jednak o to, żeby ta dziewczyna nie przyczepiła się do którego z nich. Łukian jednak nie obawia się tego: a cóż to, my, bracie, nie mężczyźni? Czy nie potrafimy na tyle panować nad sobą, żeby pakować się w jakąś biedę? Dańko, jako starszy brat, odnosił się do tego z dużą ostrożnością, nie ścierpiałby najmniejszych nawet zalecanek do Darynki, ani swoich, ani Łukiana, muszą traktować ją obaj wyłącznie jak służącą, a nie broń Boże jakoś inaczej.

Tak się przekonywali i radzili, a kiedy położyli się spać — Łukian na pryczy, Dańko na słomie — było im jakoś dziwnie, że następnej

nocy będzie tu spać jeszcze ktoś trzeci — na łóżku i że poduszki trzeba będzie złożyć na skrzyni, bo Darynce wystarczy przecież jedna.

Rano Łukian dołączył do trzody Darynki ich małą krowę Kozę z grzecznym cielątkiem o białych nóżkach i nie dając pastuszcze dojść do słowa — ani gwizdnąć po chłopięcemu, ani powiedzieć coś złośliwego pod ich adresem — ukłonił się i rzekł niezwykle uprzejmie:

— Darynko, wiesz przecież, że obaj jesteśmy samotni jak palec i że nie mamy nikogo bliższego od ciebie.

Darynka zaśmiała się ładnym, chłopięcym śmiechem.

— Taka wam jestem bliska, jak dziesiąta woda po kisielu. Jeśli już chcecie wiedzieć, to nie ma dla was nikogo bliższego od Prisi. No i dzieci, jak mówią, połowa waszych.

— Bzdura. To wymysły Jawtucha. Prisia nie może stać się dla nas bliższa, niż jest. A ty możesz. Dańko prosi i ja proszę.

— Jak to sobie wyobrażacie?

— Przeniesiesz się do nas na stałe. No, jak by ci to powiedzieć...

— Służąca? — Darynka spochmurniała. — Niedoczekanie wasze!

— Nie, będziesz po prostu Darynką.

— Dla kogo? Dla ciebie, czy dla Dańka? Ciebie nie pokocham, a Dańka się boję. A zresztą nie jesteście mi potrzebni. Świat wielki, jak przyjdzie czas, to wybiorę sobie takiego, jakiego zechcę.

— Ho, ho, toś ty taka, Darynko?

Błysnęła oczyma i poszła, a Łukian, zbity z tropu, zamknął bramę, by skryć się przed złośliwym spojrzeniem pastuszki.

Dańka już nie było, wstawał razem ze słońcem. Łukian ubrał się cieplej, bo do Darynki wyszedł w samej wyszywanej koszuli, i ruszył przez łąkę na Tatarskie Wały (nazwa pochodzi stąd, że kiedyś poległo tu mnóstwo Tatarów) do Fabiana, by go się poradzić.

Chatynka Fabiana tonęła w zaroślach krwawnika, dzikiej róży i bodiaków tak gęstych, że Łukian w życiu podobnych nie widział. Ogródek stał przy niej cały w dużych słonecznikach, wyjadanych przez wróble, które od niepamiętnych czasów chmarami obsiadały Babilon; puste tarcze słoneczników świadczyły wymownie o przychylności Fabiana do tych odwiecznych mieszkańców Babilonu. Z okna jego domu widać było Pryćkie jak na dłoni. Dalej ciągnęły się inne wsie, mało Łukianowi znane.

— O Boże, jak pan wysoko mieszka.

— Kiedyś była tu forteca, a gdy karmelici bosci spalili ją, mój praszczur zbudował sobie tę chatynkę. Stoi już trzysta, czterysta, a może i pięćset lat.

Znając skłonność Fabiana do przesady Łukian nie kwestionował tego, zwłaszcza że filozof zajęty był poważną pracą: robił krzyż dla Pryckiego. Obiecał zrealizować to zamówienie do święta patrona cerkwi pryckiej, wziął nawet niewielki zadatek, no i musi zdążyć na czas.

Właśnie teraz wycinał Boże usta, które, jak wiadomo, po śmierci nic już nie powiedziały umęczonej ludzkości.

— A ty sam, Fabianie, wierzysz?

— Wierzę, że był taki człowiek. Bardzo nam zresztą bliski. Ale potem apostołowie zniekształcili tę postać. A w ogóle, Łukianie, to nie ma nic gorszego od apostołów. Wszystko wyolbrzymiają i wszystko przekręcają. Więc strzeż się bardziej apostołów niż bogów. Przyniosłeś może co? Bo tak mi się nie chce schodzić na dół...

Łukian postawił na warsztacie butelkę, położył kawałek słoniny i sporą skibę chleba z wczorajszego wypieku. Fabian natychmiast przerwał bogotwórstwo, wyjął ze starego kredensu kieliszki. Podczas tej godnej zazdrości uczyty wśród wielu problemów światowych znalazło się w rozmowie również miejsce na Darynkę. Fabian podjął się wziąć sprawę dziewczyny na siebie, wiedział bowiem, że ma niemal mistyczny wpływ na skrzywdzonych i nie urządzonych.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Fabian wspiął się do wiatraków, gdzie stał już jego cap, zamyślony i rozmarzony, czekając na trzodę, która zbliżała się wzbijając tuman kurzu. Z daleka trzoda przypominała pułki tartarskie idące w zwartym szyku bojowym.

— Gdzie się włóczysz, próżniaku? — spytał Fabian.

Oczywiście nie otrzymał odpowiedzi, w oczach capa była natomiast uprzejma, lecz stanowcza

prośba, by nie przeszkadzano mu w spełnieniu ważnego obowiązku: musi stanąć na czele trzody i poprowadzić ją przez całą wieś tym patetyczno-uroczystym krokiem, którego, znaczenie pośród tej całej bezdusznej armii może docenić tylko on jeden.

Kiedy trzoda osiągnęła wiatraki, cap pozostawił swego pana i poszedł przodem, Fabian zaś czekał na Darynkę, która szła w znacznej odległości z kilkoma pastuszkami, prowadząc na sznurze czyjeś cielątko, jedno z tych, co próbują ciągle oderwać się od stada i zanocować w polu. W swoim stadzie miała kilka takich naiwnych, niedoświadczonych cielątek.

— Był u mnie Łukian, prosił, żebym z tobą porozmawiał. No więc posłuchaj mojej rady: powinnaś pójść do tych lucyferów, a nuż przypadniesz jednemu z nich do serca? Nie będziesz przecież wiecznie pastuszką babilońską, bo żaden z nich się z tobą nie ożeni. Powoli jednak wszystko ułoży się samo. Malwa Kozusznna odeszła od Dańka już na zawsze, a te grzeszki Prisi Jawtuch sam wymyśla, pozostajesz więc jedyną pretendentką do sokolukowego tronu; posłuchaj więc rady doświadczonego człowieka, który zatańczy jeszcze na twoim weselu, jeśli go zaprosisz...

Fabian nie musiał zresztą mówić tak wiele i z takim zapalem. Po dzisiejszej rozmowie z Łukianem ciągle wyobrażała sobie, jak gospodarzy w Sokoluków, jak szatkuje kapustę, kisi jabłka i kawony, doi pokorną Kozę, pierze bieliznę, pali w piecu zbliżając twarz do rados-

nego, wonnego ognia, podlewa kwiaty i w ogóle czuje się gospodynią całą gębą, taką jak najprawdziwsze gospodynie babilońskie, a w niedzielę, ubrana odświętnie, na siedzeniu zasłanym kilimem, jedzie razem z braćmi lub jednym z nich na jarmark do Glińska, a może nawet i do cerkwi Zwiastowania. W tym momencie Darynka uświadomiła sobie, że nie umie się modlić, no ale poprosi Ojczenaszkę, to ją nauczy pacierza i wówczas wszystko będzie jak trzeba. Ogarnęło ją cudowne, nie znane dotąd uczucie, które nie opuszczało jej przez cały dzień... Jednak w miarę zbliżania się wraz z trzodą do domu Sokoluków wrastała w niej jakaś wrogość do nich.

— No to kiedy się tam przeniesiesz, Darynko?

— Może nigdy — odpowiedziała.

Jesień i bieda zagnały jednak dziewczynę do domu Sokoluków. Przyszła do nich podczas odpustu w podartych łapciach, z pryszczami na kolanach i położyła w kącie swoje rzeczy, które zmieściły się w pastuszej torbie.

— No więc przyszedłam... Nie rozmyśliliście się jeszcze? — spytała swym chłopięcym głosem trochę zaczepnie, a trochę z poczuciem winy.

Bracia przyjęli dziewczynę jak należy. Napomknęli też o tej żabie, którą oczywiście niechcący przyniosła z wodą, kiedy tu poprzednio gospodarowała; żabka przez długi jeszcze czas żyła sobie w beczce z wodą i sami nie wiedzą, gdzie się potem podziała...

Dańko, uważając się za głowę domu, zapędził

dziewczynę zaraz do roboty, a sam zaczął szykować się do wyjścia na huczne uroczystości odpustowe, które odbywały się koło miejscowej dzwonnicy. Wydobyl ze skrzyni nowe złote chromowe buty, które dopiero jeden raz miał na nogach, oraz starą odzież po ojcu i bez żadnego wstydu zaczął się przy Darynce przebierać. Chciał jej przez to dać do zrozumienia, że jest tu tylko służącą, wobec której nie trzeba się krępować. Łukian, który czyścił szmatką do połysku swoje stare buty, widząc to omal nie spalił się ze wstydu. Potem wziął czystą koszulę i demonstracyjnie wszedł z nią do komory przebrać się. Na to Dańko zaśmiał się i umyślnie spuścił zupełnie kalesony, demonstrując to, co zakrywały.

— Tfu! — Darynka splunęła i wybiegła z mieszkania.

Kiedy Łukian wróciwszy z komory nie zastał już dziewczyny, z gniewem zaatakował brata, który ciągle jeszcze stał na środku izby w bieliźnie, tylko już czystej, brudna leżała pod nogami.

— Ależ z ciebie kawał drania, Dańko! I to jeszcze do cerkwi się wybiera.

— A co, chcesz mnie pouczać? Mnie? — Dańko z oburzeniem bębnił po włochatych piersiach. — Ty ślepy capie! — Dańko zdzielił go zdrowo.

Łukian nie pozostał dłużny i dał mu w kark. Zawrzała krótką, ostrą bójka, w wyniku której Dańko wylądował w skrzyni, a Łukian wyskoczył jak z procy do sieni, gubiąc okulary. Stało

się to wszystko tak nieoczekiwanie i tak błyskawicznie, że obaj roześmieli się, nie czując już do siebie żadnej złości.

Darynka, która była w stajni, myślała, że oni z niej się tak śmieją i wsparta o słup do wieszania upręży gorzko zapłakała. Lejce zalały końskim potem i jeszcze czymś nieprzyjemnym, chyba grudą końską. Darynce przypomniała się jej kasztanka, przypomniało się dzieciństwo, wspomnienie o nocnych wypasach koni nabrało baśniowych kształtów, przypomniał się Dańko, który był wtedy dla niej najlepszy spośród wszystkich buńczucznych parobków i on jeden nie natrząsał się z niej. A teraz nie można go poznać, co się z nim stało? Otarła łzy i czując wzbierającą znów falę gniewu poszła do mieszkania. Szybko spakowała do torby swoje rzeczy.

— Nie będę u was służyć, niech was diabli wezmą! — zawołała.

Łukian podszedł do niej, prosił, błagał, chwycił za ręce — on jeden tylko wie, jak obrzydły mu już te roboty domowe. Dańko jeszcze się wahał, ściągał chmurnie brwi, słysząc jednak błagania brata rozjaśnił się i też podszedł do Darynki. Podszedł i skamieniał z wrażenia. Jeszcze nigdy nie patrzył na nią z tak bliska. Niebieskie oczy dziewczyny pociemniały rzucając gniewne błyski, drżały nozdrza ładnego, lekko zadartego noska obsypanego piegami, nadając całej twarzy pociągający wyraz, górna warga z puszką odęła się gniewem, podkreślając tylko jej gładkość i delikatność.

— Przebacz mi, Darynko! — powiedział z szczerością w głosie. — Zupełnie zapomniałem, że jesteś w domu. Przywykłem do tego, że jesteśmy z bratem sami... Od dziecka kąpiemy się w jednej niecce...

Łukian energicznie zabrał od niej torbę z rzeczami, a Dańko ujął delikatnie rękę dziewczyny i posadził ją na ławie. Spojrzenie jej padło przypadkowo na mały portret Szewczenki, obramowany wyszywanym, ale zakurzonym ręcznikiem. „Najmitka” — właśnie tytuł tego opowiadania wypłynął z pamięci. Nie, Darynka nie czuła się w tej chwili najmitką. Była przekonana, że ujarzmiła obu braci swoim gniewem. Albo będą ją tu traktować jak gospodynię, albo pójdzie precz tułać się nadal wśród dobrych i złych ludzi. Energicznie wyrwała swą dłoń z ręki Dańka, podniosła się z ławy i przez chwilę stała dumna, władcza i pełna godności. Bracia odwrócili się, by ukryć przed nią i wzajemnie przed sobą, jeśli już nie upokorzenie, to przynajmniej zakłopotanie. Wyszli razem z izby z nieokreślonym poczuciem ni to wstydu, ni to niepokoju.

Niemal cały Babilon, zebrany na placu przed świeżo poświęconą, pobieloną kaplicą, mówił o Sokolukach. Dowcipnisie pytali braci, komu mają gratulować: starszemu, młodszemu czy też obu jednocześnie? Jak Babilon Babilonem nie zdarzyło się jeszcze, by dwaj bracia mieli jedną narzeczoną, a przecież we wsi dziewcząt mnós-

two, co prawda bogatych jest mało, a biedne przekwitają jak maki.

Dańka i Łukiana osaczyło tyle podstępnych pytań i złośliwych spojrzeń, że bracia, nie czekając na zakończenie święta i nie wypiwszy należycie z tej okazji, pomknęli do domu, by pozbyć się Darynki. Postanowili ją przeprosić i skłonić do wyprowadzenia się od nich na zawsze, by w ten sposób z miejsca łeb ukręcić wszelkim plotkom. Kiedy jednak otworzyli drzwi i weszli do mieszkania, od razu uleciały wywołane przez Babilon skrupuły i wątpliwości.

W mieszkaniu pojaśniało, wszystkie ciemne zakamarki znikły, glinianą podłoga była czysta i świeża, Darynka posypywała ją suszonymi ziołami znalezionymi w stodole, znikła pajęczyna, obrazy i portrety były odkurzone, a sprawcy tych porządków myła w niecce włosy lubczykiem, którego woń rozchodziła się po całej izbie. Bracia tylko niemo spojrzeli po sobie. Po umyciu włosów Darynka długo stała przed kawałkiem starego lustra, wmurowanym w ścianę, rozczesując puszyste długie włosy, na których lato pozostawiło złote refleksy.

Nadeszła niespokojna dla wszystkich noc. Nawet świerszcz zamilkł słysząc przyspieszone ludzkie oddechy. Dańko, jak zwykle, pościelił sobie na ziemi na przyniesionym ze stodoły dużym zimnym snopie, Łukian rozłożył dla siebie płachtę na ciepłym przypiecku, Darynce zaś zaproponowali łóżko, przekładając na skrzynię całą stertę poduszek, niezbyt czystych, za du-

zych i dlatego nie nadających się pod głowę; wszyscy spali więc na małych, mocno sfatygowanych, ale wygodnych jaśkach. Po incydencie żaden z braci nie ośmielił się już rozbierać przy świetle. Ale nawet kiedy Łukian zgasił już lampę, Darynka ciągle jeszcze nie zaczęła się rozbierać. Nie miała bowiem porządnej koszuli, wreszcie położyła się cicho w ubraniu. Wówczas Łukian przypomniał sobie, że w skrzyni jest sporo bielizny po matce, która bardzo o nią dbała; po co ma zetleć w skrzyni, Darynce na pewno się przyda. Odczekał więc, aż Darynka zaśnie, a wówczas zlaźł cicho z pieca i przysiadł się do brata, by poradzić się i uzyskać jego zgodę.

— No to jak, idzie czy zostaje? — spytał Dańko szeptem.

— A co, czy ona nam przeszkadza?

— A ludziom? — burknął Dańko.

Długo jeszcze szeptali na snopie. Łukian nie powiedział wprawdzie nic konkretnego, posiał jednak w bracie wątpliwości. Kiedy się już naszeptali, wrócił na przypiecek, zdjął okulary, położył je na gzymsie, ale zasnąć nie mógł. Przez całą noc mamły go jak odległe gwiazdy drżące ogniki niebieskich oczu dziewczyny, których promienie zapuszczały się głęboko w jego serce.

Po tej nocy Łukianowi wszystko się w Darynce podobało — jej piegi, kuszący puszek nad górną wargą, a nawet jej nieco ochrypły, a jednocześnie miękki głos, jakiego dotąd nie słyszał u żadnej dziewczyny.

Następnej nocy, kiedy brat zachrapał potężnie, Łukian wyszeptał:

— Darynko, śpisz?

— Nie śpię — odrzekła cicho.

— Położyłem ci pod poduszkę czystą koszulę.

— Włożyłam ją...

— W skrzyni jest ich pełno, możesz je nosić, nie są nam potrzebne.

Darynka coraz bardziej dbała o swój wygląd, ale jeszcze bardziej o mieszkanie, w którym niepostrzeżenie stała się gospodynią. Wyczyściła zakopcony piec i pomalowała go na gorący kolor słońca, a kominek ozdobiła takimi pawiami, że bracia oniemieli z zachwyту. Darynka przyznała się, że widziała takie cuda niedaleko stąd, w domu Malwy Kozuszej, która sama je malowała. Muszą jej wierzyć na słowo, bo nie byli przecież nigdy w domu Malwy, „Zingerka” bowiem niechętnie przyjmowała obcych. Dańko słuchając tego dopiero teraz uświadomił sobie, że Malwa uważała go za obcego.

ROZDZIAŁ II

Przyjechał dziś do Babilonu krytymi sańmi Kłym Synycia. Koło wiatraków konie wpadły w zaspę i z trudem się z niej wydobyły. Z wiatraka wyszła w kozuchu Ojczenaszka, która jest tu teraz stróżem. Powiedziała, że jak żyje, nie pamięta takiej ostrej zimy. A do domu „Zingerów” jeszcze trudniej przedostać się niż tu, do wiatraków. Zasypało uliczkę, podwórze i dom

po same okna, ktoś jednak przebił się, bo są ślady. Synycia pomyślał, że jednak ktoś o starej pamięta. Miał przekazać jej list od Malwy, który przyszedł do komuny. Malwa skarży się, że w Babilonie Bonifacy czyta cudze listy. Nawiwna! W Glińsku robi to przed Bonifacym sam naczelnik poczty, były poczmistrz Charyton Hapoczka, który ma do tego wrodzone zamiłowanie. Komitet potępił te jego stare nawyki, jednak Hapoczka czyta te listy, chociaż robi to już ostrożniej.

Synycia zostawił konie obok rady gromadzkiej pod opieką Sawki, sam zaś pobrnął do Kozuszej przez zasy przetartą przez kogoś ścieżką.

Sawka przykrył konie derkami, zawiesił na dyszlu opalkę z obrokiem, usiadł w saniach na tylnym siedzeniu i zaśmiał się, wyobraziwszy sobie, że jest Bóg wie jakim panem. Sańmi zainteresował się też Bonifacy, który dokładnie je oglądał, obmacywał, mierzył detale rozwartą dłonią, chcąc dociec tajemnicy budowy tego zapomnianego już dziś modelu sań, lekkich dla koni i zacisznych dla ludzi.

— Przydałyby ci się, Sawko, takie sanie, co?

Sawka nie znał innych prócz gruszowych sanek swego dzieciństwa. Nic jednak nie mogło się z nimi równać, kiedy wyciągnęło się je na najwyższą górę i potem z szaleńczą szybkością leciało się na nich w śnieżną babilońską topiel. Sawka pamięta Bonifacego jeszcze z tych dziecięcych szaleństw saneczkowych, kiedy ten zjawiał się z sankami, jednak schodził z nimi

z góry, bojąc się rozbić. Już od dzieciństwa Bonifacy był dla Sawki chyba największą zagadką babilońską.

Dziś również sam Babilon był dla Sawki prawdziwym labiryntem: wszędzie tylko ścieżki, ścieżki, ścieżki — sroczę, psie i ludzkie. Te ostatnie toruje najpierw Sawka, za nim udeptują je uczniowie, po nich głodne babinki babilońskie spieszą do bogatych domów na posługi, a dopiero potem chodzą już swobodnie inni babilończycy.

Co to jest, do licha... Przebijają drogę najślabsi, chociaż powinno być przeciwnie, myśli Sawka, siedząc w Kłymowych saniach.

Sekretarz cmoknął, mlasnął językiem tak głośno, że aż echo poszło, widocznie doszedł do tego, jak zrobić takie sanie, i ruszył na obiad, w czym był tak dokładny, że według niego można było regulować mniej dokładny zegar urzędu gromadzkiego, ale Sawka go zatrzymał. Zdjął derki z koni i opalkę z dyszla, usiadł na przodzie i ujął lejce. Wszystko to trwało zaledwie chwilę, Bonifacy nie zdążył nawet pomyśleć, zaoponować, wskoczył szybko na tylne siedzenie i Sawka powiózł go przez Babilon na obiad.

Takiemu to dobrze, zajada sobie teraz obiad w ciepłym mieszkaniu a on, Sawka, marznie tu na saniach, słuchając przenikającego go na wskroś wiatru i prychania oszronionych koni. Sawka przykrył je znowu i raz po raz spoglądał na chatę Kozuszných, czy nie wyjdzie stamtąd Kłym Synycia. Nie wychodzi, a więc stara

Kożusznia częstuje go pewnie za list od córki pierogami z kaszą hreczaną albo jakimś innym smakołykiem. Jeszcze do tej pory słynie jej kuchnia, którą Orfeusz Kożuszny, wędrując po świecie, uzupełniał za każdym razem niezwykłymi i nie znanymi tu potrawami. On sam przyrządzał psa po mandżursku tak smakowicie, że woń tej potrawy napełniała całe podgórze, nikt jednak poza nim jej nie tknął. Bonifacy co prawda nie lubi żadnych tam nowinek kulinarnych, człowiek przywyka do potraw jak do dni, nie ulega jednak wątpliwości, że miał na obiad smakowity barszcz z baraniami żeberkami, a na drugie były pierogi z kapustą. Powiadomił o tym Sawkę jeszcze z rana: „Zamówiłem dziś u Zosi pierogi z kapustą”. Sawka zaś piekł dziś w piecu na śniadanie kartofle, to też smaczna rzecz, żeby tylko nie codziennie, a chodźby co drugi dzień... Sprzykrzyły się...

Koło domu zwisają sznury huśtawki, przyczajone w białej ciszy; siedzenie huśtawki odpoczywa przez zimę na strychu rady gromadzkiej. Sawka ma pod swoją pieczę klucze do huśtawki i do dzwonnicy i sekretarz powinien to doceniać...

Bonifacy nie zjawiał się. Sawka przygotował się do jazdy, usiadł na koźle, i nagle wezbrała w nim taka złość na Bonifacego, że w mgnieniu oka wetknął w otwór przy koźle biczysko, przeskoczył na tylne siedzenie i roześmiał się głośno, wyobraziwszy sobie Bonifacego na koźle...

Kindrat Bubęła, wychudły w więzieniu i przez to jakby jeszcze wyższy, wyglądający jak półtora nieszczęścia, był jednym z wezwanych tu dla wymierzenia specjalnego podatku kułakom. Wlepili mu dwa tysiące rubli. „Ludzie kochani, za cały chutor nie otrzymam tyle pieniędzy, nawet gdybym go sprzedał ze wszystkim!” Pouczał innych, by trzymali się twardo, nie wykładali pieniędzy na stół, bo kto się pośpieszy z zapłaceniem pierwszego podatku, obłożą go następnym, a potem trzecim, no bo tym glińskim antychrystom nie można przecież wierzyć, wyprują z nas wszystkie żyły i zrobią z nas zupełnych żebraków; a wtedy zniknie z powierzchni ziemi także ten drugi Babilon, kiedy zabraknie prawdziwych gospodarzy babilońskich.

Na ganek wyszedł z urzędu stary Pawluk, właściciel chutoru i największej kuźni w okolicy. Zrabował ją panu Rodzińskiemu, kiedy rozgrabiono jego majątek. Naderwał się wtedy, dźwigając olbrzymie kowadło i ciężki kloc spod niego, i dostał przepukliny, która z upływem czasu dawała o sobie znać coraz dotkliwiej. Teraz również mu pewnie dokuczała, bo bardzo się zdenerwował; przytrzymał przepuklinę jedną ręką, przechyliwszy się całym ciałem na drugi bok. Potem zaaferowany włożył na siwą głowę niebieską czapkę.

— Ile? — Podbiegli do niego trzej synowie, Onysym, Machtej i Roman, katorżnicy kuźni.

— Półtora tysiąca, jak obszył. — Machnął desperacko ręką Pawluk i zaczął przebijać się

przez przycichły tłum do swoich sani w nadziei, że kiedy się położy, zelżeje ból.

— No, opowiadaj, Ływonie, jak tam było — pytali gospodarze obstępując go.

Pawłuk leżał na wznak wpatrując się w zamrznęte jak lód niebo i powtarzał ciągle szeptem:

— Półtora tysiąca... półtora tysiąca...

Następnie wezwano do urzędu gromadzkiego obu Radeńkich — Fedota i Chome. Poszli jak na ściecie, pochyleni, jeszcze na ganku zdjęli czapki, pokłonili się stojącemu w drzwiach milicjantowi, jak gdyby coś mogło zależeć od niego. Kiedyś byli biedakami, mieli tylko koło garncarskie i ślepego konia, którym wozili swe wyroby do Glińska. Po reformie rolnej rzucili garncarstwo, postawili pierwszy wiatrak i zabierali się do drugiego, a byli majstrami do wszystkiego, prowadzili warsztat upręży i warsztat kołodziejski, mieli w planie kupno traktora i młockarni, sami wyprodukowali cegłę i zbudowali dwurodzinny dom, niemal taki, jak Tysewycza — tylko żyć nie umierać. No i nagle tej nocy Sawka w oknie...

Radeńkich trzymali dłużej od innych. Starszy, Fedot, klękał kilka razy, błagając przedstawicieli władzy, by mieli wzgląd na dzieci, których miał sporo. Groził, że przyprowadzi je tu, do rady gromadzkiej, a sam zada sobie śmierć. Młodszy Radeński nie miał wprawdzie dzieci, rozplakał się jednak, nie tyle ze względu na siebie, co na brata.

Pełnomocnikiem powiatowego komitetu par-

tii był Kłym Synycia. Znał się z Radeńkimi z kozowskich i glińskich jarmarków, sprzedawali blisko siebie glinę i garnki, dlatego trudno było mu uwierzyć, że są to ci sami Radeńcy, niedawno jeszcze biedacy babilońscy, właściciele jedyne go ślepego konia, o którym mówiono wówczas, iż jest tak ślepy, że nie odróżnia jarmarku kozowskiego od glińskiego. W biurze było ciepło, Kłym Synycia chodził po pokoju w narzuconej na ramiona kurtce skórzanej. Był bez ręki, dlatego Radeńcy nie poznali go. Tamten sprzedawca czerwonej gliny miał obie ręce, był łagodnym, dobrym chłopcem, a ten, towarzysz pełnomocnik komitetu powiatowego, jest niewzruszony i nieubłagany, znał ich dochody lepiej od nich samych i nie chce opuścić ani jednego rubla z wyznaczonej sumy: pięć tysięcy obaj wspólnie od ich gospodarstwa albo osobno po połowie.

— A cóż to my, gorsi od Bubely, od Matwija Husaka, od innych? — chwycił się ostatniej deski ratunku Fedot, młodszy brat uspokoił go jednak i niemal nieprzytomnego wyprowadził z biura.

Kiedy wymienili sumę, Matwij Husak zaśmiał się, Pawluk zaś zapomniał o przepuklinie i przestał stękać na swoich saniach.

Po Radeńkich wezwano Petra Dzurę. Z nim rozmowa była krótka. Wzięto pod uwagę chorobę jego żony Rózi oraz okoliczność, że jego traktor wynajmowała sama komuna, ponieważ lokomobila zaczęła wychodzić z obiegu.

— Traktor jeszcze na chodzie?

— Na chodzie.

— Nie sprzedajesz?

— A po co? Czy on prosi jeść?

— I długo jeszcze będziesz go trzymał w mieszkaniu?

— Dopóki nie zdechnę.

— A możebyś wstąpił do komuny, co? Razem z traktorem.

— Nie, Kłymie, chcę pozostać wolny.

— Zapiszcie mu pół tysiąca.

— Nie za mało? — spytał inspektor finansowy z Glinśka z węzem w kieszeni.

— Na początek wystarczy.

— To na ile lat? — spytał Dżura, stukając nerwowo butem o podłogę.

— Jeśli nie wpłacisz do nowego roku, zajmemy twój traktor. No, a teraz idź już i pomyśl, jak dla ciebie będzie lepiej: z nami czy przeciw nam... — Synycia wskazał na drzwi.

Dżura wyszedł z pokoju z taką miną, jak gdyby mu było wszystko jedno...

Następnie zawołano Jawtucha. Wszedł jakoś radośnie podniecony, zwawy, niemal szczęśliwy. Zaskoczony tym Synycia spojrzał na niego z napiętą uwagą, taksując go wzrokiem: a więc to są te legendarne spodnie, co od takiego można wziąć?...

— To wy napisaliście donos na Sokoluków?

Jawtucha opuścił heroiczny nastrój, zerknął bojaźliwie na wuja Sokoluków, Pańka Koczubeja, siedzącego po lewej, nie istniejącej ręce Kłyma Synyci.

— Pisał mój starszy syn, Iwaś, pod moje

dyktando. Ja sam nie umiem pisać. Właściwie kłamię, składam pisane litery, ale bardzo słabo...

— Jesteście pewni, że ta dziewczyna jest ich służącą?

— Tak, służąca czystej wody. Pańko Harechtowicz może potwierdzić, chociaż jest ich krewnym.

— Dalekim krewnym — uściślił Pańko Koczubej.

— A czy ja powiedziałem, że bliskim?

— Możecie odejść, towarzyszu Goły. Rozpatrzymy jeszcze wasze doniesienie.

— Jak to odejść! — oburzył się Jawtuch. — A ten... podatek? Cóż to ja gorszy od innych?

— Nie będziemy was obkładać tym podatkiem.

— Jak to? Dlaczego? Chociaż cokolwiek dla honoru...

— Jesteście rolnikiem średniego stanu, macie dużo dzieci...

— Ja średniego stanu?! Pierwszy raz słyszę. Jaki ze mnie rolnik średniego stanu! Jestem najwyższego stanu, jaki tylko może być!

— Ty? — Koczubej aż wstał ze zdziwienia. — Toż ja nie zarząnałem nigdy u ciebie ani jednej świni! Jakiż z ciebie magnat bez słoniny?

— A locha z prosiętami? To fakt! Proszę wziąć to pod uwagę, towarzyszu pełnomocniku. A poza tym dwa razy do roku wytłaczam olej. Po co komu słonina w poście, kiedy jest dla okrasy smaczny olej konopniany?

— Średniaków nie obkładamy, towarzyszu

Goły. Możecie iść. Obkładamy tylko mocnych średniaków. I też nie wszystkich.

— Ale mnie obłóście! Błagam was! Jestem mocny średniak! Mocniejszy od innych...

— Na ile?

— Chociażby na dwa ruble. Jednego mam nawet przy sobie...

— Władza radziecka nie może łamać przepisów.

— Ja wam pozwalam. Złamcie. Zróbcie to dla mnie, słyszycie?!

— Nie i basta! — Kłym Synycia nagłym, energicznym ruchem podrzucił na lewym ramieniu kurtkę skórzaną, która się osunęła.

Jawtuch, skrzywdzony i zbolały, niemal z płaczem wyszedł z pokoju na ganek. Zbliżyło się do niego kilku gospodarzy, wśród nich Łoboda z chutoru, z oszronionymi końcami wąsów.

— Ile? — zapytali chórem.

Jawtuch rozgiął na podniesionej prawicy dwa palce.

— Dwa?...

— Z takiego biedaka?! — zachnął się Łoboda.

— I gdzież tu sprawiedliwość? Nawet na dzieci nie mieli względu?

Jawtuch zaszlochał i odszedł w rozpacz dlatego, że nie nałożyli na niego podatku kułackiego. Była to rozpacz człowieka, który mimo nadludzkich niemal wysiłków niczego dotąd nie osiągnął. Dusi się wśród średniaków, za ciasno mu tu. Inni jakoś z łatwością przeskakują przez barierę tego znienawidzonego „średniego stanu”, a on...

Kłym Synycia poznał od razu obu Sokółków, uśmiechnął się, a może tak im się wydało, zręcznym ruchem barku poprawił kurtkę na ramionach. Wuj Pańko nie objawiał wobec nich żadnych uczuć rodzinnych, nawet nie poprosił, by usiedli, chociaż wszystkim innym, z wyjątkiem chyba jednego jedyne go Jawtucha, nie poskąpił tej uprzejmości. Gdy wezwali tu Bubełę, Koczubej nie wiedział, gdzie go posadzić, a przed Radeńkimi sam skłonny był stać, żeby tylko oni siedzieli. No chyba, niemal bez przerwy trzebił u nich wieprzki, płacili mu za to hojnie, zwłaszcza kiedy przychodził do nich po raz drugi jako rzeźnik. Aż do dzisiejszej nocy doskonale godził obowiązki przewodniczącego rady gromadzkiej z tym swoim ulubionym fachem, do którego miał wyjątkowy talent. Nawet komuna korzystała z jego usług. Zapraszali go dwa lub trzy razy w roku, osiągał wówczas szczyty swego kunsztu. Komuna płaciła mu serem, za każdym razem przywoził stamtąd dwie lub trzy główki. Teraz będą płacić pieniędzmi. Koczubej drgnął, zauważył bowiem, że Kłym Synycia przyglądał się wnikliwie im obu. Z karku pociekła po plecach zimna kropla. Jeszcze kilka takich kropel, a Pańko chyba zemdleje. Namacał to najslabsze miejsce, zasłonił dłonią tak, jak zasłania się ranę, i dopiero wówczas zwrócił się do Synyci.

— Są to, Kłymie Iwanowiczu, ci sami Sokółkowie, moi krewni, niech ich licho porwie. Jeszcze w dzieciństwie spalili Babilon, a teraz wpędzą swego wuja do grobu. Jeden koniokrad,

a drugiego nazywają Bozią. Niby bracia, a jeden od Sasa, drugi od lasa. No a teraz ta sprawa z Darynką. Wzięli do siebie jedną taką dziewczynę, to ta, o której napisał Jawtuch. Kim jest dla was Darynka: żoną czy służącą?

Kłym Synycia widział ostatnio obu braci na Abisyńskich Wzgórzach, kiedy walczyli z tą ziemią aż do pierwszego śniegu, niezależnie więc od tego, co mówił teraz o nich ich wuj, wzbudzili wówczas jego współczucie, a nawet podziw. Gdyby wszyscy w jego komunie mieli tę zawziętość, to stanęłaby ona mocno na nogi. Sokolukowie stali teraz przed nim bezradni, niewinni, naiwni, sposponowani przez Pańka Koczubeja, i Kłym Synycia nie żywił do nich żadnych nieprzyjaznych uczuć ani w płaszczyźnie klasowej, ani czysto ludzkiej. Zapytał więc bez żadnej ironii:

— To który to z was koniokrad, a który Bozia?

Wuj zmierzył ich tak karcącym spojrzeniem, że nie można już było dłużej milczeć.

— To chyba nie całkiem tak, jak wuj mówi — rzekł Dańko. — A w ogóle, to ja jestem koniokrad, a on Bozia. Zgadza się, wujku?

Dańko już dawno nie trzymał za uzdę kradzonego konia, a Łukian też już zapomniał, jak otwierają się drzwi do plebanii.

Synyci przedstawiono ich stan majątkowy: pięć dziesięcin ziemi na dwóch, własne konie, nie kradzione, pięcioskibowy pług, wóz, dwa wieprzki, kury, gołębie, aparat do pędzenia

samogonu, żarna, stępa do kaszy jaglanej, miedlarka do konopi, no i służąca. Kontyngent państwowy oddali i powiatowy plan dostaw też wykonali, odmówili wstąpienia do sozu¹, który jeszcze w jesieni próbowano tu założyć, politycznie niepewni. W tym roku latem przebywali w glińskim więzieniu.

Taka charakterystyka wywołałaby na pewno nie byle jakie wrażenie na każdym pełnomocniku. Sporządził ją Bonifacy na złość przewodniczącemu rady, chcąc przy pomocy jego krewnych skompromitować Pańka Koczubeja, by kiedyś zająć jego miejsce. Pańko Harechtowicz kulił się na ławie, kiedy Kłym Synycia sprawdził rejestr majątkowy jego krewnych. Wyczuwał w tym podstępną rękę chytrego Bonifacego, tego podrzutka karmelitów bosych, którzy kiedyś przez pewien czas rządili Babilonem. Do dziś jeszcze stoją ruiny ich klasztoru. A złośliwość Bonifacego oburzyła nawet samego Synycię.

— On zapomniał jeszcze wpisać tu muchy — powiedział i omal nie wetknął nosa Koczubeja w ten rejestr.

Pańko Harechtowicz Koczubej studiując dalej listę chwycił się za głowę. Jako ostatni do obłożenia kułaków podatkiem figurował na niej — no, kto by to pomyślał! — sam Fabian! Lew Chrobry! To już była prawdziwa ironia losu! Ku jego zdumieniu wykaz był

¹ załączek kołchozów pod koniec lat 30-tych w ZSRR (przyp. tłum.)

podpisany przez niego samego, przewodniczącego, i wysłany do Glińska, to była kopia.

Przy nazwisku Fabiana przewodniczący odczytał taką oto charakterystykę: „Majątku nie posiada, podczas reformy rolnej odmówił przyjęcia ziemi, uważając, że i tak ją zabiorą. Ma capa, z którego korzysta cała okolica, zgarnia za niego duże pieniądze. Prócz tego dorabia trumniarstwem. Z majątku nieruchomego można wymienić warsztat i narzędzia stolarskie. Znacząca Biblii i innych podejrzanych ksiąg”.

Koczubej podszedł do Sawki, który siedział w kącie na beczulce.

— Szybko po Bonifacego! — rzucił szeptem.

— Sprowadź tu jak najprędzej tę bestię!

— Jak go tu ściągnąć, kiedy w nocy zaczął się poród? W dodatku Zosia przenosiła ciężę dwa tygodnie.

— A ty skąd wiesz?

— Bonifacy mówił.

— Więc wezwij tu Fabiana.

— Capa czy człowieka?

— Zawołaj obu. Tylko migiem, na jednej nodze!

Sawka wybiegł, a kiedy wrócił, Sokoluków już nie było. Oberwało im się za tę służącą. Kłym Synycia zmusił ich do napisania oświadczenia, w którym obaj bracia zobowiązują się uważać od dziś Darynkę za równoprawnego członka rodziny i właściciela trzeciej części ich majątku, spisane go tak skrupulatnie przez Bonifacego. Kłym Synycia zadowolony był z tego, co zrobił, polecił przewodniczącemu,

by powiadomił o tym Darynkę. Pańko Koczubej mógł teraz spać spokojnie: wśród jego krewnych nie ma nikogo obłożonego podatkiem kułackim, a to nie mało, kiedy ma się przy sobie takiego drania jak Bonifacy.

Sawka wprowadził oszołomionego capa, trzymając go mocno za brodę. Nie zastał w domu żadnego z Fabianów i kiedy wracał już, zauważył capa, który z komunowej opałki jadł owies, odstraszać konie swoimi dużymi, szyszkowatymi nogami. Kilka ziarenek owsa przyczepiło się do włochatego pyska, więc próbował je teraz dostać językiem.

— A co to za osobistość? — spytał Kłym Synycia.

— Ofiara Bonifacego — odrzekł po namyśle Pańko Harechtowicz. — Napisano tu o nim diabli wiedzą co, a cap jest już na wykończeniu, stary już i niedołężny. Lew Chrobry nie ma z niego żadnego dochodu ani pożytku.

Kiedy Sawka puścił go, cap podszedł do beczułki, która w lecie stoi w sieni, a w zimie w biurze, odsunął pyskiem drewnianą pokrywę, służącą Sawce za siedzenie, i napiwszy się do syta po komunowym owsie, udał się do najcieplejszego kąta, koło pieca, gdzie wylegiwał się zwykle na zebraniach, z powagą ukląkł na przednie łapy, rozłożył się wygodnie i wnet usnął.

Lwa Chrobrego skreślono z rejestru, niewiele natomiast brakowało, by na jego miejsce dostał się Bonifacy Lasota. Jego cenzus majątkowy, złośliwie wyolbrzymiony, jak można się

było tego spodziewać, przez Pańka Harechtowicza, dawał podstawę do wymierzenia sekretarzowi rady gromadzkiej podatku kułackiego, odpowiadającego wykazanemu stanowi majątkowemu, a więc w wysokości dość znacznej. Ale właśnie w tym momencie wbiegł zdyszany Sawka i dusząc się ze śmiechu zawiadomił, że Zosia niedawno urodziła syna. Nazwano go na cześć ojca Bonifacym. Wpłynęło to na zmianę sytuacji, nawet inspektor finansowy z Glińska nie nalegał na wymierzenie Bonifacemu Lasocie podatku kułackiego. Pańko Harechtowicz też się już nie upierał, bojąc się, że po sekretarzu mogłaby przyjść kolej na przewodniczącego. Jego dochody z trzebień i bicia świń dobrze były znane inspektorowi finansowemu, nie mówiąc już o Kłymie Synyci, który miał o nich jeszcze bardziej konkretne dane.

Potem przyszedł sam Bonifacy, uroczysty, podniecony, nieco zakłopotany pojawieniem się na świecie jeszcze jednego Bonifacego. Kłym Synycia złożył mu gratulacje, a Pańko wstrzymując się od śmiechu, zapytał:

— Dlaczego w tym spisie znalazł się Fabian, to znaczy Lew Chrobry?

— Dlatego — odrzekł spokojnie Bonifacy — żeby lepiej widać było zamożność innych. Czyżbyście wy, Pańko Harechtowiczu, nie wiedzieli, że najlepiej ocenia się przez porównanie?

— No i właśnie chcieliśmy porównać ciebie z Fabianem. Wzięliśmy jednak pod uwagę dzisiejsze wydarzenie w twoim domu — po-

wiedział Pańko Koczubej. — Podziękuj Zosi za to, że pomieszała nam szyki.

— A komu wy, Pańko Harechtowiczu, macie dziękować, że nie ma was w tym wykazie? — wybuchnął Bonifacy. — Wiecie komu? Mnie. Za to, że nie ujawniłem waszego kapitału, zbitego na świniaach.

Koczubej tak się poruszył, że omal nie zламаł oparcia krzesła, na którym siedział.

— Jeśli kiedyś zostaniemy bez słoniny, to przez niego — zwrócił się do Synyci. — Przyśięgam, że od dziś mój nóż nie dotknie żadnej świni. Babilon będzie teraz hodował same tylko knury. Niech tam!

— Uspokójcie się, o was na razie nie ma mowy.

— Ale sami widzicie, towarzyszu, z kim mam wątpliwy honor współpracować.

— Z kim? — spytał Bonifacy.

— Z karmelitą! — wybuchnął Koczubej.

Bonifacy trzasnął drzwiami.

Na ganku natarli na niego tak ostro, że musiał wycofać się do ciemnej sieni.

— Patrzcie, kto nas sprzedaje!

— Wychodź, karmelito! Nie chowaj się! I tak się przed nami nie ukryjesz!

— Hycel babiloński!

— Antychryst!

— Obywatele! — przypomniał o swojej obecności milicjant w kożuszk. — Uspokójcie się!

Sawka przyprowadził jeszcze Skoromnych, ojca z dwoma synami. Trzymali się razem, z nikim nie rozmawiali. Potrzebowali niejednej

jeszcze nocy, żeby się przyzwyczaić do tej niecodziennej, trwożnej atmosfery, w jakiej żyli ostatnio bogacze. Kiedy wezwano ich do rady gromadzkiej, biegli razem obok siebie, tak jakby biegł tylko jeden. To chyba pierwszy wypadek takiej jedności w Babilonie. A kiedy wyszli już z powrotem na ganek i ktoś z tłumu spytał: „Ile?” — wszyscy trzej jak na komendę jednakowo machnęli ręką i pognali do domu. Nawet śnieg skrzypiał tak, jak pod jednym człowiekiem.

Potem wzywano kolejno Bezkorowajnych, Pirnykozów, Wałachów, Żurawskich, Buhów, Czapliczów... Sawka przyprowadzał ich aż do świtu. Bonifacy niczego nie uronił z ich dochodów, spisał cały majątek ruchomy i nieruchomy, obliczał ich wydatki lepiej, niż oni sami mogliby to zrobić.

No i teraz musiał ukrywać się w sieni, za drzwiami, wysoki, osamotniony, ale sprawiedliwy zarówno w stosunku do krewnych, jak i obcych, prawosławnych i katolików, bogatych i biednych. Dopiero o świcie wylazł ze swej kryjówki i poczłapał do domu, żeby być obecnym przy pierwszej kąpieli dziecka.

ROZDZIAŁ III

Bubela sądził, że zaczął żyć na świecie nie od narodzenia, lecz od czasu, kiedy stał się właścicielem niedużego chutoru, zagubionego w stepie między Pryćkiem a Babilonem. Za-

wdzięczał to przede wszystkim Tekli, bogatej pannie z Kozowa, skąd przygnał do Babilonu nieduże, ale bardzo wełniste stado owiec, gotowe do strzyżenia, oraz konia z wozem, rówieśnika Tekli, który i tak byłby wnet zdechł ze starości, więc teść dał mu go poza umową ślubną, tylko dlatego, żeby zięć nie musiał sam zaprzęgać się do wozu i ciągnąć go do zarozumiałego Babilonu. Drugim dobroczyńcą Bubęły był minister carski Stołypin, przy którym Bubele całkiem rozjaśniło się życie. Posagowy koń przeżył Teklę, która zmarła przy pierwszym porodzie, Stołypina zaś zabili w Kijowie. Bubęła jeździł na pogrzeb ministra jako reprezentant włości babilońskich; za własną żoną Teklą nie płakał tak, jak za nim. Po pogrzebie poszedł do klasztoru podziękować Panu Bogu za swój chutor. Tam właśnie ujrzał mniszkę Parfenę, cudnej urody, skromną, delikatną jak poranny wietrzyk nad chutorem. Powiedział jej, że jego chutor, położony wśród pól i nieba, może jej służyć za klasztor, jeśli tego zechce.

Parfena uciekła wraz z nim z klasztoru, w którym ją, sierotę, krewni umieścili siłą. Bubęła najął woźnicę, rodem zresztą z Glińska, który za trzy dni przywiózł Parfenę do chutoru, w nocy, i od tego czasu mało kto widział jego nową żonę.

Do wybuchu rewolucji Bubęła ukrywał ją przed panem Tysewyczem, podczas rewolucji — przed oficerami i setnikami, później zaś odseparował się wraz z nią od całego Babilonu,

uważając, że ci co wyrzekli się cara, nie są dla nich towarzystwem.

Parfena, być może za karę, że porzuciła klasztor, okazała się bezpłodna. Bubeła pogodził się z tym, kiedy jednak się postarzał, odczuł dojmującą potrzebę posiadania spadkobiercy. Przymuszał więc Parfusię, jak ją nazywał, do picia ziół jew-szań, przywoził nawet do niej z Kamieńca jakiegoś głośnego znachora. Ten poprzez różne aluzje dał Bubele do zrozumienia, że winą jest w nim samym, niech więc spróbuje dać żonie więcej swobody, wówczas wszystko będzie dobrze, jeśli oczywiście w klasztorze jakimiś truciznami nie zabili w niej macierzyństwa, bo wtedy i Panie Boże nie pomoże.

Owieczki rozmnażały się na potęgę, Bubeła już nie wie, gdzie podziać wełnę i łój. Parfusia nic się nie starzała, wysokopienne topole rosły jak na drożdżach wokół chutoru, z każdym rokiem coraz bardziej zakrywając przed światem małe królestwo Bubeły, w sadzawkach leżały się kłarasie, w chlewach gryzły się świny. Bubeła trzymał w tajemnicy kilku pacholków z Pryckiego; nocowali w stodole na słomie. Przez całe lato kawalerowie babilońscy przychodzili do nich wieczorami, próbując wywabić mniszkę, ale Bubeła trzymał ją mocno nawet podczas snu, bojąc się, by mu nie spółdziła z tymi parobkami czegoś niegodnego jego stanu, przepadłaby wówczas praca wielu, wielu lat, zaginęło jego królestwo w nieodpowiednich rękach spadkobiercy. Już lepiej niech wszystko pozostanie dla Parfusi, gdy on umrze. A umrze

już niedługo, dusi go astma, rzadko już pozwala sobie na nabitą fajkę, pyka przeważnie pustą. No a tu jeszcze ten buhaj...

Wyhodował się w chutorze buhaj niezwykle rasowy, wszyscy przyprowadzają do niego krowy z całego Babilonu i z Pryckiego, pieniądze płyną za nic jak woda. Kiedy przyprowadzą krowę do buhaja, Bubela zamyka w mieszkaniu okiennice. A potem, chichocąc astmatycznie, oddaje Parfenie pieniądze do schowka.

Dla chutoru słońce wschodziło w Pryckiem, a zachodziło w Babilonie. Na wschodzie był Fedor Majhula, były żołnierz słynnej brygady Kotowskiego. Urabiał go Bubela powolutku: a to wieprzka mu zawiezie, oczyszczonego już, rozebranego, a to zrzuci z wozu na święta związanego barana, to znów coś innego przy okazji podrzuci... Na zachodzie chronił go przed wszelkimi przykrościami Pańko Koczubej, którego zresztą on sam, Bubela, postawił nad Babilonem, wsią obmierzłą i krnąbrną, nędzną wsią z tym swoim wiecznym ubóstwem, ze swoimi nędznymi chatynkami, które kiedyś tuliły się do siebie stojąc ciasno jedna przy drugiej, ze swoimi krętymi uliczkami, które z góry wydawały się jeszcze wyższe. Z tych uliczek niewielu wyszło na ludzi. Po ostatnim pożarze Babilonu udało się wyprocesować od Tysewycza kilka kawałków ziemi, coś niecoś dorzucił na pogorzalców kapitan Siroszapka. Ot, i cała nasza magnateria na tych kawałkach ziemi. Reszta to mizerota, obdartusy, skazani na ciągłe uganianie się za chlebem.

Bubeła szeptał klasztorne modlitwy, których nauczyła go kiedyś Parfusia. Ona sama przestała się modlić i chyba już od dawna nie wierzy ani w Ojca, ani w Syna, ani w Ducha Świętego, ich miejsce zajął Bubeła, do którego zwraca się przez „ojciec”. Był tu dla niej i przeorem, i Bogiem, i katem, chociaż przez wszystkie te lata nie tylko nie podniósł na nią ręki, ale nie powiedział jej jednego złego słowa; a tak chciała chociażby raz być po męsku zbitą i spiorunowaną. Parfusia zazdrościła robotnikom sezonowym z Pryckiego, kiedy Bubeła na nich krzyczał. Zazdrościła nawet buhajowi. Starcza delikatność Bubeły chłostała ją dotkliwiej, niż różne przycinki i śmiechy parobków z Pryckiego w stodole.

Bubeła szukał w chutorze dwóch tysięcy na podatek, tak jak gdyby schowali je tu dzierżawcy kapitana Siroszapki, do którego ta ziemia kiedyś należała. Zrywał się w nocy, ubierał się i przepadał gdzieś aż do świtu. Kiedy wracał, mówił do żony: „Nie ma, Parfusi, dwóch tysięcy. Przyjdzie mi chyba sprzedać chutor albo pożyczyć pętlę od Pełechatego... Zawsze, gdy jestem w pobliżu wiatraka, ciągnie mnie tam...”

Bubeła wiązał jeszcze nadzieję z Majhułą, ale i tu się zawiódł. Majhuła odmówił wstąpienia się u Synyci, nazywając go Robespierrem. Nieprzekupny fanatyk! Kiedy Parfusia usłyszała od męża to nazwisko, powiedziała, że w ławrze takiego świętego nie znali, to

pewnie katolik, ona знаła tylko wielkich męczenników prawosławnych.

Bubeła chciał chyba zostać jednym z nich. Zrozumiała to, gdy powrócił kiedyś z Glińska. Powiedział jej wówczas: „Jestem już stary, nie mam nic do stracenia. Będę się z nimi bić. Jeśli zginę, to będziesz musiała wynająć ludzi, wykraść moje prochy i złożyć tu, w chutorze, niezależnie od tego, gdzie mnie pochowają. Nie przywalaj mnie kamieniami, niech wyrosną trawą, będę ci szeptać wieczorami. Tak, tak moja jagódka, jestem jeszcze silny, Niemiec nie dał mi rady i ci nie poradzą... Mam od cara dwa Krzyże św. Jerzego i rangę sotnika¹ od hetmana Skoropadskiego. Ale o tym nikomu ani słowa! Kiedy hetmana zrzucili, a nas rozbili pod Żytomierzem, wracałem stamtąd jeszcze z jednym takim, był z Pryckiego, nazywał się Tychin Dorosz... Więc ja go podczas snu, w nocy... — Bubeła aż zadrżał — po cichutku, żeby nie było świadka... Ta wołoka Nastia, co przychodzi do nas na robotę, to jego córka, jej ojczym to taki hołodryga z komitetu biedniackiego. Pytam jej kiedyś, co z ojcem. Odpowiada mi na to, że czekają. Tak, tak, czekajcie, myślę ja sobie, doczekacie się... Myśmy się wzajemnie mordowali o tę ziemię, którą chcą nam teraz odebrać... A co my warci bez niej?...”

Następnej nocy przygotował lekkie sanie.

¹ dowódca pododdziału kawalerii kozackiej w nacjonalistycznych, antyradzieckich formacjach „hetmana” Skoropadskiego w okresie wojny domowej w ZSRR (przyp. tłum.)

z kabłąkiem i pojechał do Babilonu. Parfusia przeżegnała go na drogę, domyśliła się bowiem, że wyjazd ten ma dla niego znaczenie decydujące: albo powróci Bubelą, silnym jak dotąd, albo stanie się nikim, a wtedy można spodziewać się po nim wszystkiego. Kiedy wpadnie w pasję, może podpalić własny chutor i pójść w świat o żebraczym kij. Bubela z tych, co przed niczym się nie cofną. A co będzie wówczas z nią? Albo wrócić do klasztoru, albo prosić Kłyma Synycię o przyjęcie do komuny, jeśli chcieliby przyjąć człowieka z taką przeszłością jak ona.

Najjaśniejszymi dniami w jej życiu było tych kilka miesięcy, kiedy Bubela poszedł do wojsk hetmana, pozostawiając chutor na jej głowie. Parfena wiedziała, co robić. Najęła babilońskiego parobka, i to niedrogo, rubel miesięcznie i wyżywienie. Parobkiem tym był Dańko Sokoluk. Miał wówczas zaledwie dwadzieścia lat, nie znał jeszcze ani koniokradztwa, ani kobiet. Początkowo wstydził się nawet spojrzeć na gospodynię, jeździł nocować do domu. Ale kiedy rozpoczęły się żniwa i stanęli do żyta — Dańko kosił, a ona odbierała — to gdzieś zapodziała się w tym życie Dańkowa cnota. Nie wychodził teraz z chutoru po tygodniu i po dwa, a z czasem zupełnie zapomniał o swoim domu, tylko matka przychodziła odbierać od Parfeny zarobione przez syna pieniądze. Wyglądało na to, że może się to skończyć małżeństwem. Ale wrócił Bubela w mundurze sotnika i przepędził Dańka, nie zapłaciwszy mu

za ostatni miesiąc ani kopiejki. Parfusia chodziła w rozpaczy, jeszcze długo kochała tego chłopaka, póki nie ukołysała go na huśtawce Malwa Kozuszna. Nigdy jej nie widziała, słyszała jednak od samego Bubeły, że Malwa to cudo. Dańko Sokoluk jest dla niej tylko zabawką; z wszystkich babilońskich mężczyzn on jeden, Kidrat Bubeła, potrafiłby taką utrzymać w pokorze i czci, gdyby dostała mu się za młodu.

Bubeła był kiedyś przystojnym i silnym mężczyzną, ale chutor wyssał z niego siły. Czas na chutorze płynie tak samo szybko, jak gdzie indziej, Parfusia dobiegała czterdziestki, a Bubele stuknął już siódmy krzyżyk. Kiedyś ta różnica wieku nie była tak odczuwalna, teraz natomiast przysparzała obojgu przykrości i rozczarowań. Parfusia rwała się jeszcze do życia, podczas gdy on żył już tylko dla chutoru, więził żonę z coraz większą surowością, przestał zabierać ją z sobą nawet do Glińska na jarmark, gdzie dawniej babilończycy mogli oglądać piękną mniszkę. Jednak Parfena im mniej miała wolności, tym silniej o niej myślała. Gdyby Bubeła nie był teraz w takim nieszczęściu, rzuciłaby go i poszła, gdzie oczy poniosą...

Czy Bonifacemu tak się tylko wydawało, czy też rzeczywiście ktoś przez całą noc kręcił się koło jego domu? Wieczorem Zosia rozczyliła chleb, a ponieważ Bonifacy wstał rano, wcześniej od innych babilończyków, więc poszedł do stodoły po słomę na opał. Zosia jak zawsze

nasłuchiwała, kiedy wróci z olbrzymią wiązką słomy, jednak tym razem nie doczekała się. Włożyła kapcie, wybiegła na podwórze, tonące w sennej bieli, i zawołała:

— Bonifacy!

W odpowiedzi tylko wiatr zaskrzypiał nie domkniętymi drzwiami.

W stodole było ciemno, więc Zosia w trwożnym przeczuciu otworzyła ją na oścież i ujrzała Bonifacego z wiązką słomy. Napadli na niego, prawdopodobnie kiedy już zadał sobie wiązkę na plecy, i zadusili szalikiem. Co prawda Pańko Koczubej, a wraz z nim cały Babilon zapewniali, że karmelitę ruszyło sumienie i udusił się sam. Nikt nie miał ochoty znów podróżować do Glińska na śledztwo. Ale Zosia, kiedy wybiegła ze stodoły, widziała na własne oczy sianie, które mknęły górnym Babilonem. To uciekali zabójcy Bonifacego... Potem ktoś powiedział, że Fabian już dawno zdjął z niego miarę. Mógł to puścić w obieg Bubełę, bo on jeden wiedział, że miara ta jest zaznaczona na ramie drzwi w domu trumniarza. Inni znów przypomnieli sobie, jak wtedy w Glińsku karmelita podniósł rękę na Bubełę. „I tego też nie potrafił sobie wybaczyć”, mówili popiecznicy Bubeły. Oni właśnie zdecydowali, żeby pochować go na odludziu. Była straszliwa zamieć, zawiąło drogi, nikt nie mógł przedostać się ani do Glińska, ani z Glińska...

Prócz Zosi nikt zdaje się nie opłakiwał Bonifacego, bo chociaż był człowiekiem porządnym, nic nigdy nikomu nie zrobił dobrego. Był

niewiarygodnie skąpy, nawet u siebie, w domu sam ważył na prymitywnej wadze i wydzie-
lał Zosi mąkę, krupy i inne artykuły żywno-
ściowe. Nie przepił nigdy ani jednej kopiejki, ani
sam, ani w towarzystwie, a cudzy majątek i cu-
dze pieniądze miał zwyczaj obliczać jak własne.
Kiedy woził wiosną do Żurbowa swoje buraki
i spotkał w drodze kogoś, kto ugrzązł albo
przewrócił się z wozem, omijał go i jechał
dalej. Ale to, co gubili inni, zbierał i kładł na
sвій wóz. Zosia wyraziła później przypuszcze-
nie, że gdyby mu przyszło pożegnać się z tym
wszystkim, czego się dorobił, i pójść do kołcho-
zu, to wolałby się powiesić. A poza tym był
bezwzględny. Zosia bała się nawet jego spojrze-
nia. Niech mu jednak ziemia lekką będzie, bo
zginął przedwcześnie i niewinnie i spotkała go
okrutna śmierć. A był jednym z tych, co prag-
nęli rządzić kiedyś całym Babilonem.

Na bogaczy babilońskich padł strach, obawiali
się, że śmierć Bonifacego ich obciąży. W dzień
nie pokazywali się nigdzie, wieczorami przesia-
dywali to u Radeńkich, to u Pawluków, to je-
szcze u innego bogacza, i wysyłali swoich ludzi
do innych wsi na przeszpiegi — do Pryckiego,
do Kozłowa, nawet do Glińska. Wszędzie było
to samo, tylko podatki jeszcze większe.

Kłyma Synycię przesłuchiwali w powiato-
wym Komitecie w związku z — pośmiertnym
już teraz — pismem Bonifacego. Zarzucał peł-
nomocnikowi miękkość, okazaną jakoby w Ba-
bilonie podczas wyznaczania podatku kułac-
kiego. Zgodnie z uchwałą komitetu do Babilonu

przybył sam sekretarz organizacyjny, Ruban, o którym krążyły tu słuchy, że jest człowiekiem zdecydowanym, zapalczywym, ale sprawiedliwym. Ruban uznał całe postępowanie Kłyma Synyci jako pełnomocnika komitetu powiatowego za zgodne z prawem i utrzymał jego decyzje w mocy.

Ruban, małego wzrostu, zapalczywy brunet, zamieszkał u starej Kozuszej. Poza starą matką nie miał nikogo, więc Babilon od razu zaczął próbować go swatać, by mieć w Glińsku chociaż jednego swego wpływowego człowieka. Ale Antosza (jak zaczęli go nazywać poufale za starą Kozuszną) nie po to przyjechał do wiecznego Babilonu. Mając pełnomocnictwa komitetu zdjął ze stanowiska przewodniczącego gromady Pańka Koczubeja jako kułackiego poplecznika, o czym pisał zresztą Bonifacy, i sam przejął do wyborów obowiązki przewodniczącego.

W wigilię Bożego Narodzenia, kiedy cały Babilon, i ten utrzymujący tradycje, i ten, co ich nie przestrzega, siedzi w domach i spożywa kutię — jedni na cukrze, inni na miodzie, a w naszym domu łuszczyli jeszcze do tej Bożej strawy orzechy, wtedy pachniała nieźrównanie, takiej kutii to chyba i sam Pan Jezus nie jadł — no więc w Wigilię przybiegł zdyszany Sawka Czybis, mocno czymś zaaferowany, nie skorzystał z zaproszenia do stołu, przy którym zebrali się wszyscy Wałachowie, chwycił tylko z patelni kilka blinów, ochłodził dmuchaniem trzymając je w czerwonych od mrozu rękach, szyb-

ko połknął i powiedział, zwracając się do ojca:

— Przyjechał z Glińska przewodniczący, ma do was jakąś pilną sprawę, prosił, żebyście przyszli zaraz do urzędu gromadzkiego. No i nikomu o tym ani słowa. Tajna wieczerza. — Zaśmiał się bardziej niedorzecznie niż kiedykolwiek, i pobiegł po Łukiana Sokoluka.

Ojciec służył swego czasu w intendenturze¹ i niepotrzebnie pochwalił się tym przed Rubanem. Ten zawstydził go wówczas, powiedziawszy, że nie przystoi mu tkwić wśród średniaków. Wtedy ojciec napisał podanie o przyjęcie go do sozu, który miał zacząć pracę z początkiem wiosny, oddał podanie Rubanowi, a wraz z nim swój średniacki los.

— Żeby go pokreśliło, antychrysta! Już nawet w Wigilię szarpie chrześcijańskie dusze — powiedziała matka, podając ojcu zawiniętą w serwetkę makutrę z kutią i kilka nie zasekwestrowanych drewnianych łyżek. — Niech te herody przynajmniej Bożej kutii spróbują, żeby przekleństwa nie czepiały się ich chociaż w ten wieczór.

Ojciec wahał się, czy ma wziąć z sobą kutię, zabrał ją jednak, a łyżki powasuwał do kieszeni, potem jeszcze poszeptał o czymś z matką w sieni i wyszedł.

Ruban był już w radzie gromadzkiej, czyścił zakopcone szkło do lampy i chyba wcale się nie

¹ chodzi tu o specjalne oddziały, zaopatrujące podczas wojny domowej Armię Czerwoną w żywność (przyp. tłum.)

zdziwił, kiedy ojciec postawił na stole makutrę z kutią.

— Kutia na miodzie, z orzechami — rzekł ojciec wyjmując z kieszeni łyżki.

Ruban zorientował się, że kutia nie była tu żadną zasłoną dymną do maskowania jego wizyty w radzie gromadzkiej, żeby niby do krewnych na Wigilię, lecz Wałach zabrał ją z pełną świadomością, by tu, w urzędzie gromadzkiej rady narodowej, przed portretami rewolucjonistów, urządzić Wigilię. Ruban zajrzał do makutry.

— Ty naprawdę przyniosłeś kutię?

Ojciec rozwiązał białą serwetę i podsunął makutrę Rubanowi pod nos.

— Powąchaj!

Ruban powąchał. W nozdrza uderzyły rajskie zapachy. Od czasu jak wstąpił do partii, z zasadniczych względów przestał jeść kutię i jakoś żyje. Więc chociaż partia nic przez to nie zyskała, powiedział:

— Jedz sam. My, komuniści, nie rozmieniamy się na takie głupstwa.

Ojciec zawinął makutrę w chustkę i postawił kącie, na podłodze, zamierzając przypuszczalnie zabrać ją do domu.

Potem przyszedł Petro Dżura, cały przesiąknięty swym traktorem; kożuch wyszmelcowany, ręce tłuste od oliwy. Przywitał się, usiadł na ławie, zdjął czapkę. Coś się stało z jego traktorem, nie zapala. Petro jest bardzo zmartwiony, bo nie ma czym straszyć Rózi, która przychodzi co noc na jego połowę, siada

przy łóżku i płacze. Śnią się jej jakieś straszne sny. No cóż, pomyłona i sny ma pomyłone.

Ruban wytarł szkło, nałożył je na pękata lampę blaszaną i podkręcił knot. W pokoju od razu stało się jaśniej, pojaśniało też Petrowi na duszy, bo w mroku ciągle widzi Rózię czarno ubraną.

— Dziś Wigilia — rzekł Dżura. — W całym Babilonie pachnie kutią, blinami i rybą, a mnie już trzecią noc nie udaje się zapalić traktora. Jak mu tylko powiedziałem, że teraz już jest kołchozowy — zaśmiał się — traktor od razu zaprotestował.

— A po co go uprzedzałeś — spytał Ruban. Mówili o traktorze jak o czymś żywym.

Mniej więcej przed miesiącem Ruban dwukrotnie zbierał chłopów z komitetu biedniackiego i próbował założyć soz, na którego czele postawił Dżurę, z którym się zaprzyjaźnił, sądząc, że tacy ludzie, jak on przydadzą się w przyszłości. Lubił wychodzić na Tatarskie Wały i spoglądać stamtąd na Pryćkie, gdzie pod kierunkiem kotowca Fedora Majhuły upłynęły jego komsomolskie lata. Były żołnierz brygady Kotowskiego obrósł teraz krewnymi i kumami, pozwolił podnieść głowę kułakom.

Chutor Bubęły leżał między Pryćkiem a Babilonem. Bubęła przyjechał kiedyś i prosił, żeby go przenieść do rady gromadzkiej w Pryćkiem. — Proszę bardzo — odrzekł wówczas Ruban. — Ale bez chutoru.

Bubęła ugryzł się w język, zrozumiał bowiem całą niedorzeczność, a może i nieostrożność

tego kroku, i by zatrzeć złe wrażenie, prosił Rubana, żeby zawitał kiedyś do jego chutoru. Liczył na to, że Ruban przyjmie zaproszenie, skoro taki Majhuła nie odmawia.

Majhuła był porządnym człowiekiem, miał jednak szeroką duszę i związaną z tym często-słabość: za dużo pije, a jeszcze gorsze jest to, że za często go ugaszczają w chutorach. Nie tylko dlatego, że jest wysoki i ma bujne włosy... Co się z tobą dzieje, Majhuła? Gdyby Tesla wiedział o bliskich stosunkach łączących cię z Bubelą, miałbyś w Komitecie ciężką przeprawę...

W każdą sobotę Ruban jeździ do Kłyma Synyci na naradę, niekiedy nocuje u niego i wraca rano. Synycia za każdym razem czyta mu listy od Malwy Kozuszej, jest pewnie w niej zakochany, Ruban zaś nie może zrozumieć, jak można kochać kobietę, która prawdę mówiąc uciekła od kochającego ją mężczyzny licho wiedokąd.

Dziwny jest ten Synycia: romantyk, marzyciel, przez całą zimę ludzie w komunie nic nie robią, tyle tylko, że doglądają bydła i oczyszczają ziarno; on, Ruban, zmusiłby ich do szycia, przędzenia, darcia pierza, warzenia sera czy choćby robienia łódek na sprzedaż — jest z czego i jest czym, nie wolno oglądać się tylko na państwowe dotacje.

Od czasu, jak zaczął odwiedzać komunę, trochę się tam zmieniło na lepsze. Zaangażowano serowara, co prawda prywaciarza, ale czort z nim, żeby tylko dobrze warzył ser.

dopóki Malwa nie wróci z kursu. Na serze nie jest napisane, kto go zwarzył. Uruchomiono też tartak parowy, poleciały pierwsze deski, zamierzano uruchomić na wiosnę cegielnię, bo pałac nie może już pomieścić wszystkich członków komuny, trzeba zbudować obok coś przyzwoitego, aby bez wstydu można było pokazać okolicznym wsiom, oto jak się mieszka w komunie.

Kłym Synycia, może w mniejszym stopniu niż Tesla, patrzył na komunę jako na daleko-siężny eksperyment, z punktu widzenia rewolucji światowej. Ruban natomiast przy swoim zmyśle praktycznym widział w niej rozwiązanie problemu gospodarowania na wsi właśnie na dziś, komuna, jego zdaniem, była wręcz niezbędna w danym momencie. Jakby zapominając o domu nad Czebreciem Ruban w cichości serca marzył o babilońskiej komunie; właśnie tu, na Tatarskich Wąłach, wydała mu się w jego wizji piękniejsza niż gdzie indziej. Chciał stworzyć coś potężnego, wszechobejmującego, z milionem dziesięcin ziemi z tysiącami ludzi. Marzyło mu się miasto tam, gdzie dziś stoi Babilon. Aż strach pomyśleć, że ten olbrzymi plan trzeba będzie zacząć realizować niemal z niczego, z jednym, dwoma, niechby nawet z dziesięcioma ludźmi.

Lew Chrobry, którego zima zastała boso, już cały tydzień szył sobie buty. Siedział przy oknie i kilka razy zauważył na Tatarskich Wąłach jakiegoś nieznanego mężczyznę. Dotąd nie miał w czym wyjść do niego, nie chciało

mu się wybiegać w słomkach, ale teraz wreszcie skończył już buty, zdjął je z kopyta, szybko włożył na nogi, zarzucił na siebie zieloną sukienną czamarkę którą Zosia dała mu za trumnę dla Bonifacego, i wyszedł.

— Kogo pan tak wypatruje? Widziałem tu pana już kilka razy, no więc pomyślałem sobie, wyjdę i zaproszę do chaty.

— A pan kim jest? — Ruban spojrzał podejrzliwie na jego czamarkę i na nowe buty; chyba już gdzieś widział tego człowieka, co prawda bez czamarki, zdaje się że w Glińsku.

— Ja tutejszy, babilończyk — uśmiechnął się właściciel czamarki. — Nazywają mnie Fabian.

— Jakiś Fabian przychodzi do urzędu gromadzkiego pić wodę.

— To mój cap. Jego też nazywają Fabian.

— Wspaniałe zwierzę.

— Cap jak cap. Po prostu przywykłem do niego. W nocy gorzej widzę, więc czasami przyprowadza mnie do domu. W tym jest wręcz niezastąpiony. A czy pan czasem nie Ruban? Zgadłem, tak?

— Ten sam.

— Tak sobie myślę, dlaczego pan ciągle patrzy w stronę Pryckiego, a pan to przecież ten sam Ruban, który kiedyś był właśnie w Pryckiem. Jak pan tu się czuje, w Babilonie?

— Babilon to nie Pryckie.

— Byłem kiedyś tam na odpuscie. Poznałem przewodniczącego. Ten Majhuła to wielki człowiek.

— W jakim sensie?

— Nie ma we wsi żadnego ucisku, pełna swoboda.

— Dla kogo?

— Dla wszystkich.

— Więc to zwykła anarchia.

— A panu zachciewa się dyktatury, co? Tu panuje dyktatura Bubełów, Pawluków, Radeńkich. Była, jest i będzie. Kto ma pieniądze ten rządzi Babilonem. Tylko ja jeden jestem od nich niezależny, żyję tak, jak mi się podoba. Ziemi własnej nie mam, na zasiew u nich nie pożyczam, żyję sobie jak Sokrates w Rzymie.

— Sokrates żył w Atenach. Za Peryklesa.

— Do licha, wszystko mi się poplątało.

— A dlaczego nie ma pan ziemi?

— Zrezygnowałem. Nie chciałem stać się jej niewolnikiem. Pamięta pan, co powiedział o tym kartagiński uczony Mago w księdze o rolnictwie?

— Pamiętam. Czytałem u Synyci na ścianie...

— A ja czytałem teraz Biblię. Po raz drugi...

— Po co?

— Kiedy zawieje moją chatynkę, czytam, dopóki nie przyjdą i nie odkopią mnie. Boją się, żebym nie zamarzł.

— Ciekawie pan żyje. Można rzucić okiem na pańskie mieszkanie?

— Proszę bardzo. Co prawda nie jestem sam. Jest teraz u mnie Zosia. Przyniosła coś niecoś, żebym nie umarł z głodu. Już tydzień nie schodziłem na dół, więc Zosia, daj jej Boże zdrowie, wyręcza mnie.

— Jaka Zosia?

— Bonifacego.

— Naszego Bonifacego?

— Tego samego. Chodzi do niego, no i po drodze wstępuje do mnie. Byliśmy z Bonifacym jakimiś tam krewnymi, więc ona też jakby swoja. Ciągłe przemyśliwamy nad tym, jak przenieść go stąd na cmentarz. Żeby był bliżej ludzi.

— Czy to tak trudno?

— W Babilonie? Nie wiecie, jacy tu ludzie. W drzwiach Fabian powiedział:

— Zosiu, to towarzysz Ruban, chyba go nie znasz.

— Widziałam go raz jeden. I to przez łzy...

Leżała na piecu, bosa, drobna, z ładnie zaplecionym czarnym warkoczem i grzała się. Miała trzydzieści lat, w oczach czaił się jeszcze smutek, twarz miała łagodną, bardzo ładną. Bonifacy przywiózł ją z Dachnówki jeszcze przed reformą rolną.

Zosia wstała, włożyła na bose nogi pantofle, podrzuciła do pieca suchych badyli słonecznika, które łamała na gołym kolanie. Fabianowi zdawało się, że kiedy Zosia weszła do jego pustego mieszkania, zrobiło się od razu jakoś zacisznie; a może spowodował to ogień w piecu, który podtrzymywała nawet wtedy, gdy wszyscy troje siedli przy warsztacie, który służył tu za stół. Na warsztacie pozostało jeszcze trochę wiórów, więc Zosia zaczęła je zmiatać. Jeden ciągnął się bez końca. Zosia pomyślała, że to z trumny Bonifacego. Bonifacy był bardzo wy-

soki, jak wszyscy karmelici. Twierdził, że do tego zakonu nie przyjmowano mężczyzn niskiego wzrostu. Ruban był wprawdzie niski, ale mocno zbudowany, silny, miał szeroką twarz, wystające kości policzkowe oraz głęboko osadzone czarne oczy, śmiał się głośno (Fabian poznawał człowieka po śmiechu).

Po zmieceniu wiórów Zosia postawiła na warsztacie pierogi z grochem, ćwiartkę zatkana białą szmatką i odszukała w kredensie trzy kieliszki. W jednym z nich była na dnie zeschnięta mucha, która zapewne upiła się kiedyś w tym kielichu na śmierć. Zosia wydmuchnęła ją i popłukała kieliszek wódką, którą potem chlusnęła w ogień. Ruban pił razem z nimi, i to nie łykami, lecz opróżniał kieliszki jednym haustem, chwalił Zosię za pierogi z grochem i czosnkiem, a gdy alkohol uderzył mu do głowy, obiecał jej przenieść Bonifacego. Fabian zauważył przy tym, że trzeba to zrobić, zanim jeszcze ziemia nie zamarzła. Zosia rozplakała się ni to z żalu, ni to z wódki, a potem zaśpiewali razem: *Hej, zabielały śniegi, hej zabielały białe.*

Pieśń przywabiła capa. Zastukał rogami do drzwi, Zosia mu otworzyła, a gdy wszedł do izby, obwąchał najpierw Rubana, a potem wlepił oczy w pierogi. Dali mu jednego, ale cap odwrócił się, bo nie znosił zapachu czosnku. Ułożył się na ziemi przy piecu i ulegając namowom lekko trzaskającego ognia uciał sobie drzemkę, chociaż bał się bardzo, by gospodarz nie zostawił go samego w domu.

Na Tatarskie Wały opadał już wieczór, kiedy cała czwórka zaczęła schodzić w dół. Ruban trzymał Zosię pod rękę, za nimi człapał Fabian, za Fabianem — jedyny tu trzeźwy — cap. W ten cichy, biały wieczór poświęteczny babilończycy wylegli z domów, więc Fabian kłaniał się na lewo i prawo. Wszyscy rozpoznawali na nim zieloną czamarkę Bonifacego, większe jednak oburzenie wywołali idący pod rękę Zosia i Ruban.

— Wszelka zaraza pada na nasz nieszczęsny Babilon — mamrotała jakaś kobieta, niosąca na koromyśle dwa pełne wiadra.

Była to Pałazia, rodzona siostra Matwija Husaka, kobieta krzykliwa, o złośliwym języku. Mąż jej, Charyton, zginął na wojnie w siedemnastym roku; od tego czasu żyła sama, dzieci nie miała, nie chciała wyjść powtórnie za mąż, mimo że miała sporo owiec, konia i krowę.

Pałazia postawiła wiadra na drodze. Cap chciał siorbnąć z jednego wiadra, ale oberwał za to koromysłem. Przepędziwszy capa, Pałazia chwyciła wiadra i ruszyła szybko do domu. Cap postanowił niezłomnie, że kiedy Bóg pozwoli doczekać lata, to on zemści się srogo za doznaną dziś zniewagę, po czym dogonił Fabiana i podstawił mu róg, żeby jego pan mógł się wesprzeć i iść pewniejszym krokiem, nie zważając na wstrętnych babilończyków.

Fabian wraz z capem i każdy z osobna często bywali w domu Bonifacego. Ruban był tu pierwszy raz. Maleńkiego Bonifacego kołysała jakaś babina, jedna z bezdomnych babek,

od których roilo się w Babilonie; przez całe życie niczego nie miały i niczego się nie dorobiły, najmowały się do niańczenia cudzych dzieci, darcia pierza, przedzenia, jeśli palce mogły się jeszcze poruszać przy wrzecionie, albo po prostu wpraszały się na dzień lub dwa ogrzać się tylko. Babina śpiewała nad Bonifacym kołysankę, kiedy ta podchmielona kompania weszła do mieszkania, wpuszczając zimno i strach — ujrzawszy capa przy samej kołysce, babula przeżegnała się.

Zosia posadziła gości, powiedziała babuli, by podała kolację, a sama wzięła z kołyski Bonifacego i przysiadła z nim na stołeczku.

— Nie płakał?

— Nie, nie — zaprzeczyła głośno babinka zapalając kaganek.

Zosia nakarmiła niemowlę, włożyła je do wiszącej na sznurach kołyski, poprosiła Rubana, żeby pokołysał Bonifacego, wzięła miskę i w samej bluzce wyszła do piwnicy. Po chwili przyniosła stamtąd antonówki w kapuście, zapewniając, że nikt nie umiał ich tak zakwaszać, jak jej Bonifacy.

— Wszyscy pełnomocnicy z Glińska zajadali się jego kiszonką, więc chyba i wy, towarzyszu Ruban, nie pogardzicie jego antonówkami, w piwnicy jest jeszcze nie rozpoczęta beczka, bo Bonek lubił szykować wszystko na zimę i na wiosnę.

Babula pokiwała potwierdzająco zakutą białą głową, bo właśnie widziała przed chwilą w komorze dwa worki zamarynowanego mięsa,

beczułkę słoniny, kilkanaście wianków czosnku i cebuli wiszących na kołkach, olbrzymią wiązkę liści tytoniu tureckiego, a jest przecież jeszcze murowana piwnica, jest jeszcze stodoła, drewnutnia, jest chlew. Ile tam jeszcze wszelkiego dobra! Bonifacy lubił mieć zapasy, zazdrościł ludziom bogactwa i marzył o nim.

Babula upiła się pierwszym kieliszkiem i poszła spać na przypiecek. Capa, któremu przypadło w tej uczcie kilka antonówek z kapusty, wyprowadzono do sieni. Na jego szczęście stał tam pusty kosz po mące czy zbożu, cap wskoczył więc do niego, ogrzał się i zasnął. Fabian upatrzył sobie ławę; sam je robił i często na nich sypiał. Gościowi pościeliła Zosia łóżko. Pomogła mu zdjąć buty i chyba pocałowała go w głowę — Ruban dokładnie nie pamięta, sama zaś wzięła małego Bonifacego i położyła się z nim na piecu. Fabian chrapał, Ruban spał cicho, tylko Zosia ciągle budziła się do dziecka. Mogłaby zapalić kaganek, ale okna nie były zasłonięte, z podwórza wszystko widać, ktoś kręcił się pod oknami, bała się, że to Bonifacy.

Ruban to przystojny mężczyzna, ma ładną czuprynę, bardzo przyjemnie się śmieje, nóg nie czuć potem, onuce białe jak chusteczka Bonifacego, widać, że dba o niego stara Kozusznica. Imię ma też ładne: Anton, Antosza... Ma ponad trzydzieści lat, a ona dobiega trzydziestki. Za miesiąc lub dwa, jeśli zechce, może się tu przenieść, na kwaterę albo jak... Po co

ma płacić Kozuszej, kiedy tu wszystko gotowe...

Tak rozmyślała sobie na piecu, a pod oknami ciągle ktoś człapał. Od dziecka bała się duchów, teraz też nie mogła zasnąć, wsłuchując się w to człapanie. Kiedy Ruban kładł się, schował coś pod poduszkę, może go zbudzić, niech wyjdzie sprawdzić. Starzy ludzie powiadają, że Bonifacy będzie tu przychodzić, dopóki nie przeniosą go z tego odludzia na cmentarz, gdzie leżą jego rodzice.

Wreszcie ucichło. Dopiero trzecie pianie kogutów przepędziło nieszczęsną duszę. Zosia dotknęła końcami palców niemowlęcia w powijkach — było cieplutkie — i zasnęła czujnym snem wszystkich matek.

Rozbudziły ją jakieś głosy dochodzące z drogi, a może z podwórza. Zapominając o nocujących u niej gościach, skoczyła z pieca do okna zasłoniętego do połowy na zimę matą słomianą. Babula też zerwała się z przypiecka i zaczęła szeptać modlitwę od wszelkiej napaści...

Zosia własnym oczom nie wierzyła: co robią pod jej domem o tej porze Radeńcy, Matwij Husak z dwiema starszymi córkami, Szaron Łoboda z chutoru? I Pawluk z synami też jest, tłoczą się całą gromadą. I jest Jawtuch z tą bogobojną, cichutką Prisią. I jeszcze kilka osób na saniach, z Pryckiego czy z Kozowa, Zosia nigdy ich nie widziała. Radeńcy mieli na sobie jednakowe rude kożuszki i reszetyłow-

skie czapki¹, córki Husaka były wystrojone jak w święto w jedwabne chustki, safianowe buciki i śnieżnobiałe kozuszki.

Jakiś chłopak w zajęczej czapce, ujrawszy ją w oknie, krzyknął, jakby mu kto nastąpił na nagniotek:

— Patrzcie, Zosia! Zosia w oknie!

Podniosła się wrzawa i śmiech. Zosia ciągle nie mogła się zorientować, o co chodzi.

Synowie Pawluka otworzyli wrota i tłum wpelznął na podwórze. I dopiero teraz Zosia zorientowała się, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Zbudziła Rubana, niemal na siłę ściągnęła z ławy Fabiana, który nie był przyzwyczajony wstawać o tak wczesnej porze.

Ruban szybko się ubrał i podszedł do okna.

— Wyjdź tu do nas! — zawołał ktoś z gromady.

Wyglądało to na bunt. Ruban wyjął spod poduszki nagan i włożył go do kieszeni. Ci na dworze byli co prawda bez broni, ale z ich wyzywającej postawy, z wyrazu oczu spod nasuniętych czapek, z ich podniesionych głosów nietrudno było się zorientować, że nie przyszli tu w przyjaznych zamiarach.

Czyżby opanowali radę gromadzką, pomyślał Ruban.

Próbował odszukać wśród nich Sawkę Czybisa, nie było go tam jednak, być może zabili go, a teraz przyszli zrobić to z nim, Rubanem.

— Jak sądzicie, Fabianie, czego oni tu chcą?

¹ Reszetyłówka — miejscowość na Połtawszczyźnie, znana z wyrobu zimowych czapek

— Zaraz — odpowiedział filozof i stanął w oknie.

— Hej, wy tam! Wychodzić! Pokażcie się ludziom i Panu Bogu. Niech zobaczą, kto rządzi teraz Babilonem!

Był to donośny głos, chyba Pańka Koczubeja.

Skupili się już przy oknie, wnet mogą wtargnąć do mieszkania.

Zosia zdjęła z pieca małego Bonifacego i pełna niepokoju miotła się z nim po izbie, w samej koszuli i boso.

— Boże, Boże, czego oni chcą od nas? ...

Fabian zagubił gdzieś okulary, bez których był zupełnie bezradny.

— Wychodźcie, dzierzymordy! Wiemy, że tam jesteście!

— Oto kto zamordował Bonifacego! To oni! — rozległo się za oknem.

Wreszcie Fabian znalazł okulary, wyszedł do sieni, wytrząsnął capa z kosza i otworzywszy energicznie drzwi wypchnął go przed siebie na ganek. W tłumie rozległ się śmiech. Cap spoglądał na przybyłych z wściekłością, musiał bowiem przez nich porzucić ciepły kosz. Za capem wyszedł Fabian w pomiętym ubraniu, co w niczym nie pomniejszało jego wyższości filozoficznej nad tłumem.

— Do waszych usług. To ja, Fabian.

— Idź do diabła, nie jesteś nam wcale potrzebny. Znamy cię jak zły szeląg.

— Chcemy Rubana!

Fabian zwrócił się w stronę sieni, starając się zachować spokój w głosie.

— Antonie Iwanowiczu, proszą pana.

Na ganku ukazał się Ruban. Był wyraźnie zakłopotany i roztargniony. W tłumie rozległy się wrogie okrzyki.

— To on chce nas zmusić siłą do kołchozu!

— Chce nas wypędzić z naszej własnej ziemi!

— Do kołchozu nikt was nie zmusza. To zrzeszenie dobrowolne.

— Jeśli dobrowolne, to wynoś się stąd! Sami sobie poradzimy! Sami! Precz!

— A jeśli nie, to wywieziemy z Babilonu na taczkach, tak jak wywieźliśmy kiedyś pana Tysewycza! To jeden diabeł! — Przed tłum wystąpił starszy Radeńki, podburzony przez kogoś chytrzejszego.

— Zwróćcie nam Pańka!

— Pańko niech będzie przewodniczącym!

— Nie chcemy drugiego Bonifacego! I to w dodatku obcego!

— Dawać tu Zosię! Zawołajcie Zosię! Niech wynosi się ze wsi do stu diabłów razem ze swoim Rubanem!

Synowie Pawluka rzucili się do ganku po Zosię, ale Ruban wyjął nagan i zagroził im drogę.

— Zastrzelę jak psy! Nie ważcie się podnieść ręki na Zosię! Mało wam Bonifacego?!

Pawlukowie odstąpili, tłum ucichł, znieruchomiał.

— Chodźmy! — Ruban zwrócił się do Fabiana.

Zszedł z ganku po schodkach i ruszył środkiem tłumy. Za nim kuśtykał Fabian, który w jakiejś mierze przyczynił się do tego wszyst-

kiego: gdyby nie wyszedł wczoraj w nowych butach na Tatarskie Wały, Ruban być może nigdy nie znalazłby się u Zosi. Cap dopiero teraz na dobre rozbudził się i kroczył dumnie za panem; bardzo lubił wszelkie procesje i parady i w ogóle starał się uczestniczyć w wielkich wydarzeniach historycznych. Za nimi pociągęli ich prześladowcy, na saniach i pieszo, sami nie wiedząc jeszcze, dokąd.

— Co robimy, towarzyszu Ruban? Po nich można się spodziewać wszystkiego. Babilon ma gorącą krew, kiedy go się podburzy. Jest w nim krew i turecka, i tatarska, i wszelka inna. To nie jest ta spokojna Ukraina, co gdzie indziej. Tu jak motłoch się ruszy, to jest straszny. Oczy wykole i nawet nie drgnie. Bonifacego załatwili migiem, tylko dlatego że opisał ich majątek do opodatkowania.

— Mnie tu posłali nie po to, żebym z nimi paktował, lecz po to, bym z nimi walczył, towarzyszu Chrobry.

— Oczywiście. Ale sytuacją jest bardzo niepewna. Biedoty tu prawie nie ma. Ci, co są, grzeją się teraz na piecach, a za nami wali straszliwy Babilon.

Przechodzili właśnie koło domu Petra Dżury. Rózia odsunęła firankę w oknie i uśmiechnęła się do Rubana. Pocieszała Rubana również nieobecność Dżury wśród buntowników. Trzyma traktor w domu, wybił dla niego oddzielne drzwi w ścianie, śpi przy nim, przemawia do niego jak do żywej istoty. Rózia obawia się, że to pierwsze objawy pomieszania zmysłów...

— Mam pewien genialny plan, Antonie Iwanowiczu. Jeśli Dżura się zgodzi...

— Jaki plan? Może jak najlepiej uciec?

— Nie, wprost przeciwnie. Niepostrzeżenie zniknąć...

— Zniknąć?... Proszę pożyczyć od kogoś konia i migiem do komuny, zawiadomić Kłyma Synycię. Oni mają oddział samoobrony. Niech go szybko pchnie tutaj. Jak już się bić, to się bić...

Zwierzęta przeczuwają nieszczęście pręcej niż ludzie. W głowie capa, zawsze pełnej awanturniczych pomysłów, dojrzał błyskawicznie plan ucieczki: odejdzie niby to za własną dyskretną potrzebą, a wszyscy przecież wiedzą, że nigdy nie robi tego przy ludziach, tylko wybiera zawsze jakieś ustronne miejsce. Momentalnie więc minął najpierw Fabiana, dostrzegając tylko jego cień, a potem Rubana, który stapał z jakimś martwym spokojem, tak chyba kroczą skazani na śmierć. Cap już chciał smyrgnąć w boczną uliczkę, prowadzącą do Sokoluków, gdzie zamierzał przeczekać ten historyczny przełom, kiedy Fabian przejrzaawszy zamiar tej chytrej bestii, dogonił zdrajcę kilku susami, chwycił za brodę, która na zimę wydatnie zgęstniała, i poprowadził go prosto do urzędu gromadzkiego; Fabian uważał bowiem, że obecność capa będzie oddziaływać na tłum hamująco, bo w samej jego postawie jest już coś onieśmielającego.

— Niepotrzebnie go zatrzymujecie — uważał cicho Ruban.

Był to istotnie najbardziej niewinny sposób oderwania się od prześladowców. Fabian krzyknął więc na capa „A hyś!” tak jak zwykle odpędzał go od stołu, kiedy cap zapominał, kim jest, i zamierzał porwać kęs przeznaczony dla jego pana. Cap dał nura w gliniankę, zapomnianą w zimie i nieprzyjazną. Fabian podreptał za nim, stąd mogli już pójść, dokąd tylko chcieli.

W tłumie, który rozciągał się obok glinianki pod górę, zauważono to nie bez złośliwej satysfakcji.

— Patrzcie, kumie, już nawet Fabiany go opuściły. Pozostał teraz sam jak palec.

— Ale jak oni szybko się zwąchali. Wart Pac pałaca. Trzeba ich obu przegnać z Babilonu.

— I capa też, to ich fagas...

— Jeszcze nie wiadomo, co to za cap — wtrąciła się stara Łobodycha. — Może sam diabeł w nim siedzi? Zauważyliście kumie, że bez niego nic nie może się obejść, wszędzie go pełno. Na odpuscie jest, na zebraniach jest, pójdziecie na huśtawkę, też tam jest. Wszechobecny. A dlaczego? Dlatego, kumie, że cap już od dawna dla nich pracuje. W imię Ojca i Syna!...

— Chyba, kumo, trochę przesadzacie. Po prostu zwierzę i tyle.

— Ale jakie zwierzę! Nie dość, że śni się, potwór, kobietom w ciąży, to jeszcze w dodatku niebezpieczny. Wierzcie mi, kumie, że przez niego wpadniemy jeszcze w biedę.

— Wszystkie nieszczęścia na nas sprowadzi ten tam, jeśli nie pozbędziemy się go...

To ostatnie odnosiło się już nie do capa, lecz do Rubana, który w miarę zbliżania się do rady gromadzkiej przyspieszał kroku, pnąc się wytrwale pod ośnieżoną górę.

Na ganek wybiegł Sawka, zaspany, przestraszony.

— Bunt?! — zawołał i roześmiał się, rozbrajając tym śmiechem idących na przedzie.

Ruban zaczekał, aż tłum się zatrzymał. Nadjechał jeszcze jednokonnymi saniami Bubela; stanął z boku wyczekująco, udając, że w nic się nie wtrąca. Z bocznej uliczki nadciągali Dańko i Łukian; młodszy Sokoluk podniósł rękę do czapki, pozdrawiając z daleka Rubana. Cisi Skoromni biegli szybko, jakby w obawie, że mogą się spóźnić na coś niezwykle ważnego.

Ruban objął tłum baczny spojrzeniem. Sawka wlepił oczy w Pańka Koczubeja, sądząc, że on jest sprawcą wszystkiego. Pańko nie wytrzymał jego wzroku, splunął i schował się za czyjeś plecy.

— Kto chce ze mną rozmawiać, proszę tu, na ganek — powiedział cicho Ruban.

Zaczęli się rozglądać, kto by tu mógł pójść, próbowali wypchnąć spośród siebie to tego, to tamtego, jednak nie było chętnych. Gdy doszło do Pańka Koczubeja, ten burknął rozdrażniony do Radeńkich:

— Jakie tam z nim rozmowy! Po prostu nie uznajemy jego władzy i to wszystko.

— Po co się z nim tyle cackać? — huknął

z konia ktoś z Kozowa. — Związać go, wrzucić na sanie i fora ze dwora!

— Więc czemu stoicie? Wiążcie! — rzekł Ruban, wysuwając ręce do przodu. — Ale całego Babilonu nie zwiążecie. Popatrzcie, ile was jest. Garstka. A Babilon jest wielki. Babilon pójdzie z nami. Jestem pewny. Jeśliby miało być inaczej, to po co robilibyśmy rewolucję? Żeby spłodzić zawsze niesyte plemię pijawek? Nie, panowie, wyście już swoje przeżyli. Nie zwiążecie rąk całemu narodowi. A mnie jednemu? Proszę bardzo...

W Rubana poleciało stare, pogiete wiadro, przysypane śniegiem. Ktoś, chyba też z Kozowa, zeskoczył z konia i krzyknął:

— To nie Babilon, a diabli wiedzą co! My go tu zaraz...

Tłum zakołysał się, zagrała krew. Bardziej niecierpliwi przeciskali się do ganku...

Sawka wepchnął Rubana do sieni.

— To Babilon, Antonie Iwanowiczu. Jakby co, to strzelajcie! A ja wezmę na siebie okna. Chciałbym tylko wiedzieć, czego tu szukają zdechłe muchy.

— Jakie zdechłe muchy?

— No ci, obcy. Z Kozowa. Po co tu przyjechali? Z Pryckiego też są. Pozlatywały się, kruki...

Sawka z zapalem zabrał się do pracy. Zabarykadował okna ławami, krzesłami, wszystkim, co wpadło pod rękę, przygotował siekiere, którą rąbał drzewo na opał. Ruban stał przez chwilę w sieni, potem wszedł do pokoju, zdjął po-

krywkę z beczki, napił się wody. Z zewnątrz próbowano wyłamać drzwi, waląc w nie butami i pięściami.

W tym momencie rozległo się jakieś dudnienie. Ruban przypadł do okna: ku jego zdumieniu zobaczył Petra Dzurę na traktorze. Pędził na nim niepowstrzymanie z jakąś wściekłą zawziętością. W kłębach dymu, bezlitosny i bezwzględny, wyglądał na diabła przyszłych wieków; było coś istotnie porażającego i nieubłaganego w toczących się kołach, w spowijającym traktor dymie i w jakimś obłąkańczym śmiechu traktorzysty. Za traktorem biegł wraz z capem Fabian, krzycząc:

— Uciekajcie! Ratujcie się!...

W pobliżu rady gromadzkiej Dżura skierował traktor wprost na buntowników. Ruban dopiero teraz zorientował się, jaką rolę miał tu do spełnienia traktor, roześmiał się cicho i zawołał Sawkę, ustępując mu miejsca przy odchuchanym kawałku szyby.

Tłum wyglądał jak wrośnięty w ziemię, urzeczony tą niepojętą siłą, która słuchała tylko jednego boga na świecie: Dżury. Szczególnie straszne wydawały się tylne koła, było w nich coś z legendarnego smoka, kiedy wgryzały się zębami w żywą ziemię, jakby szukając ofiary. Ktoś z mężczyzn krzyknął przerażonym głosem, kobiety podniosły lament i rzuciły się do ucieczki. Traktor spłoszył konie Pawluka, które poniosły, uwożąc starego przez ogrody.

A Dżura zupełnie oszalał. Nacierał trakto-

rem na Radenkich, na Matwija Husaka, na starego Bubełę, który z trudem dopadł sań i czmychnął do chutoru gubiąc czapkę. Córki Husaka, uciekając z krzykiem, wpadły głowami w zaspę. Dańko Sokoluk dał nura do jakiejś jamy, ratując tym być może traktorzystę, który mógł tam wpaść z maszyną. Najwięcej jednak zadowolenia miał Dżura z ataków na Jawtucha, który okazał się odważniejszym i sprytniejszym od wielu innych; umykał zręcznie przed nacierającym traktorem, kpił nawet z niego. Wówczas Dżura zdecydował się na wykorzystanie zupełnie niezrozumiałej dla Jawtucha właściwości maszyny: włączył wsteczny bieg i pokonał zaskoczony tym śmiałka. Jawtuch odskoczył i pobiegł na staw, był bowiem pewny, że Dżura nie odważy się wjechać traktorem na lód.

Fabian śmiał się do łez, ciągle jeszcze miał przed oczami przerażone twarze rebeliantów. Taką rozprawę z nimi mógł wymyśleć tylko on, wielki myśliciel i wielki bojownik o sprawiedliwość.

Gdy ulica opustoszała, cap natychmiast przypadł do zdobyczej opałki, zgubionej przez Pawluka. Już dawno nie zajadał się tak smakowitym ówsem.

Dżura powracał ze swego ostatniego rajdu na wstecznym biegu, tak żeby widzieć pięty nieprzyjaciół; jechał z dużą szybkością, jakby chciał zademonstrować niewyczerpane możliwości swojej maszyny.

— Stój! Stój! — krzyknął Fabian.

Jeszcze moment — i zwycięzcy utraciliby

nieśmiertelnego capa, który w całej tej batalii odegrał przecież niepoślednią rolę.

Jasnoszarą czapkę Bubęły oddano Sawce na przechowanie — dla przyszłego przewodniczącego kołchozu. Urząd gromadzki rozbarykadowali, zamknęli, a na drzwiach zostawili kartkę dla Kłyma Synyci, na wypadek gdyby przybył do Babilonu: *Kłymie Iwanowiczu! Jesteśmy u Bonifacego. Czekamy na ciebie.* Potem cała czwórka wsiadła na traktor i pojechała do Zosi na śniadanie. Koło krzyża przysiadł się do nich Łukian Sokoluk. Zapytany o Dańka rozłożył ręce.

Traktor jechał teraz grzecznie, na małych obrotach, bez hałasu, z jego dawnej demoniczności nie pozostało ni śladu. Za traktorem dreptał cap. Chciało mu się strasznie pić. Mógłby zaspokoić pragnienie koło grobli, w potoku nie zamarzającym aż do święta Jordanu, ale bał się, że może odstać od kompanii.

ROZDZIAŁ IV

Tej nocy przeniesiono trumnę Bonifacego na cmentarz i pochowano na działce katolickiej, gdzie kilkaset lat temu chowano pierwszych karmelitów bosych. Była na dawnym cmentarzu tatarskim też działka żydowska, gęsto zastawiona kamiennymi graniastymi nagrobkami. Wszystkie kamienie nagrobkowe były do siebie podobne, cmentarz zrównał wszystkich, chociaż za życia było na pewno inaczej. Część

żydowska oddzielona była niezbyt głębokim rowem, który dusze zmarłych bez trudu mogły przekraczać, by składać sobie wzajemnie wizyty, odbywać potajemne schadzki, zabawy, biesiady czy też załatwiać różne interesy — tak jak to bywało kiedyś w wymarłym Babilonie. Najwięcej jednak miejsca wywalczyli sobie na cmentarzu prawosławni. Na ich grobach stały wysokie, drewniane krzyże, oplecione wyszywanymi ręcznikami. Nad Sokolukową też jaśniał ręcznik z czarnymi kwiatkami i kogutami, ale Łukian dobrze pamiętał, że przecież koguty były przedtem czerwone.

Trumna ze zwłokami Bonifacego była nie tyle ciężka, co długa. Fabian zapomniał o jego wzroście i teraz okazało się, że trumna nie mieści się w świeżo wykopanym grobie, trzeba więc było jeszcze raz zmarnować dodatkowo godzinę. Dżura bał się, że stojący tak długo w krzakach na zimnie traktor nie zapali. Ruban przygotował tymczasem po cichu wspaniałą mowę pogrzebową: „Oto kto powinien był rządzić Babilonem, gdyby wróg klasowy nie zabił tego olbrzyma...”.

Zosia pomyślała, że Bonifacy istotnie bardzo tego chciał, modliła się więc, by to się nigdy nie stało. Przyłapała się jednak na tym, że nie wolno tak się modlić, i zapłakała po nim — chyba po raz ostatni. A Łukian, przypomniawszy sobie, jak matka długo chorowała, też uronił łzę. Cap, objadłszy się na obiad kiszonymi jabłkami Bonifacego, nie mógł nadziwić się, jak znakomicie trawi jego żołądek. Pomyślał

też, że podczas swego długiego już życia po raz pierwszy był na takim potajemnym pogrzebie.

Wreszcie Petro Dżura i Fabian spuścili Bonifacego na wieczny spoczynek. Potem zasypali mogiłę, przyrzekając, że do pewnego czasu nikt, prócz obecnych, nie będzie wiedział o tych przenosinach, by kułacy nie sprofanowali nowego grobu.

Traktor na szczęście zapalił. Łukian przysiadł się do Dżury i razem ruszyli w dół. Fabian z capem zostali w domu, na Tatarskich Wałach, a Ruban i Zosia, jak przystało po pogrzebie, poszli do domu piechotą.

Księżyc schował się za wiatraki, Babilon poszarzał i jakby się skurczył.

Ruban postanowił wszystko załatwić w tę jedną noc. Mieli jeszcze wstąpić do starej Kozusznej i zabrać jego rzeczy, by nie kłuć tym w dzień ludzkich oczu. Poszli na przełaj przez staw, po lodzie, który niepokojąco trzeszczał, a jej zdawało się, że miejscami śpiewał nie wiadomo z jakiego powodu. Zosia zatrzymywała się, wyciągała do Rubana ręce, jakby bojąc się że upadnie. Ruban wyglądał teraz jakos bardzo chłopięco. Przypominało jej się dzieciństwo w Dachnówce, przypominał się śpiew pierwszych grudek śnieżnych na pierwszym, przezroczystym jak powietrze lodzie, przypominała się miłość do młodziutkiego czonowca¹,

¹ oddziały specjalne, zajmujące się zaopatrzeniem Armii Czerwonej podczas wojny domowej (przyp. tłum.)

który u nich kwaterował, potem umizgi chytrego Bonifacego, kiedy Babilon był jeszcze gminą — wszystko przeszło, minęło...

Zatrzymuje rękę Rubana w swojej, przyciąga go do siebie. Na lodzie trudno się bronić, niemal niemożliwe...

Zosia stała pod huśtawką, na której huśtał się Bonifacy, pnąc się wysoko, wysoko do nieba, wyciągnął się też w tym huśtaniu ponad miarę. Nie wykołysał sobie na tej huśtawce nikogo, ale dzięki mu za to, że przywiózł ją tutaj, bo nie spotkałaby już nigdy Rubana. Ta jej myśl jakby poruszyła oszronione sznury, z których posypał się śnieg, a wraz z nim spadło na nią na moment ogromne szczęście. Pojęła, że wszystko ją w Rubanie pociąga: jego chód, jego mowa, jego oczy, jego smolista czupryna...

Stara Kozusznica spakowała rzeczy Rubana do worka z płótna żaglowego, przeżegnała go i zamknęła za nim drzwi; chciałyby mieć w domu takiego zięcia jak Antosza... Zosia wzięła od niego worek i poszła starymi ulicami babilońskimi, gubiącymi się gdzieś w odwiecznych zaroślach widłaku, dzikiej róży i wszelkich innych kłujących krzewów.

— Czy pan niczego nie widzi? — pytała Zosia, zatrzymując się od czasu do czasu.

— A o co chodzi? — pytał Ruban i rozglądał się czujnie.

— To Bonifacy, czy tylko mi się zdawało? — pytając przytulała do Rubana.

— Co też pani mówi... Jaki Bonifacy? Człowieka pochowa się raz i nie ma go, a jego pochowano dwa razy.

Na wszelki wypadek namacał nagan. Teraz i on widział wydeptaną butami w świeżym śniegu ścieżkę, ginącą w zaroślach.

Gdy przyszli do domu, mały Bonifacy spał w kołysce. Na stołeczku siedziała stara Romodanicha i śpiewała przez sen kołysankę. Wyniańczyła już w swoim życiu mnóstwo dzieci, ale obcych, bo swoich nie miała nigdy. Kiedy Babilon był chyba największym miastem na świecie, Nadia Romodan była w nim pierwszą panną. Nawet stary Tysewycz, ojciec ostatniego dziedzica, zaglądał do niej.

Zosia położyła worek na ławie, a że coś w nim zadźwięczało, chyba naboje, Romodanicha przeżegnała się i pomyślała: wszystko wraca na swoje miejsce.

Potem Zosia pościeliła łóżko, pozostawiając na nim dwie duże poduszki, na których nigdy nie spała z Bonifacym. Martwiła się, że o świecie ci znowu tu przyjdą, zapaskudzą podwórze, narobią hałasu, podejda do okien, będą chcieli rozprawić się z nim.

Ale nie przyszli. Tylko przez całą noc łkał w kominie Bonifacy...

Ruban jeszcze spał, gdy Zosia wstała, wzięła na bosc nogi butki, narzuciła na ramiona skórzaną kurtkę Rubana i pobiegła do stodoły po słomę. Bonifacy zamierzał następnej wiosny poszyć dach, przez trzy lata przygotowywał na to snopy, które Zosia obróciła teraz na opał.

Otworzyła na oścież drzwi do stodoły i zmar-
twiała ze strachu: na belce wisiał strycek,
wiatr który wpadł przez otwarte drzwi, kołysał
nim teraz. Zosia szybko wróciła do mieszkania
i powiedziała do niezupełnie jeszcze rozbudzo-
nej na piecu babiny:

— Idźcie przynieść słomy.

Aha, pomyślała Romodanicha, teraz już
innym tonem ze mną rozmawiasz. No ale jakoś
się zwlokła z pieca, włożyła słomianki i poszła
do stodoły. Ale żadnej pętli nie widziała. Snopy
leżały równo ułożone, Bonifacy nadawał im
oryginalny, kulisty kształt. Romodanicha długo
mordowała się, by je udźwignąć, nie dała im
jednak rady i z płaczem wróciła bez słomy do
domu. Zosia roześmiała się, kiedy o tym usłysza-
ła, i swym śmiechem zbudziła Rubana.

— Co się stało?

— Posłałam babę po słomę, ale snopy są
takie ciężkie, że nie może ich udźwignąć.

Ruban włożył spodnie i buty i w samej ko-
szuli poszedł do stodoły. Wiatr kołysał zwisa-
jącym z belki stryczkiem. Ruban stanął jak
wryty. To dla niego. Zawiesili pewnie wtedy,
gdy oni chowali Bonifacego w nowym grobie...

Kiedy wrócił ze snopem do mieszkania,
Zosia, wparta łokciami o okno, płakała objawszy
głowę rękami, a Romodanicha dotykała końca-
mi palców warg, jak gdyby chciała powstrzy-
mać dalszy potok wymowy.

— Babo, dlaczego jej dokuczacie?

— Ja nic, tylko mówię, że najpierw trzeba

by do ołtarza, wtedy i cudze snopy będą lżejsze...

— Kiedy i tak są dla mnie lekkie jak piórko — Ruban chwycił za powrósło i jedną ręką podniósł snop aż do sufitowej belki.

— O Boże, co za siła! — Romodanicha z podziwu aż zamknęła oczy, a Zosia zaśmiała się przez łzy.

— Nic, babo, nie rozumiesz. Nawet gdyby Bonifacy żył, to i tak byłbym z nią. Odbiłbym ją Bonifacemu, rozumiesz? Prawda, Zosiu?

— Chyba tak... — odpowiedziała w zamyśleniu Zosia.

Wzięła z kredensu nóż, przecięła powrósło i zapaliła w piecu, by przegnać duszę z komina, tego ostatniego nocnego przytułku dusz zmarłych mężów...

Ruban zdjął koszulę, poszedł pod starą gruszę i natarł się do pasa śniegiem. Ciało mu płonęło. Zosia wyjęła dla niego ze skrzyni ręcznik; wybrała taki, którego Bonifacy jeszcze nie używał, żeby nie przeszła na Rubana jego chandra. A kiedy już poszedł do pracy, Zosia długo stała w oknie, patrząc za nim, nawet gdy już zniknął. Jak to dobrze, że nie ma Malwy i że tamta nie dostrzegła, jaki wspaniały jest ten jej Ruban. Potem pobiegła do sąsiadów pożyczyć kosę, bo Bonifacy demontował swoją na zimę.

— Po diabła ci kosa, kiedy wokół śnieg? — zdziwił się sąsiad, stary Żurawski.

— Potrzebna mi. — Zosia nie wdawała się w wyjaśnienia.

Poszła z kosą do stodoły, podłożyła kilka snopów i dopiero wtedy dostała kosą do belki. Pętla upadła, uderzając Zosię zamarzniętym końcem w twarz. Zniosła ją do mieszkania i wrzuciła do pieca, aby nic już nie odstraszało Rubana od jej domu.

Kiedy Ruban wybierał się do Babilonu, Macedoński powiedział mu, żeby nie spuszczał z oka Bubeły. „Żadnych dowodów wprawdzie przeciw niemu nie mamy — tłumaczył się — re wizja w chutorze też nic nie dała, ale jesteśmy pewni, że bez jego udziału nie obeszło się. Zwolniono go, ale trzeba mieć na oku ciągle i jego, i tych, co z nim trzymają. No więc strzeżcie się, Antonie, Bubeły, niech was nie zwodzi topolowa sielankowość jego chutoru”.

Ruban chciał odesłać staremu czapkę, sądząc, że taki gest zrobiłby dobre wrażenie, ale Sawka odradził mu: „To wy kiepsko znacie Kindrata Bubełę, on kiedyś wygrał u sędziego pokoju sprawę z samym panem Tysewyczem!”

W skrzyni rady gromadzkiej przechowywano metryki, akta nadania ziemi, księgę miedz gruntowych, świadectwa zgonu, zwinięte w rulony tajne raporty Bonifacego o stanie majątkowym najzamożniejszych mieszkańców Babilonu. Wewnętrzna strona wieka skrzyni była wyklejona kartkami, na których była spisana historia Babilonu od czasów najdawniejszych do dziś. Żaden uczony nie zrobiłby tego z taką starannością jak Bonifacy, którego postać budziła w Rubanie coraz większy szacunek, podobnie jak i Zosia.

Ruban polecił Sawce Czybisowi zamknąć urząd gromadzki od wewnątrz i zabrał się do poznawania swego królestwa. Sawka rozkładał papiery na parapetach, na stołkach, na ławkach w takiej kolejności, w jakiej przeglądał je Ruban. Pod koniec dnia zajęta była również cała podłoga. Ruban nie znalazł żadnego śladu ślubu Bonifacego z Zosią, być może brali ten ślub w glińskiej cerkwi, ciekawe, w której — Zbawiciela czy Zwiastowania (jak gdyby ta okoliczność mogła mieć dla Rubana jakiekolwiek znaczenie). W tych poszukiwaniach sprawa ślubu Zosi była jednak dla Rubana drugorzędna. Szukał jego śladów raczej przy okazji studiowania najbardziej go interesującej najnowszej historii Babilonu, tego dzisiejszego, który wczoraj tak brutalnie go zaatakował, zmuszając Sawkę do zabarykadowania urzędu gromadzkiego.

— Przecież wszystkich tych kułaków — z wyjątkiem Bubęły, który już za czasów Stoły-pina miał nieduży chutor, ich wszystkich, Pawluków, Husaków, Radęnkich, Jawtucha, Buhów, Sewerynów, Pańka Koczubeja, zrodziła nowa władza, nasza, Sawko, władza, taka jak ja i ty.

Sawka roześmiał się, kiedy usłyszał nazwisko swego byłego zwierzchnika.

— To niesłychane nieporozumienie, oni stali się wrogami władzy, która dała im ziemię, dała wiatrakom skrzydła, dała kuźniom miechy, otworzyła przed nimi drzwi do przyszłości. A ten Petro Dżura, co to za jeden? Po czyjej

stronie opowie się w przyszłości? Wyobraź sobie, Sawko, co by było, gdyby on wystąpił wczoraj przeciw nam...

— Petro Dżura — zaśmiał się Sawka — jest chytrzejszy od nas wszystkich. A może on wczoraj pomagał nie wam, tylko im? Nie wiercie, towarzyszu Ruban, człowiekowi, który ma własny traktor. Tak już jest, psia jego mać, jak mówi Fabian.

Chociaż hipoteza Sawki nie przekonała Rubana, była bowiem sprzeczna z jego opinią o traktorzyście, pokrywała się jednak z sądem Kłyma Synyci: „Kawał drania, chociaż zapisał się do sozu. Zapisał się, żeby uniknąć podatku kułackiego i zachować traktor”. Na pytanie Rubana, dlaczego nie wstąpił do komuny razem z traktorem, Dżura odparł, że bał się, iż komuna zabierze mu traktor, którym nie zdążył się nacieszyć, chce go jeszcze przez jakiś czas potrzymać w mieszkaniu, czuć jego zapach; a poza tym, jak zeznał ten fanatyk, traktor ma jeszcze jedną właściwość: odstrasza pomyloną Rózię. Ruban był tym oburzony i pod groźbą konfiskaty traktora zabronił traktorzyście uciekać się do takich sposobów.

Do późna porządkowali archiwum rady gromadzkiej, potem zamknęli je na dwa zamki, jak to robił Bonifacy. Gdy już wychodzili, przewodniczący Ruban powiedział woźnemu Sawce, że od dziś tak długo, jak długo on tu będzie, Sawka będzie jadał kolacje u niego, to znaczy u Zosi, jako że kolacja to rzecz podstawowa. Bez dobrej kolacji zbyt powoli

ciągną się zimy, dłużą się dni, rodzą się słabe dzieci, nie mówiąc już o efektywności pracy w radzie gromadzkiej.

— Dobrze by tak było, ale co powie na to Bonifacy? — spytał Sawka. — On nigdy nikomu nawet wody nie dał się napić.

— Chodźmy, chodźmy, a o zmarłych lepiej źle nie mówić.

Gdy przyszli do domu, Ruban rzekł:

— Zosiu, Sawka będzie teraz wieczerzał zawsze z nami.

Sawka Czybis jadł dużo i śmiał się podczas kolacji z byle czego. Ale kiedy po kolacji wracał do rady gromadzkiej, na grobli zastąpił mu drogę karmelita, dosiadł go i jechał na nim wierzchem aż do samego ganku. „A cóż ty sobie wyobrażasz, że będziesz za darmo żreć w moim domu kolacje? To nie ze mną takie numery, to nie ze mną”; za życia było to jego ulubione powiedzenie.

Karmelita bał się jednak wjeżdżać na Sawce do środka, bo mogliby go tam zamknąć. Za każdym razem Sawka pocił się jak mysz pod tym strasznym jeźdźcem. Nie mógł jednak powiedzieć o tym Rubanowi, nie tylko dlatego, że jest on partyjny i nie uwierzy w coś takiego, ale też i dlatego, że Sawkę i tak uważają za półgłówka. Więc chodził dalej na te kolacje, mimo że wracał z nich z lodowatym ciężarem na plecach, bał się jednak zrazić do siebie nowego przewodniczącego.

Spotkał go kiedyś Pańko Koczubej: wesolutki, bił gdzieś świnię, niósł narzędzia rzeźnicze i za-

płatę w naturze. Czuć go było słoniną i przypalaną szczeciną.

— No, jak tam żyje się beze mnie, Sawko? — spytał.

Sawka dźwigał właśnie na sobie karmelitę, nie mógł go zrzucić, do rady gromadzkiej było jeszcze daleko, spytał więc tylko:

— Albo to nie widzicie?

Zaśmiał się i poszedł swoją drogą, której nie zniósłby nikt na świecie, prócz arcycierpliwego dziwaka Sawki Czybisa. A Koczubej takiego człowieka miał za nic!

Sawka przyznał się tylko Zosi.

— Strasznie mnie męczył ten twój karmelita — i opowiedział jej o wszystkim.

Zosia zbladła, rozłożyła ręce, a potem poradziła:

— Pożycz od Antoszy nagan.

Kobiety nie potrafią utrzymać sekretów. Po każdej kolacji Ruban odprowadzał Sawkę do grobli, a niekiedy towarzyszył mu aż do rady gromadzkiej. Były to dla Zosi najcięższe chwile. Nawet mały Bońka, jak go teraz nazywała, drażnił ją przy piersi swą żarłocznością i spokojnym, ale przenikliwym spojrzeniem. Przyłapywała się na tym, że odwracała się od tych oczu, bała się ich — bała się najdroższych oczu na świecie.

ROZDZIAŁ V

Bubeła przywiązywał wagę do rzeczy, do ich cech, właściwości. Dla chłopca zgubić czapkę,

to jak dla króla koronę. Bardzo też nie chciał, by jego czapka znalazła się w Glińsku. Obawiał się, że glińscy eksperci wywąchają z niej wszystkie jego myśli o nich samych, o nowej władzy, o wszystkim, co w duchu i od pewnego czasu głośno myślał o tej władzy, zwłaszcza od kiedy Sośnin po zorganizowaniu pierwszej komuny wywiózł na gliński jarmark pierwszy komunowy ser-dziwo, jakiego w Glińsku nikt jeszcze nigdy nie widział. Kiedy Sośnin wyjechał do Moskwy na dyskusję i już więcej stamtąd nie wrócił, Bubela uznał to za klęskę komuny i swoje własne zwycięstwo. Przez cały dzień chodził w radosnym podnieceniu po chutorze, potem wychodził w step, kładł się w trawie i godzinami z daleka delectował się widokiem swego chutoru, tarzając się od czasu do czasu z radości, jak koń. Jednak komuna nie rozpadła się, na miejsce jednego fanatyka przyszedł inny — Kłym Synycia, nad chutorem gromadziły się groźne chmury. Bubela podburzał przeciw Synyci kozowskich bogaczy, a potem Pawluka i paru jeszcze innych, oczywiście zachowując dużą ostrożność. Za wszelką cenę chciał się go pozbyć. Pomylili go jednak z serowarem i zamach na przewodniczącego komuny nie udał się. Nie mieli wcale zamiaru zabijać serowara, ale on sam natarł na nich z szablą, więc trzeba było się ratować...

A teraz wrócił bez czapki, płacząc z wściekłości.

— Na wszelki wypadek — rozkazał Parfusi

— nasusz sucharów i przygotuj kilka koszul na drogę.

Przez kilka nocy nie spał w domu, przebywał u krewnych Tekli w Kozowie, przysyłał stamtąd kogoś na przeszpiegi i wrócił dopiero wówczas, gdy dowiedział się, że w Babilonie spokój, Ruban mieszka u Zosi i że Babilon szykuje się do pierwszego zimowego jarmarku w Glińsku, choć nie było śniegu i drogi nie nadawały się na jarmark, bo błoto zamarzło w twarde grudy, ni przejść, ni przejechać.

Bubeła przez tych kilka dni spędzonych w przejściowej kryjówce w Kozowie postarzał się i jeszcze bardziej spotęgowała się jego nienawiść, jeszcze mocniej stwardniała wola walki z rzekomą samowolą, której — jak sądził — dopuszczano się jedynie w terenie, podczas gdy „góra” o niczym nie wiedziała.

Pojechał po czapkę. Nie zastał przewodniczącego, dowiedział się natomiast od woźnego, że czapka jest jeszcze na miejscu, leży w skrzyni zamkniętej na dwa zamki, ale on, Sawka, nie może wiedzieć, co Ruban zamierza z nią zrobić, chyba wyśle do Glińska, a może sam będzie ją nosić, kiedy przyjdzie ostra zima, na razie paraduje w skórzanym kaszkiecie, chyba jeszcze z frontu. Sawka Czybis zaśmiał się przy tym, a Bubeła podszedł do kutej skrzyni. Trudno mu było uwierzyć, że jego czapka jest jeszcze tu, a nie w Glińsku, to znaczy, że eksperci nie odczytali jeszcze myśli, jakie kryją się w jego głowie.

— A nie oszukujesz ty mnie, starego, co?

Kiedyś, za kawalerskich czasów, kolegowałem z twoim ojcem, a potem służyliśmy razem u pana Tysewycza. Twego ojca poniosły pańskie konie na śmierć, wpadły w przepaść, a ja, jak widzisz, zgubiłem czapkę, a chciałbym umrzeć z nią na głowie.

Czybis rozczulił się, nie pamiętał swego ojca, więc wspomnienie o nim było mu droższe nad wszystko.

— Ona jest tu — wskazał na skrzynię — ale kluczy nie mam. Kiedyś były u Bonifacego, a teraz nosi je przy sobie sam Ruban.

Bubeła stał jeszcze przez chwilę niezdecydowany, potem pocałował po ojcowsku Sawkę w czoło i wyszedł. Za pół godziny wrócił tu na saniach z Rubanem. Przewodniczący otworzył skrzynię, wyjął czapkę i oddał ją zaskoczonemu i zmieszanemu Bubele.

— Nie gubcie jej więcej, bo można razem z nią zgubić głowę.

Bubeła bąknął coś niezrozumiale, zdjął kaszket z nausznikami i włożył na siwą głowę czapkę. (Gdyby nie Zosia, Ruban nie oddałby mu jej: podniosła lament, kiedy w swoim domu zobaczyła potężnego Bubełę na kolanach). Ukłonił się Rubanowi, ukłonił się Sawce i odjechał, czując się znowu Bubełą. Wyobrażał sobie, ile radości ujrzy w oczach Parfusi, kiedy zobaczy na jego głowie tę wspaniałą czapkę. Za Babilonem zdjął ją i powąchał wewnątrz. Pachniała jeszcze nim, Kindratem Bubełą, nim i perzem, bo Parfusia myła mu głowę perzem, żeby nie łysiał.

W stepie nie było żywej duszy, tylko księżyc kąpał się w chmurach. Czy ma on też swoją historię, swoich Bubełów i Rubanów, i dlaczego psy wyją do księżycy? Jak żałośnie wyją... Przeciw czemu?... Trzeba wezwać kominiarza Juchyma Ławryka, niech oczyści piece z sadzy, ciągle pali się słomą, z której więcej sadzy niż z drewna, jutro trzeba będzie posłać po Ławryka, bo mógłby się spalić chutor. A może grasują tu gdzieś w pobliżu wilki? Bubela zapalił fajkę, z ogniem jakoś bezpieczniej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to upoluje tej zimy kilka wilków. Nikt nie miał w polowaniu na nie takiej wprawy, jak on. Kiedy w komunie był jeszcze Sośnin, zaciekły komunista i nie mniej zawzięty myśliwy, często spotykali się w bodiakach, na niczym stepie; Sośnin polował na wilki z konia, a Bubela w lekkich saniach. Koń odczuwał bliskość wilków szybciej niż myśliwy. Bubela udawał zamarznętego, zamykał oczy, a wilki zaczęły krążyć wokoło niego, najpierw z daleka, potem coraz bliżej... Gdzieś przy trzecim okrążeniu słyszał już skrzypienie śniegu, koń zaczynał się trząść jak w febrze i dopiero wówczas Bubela ożywał na saniach i oddawał jeden, jedyny strzał, który przez cały następny dzień nie dawał spokoju Sośninowi, powracającemu często z polowania z pustymi rękami. Poznali się właśnie tu, na polowaniu. Bubela chciał zaprosić Sośnina do chutoru, dowiedziawszy się jednak, że mieszka w komunie sam, bez rodziny (która pozostała w

Moskwie), nie zrobił tego ze względu na Parfusię.

Psy wyją coraz zajadlej. Jeden z nich, główny stróż, który jest tu od dawna, Didon, olbrzymi pies ognistej maści, z wiecznie czerwonymi od złości ślepiami, uznaje tylko Bubelę, nawet Parfusia boi się go. Didon biega bez przerwy na łańcuchu wzdłuż zabudowań gospodarczych. Dwa pozostałe, Princ i Alta, to psy myśliwskie. Princ na zające, a Alta na kuropatwy; małżeństwo niezbyt zgrane, bo dybią na jej trwałość co jesień ordynarne babilońskie kundle, bez trudu odbijając Altę Princowi. Potomstwo z tych nielegalnych związków, ślepe jeszcze, Bubela zrzuca ze skały do Czebrecia, Parfusia za każdym razem zalewa się łzami, oplakując skazane na wieczne potępienie psie dusze. Bubela strzeże w ten sposób chutor przed inwazją zbędnych istot, więc topienie ślepych szczeniąt daje mu wiele zadowolenia. Gdyby mógł rozciągnąć to prawo na cały Babilon, to bardzo szybko oczyściłby go z niepożądanych domieszek, stwarzając wysokiej klasy gatunek ludzi i zwierząt.

Bubela szarpnął lejce. Koń umiał chodzić w kabłąku, pomknął więc do chutoru szybciej od cieni rzucanych przez chmury, biegnących stepem gdzieś w noc. A kiedy zamajaczyły majestatyczne, oszronione topole, Bubela odczuł niemal fizycznie, że ma coś niecoś na tym świecie, za co warto było paść na kolana przed znienawidzonym Rubanem w domu Bonifacego, gdzie dotychczas nigdy nie był, warto było

znieść wszelkie poniżenia, by chociaż jeszcze jedną noc przespać się z Parfusią w baśniowym królestwie, gdzie wszystko należało do niego, nawet szron na topolach.

Gdy sanie zatrzymały się w podwórzu, stary Bubela poczuł ukłucie pod sercem. Psy rzuciły się do pana, prześcigając się w szczekaniu. Didon położył mu na piersiach olbrzymie łapy i warknął na Alcę, która łasiła się do nóg gospodarza. Okna były jeszcze otwarte, w domu panowała ciemność. Zaniepokoiło to Bubelę, bo Parfusia bardzo bała się mroku. Gdy kończyła się nafta, robiła za dnia łojowe świece i świeciła później nimi wstawiając je do świecznika z krzyżem. Zapach łoju roznosił się po całym domu, Bubela czuł go przez sen, chociaż miał dziurki w nosie gęsto owłosione.

Nie wyprzegając konia, pełen najgorszych przeczuć, pobiegł do mieszkania. Namacał po ciemku lichtarz z ogarkiem, zapalił go i zaczął krążyć nerwowo po izbach. A było ich aż pięć — co roku dobudowywali jedną, chociaż mieszkali z Parfusią tylko w dwóch. Parfusi nigdzie nie było. Poszedł do komory, zajrzał do dużych koszy z mąką z taką ostrożnością, jakby Parfusia mogła się ukryć w jednym z nich. Kosze były splecione ciasno, solidnie. Dwa były niemal puste, tylko na dnie zostało jeszcze trochę mąki. Parfusia ciągle mu przypominała o spytlowaniu, ale jakoś nie zdążył się wybrać do znakomitego pytla zborowskiego nad południowym Bugiem, dokąd jeździł jesienią każdego roku, kiedy woda jest wielka i spokojna. Już

w samym tym zaniedbaniu było coś nienormalnego dla takiego gospodarza, jak Bubela, który swym gospodarskim umysłem wybiegał zawsze w przyszłość.

Przykrył kosze wiekami, żeby nie zakradły się tam myszy, wyszedł do sieni i polazł na strych. Gdy tylko wstąpił na drabinę, przywidział mu się wisielec. Jeszcze tylko tego brakowało, pomyślał z lękiem, bo bardzo bał się wisielców. Uchylił ostrożnie klapę, obawiając się, że czeka go coś najstraszniejszego, co przywidziało mu się, kiedy laził po drabinie. Przypomniał mu się stróż wiatraczny. Kiedy we wsi zjawi się jeden samobójca, można spodziewać się wkrótce następnego. W Babilonie jest cały cmentarz samobójców. Bubela nie dopuszczał nawet myśli, że mogłaby znaleźć się tam również jego Parfusia.

No, ale chwała Bogu na belkach wisiały tylko worki ze słoniną i torby z nasieniem. Z komina zwisał oślepiony świeczką nietoperz. Bubela, rozdygotany strachem, powrócił ze strychu do sieni, zamykając klapę.

Wybiegł na podwórze.

— Parfusi! Parfusiuuu!... — zawołał.

Wiatr zgasił świeczkę, psy biegały niespokojnie po podwórzu z żalosnym skomleniem. Tylko one wiedzą, dokąd udała się Parfusia, pomyślał Bubela. Wskoczył na sanie, zawołał „atiu” — tak jak podczas polowania na wilki — i pomknął w step.

Psy w podzięce za zaufanie gospodarza na-

trafiły na ślad gospodyni i prześcigając się skręciły w stronę Pryckiego.

Czyżby pojechała do kotowca Fedora Majhuły, który nieraz bawił w chutorze i zawsze zerkał na usługującą im Parfusię? Ale przecież Majhuła jest żonaty i dzieciaty. Była to jedyna pociecha podczas tej pogoni. Bubeła nie przypuszczał, by Parfusia mogła odejść od niego na zawsze, pozostawić go właśnie teraz, zdradzić chutor, któremu poświęciła tyle lat życia, nie mówiąc już o zdradzie jego samego, co uważał za fakt zupełnie nieprawdopodobny.

Psy węszyły, prowadziły coraz pewniej, czując coraz bliżej ofiarę. Princ, zamierzając przypisać wszystkie zasługi sobie, zatrzymywał się i czekał w stronę uciekinierki, której wprowadzić jeszcze nie widział, czuł jednak woń nowych zelówek jej butów. Parfusia musiała potknąć się i upaść, bo Alta znalazła jej wełnianą rękawiczkę; zaczęła na sanie i oddała ją panu, przekreślając tym wszystkie dotychczasowe zabiegi Princa.

Rękawiczka wydała się Bubele jeszcze ciepłą, przyłożył ją do ust, uśmiechnął się i schował do kieszeni. Najważniejsze, że Parfusia nie zdążyła dostać się do Pryckiego, we wsi jego psy byłyby bezradne; teraz już nie one prowadziły swego pana, lecz on pogaśniał je przed sobą ścigając się z wiatrem, jadąc niemal na ślepo.

Nagle wśród śnieżnej bieli dojrzał czarną plamkę. Bubeła nie spuszczał jej z oczu, łzawiących od wiatru. Princ poznał swą gospo-

dynię, zaskomlał jakoś przepraszająco, lubił ją, lubił patrzeć w jej oczy, inne niż pobłażliwie obojętne oczy Alty, w surowe, a jednocześnie pełne dobroci oczy człowieka, do którego przywykł od lat.

Parfusia ciężko oddychała, do ostatniej chwili miała nadzieję uciec przed pogonią. Leżał przed nią tłumok, który z rozpaczy rzuciła na śnieg. Bubela wysiadł z sań, wyjął rękawiczkę z kieszeni i smagał nią uciekinierkę po oczach i po twarzy, a potem bez jednego słowa wziął ją za rękę i poprowadził do sań.

Gdy wrócili do chutoru, Parfusia przypomniała sobie o porzuconym tłumoku. Bubela rozkazał Alcie przynieść go, tak jakby to była zabita kaczka. Tłumok był za duży dla psa, ale wola pana była święta, Alta przywlokła więc jakoś tę paczkę, wywołując tym zachwyt Bubeły. Zważył tłumok na ręce, zdziwił się, że Parfusia wzięła na drogę same drobiazgi, i z pogardą rzucił ten skarb pod nogi. Tłumok rozwiązał się. Wypadły z niego wyszywane koszule z białymi haftowanymi ząbkami, niebieska sukienka wełniana z brokatowym kołnierzem, kilka bluzeczek, czerwone butki, które miała dopiero jeden raz do spowiedzi oraz trochę batystowych chustek, które Parfusia wiązała zwykle z przodu, co Bubele bardzo się podobało.

Teraz miała na głowie grubą chustę wełnianą, która czyni każdą kobietę głuchą, ubrana była w kozuch. Schowała ręce w rękawy, nie miała odwagi spojrzeć w stronę Bubeły, widziała

tylko na śniegu jego cień w wysokiej czapie. Nawet ten cień wydał się jej potężny i dumny.

Bubeła, miękki, chytry i obłudny, rozmyślał przez całą drogę na głos: właściwie dlaczego on wraca z nią na chutor, po co ta cała jego wspaniałomyślność, skoro kobieta zamiast Boga nosi diabła w sercu, to już nie kobieta, lecz czort w spódnicy, ona może otuć, zarznąć, zamordować, to już nie ta Parfusia, którą wiozł na bryczce kilka lat temu, dla tamtej Parfusi zdolny byłby, kiedy przyjadą do chutoru, naładować strzelbę i zabić się, natomiast ta obok niewarta nawet jednego dobrego słowa.

Potem zatrzymał sanie i powiedział jej, że jest wolna, może iść tam, dokąd szła, on postara się zapomnieć jej twarz, jej oczy, jej głos.

— Jestem już stary, więc twoja zdrada jest tym okrutniejsza. Zabieraj swoje manatki i idź z Panem Bogiem, każę psom, żeby cię odprowadziły, bo mogłyby cię pożreć wilki.

Parfusia chwyciła za lejce, sanie ruszyły, po śniegu popłynął wysoki cień w czapie. Bubeła zerknął na nią.

— A jeszcze myła mi głowę perzem, żebym nie łysiał... Cha, cha, cha!

Bubeła śmiał się ładnie, szczerze, jeszcze tam, w ławrze, podbił ją właśnie śmiechem. Zdjęła mu z głowy czapkę, powąchała jej dno; jakkolwiek by było, to w tej czapie Bubeła stał się dla niej znowu Bubełą, ale czy na długo? O tym wie tylko jeden Bóg.

— Sama nie wiem, co się ze mną stało.

Przebacz, Kindratku! Przecież nie mam nikogo bliższego od ciebie.

Gdy wrócili do chutoru, długo jeszcze siedzieli w saniach.

— Tu są, Parfusi, nasze nie narodzone dzieci, tu nasza miłość, tu wszystko nasze aż do najdrobniejszej rzeczy, moje i twoje. Jak można porzucać to żywe i biec gdzieś w martwe?... Wypręgaj konia, a ja pójdę po słomę i napalę w piecu.

Podszedł do sterty, na której jeszcze tego lata miał Parfusię — na wprost nieba, właśnie skończył układać słomę, chciał na górze trochę odpocząć, popatrzeć z tej wysokości na chutor. Poprosił wtedy Parfusię, by przyniosła mu fajkę, którą zwykle zapominał, ostatnio zwracał się do niej coraz rzadziej. Przypomniawszy sobie teraz, wyciągając słomę ze sterty, jak wdrapywałą się z fajką po drabinie. Oczy miała jakieś kuszące, czarne jak przejrzała wiśnia, a kiedy skończyły się szczeble i podał jej rękę, Parfusia zadrżała, odczuła, że potrzebna mu jest nie fajka, lecz ona sama, powiedziała „nie wpuszczaj mnie tu”, a potem weszła na górę i zaśmiała się. Chutor wydał im się maleńki jak zabawka, gdzieś w oddali wracała z pola trzoda babilońska, ryczały nie wydojone krowy, w zagrodach posnęły już owce, a oni pozostali tam do późnej nocy. Przyznała się wówczas Bubele do swoich grzeszków z Dańkiem Sokolukiem, była jego pierwszą kobietą, przyznała się do wszystkiego, bo groził, że straci ją ze sterty, jeśli nie powie całej prawdy. Niena-

widził Dańka i dotąd, chociaż ten harował uczciwie na jego chutorze w tamto ciężkie lato, a poza tym dzięki Parfusi nie obawiał się koniokradów, nawet żrebaka mu nie ukradli, bo właśnie Dańko naprowadzał obcych koniokradów. Tak to już jest, że jak na jednym się traci, to na drugim zyskuje.

Z coraz większą pasją wyszarpywał hakiem słomę, sterta chwiała się, postękiwała. Parfusia zaprowadziła już konia do stajni, zaniósła swoje rzeczy do skrzyni i wyszła z płachtą po słomę.

ROZDZIAŁ VI

Szykowali się do pierwszego zimowego jarmarku. Już naprzód radzili się, co sprzedać, co kupić. Nie było już żadnej większej roboty, więc mieli jechać we troje. Jeszcze z wieczora chłopcy przygotowali worki z paszą, Darynka związała kilka kur dla glińskich amatorów drobiu, wybierając najcięższe, najbardziej okazałe, a Łukian przywabił z nieba parę turmanów; każdy prawdziwy kawaler musi przecież mieć zaskórniaka na własne wydatki, nie objęte budżetem domowym.

Położyli się spać wcześniej, żeby przed świtem móc wyjechać. Przecież nie sami tylko Sokolukowie powiozą na jarmark to, co im zbywa, do Glińska wybiera się niemal cały bogatszy Babilon. Pierwszy jarmark na saniach przekształcał się zwykle w święto zimy, ignorowali

go więc tylko biedacy, którzy nie mają nic do pokazania na tym święcie, oraz ci, co załatwili swoje interesy podczas jarmarku jesiennego.

W nocy Dańko rozmyślił się, swym chłopskim rozumem pomiarkował, że nie warto sprzedawać na takim dużym jarmarku, gdzie przecież każdy chce coś sprzedać, a nie ma sensu jechać we troje po to, żeby kupić naftę, sól i mydło. Zaprzągnął dla Łukiana sanie z ciężkimi grusзовymi płozami i zarozumiale zadartymi żółtymi nosami i otworzył bramę.

— A uważaj, żebyś mi tam żadnych długów nie narobił, no i nie kupuj niczego niepotrzebnego!

W ostatniej chwili, kiedy konie przebierały nogami, a nozdrza parowały na mrozie, wybiegła Darynka, promieniejąca i rozmarzona. W jej oczach było tyle niekłamanej radości, tyle serdecznej wdzięczności, że Łukian odwrócił się nie mogąc znieść jej spojrzeń, a Dańko mimo woli uśmiechnął się lekko: ta ich Darynka była cudowna tego ranka, cudowne były jej gwiaździste oczy, nawet piegi na nosku były cudowne, pociągała całą swą diabelską kobiecością, która potrafi długo ukrywać się przed mężczyznami, by kiedyś objawić się nieoczekiwanie i oczarować najbardziej nawet odpornych.

Była w zielonych szewrowych butkach, kupionych jej już dawno przez obu braci na pojednanie, w kożuszku i w najdelikatniejszej roboty chustce, której nie chciała dotąd nosić, że-

by nie uchodzić za panią. W biegu włożyła kożuszek tylko na jeden rękaw, wstąpiła już jedną nogą na sanie. To dobrze, że Dańko nie jedzie z nim, usiądzie zaraz na kilimie i polecą zaśnieżonym stepem na spotkanie wiatrom, a ona przytuli się do Łukiana i opowie mu, jak bardzo chciałoby się jej żyć po ludzku. Przedtem tego nie odczuwała, nieraz już przecież widziała, jak bogacze wyjeżdżają do miasta na jakieś święto czy po prostu na jarmark, nigdy dotąd jednak nie zazdrościła im ani ich wozów, ani ładnych mocnych koni z szerokimi zadami, ani kosztownych kilimów czarnomorskich, ani samodiałowych narzut w zielone, czarne i czerwone smugi, takich świeżych, jakby je dopiero co utkano. Nie zazdrościła nawet nabijanej złotem i srebrem uprząży ani miedzianych dzwonczków. Darynka zazdrościła tylko tej wspaniałej jazdy i martwiała na myśl, że sama nigdy nie zazna tego szczęścia, zmarnieje tu i nigdy porządnie nie obuje swoich nóg, popękanych od zimna i rosy. Ale oto będzie wreszcie siedzieć na kilimie i będzie się rozkoszować swoimi zgrabnymi bucikami, które podczas jazdy nie zniszczą się, mimo że będzie je miała przez cały czas na nogach. I będzie słuchać świstu wiatru i śpiewu płóz. A tam, w miasteczku, pokaże się tym zarozumiałym bogaczom i bogaczkom, aby wiedzieli, że córka Nestora Żurawki, który poległ w bitwie o Babilon, jest nie jakąś tam służącą, lecz prawowitą gospodynią i wolnym człowiekiem, zasługu-

jącym na szacunek, o czym świadczy czarny krzyżyk na jej szyi.

— Jedźmy, Łukanie — rzekła, gdy usiadła w saniach.

Ale Dańko zagroził bramę.

— On sam zna drogę — powiedział jakby od niechcenia, chwycił ją za rękę i ściągnął z sań.

— Wio! — zawołał na konie.

Zanim Łukian zdołał wstawić się za Darynką, konie rozumiejąc swego pana z półsłowa, z półgestu, ruszyły tak ostro, że Łukian musiał je mocno przytrzymywać, żeby nie zgrzały się za bardzo po dłuższym postoju. Jeden turman rozwiązał się i usiadł Łukianowi na ramieniu. Łukian uśmiechnął się: była to samica, mogła polecieć, nie chciała jednak porzucić w nieszczęściu swego partnera i trzymała się mocno ramienia gospodarza.

Konie wypadły na trakt. Stare oszronione wierzby wyglądały jak babule drepcące drogą na ranne modlitwy. W pobliżu sań przeleciała kania, z trudem pokonując silny wiatr. Gołąb jeszcze mocniej wpił się w ramię Łukiana. Końskie grzywy powiewały na wietrze jak czarne chorągwie.

... Nad Glińskiem unosi się tętent, dzwonienie, gwar jarmarczny. Po wiejskiej ciszy wydaje się to Łukianowi czymś niezwykłym, odczuwa dziwny lęk.

— Panie Sokoluk, panie Sokoluk! — przyzywa go do swego kramu pachnącego cukierkami i dziegciem dawny arendarz babiloński, a dziś gliński bogacz, Monia Czczewiczny. — Niech

pan nie gardzi moim straganem. Ma pan pieniądze, to proszę kupować, nie ma pan pieniędzy, to ja zborguję, mam do pana zaufanie, panie Sokoluk, u mnie kupowali jeszcze pańska mamuńcia i pański tatuńcio, a pański dziadunio zawsze zaopatrywał się na straganie mojego dziadunia.

Mając na uwadze te dawne związki, Łukian wyjął z koszyka parę turmanów, związał przy tym rozwiązana w drodze samicę i zaczął się „handel”, w wyniku którego oszołomione turmany trafiają pod ladę, a bezcenne korale ściekają chłodem za pazuchę, pod koszulę; stamtąd mu nie wypadną, będzie odczuwał ich chłodny dotyk. Żegnając się Łukian radzi Czczewicznemu:

— Proszę uważać na turmany, to wspaniała para!

Monia uśmiechnął się. Kiedy miał młyn, kochał się w gołębiach, teraz jednak kupił je na pieczeń. Mimo wysokich podatków Czczewiczny lubi nadal dobrze zjeść.

Przekonany, że ani jego dziadkowi, ani ojcu, lecz dopiero jemu udało się po raz pierwszy oszukać Monię Czczewicznego, Łukian udał się na jarmark; trzeba było kupić nafty, mydła i soli, i to kupić jak najtaniej, wytargować chociaż kopiejkę. Plac targowy był tak zapelniony, jak stragan Czczewicznego. Tysiące związanych owiec na saniach, białych i czarnych świń i prosiąt w workach, stągwie z miodem, długi rząd worków ze zbożem; spędzono też mnóstwo krów, wołów, kilka buhajów

z kolcami w nosie — wszystko to jakby nikomu niepotrzebne, bo wszyscy chcieli sprzedać, a nikt nie chciał kupować.

Maksym Tesla w towarzystwie jakiegoś nieznanego, chyba z komitetu okręgowego, chodził po placu targowym, pytał o ceny, uśmiechał się, coś wyjaśniał mężczyźnie w skórzanej kurtce. Zatrzymali się przy buhajach. Ten szary należał do Bubęły, który zachwalał go, demonstrował, jaki spokojny i łagodny, podawał jego cenę: dwieście rubli, za bezcen jak na te czasy.

Kiedy Łukian wrócił do zajazdu, gdzie zostawił swoje konie, nie zastał już wielu sąsiadów. Odjechali Pawlukowie z wielkim czarnym wieprzem, przeklinał swoje stągwie z miodem Matwij Husak, zabierali się do powrotu inni — wieźli to, co przywieźli. Ale co to za czary? Łukian nie może znaleźć swoich sań. Odnalazł tylko to miejsce, gdzie stały, poznał je po rozsypanej gryczance. Ślad płóz prowadził zaledwie kilka kroków i gubił się w płataninie innych.

— Hej, ludzie, gdzie są moje konie?! — krzyknął rozpaczliwie i zaczął biegać między cudzymi sańmi i wśród obcego tłumu chłopów, którzy też nic nie sprzedali, nie kwapili się jednak z odjazdem, bo byli z pobliskich wsi i mogli zdążyć przed nocą do domu.

Ktoś powiedział Łukianowi, że przyszła jakaś kobieta w białym wyszywanym kożusku i zdaje się w walonkach, chyba tak, w walonkach, wsiadła do sań jak do własnych i pojechała.

Łukian omal nie rozplakał się z rozpacz. Wiedział od Dańka, że koniokradzy korzystają często z pomocy kobiet, i kiedy konia ukradnie kobieta, to można się z nim pożegnać i rozglądać się za nową szkapą. A tu przepadło wszystko: para koni, sanie, a w dodatku uprząż, i to nie byle jaka, paradna, Dańko z trudem zdobył się na nią. Krew uderzyła mu do skroni, uciekł z tego przekłętego miejsca i wkrótce znalazł się na jednej z przytargowych uliczek, gdzie handlowano zabronionymi artykułami: aparatami do pędzenia bimbru, książkami z życia Katarzyny II, Koranem, zieleń czarodziejskim i wszelkim innym diabelstwem, aż do złotych mikołajowskich pięciorubłówek włącznie. Był to czarny rynek, w zasadzie zwalczany przez miejscowe władze, a właściwie tolerowany przez nie. Handlowano tu potajemnie, po cichu, spod płaszcza. Aż tu nagle wpada Łukian ze swoim lamentem.

— Kobieta w białym kozuchu... Konie mysiej maści, droga uprząż... Ludzie!... Jak ja mam wracać do domu?!...

— Widać że dobry z niego mąż, skoro żona zginęła razem z końmi — pokpiwano z niego.

Nagle spojrzał i oniemiał: w jego saniach siedzi Malwa, a konie spokojnie jedzą owies z opałki.

— Łukian? — śmiała się ze swojego figla.

Pierwszą jego myślą było: zbić ją. Ale czy można bić Malwę, i to jeszcze przy ludziach, i do tego kiedy wszystko znalazł od razu: sanie,

konie i uprząż z miedzianymi ozdobami. Więc Łukian też się roześmiał — z tego ciągle jeszcze niewiarygodnego szczęścia, które przyszło tak nieoczekiwanie po zupełnej ruinie. Największą jednak niespodzianką była dla niego sama Malwa.

— Skąd się tu znalazłaś?

— Szukałam, z kim by tu zabrać się do Babilonu, aż tu patrzę, wasze konie. Stoję, czekam, gospodarza nie ma, no, to myślę sobie, zrobię ci kawał.

— Mało nie zwariowałem! Wracać do Babilonu bez koni! To przecież śmierć! Od razu do Fabiana i tylko trumnę zamawiać. No a ty skąd?

— Z kolejki wąskotorowej, niech ją!... Wagony nie opalane, drogę zawiało, pociąg przez całą noc stał w polu. Jechałam tysiąc kilometrów po pańsku, aż tu masz! Zupełnie skończyłam.

Spojrzał na nią wnikliwie przez okulary.

— Zmieniłaś się Malwo. Nie do poznania.

— To nie z zimna, Łukianie...

— A z czego?... Ach tak, tak. Wiem, słyszałem...

— A Glińsk jakiś taki smutny... A może tylko mnie się tak wydaje po wielkich miastach. Zatrzymywałam się nawet w Moskwie. I w Kijowie byłam dzień. Widziałam Peczerską Ławrę, wszystko widziałam... Dworce przepełnione, wszędzie snują się ludzie, gdzieś jada, spieszą się, wyrywają się dokąds. A ja ciągle myślałam o naszym Babilonie. Jaki on teraz?

— Ano stoi, jak stał... Pusto w nim bez ciebie... Ani huśtawki, ani...

— Ani plotek o Malwie Kożuszej, tak?

— Może i tak...

— No to co, jedziemy?

— Chwileczkę, Malwo. Pozwól mi oprzytomnieć.

— Tak cię przestraszyłam? — Uśmiechnęła się.

— No bo co Sokolukowie warci bez koni? Tyle, co Fabian bez capa.

— A jak on tam?

— Żyje. Fabian ciosze trumny, a cap włóczy się po świecie i węszy za umrzykami.

— Nie wyobrażam sobie Babilonu bez nich.

— Oczywiście, co by to był za Babilon?

— A co u was? Gospodarujecie sami?

— Wzięliśmy na zimę Darynkę... Zawsze to jakaś pomoc.

— Dla Dańka czy dla ciebie?

— Wiesz, jak to jest. Dańko pewnie myśli, że dla mnie, a ja sądzę, że dla Dańka. Wiozę jej korale. — Wyjął zza pazuchy czerwony sznur, pełną garść, potem wrzucił z powrotem i zapiął kołnierz wyszywanej koszuli. — Dałem za to parę turmanów. Ale jakich!...

Malwie błysnęły oczy, spojrzała na Łukiana.

— Kochasz ją? — spytała bez zazdrości w głosie.

— Wio! — ponaglił konie.

— Kłym Iwanowicz bywa u moich?

— Oczywiście. To drzewa podrzuci, to coś pomoże.

— A Tesla jest tu, w Glińsku?

— A gdzie ma być? Gdzie komitet powiatowy, tam Tesla. Czy w Kostromie inaczej?

— W Kostromie niespokojnie. Tam kolektywizacja idzie już na całego. Wszystkich partyjnych rzucono na wieś. Bandy, kułackie rozruchy. Naszego Sośnina ciężko zranili. Leży w Kostromie. Nas wszystkich też porozrzucali po wsiach. Wielu ludzi z Ukrainy. Z komuny w Ksawerowie, w Różynie... Kobiety również. Mieszkaliśmy w jednej izbie. Była tam jedna z Różyny. Wspaniała kobieta. Maria Czemera. Komunistka. Nie masz pojęcia, Łukian, jacy bywają cudowni ludzie! Kiedyś pojedę do niej. Siedzisz w tym Babilonie i świata nie widzisz, a świat, Łukianie, jest taki, że ani go opisać, ani nawet wyobrazić sobie nie można. Nadchodzi coś wielkiego, coś takiego, że sami nie wiemy, co...

Gdy wyjechali już z Glińska i dogнали sanie Bubęły, za którymi biegł na sznurze buhaj, Łukiana ogarnęło dziwne uczucie. Minęli sanie bez trudu. Bubeła wydał się Łukianowi bardzo osamotniony i wyraźnie roztargniony. Szybko zostawili go w tyle.

Za Glińskiem wiatr się rozhulał — postrącał szron z drzew, zmiótł śnieg z drogi, nawet sam księżyc zepchnął z nieba i powlókł go chmurami czarniejszymi od końskich grzyw.

Zrywała się zamieć i Łukian mimo woli pomyślał o Bubele. Będzie musiał zмагаć się z jeszcze jedną zamiecią, jeszcze gorszą od tej. Czy wyjdzie z niej żywy? On sam też, zdaje

się, zbłądził, tak, chyba zbłądził. Konie z uporem przebijały się przez zasy, aż wreszcie zatrzymał je i zaczął się rozglądać po tym białym pustkowiu. Kiedy wyjechali z Glińska, wiatr smagał z lewej strony. No więc trzeba jechać tak, żeby dalej smagał z lewej. Ruszył z miejsca i wnet znalazł się w pełnym zarośli parowie. Zaczynał się obłąd. A wszystko przez Malwę. Zachciało się jej zatrzymywać w drodze. Teraz zeszła z sań i śmiała się. W Kostromie nauczyła się nosić w zimie spodnie, diabli wiedzą, co te baby jeszcze wymyślą! Łukian też się uśmiechnął. A kiedy wlaźła z powrotem na sanie, spytał zupełnie ogłupiały:

— No a teraz, którądy?

— Prosto, Łukianku, prosto...

Do Babilonu dobrnęli dopiero o świcie.

Rano, kiedy ucichła zamieć, konie przyprowadziły do chutoru szarego buhaja, przywiązanego do sań, a w saniach Bubełę. Siedział trzymając w rękach lejce, z białej oszronionej twarzy oczy surowo patrzyły po raz ostatni na chutor i Parfusię, która wybiegła przywitać męża. Potrząsała nim, ale nawet nie drgnął, siedząc bez ruchu, lodowato skostniały. Odwiązała buhaja, wyprzęgła konie, zaprowadziła je do stajni i pobiegła do wsi. Goniło ją wycie i szczekanie psów. Przeraziła ją myśl, że szczekają na swego pana, którego sama nie mogła wnieść do mieszkania.

Najpierw zbudziła Fabiana, ich najbliższego sąsiada. Spał na warsztacie, przykryty czamarką, podczas gdy cap rozwalił się na piecu,

nie napalonym, zimnym, co capowi wcale nie przeszkadzało.

Bubełę pochowano następnego dnia obok Bonifacego.

Parfena bardzo się bała pozostać w chutorze, więc poprosiła Fabiana, by przeniósł się tam chociaż na dziewięć dni. Spał więc teraz w świetlicy, na białych poduszkach, jak jakiś wielki pan. Parfusia, która przeziębila się na pogrzebie, wygrzewała się na piecu. Cap spał w sieni razem z psami myśliwskimi. Był bardzo ciekaw, o czym rozmawiają Parfena i Fabian, wsłuchiwał się czujnie w dochodzące z mieszkania dźwięki, nie wyłowił jednak dla siebie niczego istotnego. Nie był przyzwyczajony spać w sieni, więc po dziewięciu dniach psiego życia ochoczo wracał do domu razem ze swoim panem.

A Parfusia ubrała się odświętnie, zaprzęгла żrebaka do jednokonnych sań i pomknęła do Babilonu. Była to po wszystkich tych latach pierwsza jej wizyta we wsi.

Dotąd Babilon jakoś obchodził się bez niej, a ona bez Babilonu. Ale oto przyjechała po Dańkową duszę, oplątując ją swoimi czarami. Dańko nie bronił się. Wydobył ze skrzyni chromowe buty i czystą koszulę, a potem poszedł do komory przebrać się. Kiedy wsiadał już na sanie, powiedział do swoich „Ja tu wrócę” i pojechał z Parfeną do chutoru.

Jeszcze tego samego dnia, po obiedzie, wyprowadził buhaja i pogonił go trzy razy dookoła chutoru. Był w kożuszanych rękawicach i trzy-

mał harap, dokładnie tak samo, jak stary Bubela. Dopiero kiedy buhaj zaparował na mrozie, zagnał go do stajni i rozczesał mu zgrzeblę białą grzywę, a potem oczyścił ze śniegu ścieżkę na podwórzu i wyprowadził na spacer ogiera czterolatka, którego jeszcze za życia Bubely zaplanował ukraść nie później niż następnego lata. W kole stała Parfena i popędzała konia strzelając z bicia coraz głośniej. Dańko obawiał się, że w ten sposób można zmarnować konia, który prosto z ciepłej stajni wypadł na mróz i nie odczuwał go. Podzielił się swoimi obawami z Parfeną, ale ona tylko zaśmiała się i zdzieliła naiwnego parobka harapem po plecach. Ślad po tym uderzeniu nosił długo.

Na Dańka syczą jeszcze gęsi, rzucają się jeszcze na niego psy, kiedy pojawi się nagle, no ale reszta, bydło, konie, owce, przyzwyczajają się do niego. Nawet kogut-gałagan¹ przestał się na niego rzucać, a kiedy uznaje go taki zabiaka, to może już uważać się tu za gospodarza.

Pojechał obejrzyć wiatraki. Ojczenaszka właśnie zmiatała rozsypane zboże. Ona też uznała w Dańku gospodarza, pokazała więc woreczek, mówiąc.

— No to jak, synku? Zostanie chyba tak, jak było: to, co się zmiecie, to dla stróża. Niezależnie od wiatrów, od płacy, od wszystkiego...

Wiatrak wspaniały, dwupiętrowy, drewniana nadbudowa na kamieniu. Zimno tu również w

¹ rasa dużych kur z gołą szyją (przyp. tłum.)

lecie, a w zimie nawet psa byłoby tu szkoda, stara biega na noc do domu, bojąc się nie tyle zimna, co Pełechatego...

Kiedy obejrzał wiatrak wewnątrz i wyszedł, żeby nacieszyć się jego skrzydłami — tylko cztery, a jaka siła! — powiedziała:

— Teraz, to te skrzydła poniosą się, Dańko, kto wie, dokąd..

— A dokąd, babciu?

— Może i na Sołowiejki... — powiedziała ot, tak sobie, bez złośliwości, i zaśmiała się.

— Może... A tymczasem zabierajcie, babciu, swoje manatki i dajcie mi klucz od wiatraka. Sam będę go doglądał z chutoru, po co mam wam płacić.

— A tyle! — Wycelowwała w niego z włochoatego rękawa pięść zwiniętą w figę, czego nie ośmieliłaby się zrobić Bubele. — Mnie postawił tu sam Bubeła do samej śmierci i tylko on może mnie stąd ruszyć. A jak nie, to rozleci się ten cały chutor i wy razem z nim. Wystarczy, żebym szepnęła Macedońskiemu tylko jedno słowo... O, nie myślcie, że macie z Pełechatym do czynienia, z cichutkim Tychinem!¹ Ja wam tu jeszcze wytnę taką kołomyjkę, że wszyscy pójdziecie z torbami... — krzyknęła i zrobiła szeroki ruch ręką.

— Klucz! — rzucił krótko i wyciągnął rękę w jej stronę, ciągle jeszcze przyglądając się górnym skrzydłom.

¹ „cichy” — po ukraińsku „tychyj”, stąd gra słów (przyp. tłum.)

Klucz zarył się przed nim w śniegu.

Dańko podniósł go, klucz szczypał w palce. Potem wszedł do wiatraka, wystawił jej tłumok z rzeczami i zamknąwszy wiatrak, powiedział:

— Nie jestem, Ojczenaszko, Bubelą, lecz Dańkiem Sokolukiem. Co on tam narozrabiał, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ja waszego Tychina nie ruszałem. Niech to już będzie na wasze sumienie. A płacić wam przez całe życie za wiatr? Idźcie do diabła! Co to one, wasze, czy jak?

— Moje! Moje! — lamentowała Ojczenaszka. — Moje wiatry! Bo nie mam więcej nic innego!

— Nie odbieram ich wam — odrzekł Dańko, wsiadając do sań. — Bierzcie je sobie, chwytajcie je! Co mi tam do waszych wiatrów?

I odjechał.

— Ludzieeee!... — wrzasnęła rozpaczliwie Ojczenaszka i pobiegła po śniegu w dół, do Babilonu, na który padał już zmrok.

Dańko był wściekły, że stara nie dała mu nacieszyć się wiatrakiem, postać dłużej przed nim, pomarzyć na górze, gdzie nie zamarzają okna, bo wewnątrz nie ma nigdy ciepła, oprócz chyba tego po przeklętym wisielcu, które mógł odczuć tylko duszą.

Na podwórzu zastał jakieś sanie. Konie jakby znajome, z Dachnówki, a może z Owczego, widział je kiedyś w Glińsku. No tak, z Owczego. Przyjechał nimi tamtejszy bogacz Josyp Batiuh. Przyjechał do Bubeli. Parfena przyjęła go w świetlicy, częstowała herbatą z malinami, jak

znakomitego gościa. Dańka nie zaprosiła na herbatę. Wyprzągł konia, napił w obmarzłym żłobie i oporządził na noc bydło. Dopiero kiedy odjechał Batiuh, Parfusia wyszła doić krowy. Dańko świecił jej lichtarzem.

Później przyjeżdżali jeszcze jacyś ludzie — z Pryckiego, z Żurbowa — wszyscy do Bubeli, nie wiedząc, że go już nie zastaną. Jeden z nich przyjechał w nocy. Dańko słyszał ze swojej klitki, gdzie mu posłała Parfena, jak wychodziła do niego na ganek i o czymś z nim szeptała.

— No a wy, Parfeno? — spytał przybyły.

— Ja nie. Mam parobka... — powiedziała szeptem, żeby go nie obudzić.

Dańko wstał ze swego wąskiego łóżka, ubrał się i wyszedł na ganek.

— Kto tu? — spytał.

Wysoki mężczyzna w burce spojrzał pytająco na Parfenę, a potem zmierzył brodatego natręta, wyrwanego ze snu. Konie zmęczone, nie wyspane, na saniach drzemał parobek w czapce i w baszłyku. Parfena owinęła się szczelnie kożuchem.

— To do Kindrata Ostapowicza.

— Makar Dorosz z Pryckiego. Jestem bratem tego samego Dorosza, który zginął w hetmańskim wojsku. Mnie można wierzyć. Mam wiatrak i wszystko, co trzeba. Tfu, tfu, odstukać... Bubela wyznaczył dzień, no więc wszyscy trzymamy się tej daty. Przekażcie swoim, że to na Jordan... Przekażcie, że my niczego nie zmieniamy, że wszystko ma pozostać tak, jak przedtem umówiliśmy się. Dzwony w cerkwiach

i salwy. To sygnał. Na Jordan. Żeby tylko Bóg dał ciszę i mróz. Tu kończymy wszystko na stawach i idziemy na Glińsk...

— Macedoński nie zna tego terminu? — spytał Dańko.

— Gdybym znał, tobym tu nie dojechał. Darujcie, Parfeno, ale to nawet dobrze, że nie ma już Bubeły, Boże odpuść. To uspiło ich czujność. Czy chutor jest śledzony? — zwrócił się do Dańka.

— Chyba nie. Chociaż, co można wiedzieć. Ale po mojemu nie. W każdym razie od kiedy ja tu jestem...

— Majhuła tu nie przyjeżdżał?

— Nie było go.

— A Ruban?

— Niech go diabli wezmą!

— Wypuścili go wtedy na swoje nieszczęście... Nie wolno oszczędzać nikogo! Chodzi teraz o to, kto kogo...

— Jest już komuna. Jest jaczejka... Wszystko jest...

Dorosz uśmiechnął się, twarz miał piękną jak z ikony, Parfenie trudno uwierzyć, że zdolny jest do zabijania.

Dańko odprowadził Dorosza aż za topole. Potem długo jeszcze nie wracał, widocznie chciał w samotności przemyśleć, co ma robić.

Parfena przeniosła Dańka do świetlicy z kilimami i białymi poduszkami, żeby umocnić w nim Bubełynego ducha, co tak niedawno w nim wystąpił, życzyła mu dobrej nocy i zgasila lampę. I oto wiszą nad nim strzelby, wrzy-

nają się w ciemność jelenie rogi, z przeciwległej ściany, słabo oświetlonej księżycem, straszą wilcze łby, największe jednak wrażenie robią rozpięte na białej ścianie skrzydła. Parfena wygrzewa się na piecu, odbywając tam swą nienaruszalną czterdziestodniową żałobę...

Doczekała się swego święta chata Sokoluków.

Przed wpisaniem do ksiąg stanu cywilnego Ruban wygłosił do nowożeńców piękną mowę. Darynka trzymała Łukiana za rękę, pod koniec mowy rozplakała się, czym popsuła cały rytuał. Świadkami byli Lew Chrobry i Sawka Czybis, któremu Ruban zabronił kategorycznie śmiać się podczas ceremonii. Sawka zresztą sam nie pozwoliłby sobie na to, cieszył się szczęściem Darynki jak własnym, bo też losy ich były bardzo podobne.

Na kolację weselną zaprosili Dańka z Parfeną, ci nie mieli jednak nikogo do pilnowania chutoru, więc Dańko przyjechał sam. Zupełnie nie spodziewał się zastać tu Malwy Kożuszej. Sądził, że ona jest w komunie. Nieco zbrzydła, głos miała jeszcze bardziej miękki i jakiś kruchy, a śmiech łagodny, cichy, nie było w nim już tej żywiołowości, która kiedyś tak zapadła w jego serce. Taka sobie zwyczajna Malwa...

— Jak ci się tam wiodło? — spytał.

— Duże mrozy. I jakoś strach.

— Czy Łukian mówił ci, że zaoraliśmy twoją dziesięcinę?

— Niepotrzebnie. I tak na wiosnę przyjdą traktory i przerobią wszystko po swojemu. Żeby mój koń nie laził do twego owsa.

— A czyje to traktory?

— Rany boskie! Jak to, czyje? Nasze, Dańko! No, chociażby charkowskie...

— A pan przeniósł się już całkiem na chutor?
— spytał Ruban.

— Jak to całkiem? Przecież tu moja połowa majątku...

— Nie połowa tylko trzecia część — poprawił go Ruban.

— No tak, trzecia, zapomniałem...

Parfena bała się być sama, więc wkrótce pojechał, czuł się zresztą na tej wieczerzy zbyteczny i obcy. Zatrzymał się koło wiatraka, spojrzał na chutor śpiący w spokojnej bieli. Jeszcze za dnia silny przygruntowy wiatr uderzał w dolne skrzydła, a teraz panowała wokół martwa cisza, kontrastująca z zamiecią w jego sercu. Może jednak wrócić, wypić za szczęście brata, nie wplątywać się w to wszystko, co przejął na siebie razem z chutorem? Nagle zwidziała mu się w wiatraku Radeńkich Ojczenaszka. Właścicielka wiatrów... Nie miała nic prócz wiatrów. Zrównać się z Ojczenaszką... Nie, panowie! To nie Dańko Sokoluk!

I ruszył do chutoru...

Parfena czekała na niego, wysłała psy, które rzuciły się do sań, łąsiły się, witały swego pana...

ROZDZIAŁ VII

Bunt miał rozpocząć się w święto Jordanu przy olbrzymim krzyżu wyrąbanym poprzedniego dnia z lodowiska i obficie polanym czerwonym kwasem buraczanym, przygotowanym w kadziach przez skłonne do mistyki babki babilońskie. Postarały się, by kwas był najczerwieńszy, więc ten krwawy olbrzym płonął teraz przy księżycu jak zapowiedź nieszczęścia, w dzień zaś mógł oślepić nawet niewierzących. Krzyż ochraniały bojowe zastępy małych krzyży, również wyrąbanych w lodzie, sprawiając istotnie wrażenie jakiegoś biblijnego symbolu. Jego krew, przelana za ludzki ród, zwabiła psy babilońskie. Cap Fabian, istota niezwykle dociekliwa, też zawitał tu, by spojrzeć na to dziwo. Polizał kwasek i odszedł zaraz, bo psów przybywało coraz więcej i bał się znaleźć sam jeden przeciw całej zgrai babilońskiej, poza tym te potwory, z którymi cap miał stare porachunki, zachowywały się coraz bezczelniej, wszczynały bójki i demonstrowały różne sceny miłosne, jednym słowem naigrawały się i drwiły zarówno z krzyża — olbrzyma jak i z niewinnych krzyżyków.

Wyglądało na to, że tego wieczoru Babilon nic jeszcze nie wiedział o buncie. W chatach pieczono i gotowano na święto Jordanu, dzieci i dorośli wkładali czyste koszule. Tu od niepamiętnych czasów lubili i obchodzili święto Jordanu bardzo uroczyście, a tradycja głosiła, że nawet Tatarzy, kiedy zawładnęli Babilo-

nem, nie zabraniali prawosławnym świętować Jordanu, bo sami lubili posankować z młodymi babilonkami. Można by nie dawać wiary tym podaniom, ale przecież do tej pory rodzili się mieszańcy, każdy zdobywca Babilonu pozostawiał tu swój ślad, wkorzeniając się jak perz w pole, by po wiekach odezwać się o odległych przodkach. Jeszcze teraz, gdy wszyscy zbiorą się przy krzyżu, bez letniej opalenizny, widać wyraźnie, kto od kogo się wywodzi: kto z Mongołów bystrookich, kto z dumnej Rzeczypospolitej, kto z Turków czy Greków, a kto jest rdzennym Ukraińcem, odwiecznym Rusinem bez żadnej domieszki, z Wenetów, Scytów czy Antów, jak chociażby Fabian, genialny budowniczy krzyży jordańskich, babilończyk „czystej krwi” o cechach rdzenie narodowych, co mu nie przeszkadza uważać się nieomal za potomka księcia litewskiego Jagiełły, na tej tylko jedynej podstawie, że za tego zdobywcy Babilon osiągnął swój największy rozkwit, będąc wówczas miastem mającym ponoć przywileje prawa magdeburskiego na równi z Kijowem. Mówią, jakoby wielu „niewiernych” przeżegnano kiedyś jordańskim krzyżem na śmierć i utopiono w przerębłach. Później odstąpiono od tego okrutnego, jeszcze pogańskiego rytuału, wszystko to, razem z prawem magdeburskim, utonęło w rzece zapomnienia.

W dzisiejszym Babilonie bardzo już rzadko wybucha stara wrogość, kiedy jednych nazywają mahometanami, innych Lachami, a jesz-

cze innych bisurmanami, synami wielkiego Allacha.

Na Jordan, kiedy wszystko ustępuje przed żywą wodą, którą zabierają do domu jako lekarstwo przeciw wszelkim chorobom, babilończycy jedną się nawet ze swoimi najzawziętymi wrogami, najdalsi krewni stają się bliżsi chociaż o jeden krąg powinowadztwa.

Tak miało być również i na tegoroczne święto Jordanu.

Było jednak inaczej. Babilon znowu parł do śmiertelnego rozbratu, a może nawet do swej całkowitej zagłady, co prawda nie pierwszej, w swej wielowiekowej historii, miejmy jednak nadzieję, że ostatniej.

Palili go już Tatarzy, ale potem sami gdzieś zniknęli. Wbijali go na pal żołnierze hetmana Koniecpolskiego. Turcy dokonywali tu wypadów z białego Akermanu, żądając bezcennego okupu — kobiet babilońskich, którym równych nie było na całym Pobużu. Była to wielonarodowa mieszanina, gdzie indziej nie spotykana w takim stężeniu, bo Babilon stał w samym epicentrum burz dziejowych, albo — jak mówią o nim stare kroniki — na skrzyżowaniu szlaków z południa na północ oraz z zachodu na wschód. Dlatego tłoczyły się w Babilonie różne narody i dlatego ulegał różnym zdobycwcom, a wszyscy go niszczyli; jednak dzięki rdzennej ludności odradzał się ciągle na nowo.

Największe niebezpieczeństwo czał się zwykle gdzieś w pobliżu. Jako pierwszy z babilończyków dostrzegł je chyba cap, kiedy wszedł

na swą górę, z której cały Babilon widoczny był jak na dłoni. W pobliżu wiatraków, które ospale poruszały skrzydłami, było tłoczno jak na jarmarku, chociaż była noc i trzaskający mróz.

Cap okrążył Tatarskie Wały i zatrzymał się na wschodnim zboczu, zupełnie odkrytym, gdzie często hulał wiatr. Spenetrował jedno, drugie, trzecie, dziesiąte sanie, obwąchał nawet jedno-konne sanki Bubely, na których jeździ teraz Dańko Sokoluk, nigdzie jednak nie znalazł zboża do młyna. Oszronione konie apatycznie gryzły owies z opalek, ratując się w ten sposób przed mrozem.

Cap bez uprzedzenia wszedł do najbliższego wiatraka. Zjawił się w drzwiach jak widmo, uroczysty i godzien najpełniejszego zaufania. Obejrzał obecnych, rad, że znalazł się w tak znakomitym towarzystwie. Był Pawluk z synami, drągalami o długich i mocnych jak cepy rękach, którymi mogą zmiażdżyć wszystko, jeśli tylko otrzymają na to błogosławieństwo ojca; był tu Matwij Husak z dwiema córkami, które wystroiły się dla Pawlukowych synów w białe wyszywane kożuszki i jedwabne chustki; byli obydwaj Radeńcy, poważni i stateczni właściciele wiatraka; było wielu jeszcze innych ludzi, przy słabym świetle lichtarza cap nie mógł jednak wszystkich rozpoznać. Ale już w następnym momencie wyczuł, że nie jest tu osobą pożądaną, nie witano go zwykłym „A, pan Fabian”, lecz przyjęto bardziej niż chłodno czy nieprzyjaźnie, wręcz wrogo. Starszy Radeński,

który siedział najwyżej, przy jedynym okienku, zwrócił się do stojących bliżej drzwi:

— Wypędźcie go, on już dawno zaprzedał się bolszewikom!

I chociaż miano na myśli raczej jego pana, mnóstwo nienawistnych spojrzeń uderzyło w niewinne i głodne stworzenie, które przyszło tu w najlepszych zamiarach.

Dańko przybył do wiatraka z Parfeną, która miała przypuszczalnie powody do unikania widoku capa, bo ujrzawszy go krzyknęła i zakryła oczy rękami. Dańko zerwał się z miejsca, podbiegł do capa i zdzielił go pięścią między oczy. Był to cios zupełnie nieoczekiwany, cap uważał bowiem Dańka za swego opiekuna, więc teraz ze zdumieniem wytrzeszczył oczy i padł nieprzytomny. Wówczas chwycili go za nogi i bezlitośnie zrzucili z wiatraka.

Nie wiadomo, jak długo cap leżał pod wiatrakiem. Kiedy ożył, a ożył tylko dlatego, że zmarł okrutnie, ujrzał nad sobą zimowe jordańskie niebo z zamarzniętymi gwiazdami, zamknięte wiatraki i śnieg obok nich stratowany przez konie i ludzi. I odczuł jeszcze dziwną i zagadkową ciszę: to po prostu ustał szum w jego głowie. Zorientował się, że zrzuceno go tu na pastwę losu. Z trudem wstał i powłókł się do domu.

Lewko Chrobry miał chyba niezłą wieszakę, bo spał na środku izby na żupanie Bonifacego, w ubraniu i w butach; obok leżała czapka, w której grzała się mysz, chyba jedyna mysz.

w tym głodowym królestwie. Gdy cap nocował w domu, lubiła grzać się przy nim.

Fabian stał przez chwilę koło gospodarza, sądząc, że ten przebudzi się od samego jego oddechu, zawiódł się jednak, więc uciekł się do zabiegów bardziej skutecznych: zaczął trącać filozofa rogami, najpierw lekko, delikatnie, a potem coraz mocniej. Poskutkowało. Lew Chrobry zerwał się z podłogi, płosząc mysz, która uciekła pod zimny piec, i wytrzeszczył oczy na capa:

— Gdzie się włóczysz, łajdaku? Zgubiłem przez ciebie okulary.

Fabian westchnął i uśmiechnął się wyrozumiale: znał dobrze tę śpiewkę. Ile razy jego gospodarz gubił okulary, które zresztą zawsze się odnajdowały, winił za to capa, jak gdyby on nie miał nic więcej do roboty prócz pilnowania tych przeklętych okularów.

Filozof po chwili znowu położył się na wznak i z miejsca zasnął. Wiedział, że przez jakiś czas obejdzie się bez okularów, korzystając ze wspañiałych oczu Fabiana capa, który w takich okolicznościach przejmował na siebie obowiązki przewodnika.

Tak było i tym razem. O świcie trzeba było iść na uroczystości jordańskie. Lewko umył się, ogarnął się jako tako, wyglansował buty, obudził capa i trzymając go za róg, z którego już nieraz korzystał, ruszył nabożnie do krzyża, gdzie już zaczęli zbierać się babilończycy.

Jako pierwsi przybyli do krzyża strzelcy, chyba dwudziestu do dwudziestu pięciu męż-

czynn, skupionych wokół Petera Dżury, którego wybrali na swego dowódcę. Strzelb było niewiele. Mieli je Dżura, Radeńcy, Dańko Sokoluk (inkrustowana belgijka), Sazon Łoboda i Matwij Husak; pozostali uzbrojeni byli w obrzynki, samopały, straszaki. Pawlukowie przyciągnęli tu coś dużego i nieforemnego, co przypominało armatę. Leżało to na płozach, wylot lufy był zatkany prochem i pakułami; trzeba było tylko jeszcze unieruchomić „lawetę”, żeby po wystrzale razem z tą armatą nie zjechała do stawu. Tym właśnie zajęci teraz byli młodzi Pawlukowie, podczas gdy ich ojciec sprawdzał wszystkie strzelby przykładając każdą do ramienia.

Czekali, aż zejdą się ludzie, ale przede wszystkim czekali na popa. Od czasu, jak spłonęła w Babilonie cerkiew i zmarł ojciec Soszka, przywożono popów z innych parafii. Tym razem zamówiono popa glińskiego i posłano po niego jednego ze Skoromnych, chyba starszego, który miał szybkie konie. No więc czekali teraz na ojca Seliwantija, który miał za rubla poświęcić wodę i świeżymi końmi powrócić do rodzimej cerkwi, w której też świętowano Jordan.

Ludzie ciągnęli do stawu kilkoma drogami. Nieśli z sobą potrawy pieczone i gotowane oraz gąsiory z bimbrem, by je tu opróżnić i napełnić święconą wodą, która będzie stała w domu aż do następnego roku.

Starszy Pawluk zapalił lont w zmajstrowanej po amatorsku armacie. Powietrzem wstrząsnął

potężny huk. Babilońskie babiny padły na kolana i zaczęły się żegnać. Do krzyża podeszli strzelcy, stanęli w zwartym szyku i na komendę Petra Dżury trzykrotnie oddali salwę. Natychmiast odpowiedziano im z Pryckiego, Kozowa, Dachnówki, zawtórowały inne wsie i niosła się ta palba do samego Glińska, a echo poszło po całym górnym Pobużu. Babule płakały z radości, a młódki oklaskiwały strzelców, wołając:

— Sława im, sława!

Przez chwilę dym zasnuł wszystko, a kiedy się rozplynał, zebrany tłum ujrzał, jak prowadzą do krzyża kogoś związanego, w samej koszuli i spodniach; czarna czupryna falowała od ciężkiego stąpania.

— Ruban! Ruban!... — przebiegło przez tłum.

Prowadzili go Skoromni, obaj ze strzelbami gotowymi do strzału. Po popa wysłano widocznie kogoś innego, a może w ogóle nikogo. W odległości kilku kroków biegła za nimi Zosia z małym Bonifacym na rękach, zawiniętym w chustę. Zosia była w butach włożonych na bosse nogi i rozpiętej kurtce, rozpleciony warkocz sięgał jej do kolan. Kiedy Skoromni przyszli, paliła właśnie w piecu. Schwycili Rubana w łóżku, zabrali spod poduszki nagan, związali jeńca i poprowadzili nad staw, chociaż mówili, że wiedą go do rady gromadzkiej, bo otrzymali z Glińska taki rozkaz i wykonują tylko wolę gromady.

Ruban szybko przekonał się, że go oszukano, że nie było i nie mogło być żadnego nakazu

aresztowania. A kiedy po sygnale z Babilonu rozpoczęła się w okolicznych wsiach strzelanina, zorientował się, że jest to zorganizowana akcja, wymierzona przeciw władzy.

— Co to, bunt? — spytał, kiedy doprowadzili go do krzyża i postawili twarzą do strzelców.

Strzelcy spojrzeli po sobie, nikt nie odważył się dać na to pytanie bezpośredniej odpowiedzi. Ruban nakazał Skoromnym, którzy zawsze wysługiwali się innym, chociaż nie zawsze wiedzieli w imię czego:

— Rozwiążcie mnie, nie ucieknę.

Petro Dżura skinął głową, więc skwapliwie rozwiązali więźnia; starszy brat, Naczypir, trzymał w ręku sznur, nie wiedząc, co z nim zrobić.

Ruban odgarnął z czoła ciemne włosy i złożył na piersiach zsiniałe ręce.

— Pytam, co to, bunt czy jakieś głupie dowcipy?

W odpowiedzi na znak Petra Dżury strzelcy dali znów salwę w powietrze. Natychmiast odpowiedziały im strzelaniną pobliskie wsie. Tylko Semywody, gdzie była kolumna Kłyma Synici, nie odpowiadały na wezwania Babilonu, co Dżurę zmartwiło. Niemal przemocą wypchnięto go na pomost przeznaczony dla popa. Zdezorientowany i speszony szukał pierwszego słowa, a kiedy je odnalazł, usta zlepiły mu się, więc rozpoczął niemal szeptem:

— Droga gromado! Ludzie dobrzy!

— Co on tam mamrocze? — Babinki wydostały uszy spod chustek.

— Głośniej! — odezwały się wołania.

— No więc powiadam, że mieliśmy ziemię i wolność, a teraz chcą je odebrać nam tacy, jak mój przyjaciel Ruban...

— Nie damy! — krzyknął Sazon Łoboda.

— Słyszycie, jak odpowiadają nam z wszystkich stron? — wyrwał się Pawluk.

— Mój przyjaciel... — podjął Dżura.

— Pluję na takich przyjaciół, jak ty! — przerwał mu Ruban i podszedł do lodowego pomostu.

Dżura znowu stracił wątek. Próbował coś sklecić, żeby odpowiedzieć Rubanowi. Strzelcy spluwali ze złością, widząc, jakiego niedołęgę wybrali na mówcę. W pewnym momencie Fabian odepchnął go i sam znalazł się na pomoście.

— Okulary, okulary! — rozległo się w tłumie, który zaczął dzielić się na dwie grupy: większość była przeciw prowodyrom buntu, mniejszość natomiast, przeważnie żony i dzieci bogaczy, z nimi.

Jakaś poczciwa gospodyni, wiedząc o wrodzonej krótkowzroczności Lewka Chrobrego, przyniosła mu tu okulary, które zgubił wczoraj u niej w chacie; znalazła je dziś w słomie, kiedy paliła w piecu, i teraz złote okulary podawano z rąk do rąk, aż wreszcie trafiły do właściciela. Bez nich był na pomoście niczym, ale kiedy je włożył, poczuł się znowu filozofem, panującym nad tym rozszalałym tłumem, który

nagle zamilkł, a już zupełnie został ujarzmiony widokiem capa, który z młodzieńczą wręcz werwą skoczył na pomost i stanął obok swego pana.

Warto było posłuchać obu Fabianów, z których jeden był na pograniczu nieśmiertelności, przeszkodził im jednak Pańko Koczubej, który wskoczył na pomost i zawołał piskliwym głosem, przypominającym kastrowane przez niego prosięta:

— Nie chcę słuchać tego błazna i wam też nie radzę. Ruban przekupił go. A ja słyszę grzmot wolności, o którą walczyli nasi ojcowie, dlatego my, starsi...

— Niech żyje Pańko Świniobójca! — rozległo się w grupie bogatych babilończyków.

— Hura! — przewaliło się przez staw.

— Dawaj program!

— Jaki program? — Pańko rozłożył ręce, kiedy ucichło. — Albo każdy sam dla siebie, jak było dotąd, albo komuna, kołchoz — powiedział wskazując na Rubana. — W Glińsku już naszykowano puste wagony, którymi mają wywieźć was z Babilonu.

— On kłamie — rzekł Ruban. — Byłem wczoraj w Glińsku.

— Dzura, przeczytaj ten wykaz! Kogo tam zapisali? — powiedział stary Pawluk i zbliżył się ze strzelbą do pomostu.

Dzura niechętnie wyjął z kieszeni kożucha kartkę, nabrał powietrza i zaczął czytać:

— Wykaz osób przeznaczonych na Sołowiejki. Petro Dzura. To niby ja. Widzicie — wskazał na Rubana — jak sprzedał swojego przyja-

ciela. Za to, że już raz uratowałem go od śmierci. Dalej. Lew Chrobry, to znaczy Fabian, razem z capem.

Rozległ się śmiech. Nawet Ruban uśmiechnął się, Fabian zaś położył rękę na rogu capa, gotowy do drogi, był bowiem przekonany, że filozofowie powinni cierpieć za cały naród.

— Matwij Husak z całą rodziną — czytał dalej Dżura. — Naczypir Skoromny. Z rodziną. Nie wiadomo za co. Jawtuch Goły z żoną i ośmiorciem dzieci.

— Dziewiąte w drodze — uzupełnił ktoś z tłumu.

— Fedot Radeńki. Choma Radeńki. Za wiatraki. — Żeby nie był taki rad — odezwał się ktoś z tłumu.

— Seweryn Buha. Za pszczoły.

— A mówiłem, że go pogryzą — dowcipkował ktoś nadal.

— Dańko Sokoluk. — Za to, że wysługuje kułakom.

— Parfena Bubela.

— Za gacha — dobiegło znów z tłumu.

— Nie, za starego Bubełę, Panie świeć nad jego duszą — wyjaśnił Dżura i czytał dalej. — Pańko Koczubej.

— Ojej, a kto będzie trzebił prosiaki?

— Nie wiem — odrzekł Dżura, chuchając na zmarznięte ręce.

— Czaplicz.

— Za przynależność do szlachty.

— Jest Czaplicz?

— Ojciec już tyle lat z pieca nie złazi.

— No to ciebie wezmą zamiast ojca — zawyrokował Dżura. — Sazon Łoboda z Teklą. Jesteście, Sazonie?

— Jestem, jestem, piorun by w nich strzelił.

— Sazon Pawlук, Onysym Pawlук, Machtej Pawlук, Roman Pawlук z całą rodziną.

— Za miechy kowalskie, za młoty, za pługi.

Rejestr skończył się. Dżura milczał zbity z tropu, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić i co mówić dalej. Czuł się tak, jakby zepchnięto go na śliski lód.

— Kto tam jeszcze? — spytał Ruban.

— Nie ma więcej nikogo — odparł Dżura jakby z poczuciem winy za to, że spis się skończył.

— Nie martwcie się, będzie jeszcze drugi spis. To dopiero początek. Do wszystkich się dobiorą — krzyknął Matwij Husak, który sam układał odczytany przez Dżurę rejestr.

— Na krzyż go! Na krzyż! — zawołał starszy Radeńki.

Jęknęła Zosia z Bonifacym na rękach. Czyjeś silne ręce chwyciły Rubana i pociągnęły na krzyż. Kiedy postawili go twarzą do strzelców, a tyłem do tłumu, Zosia rzuciła się do nóg Matwijowi Husakowi, który pozostał jednak obojętny, zdejmując strzelbę. Potem podbiegła do Dżury, który spojrzał na nią chłodno, jakby widział ją po raz pierwszy.

— Ludzie kochani! — zwróciła się wówczas do tłumu. — Czy mało wam Bonifacego?

Liczyła na to, że babilończycy zrozumieją jej dramat i nie dopuszczą do krwawej rozprawy.

Tłum zakołysał się, znów zaczął dzielić się na grupy, rozległy się współczujące westchnienia.

Westchnął również Fabian na pomoście, nie tyle ze współczucia dla Rubana, co dlatego, że przewodniczący rady gromadzkiej tak go podle zdradził.

Ruban patrzył na strzelców z nienawiścią. zdumiało go to, że z takim spokojem przygotowują broń do strzału, wśród nich również Dżura, a przecież wystarczy jedna kula.

Nie będą chyba, łotry, strzelać do własnych ludzi, pomyślał, czując na karku czyjś ciężki oddech. Obejrzał się. Byli to Darynka i Łukian, który uśmiechnął się do Rubana jakby z poczuciem winy. Pozostali przy nim nawet wówczas, gdy Dżura, wchodząc stopniowo w rolę watażki, krzyknął: „Hej tam! Zejść z pomostu!” Ludzie rzucili się do ucieczki, Ruban czuł jednak ciągle za plecami dwa przyspieszone oddechy. Była to dla niego nagroda, jakiej nie oczekiwał. Dżura natomiast odebrał to nie tylko jako nieposłuszeństwo. Poczuł jakąś trwogę, brnął jednak z uporem dalej.

— Sokoluk! — krzyknął do Łukiana, nakazując mu, by odszedł razem z Darynką i pozostawił Rubana samego. Zosię podprowadzono do starych bab, które ją chyba uspokoiły, bo nie słychać było jej płaczu.

Łukian nie usłuchał wezwania i stał dalej na pomoście.

— Przygotować broń do strzału! — rozkazał Dżura, sądząc, że nastraszy młodszego Sokoluka.

Ten jednak podszedł jeszcze bliżej do Rubana: i powiedział:

— Pomagałem Rubanowi układać tę listę, więc muszę być razem z nim. Ale tam, w tym spisie nie było ani Fabiana, ani Dżury, ani Czaplicza, ani naszego sąsiada Jawtucha, ani ciebie, Dańko. Nie było was. Jestem zdecydowany umrzeć z nim, bo stawiam go wyżej od każdego z was jako człowieka, jako przyjaciela, jako towarzysza. Zastrzelcie mnie razem z nim. No, czemu zwlekacie? Strzelajcie, łotry!... — zawołał, wstępując z pomostu na krzyż.

— Co robimy? — spytał Dżura.

— Łukian, coś ty zgubił na tym krzyżu? — spytał go cicho brat.

— To samo, co ty znalazłeś u nich — odparł Łukian, wskazując ruchem głowy strzelców.

Dańko szarpnął się rozpaczliwe do przodu, by zepchnąć brata z krzyża i zawołać: „Jestem starszy, rozumiesz?! Masz mnie słuchać, gnojku, tak jak ci mama przykazała!” Spotkał się jednak z przenikliwym wzrokiem Parfeny, zrozumiał jej niedobry uśmiech, więc się cofnął i powiedział z trudem powstrzymując wzruszenie:

— A niech tam! Jak komuś zbrzydło życie, to nie ma sensu go powstrzymywać. Niech ginie, dureń!

Oczekiwał, że Łukian zrozumie, iż to nie żarty, i usłucha go.

Nie, nie usłuchał. Skąd wziął się w Bożi taki duch?

Kobiety schwyciły Darynkę i siłą ściągnęły z krzyża. Była pewna, że Dańko nie zdecyduje

się strzelać do brata. Istotnie, zbity z tropu spoglądał na strzelców z niemym pytaniem: „No to jak? ...”

— Co, już się łamiesz? — zasyczał nienawistnie Jawtuch Goły, pomyślawszy, że wolałby, gdyby Dańko był na miejscu brata.

— Nic podobnego... — zaprzeczył bez przekonania Dańko.

— No to daj komendę! Widzisz przecież, że Dżura robi w portki.

— Zawiążcie im oczy — poprosił, żeby nie widzieć spojrzenia brata.

Z grupy kułaków podano kilka białych chustek, które kobiety nosiły pod ciepłymi chustami. Tylko jedna Parfena odzwyczaiła się od tego. Wszystkie chustki trafiły do Dżury, było ich więcej niż trzeba, zbędne rzucił córkom Husaka. Po chwili wahania wszedł na krzyż, zawiązał oczy Rubanowi, potem Łukianowi, a kiedy już chciał zejść, dostrzegł Fabiana, który też wstąpił na krzyż, pozostawiając na pomoście samotnego capa.

— Zawiążcie oczy także mnie — powiedział do Dżury zdejmując okulary. — Lepiej tu zgiąć, niż cierpieć taki wstyd dla całego Babilonu, który chcecie okryć wieczną hańbą.

Kiedy Dżura zawiązał Fabianowi oczy, tragiczną ciszę rozerwał czyjś beztroski śmiech. Wywołał go cap, który również wstąpił z pomostu na krzyż, miał bowiem wielką ochotę polizać go. Nie zrobił jednak tego, stał spokojnie obok Fabiana, dopuścił się jednak rażącego nietaktu: stanął tyłem do strzelców, nie zdając

sobie sprawy z tego, jak to fatalnie wpłynęło na ich bojowego ducha. Momentalnie znikła cała powaga sytuacji; jedni śmiali się z capa, inni podziwiali jego odwagę. Dżura stanął przed nowym dylematem: zawiązać capowi oczy, czy nie. Stanowczo nie nadawał się na watażkę. Nawet w porównaniu z capem wyglądał załóżnie.

— A jego za co? — spytał Fabian, ujrzawszy obok capa. — Wynoś się stąd!

Cap nawet nie drgnął. Wówczas Fabian zwrócił się do strzelców.

— Żebyście mnie tylko nie pochowali razem z capem na psim cmentarzu. Jestem prawosławny i chcę leżeć wśród prawosławnych. A, wam kułakom i kułackim sługusom, powiem przed śmiercią: jesteście źli, podli i nieuczciwi. Chociażby Dżura. On też układał razem z nami ten spis na zsyłkę. Był Ruban, byłem ja, był Łukian i był Dżura. I jako piąty był Sawka Czybis. (Filozof przemilczał tylko nazwisko Małwy Kozuszej). Nie wiem, gdzie jest Sawka, ale Dżura, gdyby był porządnym człowiekiem, powinien stanąć tu, na krzyżu, razem z nami. No, gdzie jesteś, Dżura, niech i tobie zawiążą oczy!

— Na krzyż Dżurę! Na krzyż! — rozległo się w tłumie. — Niech tu nie odstawia bohatera!

Teraz nie był już potrzebny buntownikom.

— No, Dżura, stawaj! — rozkazał Husak, a Pawłuk skinął potwierdzająco głową.

Dżura milczał, łudząc się, że inni strzelcy wystąpią w jego obronie. Ci jednak wymienili tylko spojrzenia.

— Niech Ruban powie: było tak, czy nie?
— wtrącił się Dańko.

— Tak było — powiedział cicho Ruban. — On nawet chciał swoją Rózię wpisać, sprzedawczyk...

Po tych słowach Dańko przystąpił do Dżury, odebrał mu energicznym ruchem strzelbę i wskazał na krzyż.

— Włóż tam, judaszu przeklęty!

— Ludzie dobrzy! — błagał Dżura. — Ludzie! Ratujcie!...

Nie znalazłszy jednak współczucia w żadnej z grup, kilkoma susami zeskoczył z krzyża i zaczął uciekać. Strzelano do niego, dostał w plecy. Przebiegł jeszcze kilka kroków, czapka mu spadła z głowy, upadł na lód. Rózia podbiegła do niego, przewróciła na wznak i rozpłakała się. Patrzył na nią oczami pełnymi przerażenia.

— To ty, Róziu? Patrz, co ze mną zrobili... — wyszeptał.

Cap nie wytrzymał i też czmychnął z krzyża. Uratowało go tylko to, że strzelcy właśnie ładowali broń. Cap wyciągnął przednie nogi i rozpędziwszy się poślizgiem jechał po lodzie, ale nikt już się nie śmiał.

Trzej mężczyźni stali nieruchomo na krzyżu.

Strzelcy też milczeli. Czekali na Malwę Korozuszną, którą prowadzili nie uzbrojeni Korowajni. Malwa stąpała ostrożnie, bojąc się upaść. Za nią dreptała matka.

— Szybciej tam, szybciej — ponaglał Matwój Husak.

— Na krzyż ją! Na krzyż komunową pupilkę!

— Ludzie dobrzy! Nie widzicie, w jakim ona stanie?! — zawołała Prisia, szukając oczyma Jawtucha, żeby stanął w obronie Malwy.

Łukian zerwał opaskę z oczu.

— A Malwę za co?

— Za Babilon... — odrzekł Goły, chrzestny syn starej Kozuszej.

— Co jest, psia mać! — niecierpliwił się Fabian. — Dokąd mam czekać? Strzelajcie! Ale jeśli nawet palcem tkniecie Malwę, przeklnę was z tamtego świata na wieki. Słyszycie, bisurmani? Prawo rzymskie zabrania takiego bestialstwa.

— Zawiążcie jej oczy i postawcie na krzyżu — rzekł spokojnie starszy Pawluk. — Co innego Rzym, co innego Babilon.

Łobodycha zawiązała Malwie oczy jej własną chustką i pomogła wejść na krzyż. Babusie zaopiekowały się starą Kozuszną.

— Dańko, przysięgałeś kiedyś, że ją kochasz — zaszlochała matka.

— Zamilczcie, mamó! — powiedziała Malwa. — Jaka może być miłość takiego zbója?! Wyrodek przeklęty! Strzelaj!... — zwróciła się do Dańka.

— Gotuj broń — padła komenda.

— Nic z tego! — Nagle wbiegli na krzyż Kowojni, którzy jeszcze tam, w domu Kozuszyńskich, odradzali Malwie tu iść, chociaż posłano ich właśnie po nią. Kiedy teraz zobaczyli, do czego się przyczynili, stanęli razem ze skazanymi przed strzelcami, siejąc zamęt w ich sze-

regach. — Nie pozwolimy zabijać ludzi! Nie chcemy mieć krwi na rękach!

Jak na komendę wystąpili ze strzeleckiego szeregu Skoromni, ojciec i dwaj synowie, stając murem między tymi na krzyżu i strzelcami.

— Broń na lód! Załatwimy pokojowo nasze sprawy — zawołał starszy Skoromny do strzelców i pierwszy położył na lód nagan Rubana.

Synowie zrobili to samo ze strzelbami, które wetknęto im do ręki tej nocy na naradzie w wiatraku. Nawet nie wiedzieli, do kogo należy ta broń, którą jeszcze do niedawna chęłpili się. Wszystko robili jednak zawsze w jednym rytmie, w jednym duchu. Synowie wykonywali rozkazy ojca i teraz czekali też, co powie. Stali groźni i nieubłagani, gotowi bić się sami nawet z całym Babilonem, nie darmo przecież Skoromni wywodzili się z kozackiego rodu, ich przodkowie tworzyli kiedyś u Iwana Bohuna groźną sotnię. W Braclawiu jeszcze do dziś jest ulica Skoromnych, ci, co tu trafili, tworzyli kiedyś babilońską straż. Skoromny nie mógł jednak zdecydować się na walkę ze strzelcami, gdyż jeszcze miał nadzieję, że wszystko załatwi się pokojowo.

Stary Pawluk, przejąwszy na siebie obowiązki dowódcy, powiedział:

— Skoromni! Droga jest każda chwila... My albo oni. Z innych wsi poszli już na Glińsk, a my tu cackamy się z nimi. No więc w końcu po czyjej stronie jesteście?

— Złóżcie broń, a wtedy powiem, co i jak...

— Nie chcemy rozlewu krwi! Nie trzeba!
— zakrzyczały kobiety.

Gdzieś tam w tyle Jawtuch bił się z myślami: Z kim? Za kogo? Kto zwycięży? Zawsze tak z nim było. Wiecznie miotał się między słabszym a silniejszym. Ciągłe jednak wracała myśl: Z kim Skoromni, z tym zwycięstwo. Kiedy Skoromni przyprowadzili Rubana, Jawtuch od razu przystał do strzelców, a teraz kiedy Skoromni zawahali się, zawahał się też i on. Tak pięknie stoją, że gdyby nie ten strach w brzuchu, stanąby obok nich.

Chyba nie przeżywał jeszcze w życiu tak silnej rozterki. Jakby ktoś przepołowił go ciężkim toporem od głowy do stóp, kiedy strzelcy po groźnej komendzie „Gotuj broń” zarepetowali strzelby. Czyżby zdecydowali się strzelać do Skoromnych? pomyślał Jawtuch z przerażeniem. I dopiero teraz ucieszył się w duchu, że w tej jego pukawce, którą wyjął o świcie ze schowka, nie było ani jednego naboju, chociaż dotychczas bardzo się tym przejmował i widząc, jak dobrze uzbrojeni są pozostali strzelcy, uważał, że jest tu gorszy od innych.

Skoromny dostrzegł coś niedobrego w oczach Pawluka, bo samym tylko spojrzeniem przekazał swym synom rozkaz: „Będziemy się bić”.

Pawluk jak gdyby posłyszał to nieme postanowienie, bo syknął nienawistnie „Zdrajca!” i strzelił do Skoromnego. Ten zdążył jeszcze krzyknąć do synów „Chłopcy!” i z gołymi rękami rzucił się na strzelców. Dańko dobił go

z inkrustowanej belgijki, z którą kiedyś Bubeł polował na wilki.

Synowie zabitego zwalili z nóg Pawluka i nie pozwalając Dańkowi nabić broni, powalili również jego na lód. Synowie Pawluka porzucili armatę, przebili się do ojca i rzucili się do bójki na pięści. Jawtuch dreptał ze swoim obrzynkiem, ciągle nie wiedząc, kogo bić, a kogo oszczędzać. Ruban i Łukian pozrywali opaski z oczu i nie zastanawiając się ni chwili rzucili się w sam środek bójki. Za nimi poszli na strzelców również Bezkorowajni, chcąc stratoować butami przede wszystkim Pawluka, z którym mieli przypuszczalnie jakieś stare porachunki.

— Dzieci! — zawołał błagalnie Pawluk. Trzej synowie zostawili Skoromnych i rzucili się ojcu na pomoc. Jawtuch w zapale bitewnym grzmotnął w ciemność Pańka Koczubeja, który upadł na lód, wypuszczając z ręki nóż o dwóch ostrzach. Goły wziął go za kogo innego, więc teraz chciał udzielić mu pomocy, ale Koczubejka, która wszystko widziała, wybiegła z kobiecej grupy z makutrą i nasadziła mu ją na głowę.

— Ojej! — krzyknął Jawtuch, oblany zimną kutią, i zaczął miotać się jak szalony z makutrą na głowie.

Tymczasem Radeńcy pojмали Rubana i wykręciwszy mu ręce poprowadzili na krzyż.

— Dajcie mi strzelbę! — przypomniął o sobie Pawluk, podtrzymywany przez synów.

Sazon Łoboda posługiwał się kolbą, zwaliwszy nią na lód obu Korowajnych, a teraz chciał po-

dać Pawlukowi swą berdanę, której przewagę odczuli w tym boju wszyscy, ale spóźnił się.

Do bójki włączyły się kobiety. Poleciały w strzelców miski, gąsiorki z wódką, makutry z kutią, a nawet garnki z gorącą pieczenią, która parzyła ich jak wrząca smoła. Jeden taki garnek trafił w Pawluka, pozbawiając go na jakiś czas wodzostwa, z czego skorzystał momentalnie Fabian stojący na krzyżu. Zarzuceni jordańskimi przysmakami i rozbici częściowo przez Skoromnych i Bezkorowajnych strzelcy poszli w rozsypkę, sprawiając żałosne wrażenie. Ruban przed samym krzyżem wyrwał się z rąk Radeńkich i teraz bił się z nimi na lodzie, zwalając na przemian z nóg to jednego, to drugiego.

— Kobiety, psia wasza mać! Ratujcie mężów! Za mną! — zachęcał Fabian.

Zachręściło kilka krzyży z jordańskiej „straży”, najsilniejsze kobiety chwyciły je oburącz i ruszyły na strzelców. Wiodła je Darynka z wysoko podniesionym krzyżem, tak jak kiedyś jej ojciec prowadził do boju pastuchów koni. Dańko dusił Łukiana, więc podbiegła i złamała krzyż na Dańka głowie. Zosia, położywszy Bonifacego na lodzie, napadła jak furia na Radeńkich, którzy przewrócili Rubana i kopali go teraz butami. Prisia daremnie próbowała dostać w swoje ręce Jawtucha, uciekającego co sił, by nie poddać się żonie. Ciągłe jeszcze nie wiedział, kto zwycięży, a bał się bardzo, by nie przegrać. Gdy schwyciła go wreszcie za poję, zdołał się jej wyrwać i rzucił nierozgarniętej kobiecie:

— Głupia! Jeszcze nic nie wiadomo!

Widząc, że biją swoich, dumna Parfena rzuciła się w największą kotłowanąinę. Poszły jej śladem dziewczyny Husaka w białych kozuszkach, obydwie Radeńkie, Koczubejka, która zdążyła znieść z pola walki sławnego Koczubeja, Sazonowa Tekla z chutoru, słowem wszystkie, które pragnęły zwycięstwa nad Babilonem. Stary Pawluk bez powodzenia próbował znowu opanować sytuację i przejąć władzę nad ogłupiałym tłumem. Wszystko się kotłowało, mieszało, podnosili się i znowu padali na łód. Jednych miesili butami, innych, którzy stawiali jeszcze opór, chwyтали i zwalali na łód. Ze strzelb leciały drzazgi. Uporawszy się ze strzelcami, kobiety same chwyciły się za łby, ciągnęły się za warkocze, wrzeszczały, błagały, przeklinały.

Nagle wszystkich z góry uderzył szaleńczy śmiech, jak gdyby sam Pan Bóg śmiał się, widząc współczesną wieżę babilońską...

Z babilońskiej góry zjeżdżały na groblę sanie z uzbrojonymi ludźmi. Na przodzie jechał na koniu Sawka Czybis, trzymający się grzywy. Usłyszawszy o buncie i aresztowaniu Rubana, Sawka zarekwirował konia Pańka Koczubeja, który poszedł świętować Jordan, i pognął do komuny, o czym strzelcy oczywiście nie wiedzieli. Kiedy więc poznali konia, zaczęli krzyć:

- Zdrada! Zdrada!
- Śmierć Koczubejowi!
- Śmierć świniobójcy!

Pańko wiedział, że tu nie ma żartów, pobiegł więc naprzeciw odsiecz.

— Zuch, Sawka! Zuch! — wołał Pańko, który chętnie znalazłby się teraz na koniu obok Sawki.

Sawka, widząc jak na sam jego widok bogacze pierzchają razem ze swoimi poplecznikami, roześmiał się głośno; koń nie był podkuty, potknął się na lodzie i przewrócił się razem z jeźdźcem. Jak na bohatera dnia była to sytuacja niedopuszczalna, poza tym przywalił go koń, nie mógł więc złapać żadnego z wrogów uciekających pieszo i sańmi.

Pierwszy zaczął uciekać Jawtuch. Zaczepił się o wyrąbany w lodzie mały krzyż i runął jak długi, a jego pukawka, z której ani razu nie wystrzelił, pojechała bez niego po lodzie na koniec stawu i zatrzymała się dopiero w suchym sitowiu. Za nim pobiegli Pawlukowie z armatą na płozach. W łozinie stały ich sanie, którymi mieli jechać na Glińsk, więc przyczepili teraz do nich armatę i pomknęli do chutoru. Dańko z Parfeną biegli co tchu do swoich sań, również ukrytych w łozinie. Ileż tam tych sań było. A wszystko to szykowało się na Glińsk... Tylko Skoromni nie mieli sań, więc biegli z zabitym ojcem na ramionach, chyba po raz pierwszy myląc krok.

— Skoromni! Stójcie! — zawołał Ruban, ale podziałało to na nich jak bat: pobiegli szybko, jak gdyby ojciec wcale im nie ciążył na ramionach.

Ruban, straszny, w poszarpanej koszuli, z roz-

wichrzonym włosem, jeszcze ciągle czując w sobie szaleństwo tej rozprawy, był zafascynowany ich widokiem, pewny, że ponieśli ciało najdzielniejszego z babilończyków. Jako ostatnie rozpierzchły się dzieci, jak stado spłoszonych wróbli.

Na opustoszałym pobojuwisku, po którym hulał wiatr poruszając czapki i kożuszane rękawice, krzyczała Malwa; to płakało w niej nie narodzone dziecko... Wiatr gnał gdzieś wysoką czapę Kindrata Bubely, zgubioną przez Dańka Sokoluka. Wygramoliwszy się spod konia Sawka podniósł ją i podał Rubanowi:

— Oto ona...

Ruban patrzył na Sawkę błędnymi oczyma i nic nie rozumiał...

Czuł się tak, jakby ciągle jeszcze stał na krzyżu. Wreszcie któryś z odsieczy domyślił się, że pewnie mu zimno, i narzucił mu na ramiona kożuch. Ruban powrócił do rzeczywistości; obejmował i ścisnął Sawkę, którego Babilon tak długo miał za pomyłonego...

Różia podniosła czapkę, wzięła zabitego Dzurę za kołnierz kożucha, podniosła mu głowę, żeby nie tłukła się o lód, i powłokła do domu. Kłym Synycia pozdrowił ją, nie reagowała jednak na to, może go nie poznała, a może nie chciała poznać. Włokła dalej swego Dzurę, którego bała się przez całe życie. Szły za nią w czerni mistyczne babinki babilońskie, żeby umyć nieboszczyka i przygotować do pogrzebu. Przy grobli babinki wzięły Dzurę na ręce i poniosły do chaty. Położyły ciało na ławie, obok

traktora, który, zdawało się, też zastygł na zawsze razem ze swoim gospodarzem.

Koło krzyża oddział komuny znalazł strzelbę Dżury. Była nie nabita. Okazało się, że nie tylko Jawtuch wybrał się na rozprawę bez jednego naboju.

Wkrótce staw wyludnił się i tylko cap ucztował sam na tym jordańskim święcie. Właściwie Fabian wiedział już przedtem, że droga do dobrobytu wiedzie przez mękę, którą on, jeśli pominie się ucieczkę, zniósł heroicznie. Skłonił go zresztą do tego małodusznego kroku swoją ucieczką Dżura, który przypłacił to życiem, podczas gdy cap tylko rozśmieszył ludzi, ratując być może życie tym, których zdradził. Ucztował więc teraz z czystym sumieniem, jadł kutię prosto z makuter pozostawionych w pośpiechu przez uciekających, przewracał gąsiorki pozatykane kaczanami. Podchodził kilka razy do burakowego krzyża i próbował jego smaku językiem. Kiedy słońce przygrzało, krzyż zaczął topnieć z wierzchu i na wszystkie strony promieniowała woń kwasu buraczanego.

W samym Babilonie wybuchały ciągle w różnych punktach krzyki i lamenty uczestników buntu. Po jakimś czasie zebrano ich koło rady gromadzkiej, gdzie skupił się już niemal cały Babilon. Z Glińska na kilku saniach przyjechał Macedoński z ludźmi.

W pozostawionych bez opieki gospodarstwach ryczało nie napojone bydło, kwiczały głodne świny, wyły za panami psy. Wczorajsi dziedzice babilońscy, odarci teraz ze wszystkiego, stłoczy-

li się na saniach Husaka, milczący i bezbronni.

Parfenę zastano w chutorze samą, Dańko gdzieś uciekł na koniu. Ją również sprowadzono do rady gromadzkiej. Siedziała teraz na swoich jednokonnych sankach. Gdyby tu był z nią jeszcze Dańko, uważałyby się wręcz za szczęśliwą, chociażby dlatego, że opuszcza na zawsze chutor.

Jawtuch, otoczony dziećmi, siedział skulony na podstawionych saniach, bo własnych nie zdążył przygotować, a na Husakowe nie chciał wsiąść, i płakał.

Ruban ogłosił decyzję babilońskiej rady gromadzkiej o aresztowaniu buntowników i zaczął odczytywać ich listę, każdy z przeczytanych musiał odpowiedzieć: „Ja — Choma Radeńki”, „Ja — Matwij Husak”, „Ja — Proć Huły”, „Ja — Pańko Koczubej” i tak dalej.

Gdy Ruban wyczytał Jawtucha Gołego, odpowiedziała za niego Prisia. — Jawtuch jest tu, jest! — chcąc w ten sposób podkreślić jego dyscyplinowanie wobec władz.

A wszystko przez ten obrzynek, który Jawtuch trzymał przeciw Sokolukom w schowku. Była to jednak broń. Jawtuch błagał Prisię, by pamiętała o nim i czekała na niego do samej śmierci. Prisia przysięgała mężowi dozgonną miłość i wierność, żałowała, że nie zdążyła mu uszyć nowych spodni, ciepłych, sukiennych, jakie mają ci bogacze. Nie udało się jej też namówić Jawtucha, by zabrał z sobą odświętną wyszywaną koszulę i czarną kastorową kamizelkę, do pasa był też w tym, w czym poszedł na

Jordan, sądził, że trzeba będzie bić się tam na pięści z tą hołotą z komitetów biedniackich, nie mógł więc ubrać się odświętnie. Już tu, na saniach, poprosił Prisie, by zdjęła z szyi jeden sznur czerwonych koralii — zdjęła go i wrzuciła do torby z chlebem, słoniną i ręcznikiem, jeszcze nie wybielonym i sztywnym jak blacha.

Lew Chrobry pożegnał się z Jawtuchem po słowiańsku, całując się z nim trzykrotnie. Jawtuch żałował, że filozof z nimi nie jedzie — byłoby weselej, zwłaszcza jeśli ześlą gdzieś daleko -- i znowu rozpłakał się.

— Własnych dzieci nie masz, więc opiekuj się moimi — prosił, gdy już mieli ruszać. — Twój cap lubił latem jeść z nami obiad pod gruszą.

Lew Chrobry chciał zastąpić Jawtucha, zwrócić go dzieciom. Szkoda mu też było, że Jawtuch nie będzie już stał w niedzielę przy furtce, w wyszywanej koszuli i kastorowej kamizelce oraz w podartych, połatanych spodniach, których zza płota nie widać — była to przecież jedna z osobliwości Babilonu. Chodził już kilka razy i do Rubana, i do Kłyma Synyci.

— Ja w sprawie Jawtucha. Nie ma w nim nic z kułaka, to zwykły średniak, wypuście go.

— Nie jestem przeciwny — odrzekł Ruban — ale nie wiem, czy Macedoński się zgodzi...

Macedoński domyślił się, o kogo chodzi.

— Niech jedzie, a w Glińsku zobaczymy.

— A może niech ucieknie? Albo ja pojedę za niego? Dzieci nie mam, żony też.

Nie zgodzili się. Wszyscy widzieli Jawtucha z obrzynkiem.

Wywieziono ich w południe. W tych stronach o tej porze zaczyna się zwykle zamieć. Wiatry gromadzą się w Kumowym Jarze albo w innym miejscu na stepie, tam czają się przez całą noc, a kiedy słońce ledwie zajrzy do Kumowego Jaru, wyskakują stamtąd, napadają na wiatraki i potem szaleją nad Babilonem do późnej nocy.

Pierwsza ruszyła Parfena, siedziała w swoich saniach piękna i dumna. Za nią pomknęły na gliński trakt pozostałe sanie. Na grobli zatrzymali się. Olbrzymi krzyż jordański leżał samotnie na stawie, lśniąc szkarłatnie, było w nim coś tragicznego. Wszyscy umilkli przed tym wiecznym symbolem. Konwojenci nie ponaglali, pozwalając wywożonym napatrzeć się do syta po raz ostatni na jordański krzyż, koło którego mogli przecież spędzić bujnie i wesoło święto.

Krzyż będzie leżał na stawie aż do wiosennej odwilży i tylko niekiedy będzie tu przychodzić, przeważnie rano, cap gnany głodem. Będzie się łudzić, że stanie się cud i ludzie znowu tu przyjdą święcić Jordan, przynosząc gotowaną i pieczoną strawę. Ale cudu nie będzie, a czerwony kwas buraczany mróz wypije do ostatniej kropelki i krzyż przybierze barwę chłodno niebieską, póki nie zagarnie go powódź i nie przycisnie do grobli razem z krą.

Od krzyża aż do grobli ciągnie się czerwona strużka — to Rózia wlokła tędy swego Dzurę. Teraz Rózia wyszła na groblę — w żałobie wy-

glądała ładnie, prawie młodo, chociaż w oczach ciągle jeszcze czaił się lęk. Poznała na saniach zabójców męża: jednego, drugiego, trzeciego — wszystkich omiotła spojrzeniem.

— To was za Dzurę? Za mego męża?! Cha! cha! cha!

Nie wiadomo, czy cieszyła się z tego, że wywożą ich z Babilonu, czy też z tego, że zabili Dzurę, więc nie będzie się już nigdy bać ani samego Dżury, ani jego piekielnego traktora, który zapuszczał niemal co nocy przed snem. Cały dom drżał wówczas jak w febrze.

Rózia była bardzo zaskoczona, kiedy ujrzała na oddzielnych saniach Kłyma Synycię z konwojentami.

— To ty, Kłymie?... A ciebie za co?

Konwojenci roześmiali się, więc była już teraz pewna, że go aresztowano. W tym momencie zelektryzowała ją szalona myśl: wyjechać razem z nim. Podekscytowana nią pobiegła do domu

Przy głowach katafalku paliły się świece, babki babilońskie szeptały modlitwy, przykrywszy oczy miedziakami, żeby nie patrzył tak dziwnie na swoją śmierć i na tę szaloną decyzję żony.

Przebiegła szybko do swojej izby, narzuciła na plecy kożuszek, zawiązała na głowie chustkę, wyjęła ze skrzyni odświętny strój, jedwabną koszulę, zawiązała to wszystko w tobołek i bez słowa wybiegła z chaty. Zdążyła dogonić ostatnie sanie.

— Zamiast kogo? — spytał ją konwojent.

— Sama za siebie — odrzekła, mając zamiar

przesiąść się później na sanie, w których jechał Synycia.

— Będiesz zamiast Dańka Sokoluka. Uciekł, drań... — powiedział wąsal.

— Wszystko mi jedno... — uśmiechnęła się Rózia. — Dżury nie ma, jestem teraz wolna jak ptak...

Cap biegł za nimi daleko poza Babilon, dopóki zamieć nie uderzyła go w oczy. W drodze powrotnej poszedł do Dżury ogrzać się. Zmarły leżał na ławie z pobożnie złożonymi na pierśsiach rękami, a Lewko Chrobry brał właśnie miarę na trumnę. Babki zaczęły coś szeptać, nie wiadomo jednak, czy o obu Fabianach, czy o jednym z nich, ale też nie wiadomo, o którym.

Jeszcze tego samego dnia Rózia powróciła z Glińska. Odesłano ją, by pochowała Dżurę, ogłupionego i sprowokowanego przez kułaków. Powrócili też bracia Skoromni z synami. Tłumaczyli się tym, że ich namówiono i uzbrojono do wystąpienia przeciw Rubanowi, nie przypuszczali jednak, że dojdzie do ostatecznej rozprawy z nim. „Teraz właśnie oni, Skoromni — powiedział na śledztwie Ruban — będą budowali nowy Babilon, jeśli uwolnią się od swoich klasowych błędów. Bo to przecież ludzie zdolni, uparci, w przyszłości na takich można stawiać”. Ruban mógł w zapale powiedzieć o nich także coś niepotrzebnego, poruszyła ich jednak jego wspaniałomyślność, więc nie mogli sobie teraz darować, że właśnie oni prowadzili go na krzyż jordański. Walko jeszcze przez długi czas nie mógł przewodniczącemu spojrzeć w

oczy. Bo Skoromni to już tacy ludzie, że jeśli komuś w pełni zaufają, to nie zdradzą go do końca życia.

Na placu targowym płonęły ogniska, podtrzymywane deskami z nepmańskich straganów. Wyróżniało się wśród nich ognisko babilońskie, zapalone przez Parfenę i inne kobiety. Grzał się przy nim również Jawtuch, smażąc na żapalce kawałeczek słoniny, przypominał w blasku ognia małą włochatą istotę, spragnioną ciepła i garnącą się bardziej od innych do ognia. Właśnie tu, przy ognisku, usłyszał od kogoś, że ziemie, na które mają zesłać kułaków za bunt i za wszystko, nie należą do nikogo, każdy może więc zająć dla siebie, ile tylko zechce, podobno sto, a nawet dwieście dziesięcin. Postawić tylko solidny dom (a lasy tam niezmierzone), sprowadzić rodzinę, no i można gospodarzyć, na ile tylko sił starczy, nikt nie będzie się wtrącać. I to chyba nie są jakieś żarty. Jawtuch słyszał o tym nie tylko od swoich, którym niezbyt ufał, ale i od obcych, zupełnie nie zainteresowanych tym, żeby Jawtuch Goły stał się na tych ziemiach wielkim magnatem. Pańko Koczubej wziął nawet ze sobą rzeźnicze narzędzia. „A kto będzie bić twoje świnię, Jawtuchu, jak nie ja”. Zaś bezdzietny Sazon Łoboda z Teklą, która — jak kilka jeszcze innych kobiet — zgłosiła się dobrowolnie pojechać z mężem, zabrali z sobą plecioną kołyskę, mając nadzieję doczekać się tam dzieci.

Jawtuch uczeplił się tej myśli, zachowywał się na śledztwie zuchwale, zeznał, że przystą-

pił do bogaczy świadomie i dobrowolnie, że nikt go do tego nie namawiał, bo on chce dochodzić do wszystkiego swoim własnym rozumem. Dlatego też sąd nie wziął pod uwagę przedłożonych przez Rubana okoliczności, że Jawtuch jest głową wielodzietnej rodziny, choć już sam jego wygląd budził współczucie. Sąd, któremu przewodniczył sam Czupryna z Czuprynek, postanowił wysłać z babilońskimi sługusami kułaków również jego jako buntownika.

Podczas śledztwa myśli Tesli wciąż krążyły wokół tragicznej postaci Jawtucha Gołego. Być może niedługo wyrżałby z niego Bubęła, destrukcyjny wytwór starego Babilonu. Pozwolić takiemu postawić na górze własny wiatrak, pozwolić, by poczuł jego skrzydła, to już nie zdejmie się go z tej góry gołymi rękami...

Watażkę kułackiego, Dorosza, który podczas święta Jordanu w Pryćkiem zabił przewodniczącego rady gromadzkiej, kotowca Majhułę, skazano na śmierć przez rozstrzelanie. Dorosz zeznał, że prawdziwym prowodyrem buntu był Bubęła, on był tylko jego pomocnikiem. No i w ogóle nie wiadomo, jakby to wszystko się skończyło, gdyby Kindrat Bubęła nie zamarzył. Po obaleniu władzy we wsiach miano zająć Glińsk i ogłosić Glińską Republikę. „Kułacką republikę”, poprawił go Tesla. Macedoński uśmiechnął się wówczas. Za radą Tesli zwolnił kiedyś Bubęłę, żeby zbadać, kto się wokół niego grupuje i jakie są zamierzenia kułaków. Nagła śmierć Bubęły nieco uspiła czujność Ma-

cedońskiego. Okazało się, że z martwym Bubełą trudniej było walczyć niż z żywym.

Czupryna z Czuprynek ogłosił, że wyrok sądu glińskiego jest ostateczny i nie podlega zaskarżeniu w wyższych instancjach.

Następnej nocy skazanych wywieziono z Glińska. Nikt już później nie interesował się ich losem ani tu, w Glińsku, ani w Babilonie. Tylko po pewnym czasie Charyton Hapoczka, dla którego obca korespondencja była oknem na świat, zwrócił uwagę na przychodzące z daleka listy do krewnych i znajomych. Obchodził się z tymi listami tak jak zawsze, jednak ani razu nie natrafił na list od Jawtucha Gołego. Żadnej wieści ani dla żony, ani dla dzieci.

ROZDZIAŁ VIII

Jeszcze nie ucichły nad Babilonem jordańskie lamenty i strzały, które jakby zamarzły w powietrzu i teraz ożywały od najslabszego powiewu wiatru, jeszcze nie zdążyły szczepnąć i rozwiać się przekleństwa wysiedlonych kułaków, unoszące się w powietrzu jak zarazki dżumy, które mogły każdego śmiertelnie porazić, a już Babilon zaczynał przygotowywać się do nowego i nieznanego.

Ruban, obrany przewodniczącym kołchozu, jeździł na koniu od chutoru do chutoru, aby skłonni do łatwego życia babilończycy nie rozgrabili kułackiego mienia, które przeszło na własność gromady. Krzatali się też obydwaj

Fabianowie, wzięwszy na siebie psy babilońskie, które nie uznawały nowych gospodarzy i nie dopuszczały nikogo do opustoszałych gospodarstw. Dopiero przy pomocy capa, który szybko dogadał się z tym draństwem, poskromił filozof stróżów kułackich. Co prawda kilka psów, które zdecydowanie nie chciały uznać nad sobą nowej władzy, trzeba było zastrzelić z gromadzkiej dubeltówki. Dokonał tego bez wahania Sawka Czybis, bo dały mu się one kiedyś porządnie we znaki.

Pokonawszy tę ostatnią ostoję starego świata, aktywiści wzięli się ostro do dzieła. Na chutorze Bubely zgromadzili krowy, konie i woły. Bydło wypilo w ciągu jednej doby całą studnię, czego nie wzięto wcześniej pod uwagę, a nie było czym dowozić wody, bo nie znaleziono żadnej beczki na kołach. Na chutor Pawluków spędzono owce, które długo jeszcze nie mogły się opamiętać, becząc za swoimi gospodarzami. Natomiast wszelkie ptactwo domowe, w tym kilka sporych indyków, w których Ruban kochał się, uważając je za ptactwo prawdziwie babilońskie, zebrano w kurnikach i na stryszkach u Matwija Husaka.

Po raz pierwszy w całej historii Babilonu wiatraki meły za darmo. I chociaż wiatry wiały słabiutkie, ludzie od razu odczuli przewagę nowych porządków, a ile tych plusów będzie jeszcze, mógł o tym wiedzieć tylko sam Ruban.

Największy jednak kłopot sprawiał przewodniczącemu traktor Dżury, w który nikt nie

umiał tchnąć życia. Ruban żałował teraz bardzo, że Petro Dżura zdradził i tak bezsensownie zginął na jordańskim święcie.

Na stację w Glińsku przybyły na otwartych platformach traktory, zaśniewane, ciche, jakby jakieś nadąsane. I tu znowu wspomniano Dżurę, nikt nie umiał nawet zdjąć ich z platform. Nie było traktorzystów, dopiero szkolili się w Szarгородzie. Pojechała tam z Babilonu Darynka Sokoluk. Łukian odprowadził ją do pociągu, a płakał tak, jakby wyjeżdżała nie na trzy miesiące, lecz na całe lata. Niepokoił się tym, że była jedyną kobietą wśród mężczyzn. Był to wariacki pomysł Antona Rubana: koniecznie posłać na kurs kobietę. Zresztą tylko ona jedna spośród wszystkich babilończyków zainteresowała się traktorem Dżury, stojącym ciągle jeszcze w mieszkaniu Rózi. Nagle okazało się, że Darynka ma pociąg do traktora...

Wokół tej krzątaniny, pełnej radości i porażek, błąkał się Dańko, jak wilk przegnany ze stada. W każdą noc Łukian, który został przewodniczącym rady gromadzkiej, zabierał gromadzką dubeltówkę, z której zabito nieposłuszne psy, i urządzał zasadzki na brata. Dańko wyczuł niebezpieczeństwo, nie pokazywał się nigdzie, chociaż Łukian nie miał zamiaru zabijać go, chciał go tylko ująć i przemocą doprowadzić do kołchozu, któremu Dańko mógł w swym zaciętrzewieniu wyrządzić jakąś szkodę. A w dodatku rozeszła się jeszcze pogłoska, jakoby uciekli z transportu synowie Pawluka — Machtej, Roman i Onysym, którzy ukrywają

się w sąsiednich wsiach, grożąc Babilonowi zemstą za doprowadzenie ich do ruiny.

— Głupcy — rzekł Ruban, kiedy usłyszał o tym. — Sami przecież byli za parobków u rodzzonego ojca. Lepiej by wrócili, otworzyli kuźnię i przygotowali wozy na lato, może wówczas przyjęlibyśmy ich do kołchozu. Sam postarałbym się uzyskać na to zgodę Glińska.

Ruban wysłał Fabiana na poszukiwanie ich. Filozof spenetrował okoliczne wsie, wrócił jednak bez kowali, przyprowadził natomiast ze sobą młodego Cygana, Jonę, którego osadzili na chutorze Pawluków, gdzie był stróżem owiec i kowalem, ale tak naprawdę, to ani jednym, ani drugim. Jona okazał się niewiarygodnym leniem. Sam przyznał się, że za lenistwo przegnali go z taboru. Pięknie jednak śpiewał przy gitarze cygańskie romanse, więc wieczorami schodził się do chutoru cały aktyw, by go posłuchać. Filozof był więc zadowolony ze swojego pupila, ale do czasu, jak Jona spalił chatę i sam omal w niej nie spłonął na piecu. Nie chciało mu się skrócić do palenia wiechci słomianych, a że był piecuchem, więc napełniał cały piec słomą, zapalał i spał w cieple. W kominie w końcu zapaliła się sadza. Ocalała jedynie gitara, którą Łukian zabrał po pożarze do rady gromadzkiej. Wisiała na gwoździu, gdzie Bonifacy wieszał zwykle swoją kadetkę¹.

Ruban oddał się cały kołchozowi, pracował

¹ okrągła czapka wojskowa z małym sztywnym daszkiem (przyp. tłum.)

dniem i nocą, do domu nie zaglądał po kilka dni z rzędu, nocował przeważnie w chutorach. Zosia bała się spać sama, więc niekiedy sypiał u niej Fabian z capem. Fabian spał na ławie, którą kiedyś zmajstrował na zamówienie Bonifacego, a teraz miał sobie za złe, że zrobił ją za wąską, oszczędzając na materiale. Capowi wyznaczono do spania kosz w sieni. Mścił się za taką niesprawiedliwość, spijając z dzieżki kwas na barszcz. Zosia skarżyła się później Rubanowi, który śmiejąc się sam poszedł w ślady capa. Okazało się, że nie pił w życiu smaczniejszego napoju. Zwłaszcza kiedy wracał zdenerwowany i zmarznięty, nasłuchując, jak o północy bracia Skoromni uderzeniem w gong przypominali Babilonowi, że kołchoz żyje i żadna wraża siła nie zdoła go pokonać.

Podczas pierwszego próbnego wyjazdu w pole obok Rubana stał — Lew Chrobry. Oczywiście ze swoim capem. Ruban był człowiekiem zapalczywym, więc Tesla poradził mu, by na zastępcę dobrać sobie kogoś spokojnego, zrównoważonego i dobrego, a nawet serdecznego. Więc Ruban wybrał Fabiana. Co prawda filozof nie znał się zbyt na ziemi, znał się natomiast bardzo dobrze na babilończykach.

Wysoką rangę Lwa Chrobrego pomniejszał cap. Przez tego rogatego diabła zastępcą przewodniczącego tracił nieco na autorytecie w oczach babilończyków, stając się często obiektem szpileczek i kpin dowcipnisiów, którzy dają znać o sobie nawet w najtragiczniejszych momentach, tak jak w ostatnie święto Jordanu.

Fabian nie mógł jednak odepchnąć od siebie tak wiernego towarzysza. Chodzili więc wszędzie razem, przy czym capowi trzeba oddać sprawiedliwość: nigdy nie wtykał nosa w sprawy swego pana. Zmieniła się natomiast nie tyle funkcja, co nazwa rogów capa, które Fabian zaczął nazywać prerogatywami. I kiedy — co prawda rzadko — wynikła potrzeba posłużenia się nimi w powrotach do domu po wieczery, Fabian pytał: „A gdzie są moje prerogatywy?” Cokolwiek by się powiedziało, wysokie stanowiska mają właściwość wywyższania człowieka. Więc również między Fabianem i capem dystans powiększał się coraz bardziej, a bywały dni, jak również i noce, kiedy cap zapominał, jak wygląda twarz filozofa...

Wiosna rozbiła krzyż jordański i przycisnęła go do grobli, roztuliła wierzbowe pączki i przypomniała mieszkańcom Babilonu o huśtawce. Jej otwarcie było zawsze pierwszym prawdziwym świętem wiosennym, o którym marzyło się przez całą zimę.

Z nastaniem ciepła Sawka Czybis zawiesił pewnego wieczoru huśtawkę, by przez noc przywykła do sznurów, a sznury do niej. A jutro huśtać się już będzie na niej cały Babilon. Żałował tylko, że na święcie huśtawki nie będzie Malwy, bez której to święto wiele traciło.

Cap Fabian usadowiał się nie opodal huśtawki, najczęściej pod krzakami dzikiej róży, ożywającej pączkami; opierał brodę o wyliniałe kolana i śledził huśtających się babilończyków.

Wzdrygał się na myśl, że wszyscy ci ludzie, którzy teraz unoszą się pod same niebo, mogą pozabijać się i wówczas Lew Chrobry będzie musiał każdemu z nich zrobić piękną trumnę. Za nieśmiertelnych uważał tylko siebie i swego pana, być może dlatego, że żaden z nich dotąd nie usiadł na huśtawce. Filozof bał się tych wysokości, a cap nie mógł sobie dobrać odpowiedniej pary do tych podniebnych lotów.

Kiedyś jednak huśtawka skusiła go. Gdy już wszyscy rozeszli się do domów, cap wylazł z zeszłorocznych burzanów i podszedł do niej w zamiarze pohuśtania się. Nie potrafił jednak wleźć na siedzenie, a gdyby mu to nawet się udało, to i tak nie mógłby jej ruszyć z miejsca, bo nie miał go kto odepchnąć. Cap, nie pozbawiony fantazji, wyobraził sobie siebie samego na tej huśtawce i pchnął ją mocno rogami. Huśtawka poleciała w górę, a potem powróciła na miejsce. Capowi bardzo się to spodobało, więc pchnął siedzenie drugi raz, trzeci. Zachciało mu się potem osiągnąć taką wysokość, jaką osiągalą na huśtawce ludzie. Kiedy więc uspokoiła się, cofnął się na znaczną odległość i z rozbiegu uderzył rogami z całej siły w krawędź deski. Huśtawka poleciała wysoko w górę, a cap stał na miejscu, zafascynowany osiągniętą wysokością, nie zdążył na czas odskoczyć i siedzenie z całym impetem uderzyło go w kręte rogi. Cap upadł nieprzytomny.

Przez całą noc kołysała się nad nim ludzka huśtawka. Umarł, uważając zapewne swą śmierć za piękną, osiągnął bowiem wręcz nie-

wiarygodną wysokość, o jakiej ród capi nie ma nawet pojęcia.

Rano znaleziono capa pod huśtawką już sztywnego i zimnego. Nikt nie wiedział, jak zginął. Niektórzy uważali, że jego śmierć była przestrogą dla filozofa. I tylko Lew Chrobry zrekonstruował sobie w wyobraźni śmierć capa. Tak już jednak zwykle bywa, że o tym, o czym wiedzą filozofowie, dowiadują się potem zwykli śmiertelnicy. Stało się to źródłem pogłosek, że cap przychodzi w każdą noc na huśtawkę i oddaje się szaleństwu lotów. Ktoś ponoć widział go nawet, zapewniając, że było to widowisko niezwykle: cap na huśtawce.

Pewnej nocy Lew Chrobry przyprowadził na huśtawkę jakąś nieznaną kobietę, z którą nie mógł czy też nie chciał afiszować się publicznie. Huśtali się długo i pięknie aż do trzeciego piania kogutów. Bez capa Fabian znowu stał się Lwem Chrobrym. Zaprzętały go teraz problemy nie na skalę wszechświata, lecz na miarę kołchozu. Sam wywiózł capa za Babilon, a pochowawszy, powiedział: „Niech ci ziemia lekka będzie...” i zdjął przy tym czapkę...

Ludzie też giną, myślała Prisia. Jedni rozbijają się na huśtawkach, inni umierają na białych, wyszywanych poduszkach. A Jawtuchowi się zdawało, że białe poduszki są tylko po to, żeby było od nich jaśniej w mieszkaniu i nie chciał ich pobrudzić swą twarzą. Nie ma od niego żadnej wieści, jak kamień w wodę. Już wolałabym wyrąbać tu dla niego przerębel, wiedziałabym chociaż na pewno, że go nie ma,

rozmyślała Prisia, strzegąc snu swoich chłopczyków.

Malwa Kozuszną miała ciężki poród w glińskim szpitalu. Dowiedziawszy się o tym, Kłym Synycia brnął do Glińska przez morze błota, które tężało, wciągało, wypruwało z koni resztki sił.

A na ceglanych ścieżkach szpitalnego podwórza, którym opiekuje się Austriak Szwarz, denerwował się Maksym Tesla. Posłała go tu Iwanna Iwanowna. Jej brygadę wysłano do Kramatorska, a ona została jeszcze na jeden dzień z mężem. Poszłaby sama, gdyby nie było tam Waroczki Szatrowej. Bóg jeden wie, co Glińsk pomyślałby, gdyby pojawiła się na terenie szpitala. Wszystkie te małe miasteczka lubią plotkować i przesadzać, urozmaicając sobie tym dość monotonne życie.

Zmierzchało już na podwórzu, ogrodzonym płotem, a Tesla ciągle jeszcze czekał na Synycię. W zeszłorocznych badyłach dożywał swoich dni wyniszczony przez starość furgon, którym jeździli jeszcze ziemscy lekarze. Tesla wybiegał kilka razy za bramę. Wiele przemyślał na tych ceglanych ścieżkach, wyłożonych przez Szwarca dla chorych, żeby nie nanosili błota do szpitala.

Tesla wdał się w rozmowę ze Szwarzem. Musi przecież znać takich starannych i zapobiegliwych w pracy obywateli Glińska, jak ten. Życie ułożyło się Szwarzowi niezbyt szczęśliwie: niewola, szpital, służba u nepmanów. A tu jest i kierownikiem gospodarczym, i koniuszym,

i stróżem, i wszystkim. Doktor Szamraj ma, jak jak mówią, lekką rękę, ale i u niego umierają. A on, Szwarc, musi dbać o to, by przez całe lato był lód w kostnicy. O lód, o światło, a nawet o mleko dla noworodków.

A jednak Kłym Synycia nie dotarł do Glińska. Nie mógł przebrnąć przez ocean błota, musiał zawrócić z połowy drogi. Ścieżka na poboczu już obeschła, mógłby znacznie łatwiej przedostać się do Glińska piechotą. Tą właśnie ścieżką szedł jakiś podróżny, w którym Synycia wyłowił jakby coś znajomego. Może w chodzie, może w czapce, może w sposobie jakiegoś niedbałego niesienia na plecach prawie pustego woreczka. Był już jednak wieczór, więc trudno było dokładnie mu się przyjrzeć.

Synycia nie proponował podwiezienia. W tych okolicach taki już jest zwyczaj, że kiedy nie proszą sami, to nie zaprasza się.

Z bagien i błota wyrywały się bezsilnie w niebo babilońskie wiatraki oświetlone księżycem. Niebo przypominało duży łąn, na którym obok kęp urodzajnych widniały łysiny ścierńska.

Wędrowcem, którego spotkał Synycia, był Jawtuch Goły. Uciekł z transportu. Na jakiejś dużej stacji poszedł po wodę dla całego wagonu — niepostrzeżenie poutykawszy swoje rzeczy po kieszeniach i w wiadrze, i już więcej nie wrócił do babilończyków, którzy również tam, w drodze, odnosili się do niego lekceważąco, wytykali mu brak konsekwencji w postępowaniu, lekkomyślność, brudne onuce, psujące co

wieczora i tak niezbyt czyste powietrze w wagonie, kiedy wszyscy się rozbierali przed snem, chociaż właściwie nie spali przez te wszystkie noce, zanim nie wydostali się z zawianych śniegiem maleńkich stacji na szeroki szlak kolejowy. Jawtuch spał zwykle jak zabity, czym wywoływał w swych tragicznych towarzyszach podróży jeszcze większą złość na siebie. A ponieważ jadł dobrze, bo wziął ze sobą kilka bochenków chleba i kilka półci słoniny, więc dawało to o sobie znać w nocy w sposób raczej przykry, zresztą bez złej woli z jego strony.

Kiedy go budzili, ogarniała go dojmująca tęsknota za Prisią, za chłopczykami, za samym Babilonem; po prostu trudno było uwierzyć, że tam nie będzie już nigdy Jawtucha Gołego, który wywodził się z kozaków rejestrowych. Pocieszał się co prawda myślą o tych stu czy dwustu dziesięcinach pola, które będzie można zająć na tej nieznanej ziemi, dokąd ich wiozą. Ale co to za ziemia bez chłopczyków, bez koni i bez tego wszystkiego, co zostawił w domu. Tam wszystko było na miejscu, poukładane, natłuszczone, przygotowane do wiosny tak starannie, że nawet najwięksi gospodarze nie mogli się z nim równać pod tym względem. Z każdym kilometrem drogi potęgowała się w nim chęć ucieczki, którą wreszcie zrealizował, przemysławszy uprzednio wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że potrafił nawet to i owo przemysleć i przewidzieć, ale kapitulował, gdy chodziło o

sprawy wielkiej wagi. Tym razem jednak nie skapitulował.

Dotarł do domu w nocy, zastukał w okienko od strony pola, tak jak to sobie uprzednio obmyślił. O jego powrocie nikt w Babilonie nie powinien się dowiedzieć. Wszyscy widzieli go na święcie Jordanu wśród strzelców, i to nie z pustymi rękami, a tego się nie przebacza, za to musi się ponieść karę wcześniej czy później. Przestraszył Prisię, kiedy ujrzała go w oknie znieruchomiłego, obudził starszych chłopców, którzy spali w łóżku „na waleta”. Zamknął za sobą drzwi od sieni tak cicho, że nawet nie skrzypnęły. Sokolukom nawet by się nie przyśniło, że on jest już tu, w domu.

Kiedy wszedł już do izby, Prisia dopiero wtedy objęła obudzonych chłopców:

— Ojciec przyszedł...

Jawtuch położył tłumok, podszedł do łóżka i w półmroku zaczął dotykać rękami po kolei wszystkie dzieci.

— To ja, dzieci. Wasz tato... — wyszeptał i rozplakał się.

Był cały zabłocony, w czapce, na ziemi leżał tłumok, w którym na pewno nie było dla nich żadnych podarków, no bo wtedy nie płakałby przecież.

— A po co wy, tato? — bąknął zmieszany Jaśko czy któryś ze starszych chłopców. — Nam było dobrze bez ciebie. Przychodził wujek Fabian...

— Fabian? — oburzył się Jawtuch, odskakując od dzieci.

— Nie zważaj na to, co plotą — uspokoiła go Prisia. — Opowiedz lepiej, jak się tu dostałeś.

— Ano mam nogi, głowę... — Jawtuch uśmiechnął się. — Co miałem tam robić? Czego miałem tam szukać, kiedy dzieci moje są tu — wskazał na chłopców. — A mogłem tam mieć, mogłem mieć sto, a nawet dwieście dziesięcin ziemi, postawić porządną chałupę, wzbogacić się... Nie jestem jednak taki, żeby was zamieścić na to wszystkó... No i uciekłem... Aż zza Charkowa. Żebyś ty wiedziała, Prisiu, co się tam dzieje! Czarnoziem tam, ludzie zamożni, ale potrząsnęli bogaczami, jak gruszą, a jak nie chcieli do kołchozu, no to na wagony całymi rodzinami... A jak tu? Co słyszeć u nas?

— Wstąpiłam do kołchozu.

— Wstąpiłaś?!

— A cóż to, gorsza jestem od innych?

— Znaczy się jak tam, znaczy się ja na śmierć się zdecydowałam, a ty do kołchozu? — napierał na nią w ciemności. — No, mów dalej, Prisiu, mów, słucham...

— Uspołecznili konie, wóz, cały inwentarz...

— Wszystko?

— Co to wszystko warte bez pola? Do czego potrzebne? Żelastwo i tyle.

— I pług też oddałaś?

— I pług, i młynek... Zostawiłam tylko broń. Potrzebna w ogrodzie. Wszyscy sobie zostawili, to i ja zostawiłam.

— Ach tak? A czy ty wiesz, że za ten pług

winien jestem jeszcze Moni Czeczewicznemu? Co? — Dusił się od złości na Prisię.

— Przecież Monię Czeczewicznego wywieźli tym samym pociągiem, co i was...

To trochę uspokoiło Jawtucha. Nie lubił mieć długów.

— To niesłychane! Ledwie się odwróciłem, już taka ruina!.. Co wy tam wyrabiacie?! — skarcił dzieci, a potem znowu do żony — No i jak teraz żyjecie?

— Był próbny wyjazd¹ w pole. Zaczynamy siał...

— Kto zaczyna? Ty? Ruban? A skąd on ma wiedzieć, jak się sieje i co się sieje? Powiedzmy, owies. Trzeba było już go zasiać. Owies w błoto, będzie jak złoto. Ale skąd Ruban ma o tym wiedzieć?

— Wziął na zastępcę kogoś z naszych... — Prisia uśmiechnęła się.

— Kogo? — spytał Jawtuch z ciekawością.

— Lewka Chrobrego.

— Fabiana?! — Jawtuch aż podskoczył ze zdumienia i uśmiechnął się złośliwie. — No i chwała Bogu! Oto w czyje ręce przeszedł Babilon. Dobrze wam tak. No, ten to już wyprowadzi was na ludzi, psia mać... Taki pług oddać Fabianowi! A widzisz go chociaż?

— Fabiana?

— Nasz pług! — Jawtuch aż trząsł się ze złości.

¹ próba sprawności i gotowości do wiosennego siewu (przyp. tłum.)

— No pewnie. Był na próbnym wyjeździe. Wszystko w porządku. I konie też. I pług, i młynek. Nie mogę tylko rozpoznać wozu. Z daleka niby nasz, a podejść bliżej: nie nasz...

— W naszym było po trzynaście szprych w kole. Więc po jakiego diabła chciałem wszystkich przegonić z tym ich cholernym tuzinem?!

— Nie, w tym tyle nie było — rzekła po namyśle Prisia.

— Jasne. Wozu nie ma. I to jakiego wozu! Wszystko się rozsypało w proch. I Babilon też. Jak to powiedziano w Biblii? Parfena czytała nam w drodze... — Zdjął czapkę. — *I zstąpił Pan, aby oglądał miasto i wieżę, którą budowali synowie Adamowi. I rzekł: Oto jeden jest lud, i jeden język wszystkim; a poczęli to czynić, i nie przestaną od myśli swych, aż je skutkiem wypełnią. Przeto pójdźcie, zstąpmy, a pomieszajmy tam język ich, aby nie słyszał żaden głosu bliźniego swego. I tak rozproszył je Pan z onego miejsca po wszystkich ziemiach, i przestali budować miasto. I przetoż nazwano imię jego Babel, iż tam pomieszany jest język wszystkiej ziemi; i z onąd rozproszył je Pan po wszystkich krainach.*¹

— No i co dalej? Czego jeszcze nauczyła was Parfena?

— Pójdziemy stąd... Jeśli chcesz mieć gospodarza, a dzieci ojca.

¹ przekład ks. D. Jakuba Wujka (w tekście ukraińskim „Babel” zastąpiony jest „Babilonem”) — przyp. tłum.

— Dokąd? Chciałabym wiedzieć, dokąd pójdziemy!

— Trzydzieści pięć kilometrów stąd...

— Do Zielonych Młynów?

— Tak. Do Łemków. Byłem tam teraz. Po drodze wstąpiłem. Jakby inne państwo. Spłacili podatek i nikt się do nich nie miesza. Dostukali się do samej Moskwy. Żyją zgodnie z konstytucją. Dańko Ławrin ma własną olejarnię i młynek do kaszy. Pozwolił mi się ogrzać, przywitał jak najbliższego, zabieraj swoich, powiada, i przenieś się do nas. Władza radziecka, powiada, buntu wam nigdy nie przebaczy. Łemki, Prisiu, to nie to, co my, to chytry naród. Uciekli kiedyś od cesarza austriackiego to i od kołchozu uciekną. Bez buntu, po dobremu. Zgodnie z konstytucją. Znają się na wszystkim. Sam Lenin mówił, powiadają, że to sprawa dobrowolna. Tylko Zielone Młyny mogą nas uratować. Innego wyjścia nie ma. Ja nie mam innego wyjścia... Zięc Wałachów jest tu?

— A gdzież miałby być? Wstąpił do kołchozu.

— Klarnetu mu nie uspołecznili, jak nasz pług?

— Gra Wałachom... Prawie co wieczór. Jak tylko wiosna nastała.

— Chcą, żeby tam przyjechał. Stary klarneista umarł, więc chcą na to miejsce jego. Ci zwariowani Łemkowie nawet kroku nie robią bez muzyki. Piwo tywrowskie, muzyka, tańce co sobotę... Gdzie tam naszemu Babilonowi do Zielonych Młynów! To tak jak Glińskowi do Szargorodu. Inny świat.

Zdjął kozuch.

— Odpocznę jakiś dzień, dwa i jazda... Trzydzieści pięć kilometrów to żadna odległość. Odwałem teraz tysiąc. Aż zza Charkowa. Przemierzyłem całą Ukrainę. Buty zmarnowały się całkiem. Ale za to spodnie mam nowe. Parfena mi podarowała. Z Bubety. Zabrała je chyba dla Dańka. Za duże trochę, ale jaki gatunek! Angielskie sukno... Śpijcie już tam! — krzyknął na dzieci.

Podszedł do Prisi, pocałował ciepły warkocz. Kochał ją podczas drogi, jak nigdy. Dziwna właściwość podróży...

— A kołyska, widzę, próżna...

— Piłam zioła. Babki mówiły, że byłaby dziewczynka.

— Ajajaj! Jaka szkoda!

I nagle:

— A co słyszać u sąsiadów? Myśleli pewnie, że już przepadłem, co?

...Miłowała swego Jawtucha, jak kiedyś pierwszy raz. Zdawało się jej znowu, że pójdzie za nim na koniec świata... Gdyby nie dzieci, to jeszcze wtedy, na Jordan, pojechałaby z nim.

— O Sokolukach szkoda gadać. Czy można oczekiwać od nich czegoś dobrego, kiedy brat poszedł przeciw bratu? Łukian jeszcze dotąd poluje ze strzelbą na Dańka. I Sawkę Czybisa bierze ze sobą. Boją się, żeby nie spalił kołchozu, czy nie narobił innej biedy. Dla mnie tylko ty jeden jesteś na świecie... Nie bardzo udany, kwękający, nieszczęśliwy, ale mój... Dzieci posnęły, Babilon też już śpi, więc się rozbieraj, wykąpie

cię z drogi. A spodnie solidne, aż szeleszczą. Bogacze dbali o siebie...

Rano w całym Babilonie wiedzieli już, że wrócił Jawtuch, nie nachodzili go jednak, nikt nie zamierzał go wydawać. Zdaniem Lewka Chrobrego Jawtuch odpocznie dzień, dwa, nacieszy się dziećmi, a potem przyjdzie do kołchozu i stanie razem z wszystkimi do siewu. To samo myślał o nim Łukian z rady gromadzkiej. A gdzież Jawtuch ma się podziać, kiedy Prisia przystała do nich z całym majątkiem? Zdecydowali nie zawiadamiać Glińska o jego powrocie. Mieli wzgląd na jego dzieci, no i na niego samego, a poza tym jakoś wszystkim bardzo brakowało Jawtucha stojącego w święta przy bramie. Brali też pod uwagę jego miłość do ziemi, do pola. W nowym kołchozie tacy ludzie są potrzebni. Okazało się jednak, że kiepsko znali jego charakter...

ROZDZIAŁ IX

Następnej nocy Jawtuch przyszedł do nas i zbudził ojca. Wałachowie nie wiedzieli jeszcze o jego powrocie, dlatego ta nieoczekiwana wizyta zaskoczyła ich. Rodzina była liczna i nie było potrzeby zamykania się na noc. Od wiosny aż do późnej jesieni drzwi zawsze stały otworem. Jawtuch zjawił się więc na progu jak mara. Stał przez chwilę i dopiero na zawołanie ojca „Kto tam?” odpowiedział tak, jak gdyby też tu spał i wyszedł tylko na chwilę.

— To ja, Czornohorku.

— Jawtuszek?

— Ten sam. A co, nie poznałeś? — spytał, pomysławszy: Mam na sobie inne spodnie, dlatego mnie nie poznał. — Wybacz, że tak późno. Nie mogłem inaczej...

Jawtuch odszedł, a ojciec, włożywszy buty i narzuciwszy świtkę, wyszedł za nim. Ojciec cenił bardzo Jawtucha za coś, czego nie znajdował w żadnym z babilończyków. Otóż tylko on jeden przychodził od czasu do czasu wieczorem i prosił: „Tak mi smutno na duszy, zagraj mi coś na kłarnecie”. Ojciec wyjmował z futerału kłarnet i grał tylko dla niego łemkowskie melodie albo improwizował na ich tematy. Jawtuch słuchał z wyraźnym wzruszeniem, a potem odchodził w milczeniu. No więc ojciec mówił tym głuchmakom Wałachom, że Jawtuch jest wrażliwy na muzykę jak rzadko kto.

Nigdy się o tym nie mówiło, ale łączyły ich jeszcze związki z Zielonymi Młynami: tylko oni dwaj z całego Babilonu mieli tam krewnych, obaj mogli się tam przenieść. Teraz długo rozmawiali na ławce Andriana też chyba o Zielonych Młynach. Ojciec znacząco pokasływał, Jawtuch zaś przekonywał o czymś gorąco tego Łemka, który od pewnego czasu decydował o pozycji społecznej Wałachów, a jego odejście wpłynęłoby bardzo niekorzystnie na tę pozycję. Gdy ojciec wrócił z tej poufnej rozmowy, wszyscy Wałachowie już spali.

Dawniej ojciec, gdy miał jechać do Zielonych Młynów, lubił dużo wcześniej przygotowywać

się do tej 35-kilometrowej drogi. Wieczorem smarował wóz, mościł go grubo sianem i sprawdzał starannie półszorki, wycierając do połysku miedziane sprzączki, których było bardzo dużo. Może dzięki nim nasze szkapy wyglądały imponująco. Czyścił też oczywiście i konie, żeby lśniły rano jak te miedziane sprzączki, i dawał im dodatkową porcję owsa. Do plecionego wiśniowego biczyska, dziś już nie spotykanego, przyczepiał czerwoną kitajkę i stawiał w kącie pod obrazami jako symbol chłopskiej bezkompromisowości.

W te wieczory przedwyjazdowe panował w domu jakiś uroczysty nastrój. Wszyscy, którzy wybierali się w drogę wozem zaścielonym barwnym kilimem, po kolei myli się w niecce, wkładali czyste koszule, i kiedy ojciec szeptał przed Mikołajem Cudotwórcą modlitwę, mającą strzec nas przed wujem Andrianem (gdy żył jeszcze), jego żoną i wszelkimi innymi przykrościami, my, najmłodsi, snuliśmy w myślach wyobrażenia o tym odległym królestwie, w którym surowo i sprawiedliwie rządził dziadek Czornohor.

Byliśmy tam kilka razy i bardzo nam się tam podobało. Same chutory, domy wielkie, długie, z wysokimi strzechami, konie chodzą nie w szlajach, jak u nas, lecz w chomacie, wszystkie krowy jednej maści, czerwone, pośrodku wsi cmentarz, obrośnięty wokół gęstym bzem, z białą kamienną kaplicą. I jest tam jeszcze jedno dziw, dla którego warto jeździć te trzydzieści pięć kilometrów; pod samą chatą dziadka prze-

jeżdżają z Europy do Azji pociągi towarowe i pocztowe i każdy parowóz uważa za niezbędne gwizdnąć właśnie pod dziadka domem.

Kiedyś, sto, a może dwieście lat temu, mieszkali w tych chutorach niemieccy koloniści, ale ponieważ nie chcieli oddawać swoich synów do rosyjskiej służby wojskowej, car przegnał ich poza granice imperium i za jakąś wybitną zasługę wojenną, którą do dziś jeszcze okrywa tajemnica, wezwał z gór do porzuconych chutorów stary ród łemkowski, do którego należał również nasz dumny pradziad. Kiedy tu przybył, miał podobno powiedzieć, że dopiero teraz zrozumiał, dlaczego od niepamiętnych czasów toczyły się wojny o tę ziemię. Ten ród łemkowski mocno się trzymał swojej gwary, zwyczajów, a nawet kuchni, jednak stopniowo przełamывał tę izolację przede wszystkim przez mieszane małżeństwa. Za pierwszego odstępce od tych rodowych tradycji uchodził nasz dziadek. A kiedy jego syn przywiózł tu swoją narzeczoną, naszą późniejszą matkę, i pokazał ją dumnym Łemkom, darowali mu ten grzech przeciw rodowym tradycjom, uznając, że dziewczyna dorównuje pięknnością ich własnym kobietom i dziewczętom.

Od tego czasu miejscowi kawalerowie zaczęli szukać żon w okolicznych wsiach, rujnując w ten sposób stare plemię, zresztą z korzyścią dla niego. Nasi rodzice, sprawcy tej epidemii, jeździli do Zielonych Młynów trzy razy do roku — na Zielone Świątki, święto Przemienienia Pańskiego, no i czasem jeszcze na święto Jor-

danu. Na to najpiękniejsze święto nas, małuchów, nie zabierali, bo były zwykle silne mrozy, natomiast tu, w domu, korzystaliśmy wtedy z pełnej swobody. Niekiedy rodzice zabierali ze sobą Jawtucha, który miał tam wuja, tego samego Ławrina Gołego, który przybył do Zielonych Młynów jeszcze jako kawaler.

Pewnej nocy przyszedł do nas Jawtuch, stanął w drzwiach i rzekł:

— Jadę do Zielonych Młynów. A wy? Nie macie zamiaru tam pojechać?

Gdzieś tam w komorze wisi niepotrzebna, zaśniedziała uprzęż. Przypomnieliśmy sobie niedawne wyjazdy, więc znowu dom ogarnął jakiś uroczysty nastrój; ciekawe, czy w Zielonych Młynach chodzą jeszcze dotąd towarowe i pocztowe pociągi; teraz już z Azji do Europy, i czy tak samo wesoło, jak wówczas, pogwizdują parowozy pod samą naszą chatą, zwłaszcza w nocy, i czy odbywają się mieszane wesela z rodu ojca i z rodu matki, wesela szumne, huczne, z zatrzymywaniem orszaku ślubnego i wykupem, zaciekłymi bójkami i późniejszym brataniem się, w czasie których ojciec mój nie należał do ostatnich, bo miał już babilońskie doświadczenie i niewielu mogło się z nim równać w tej Łemkowszczyźnie.

— Ja zostaję tu — powiedział ojciec. — Zabierzesz tylko mego starszego syna do dziadka na mleko prosto od krowy. Zaczął kaszleć, chyba zaraził się od Andriana suchotami, a ja, jak wiesz, nie mam krowy. No a później przyjadę po niego.

— Jak uważasz...

Ucieczka Jawtucha miała odbyć się cicho, w tajemnicy przed Babilonem. Jedynie Fabian był w to wtajemniczony, przede wszystkim jako filozof; Jawtuch pozostawiał mu dom z wszystkimi skarbami, których nie mógł ze sobą zabrać. No i w ten sposób filozof i trumniarz stał się czy nie najbogatszym człowiekiem w Babilonie...

Fabian istotnie poczuł się magnatem, kiedy obejrzał dokładnie ten podupadły majątek Jawtucha; najdłużej jednak rozkoszował się widokiem gruszy, która lada moment miała zakwitnąć białym smutkiem. Filozof był chyba zadowolony z wyniku oględzin, jednak na pożegnanie powiedział Jawtuchowi:

— Jeśli kiedyś tu wrócisz, to przeniosę się z powrotem do swojej chatki na Tatarskich Wałach. Mnie wszystko jedno, gdzie mieszkam...

Oczywiście. Wielcy filozofowie nigdy nie dybia na cudzą własność i pozbawieni są uczucia zazdrości. Mają jednak inną wadę, której Jawtuch nie wziął pod uwagę: nie potrafią zataić przed ludzkością swoich genialnych myśli i odkryć, wyrządzając tym tejże ludzkości niepowetowane szkody.

Jeszcze tego wieczoru ciągnęli do chaty Jawtucha bliżsi i dalsi krewni, błagając go, by pozostał. Bo co może być innego o trzydzieści pięć kilometrów stąd? To samo, co i tu. Jeśli już uciekł z transportu, to lepiej siedzieć na miejscu i czekać końca, niż wędrować z dziećmi do jakichś Zielonych Młynów...

Jednak stojący pośrodku izby wózek był wymownym świadectwem jego nieodwołalnej decyzji. Zmajstrował go w mieszkaniu z różnych staroci, tylko koła „pożyczył sobie” od Sokoluków. Teraz było najważniejsze, żeby wózek wytrzymał te trzydzieści pięć kilometrów.

Ostatni przyszedł Łukian Sokoluk, nie tylko jako sąsiad, ale i jako przewodniczący rady gromadzkiej. Mizerny, wysmagany wiatrem, w okularach z pękniętym szkłem, z wielkim dramatem w sercu; nie udało mu się jednak pojąć Dańka i mógł teraz oczekiwać od niego, wszystkiego, co najgorsze.

— A czy tam nie tak samo, jak tu — przekonywał Jawtucha — czy tam inne państwo, no i czy dzieci zniosą taką drogę, zwłaszcza że trzeba będzie iść pod wiatr? Zmarnujesz je w drodze i kiedyś będą cię przeklinać.

Pęknięte szkło drażniło go, widział mętnie, ciągle mrugał okiem. Obiecywał, że zaraz po zakończeniu siewu wybierze się do samego Petrowskiego i wyprosi przebaczenie dla Jawtucha. Siedział na ławie jeszcze cieplej po krewnych, wsparty rękami o poręcz, a Jawtuch coś tam dłubał przy wózku, który wprowadzie sam zmajstrował, ale nie pomyślał o tym, jak go wy dostać z mieszkania. Łukian zaraz to zauważył, zmierzył na oko wózek i drzwi i uśmiechnął się.

— Czy to daleko? — spytał Jawtucha ugodowym tonem.

— Nie. Trzydzieści pięć kilometrów.

— Kawał drogi — powiedział jakby do siebie. — Sądysz, że tam inny ustrój?

— Ten sam, ale tam chodzą pociągi, to już jakoś lżej. Jak by co, to mogę pojechać, dokąd zechcę...

Prisia wysypała z garnka do torby zeszłoroczny mak.

— A wszystko przez ten Jordan. — Łukian podniósł się z ławy. — Wiedziałem, że to się źle skończy, cóż jednak mogłem zrobić sam przeciw Babilonowi...

— To samo, co i my. Ale Ruban mógł jednak jakoś mnie wybronić. Nie zabiłem go przecież. Niech tam sobie żyje, niech buduje swoją komunę. No a mnie, jak widzisz, wygnał z rodzinnego gniazda. Dom zostawiłem pod opieką Fabiana, będziesz miał teraz sąsiada akurat dla siebie. Jedna dusza, jedna władza. Ale ja nie taki. O, nie, ja nie z tych!..

— Oj. Jawtuch, Jawtuch! Należą ci się tęgie baty. Mieć tyle dzieci i wyskakiwać z obrzynkiem. Na kogo? Przeciw komu? Z kim? Jawtuch Goły przystał do strzelców?

— Tak to jest, widzisz... Bogaczy wywieźli, uratowali, a wy tu kiedyś pozdychacie z głodu. Wspomnicie jeszcze moje słowo... Winien ci jestem parę groszy, ale będziesz musiał jeszcze poczekać, przekażę ci już stamtąd. Lubię pożyczyć — ale lubię też oddać. Taki już jestem...

Łukian podszedł do dzieżki z wodą, zaczerpnął miedzianym kubkiem i zanim wypił, rzekł:

— Ano, zobaczymy...

Pił długo, coś go w środku ssało, suszyło. Gdy wyszedł, Prisia powiedziała:

— Biedny Łukian, zupełnie się wykończył... Oto co robi z człowieka władza. A jacy oni byli, ci Sokolukowie!..

Jawtuch coś sobie jeszcze przypomniął, wybiegł za Łukianem i krzyknął w noc:

— Hej, Sokoluk!

Długo jeszcze o czymś tam rozmawiali za bramą. A tu, pośrodku izby, stał dyszlem do góry wózek własnej roboty, rwący się do drogi. Jawtuszątka posnęły, nie doczekawszy się powrotu ojca. Nigdzie tak dobrze nie spało mi się, jak tu...

Zbudzono nas przed świtem. Nie prychały, jak to kiedyś bywało, jeszcze senne konie, nie słyszeć było na podwórzu gospodarskich pokrzykiwań. Wózek stał już na dworze, wynieśli go z mieszkania chyba bokiem, kiedy już wszyscy byliśmy gotowi do drogi, Jawtuch w ostatniej chwili przypomniął sobie, że nie zabrał klarnetu, który dał mu ojciec, żeby tamtejszy znakomity kapelmistrz nauczył mnie grać z nut. Ojciec nut też nie znał, a ja miałem słuch nie najlepszy i ojcu nie udało się niczego nauczyć mnie bez nut. Jawtuch położył klarnet na wózku.

— To dla ciebie — rzekł do mnie — żebyś nie zbijał tylko baków...

Zaprzągnął się do wózka i wyciągnawszy go za wrota twardo ruszył w drogę, jak gdyby przez całe życie przygotowywał się do tej podróży.

Rzadko widywałem go takim zdecydowanym, jak teraz, przy wózku, na wąskiej drodze.

Koło krzyża Jawtuch zatrzymał się. Widać stąd było całą Górę Babilońską, tu zawsze poborowi żegnali się z rodzinną wsią. Ktoś z nas powinien był właściwie podbiec do pobliskiej szkoły, postukać w okienko Arseny Ludwikowny, bardzo już starej i bardzo dobrej nauczycielki, i powiedzieć jej, że opuszczamy wieś i żeby nie czekała na nas więcej w naszych ławkach, na których uwieczniliśmy swoje imiona na wypadek, gdybyśmy tu musieli wrócić. Ale Jawtuch postanowił zrobić to sam i długo czekaliśmy na niego przy krzyżu.

Przyszła wreszcie z Jawtuchem — drobniutka, pachnąca jeszcze snem, żartowała z nami, pokpiwała z naszego wózka. Nauczycielka jeszcze zdaje się nie wiedziała, że ja również jadę z nimi... Ale słyszała przecież, jak męczy mnie suchy kaszel. Nie, Arsena Ludwikowna nie odradza nam, ale też z nikim się nie żegna; długo jeszcze widzieliśmy ją stojącą koło krzyża, jak dobrą boginię niepewnej drogi...

W radzie gromadzkiej było ciemno, Sawka Czybis spał jeszcze na ławie. Dopiero rano dowie się, że nas nie ma i roześmieje się, bo lubi się śmiać przy każdej okazji. Ale swoje robił. Buksernicy¹ nazywali go żelazną miotłą, bo umiał zawsze wywachać, gdzie kułacy za-

¹ członkowie brygad robotniczych, zajmujący się ściąganiem dostaw zboża (przyp. tłum.)

melinowali zboże. Sam zaś głodował, jednego nawet ziarenka nie wziął dla siebie.

Zanim opuściliśmy wieś, rozwidniło się. Świt przyszedł cichy, różany, z czarnymi skrzydłami wiatraków i z całym oceanem stepu bez kropli rosy na pajęczynach, co zapowiadało wiatr. Tylko patrzeć, jak zerwie i uderzy w piersi Jawtucha. My też będziemy musieli mocować się z nim. Najlżej będzie temu najmniejszemu, co drepce przy samej ziemi za wózkiem, najciężej mnie, bo chyba jednak zaraziłem się od wuja i zawsze kaszlę, kiedy trzeba iść pod wiatr. Jeszcze go nie ma, zapowiada go dopiero gorzkawa, piołunowa woń z domieszką macierzanki. Wdycham ją pełną piersią i nie mogę odgadnąć, dlaczego Jawtuch zatrzymał się. Suche badyle stepowe zasłaniają nam widok, on jednak dostrzegł ludzi pod wiatrakami.

Kiedy powiał stamtąd wiatr, przyniósł gwar zmieszanych i podnieconych ludzkich głosów. Potem wiatrak poruszył skrzydłami, przez moment jakby się zawahał, zatrzeszczał i zaczął bić skrzydłami jak żywy olbrzym. Jego sąsiad rozkręcił się znacznie szybciej i sprawniej. Gwar ucichł, słyszeć było tylko rżenie koni przy wozach, na których przywieziono zboże do mielenia.

Porzuciliśmy wózek na pastwę losu i jak zaczarowani poszliśmy do wiatraków. Pachniało chlebem, zbożem, szczęściem, tym wszystkim najważniejszym i najprostszym, co ma człowiek. Fabian w zajęczej czapie z nabożnie złożonymi rękami patrzył na skrzydła zafascyno-

wany i jakby zahipnotyzowany ich lotem. Jawtuch pożegnał się z nim i rozplakał się, kiedy prosił o opiekę nad domem i wszystkim.

Przez cały ranek szliśmy przez pola mocując się z przeciwnym wiatrem. Ciągłe miałem wrażenie, że za chwilę wyskoczy znany całemu Babilonowi złodziej Nazar ze spleśzczonym nosem, zrabuje nam wszystko i zabije Jawtucha, który polował kiedyś na niego razem z innymi babilończykami, chcąc mu przeszkodzić w kradzieży konia.

Koło chutorów Pawluków rzeczywiście wyszedł ktoś z zarośli, podniósł rękę, jakby chciał nas zatrzymać, i szedł w naszym kierunku. Byłem pewny, że Jawtuch ma broń, sam przecież widziałem na Jordanie.

Jawtuch, nie wypuszczając wózka, zatrzymał się, a my stanęliśmy przy nim, gotowi zginać razem z nim.

Był to Dańko Sokoluk.

Dańko na widok Jawtucha uśmiechnął się niewinnie i przyjaźnie i wetknął za pas obrzynek.

— Daleko? — spytał.

— Do Zielonych Młynów. Do Łemków...

— Byłem tam. Kiedyś hodowali tam piękne rasowe żrebce, ale teraz nie wiem, jak tam jest.

— Nic się nie zmieniło — rzekł Jawtuch.

— Myślisz, że nie znajdą tam ciebie?

— Będzie, jak ma być...

— Znajdą. Wszędzie znajdą...

Spalony wiatrem, w rozchełstany kożuchu, z świeżą szramą na twarzy, w nowych butach

chromowych, zszedł z drogi, a my ruszyliśmy za Jawtuchem dalej.

W zaroślach zarżał jego spętany koń. Gdy podskakiwał, widać było jego czarną grzywę.

— Wio, koniki! Ech, konie wy moje, konie! — zawołał Jawtuch, zadowolony, że wszystko dobrze się skończyło.

Szliśmy teraz jakoś sprawniej, zawzięcie, niemal na rękach niosąc wózek na Abisyńskie Wzgórza. Jak daleko rozciągała się babilońska ziemia! Kiedy Dańko orał i zasiewał te wzgórza, zrywały się tam wiatry; teraz wzgórza jakby się wyczerpały, osłabły i po spierzchniętej roli myszkował tylko słaby, przyziemny wietrzyk.

Długo wdrapywaliśmy się na te wzgórza. W drodze minął nas jak wichher jeździec na koniu. Gdy wjechał na szczyt, osadził konia i czekał tam na nas. Wyglądał na tym wzgórzu i na tym koniu imponująco.

— Tak szybko pruliście pod górę, że ledwie was dognałem — rzekł Dańko Sokoluk, niedawny gospodarz tych piekielnych wzgórz. — Zapomniałem spytać, co słychać u moich. Jak tam Łukian, Darynka? Żyją?

Jawtuch skinął głową. Wszyscy chwała Bogu zdrowi, tylko nic nie wiedzą o nim, gdzie się zaprzepaścił.

— No a ty, patrzcie! Tak sobie myślałem, że gdzieś się tu zjawisz.

Dańko uśmiechnął się, ten wózek go zaciekał. Odprowadził nas na koniu aż do rowu.

— Zapomniałem jeszcze spytać o Parfenę...

— Nie martw się o nią, da sobie radę. Ale widzę, że pamiętasz o niej...

— Kochałem ją... — rzucił z konia niechętnie, ale chyba szczerze, bo po tych słowach długo milczał.

Przy rowie Dańko dał nura w zarośla i dalej szliśmy znowu sami.

Pierwszą wsią, jaką minęliśmy w swej wędrówce, były Semywody. Pamiętam dobrze tę wieś jeszcze z czasów, kiedy przejeżdżałem tędy z ojcem. Na Zielone Świątki domy były umajone, pachniało w nich zieleń, a na święto Przemienienia Pańskiego — pierwszymi gruszkami. W jednym z takich domów mieszkał kolega ojca, Artem Buha, cichy, czysty, w wyszywanej koszuli. Miał pasiekę, i jego żona, Dusia, zawsze, kiedy tu zatrzymywaliśmy się, częstowała nas pierniczkami, z których słynęła na całą wieś. Dom stał na wzgórzu, podwórze było zamiecione, do okien zaglądały malwy — żadna nie była złamana lub zerwana, bo nie mieli dzieci. Na gwoździu pod strzechą wisiał słomiany kapelusz z porwaną siatką, w którym Buha chodził do pasieki, aby odkroić dla nas kawałek plastra z miodem. Dziś również ten kapelusz złożył się na tym samym gwoździu, ale gospodarzy nie było w domu. W ogrodzie ćwierkały na zeszłorocznych burzanach wróble. Na wiązcie było gniazdo, stał w nim bocian, jakby czekając na powrót gospodarzy, bo kiedy zatrzymaliśmy się, zamachał skrzydłami i zaczął klekotać.

Nie czekaliśmy jednak na nich, całą nadzieję

pokładając teraz w Nowej Hrebli, w której ojciec i Jawtuch mieli znajomych bliższych niż ci w Semywodach; nieraz zatrzymywali się tam, a pewnego razu nawet zanocowali. Rodzina była liczna, pracowita, sami dorośli, dobrze byłoby właśnie tam przenocować, a stamtąd, od Bezduszných (jak bardzo niesprawiedliwe bywają nazwiska!) pozostanie już tylko połowa drogi. Dalej są Owczе, Rajgorod i wreszcie kraina, której istnienia świat nawet nie podejrzewa.

Dęta orkiestra gra tam od wieczora do samego rana. Sporo w niej blachy, ale nie mają klarnetu. Kiedy gościliśmy tam, to ojciec tak się pysznił swoimi zdolnościami muzycznymi, że musiała wtrącać się w to matka, skutecznie zresztą, bo potem długo milczał.

Była właśnie ta godzina, kiedy Góra Babiłońska dymiała, Fabian kończył robotę i zabierał się do książek, żeby zgłębiać tajemnice świata, nad polami cichły wiatry, stawały wiatraki, milkły kuźnie, w chatach jedli kuleszę, omaszczoną olejem lnianym, rozczyniali chleb w dzieżkach, zakwaszali czerwony kwas na barszcz, zamykali wrota przed złymi ludźmi, parobcy wypędzali w pole kołchozowe konie, a chłopcy i dziewczęta wybierali się na huśtawkę. Widziałem to wszystko w wyobraźni jak na jawie, póki nie dotarliśmy do naszych Bezduszných.

Synowie Bezdusznego byli jacyś ponurzy i milczący, ojciec ich zaś przywitał Jawtucha z pozoru przychylnie, rzucił dla wszyst-

kich dzieci na stół drewniane łyżki, nakarmił nas.

— Dokąd wleciesz te dzieci? — zaczął wypytywać Jawtucha po kolacji.

— Do Zielonych Młynów, do wujka.

— A co, przepędzili was z Babilonu?

— Sami poszliśmy... — Jawtuch zerknął znacząco na Prisie, żeby nie powiedziała czegoś niepotrzebnego.

— Sami? Chyba musi być jakaś przyczyna.

— Nie, nie ma żadnej. Oto chłopak Czornohora. — Jawtuch wskazał na mnie, chcąc się tym wykręcić od odpowiedzi. — Patrzcie, jak wygląda. Jego wujek umarł na suchoty. Wiecie przecież, Andrian, ten, co kopał studnie.

— Jakże bym nie wiedział. Na moim podwórzu też jest jego studnia. A teraz studnie są potrzebne jak nigdy. Coraz więcej bydła, a wody coraz mniej. Szkoda tego majstra. Jest między nimi jakieś podobieństwo. W oczach. — Bezduzny zerknął na mnie.

— Wszyscy suchotnicy są do siebie podobni. Właśnie w oczach. No więc idzie do dziadka. Krowę im uspołecznił, nie ma mleka, to idzie na mleko do Zielonych Młynów.

— Przecież nie mieliśmy krowy — wtrąciłem.

— Nikt ciebie o to nie pyta! — Jawtuch zamachnął się na mnie drewnianą łyżką.

— A te wszystkie, to twoje?

— Moje — uśmiechnął się Jawtuch. — Co to za chłopcy, mówię wam! A jak w drodze się sprawowali! Trudno za nimi nadążyć.

Bezduzny wstał.

— Myślisz, że tam, w Zielonych Młynach, czekają na was? Wracaj, człowieku, do swego Babilonu, póki nie jest za daleko, i żyj tam jak wszyscy. Nie kombinuj, nie mędrkuj, i tak niczego nie wymędrkujesz. Dojdzie i do Zielonych Młynów, mimo że tam naród chytry i hardy. Znam Łemków...

— Nie. Niech będą Zielone Młyny — rzekł Jawtuch. — Chodźmy.

Tam gdzieś Łukian, cały omączony, idzie z ludźmi od wiatraków, idzie Fabian z babilońskimi chłopczykami, idzie Rózia, wcale nie obłąkana, jak twierdził Dżura, normalna, na wieki zakochana w Kłymie Synyci, idzie Sawka Czybis, który zmądrzał o sto lat, skrzypią wozy z mąką — a my odeszliśmy od tego łabędziego stada i idziemy w noc, w Owczem zwiadują się nam na drodze stada owiec, i skrzypią bez przerwy koła w wózku.

Rajgorod. Miasteczko, które ojciec uważał za swoje rodzinne, bo tu się ożenił. Nieco mniejsze od Glińska, coś pośredniego między Wachnowką a Machnowką. Nad tym cichym miasteczkiem górował wysoki kościół z dwiema wieżami, w którym już kiedyś bywałem. Ojciec z uporem uważał siebie za katolika, co było dla nas, dzieci, bardzo korzystne. Bo kiedy w innych domach wszystkie święta obchodzone były tylko raz, w naszym domu większe święta chrześcijańskie świętowaliśmy po dwa razy: Wielkanoc, Zielone Świątki, Boże Ciało, Boże Narodzenie i inne. W święta katolickie ojciec uważał siebie za wybrańca Pana Boga. Zaprzę-

gał konie, sadowił nas wszystkich na wóz, zascielony samodziałowym kilimem, który zdejmowało się z łóżka i długo wytrzępywało z kurzu, i jechaliśmy do tego kościoła na nabożeństwo. Niekiedy ksiądz przyjeżdżał sam do naszej wsi i obchodził domy katolickie; wówczas my, dzieci katolickie, dostawaliśmy cukierki w złotym staniolu, o jakich nie śniło się dzieciom prawosławnym.

Ksiądz wydawał się nam surowy, oschły i jakiś przemądrzały, bo mówił mową, której my, dzieci, nie mogliśmy pojąć, nawet ojciec nie wszystko z niej rozumiał i tylko kiwał głową, udając, że doskonale wie, o co chodzi. Za każdym razem, kiedy wracaliśmy z kościoła, matka dokuczała ojcu zjadliwymi uwagami na temat jego obrządku: „Nie lubię tego waszego fałszywego państwa. Rozbierz ich tylko, to zobaczysz, w jakich koszulach przychodzą ci twoi katolicy do kościoła”.

Święta matki obchodzone były równo dwa tygodnie po świętach ojca, a obchodzono je tak, że ojciec nie mógł nie odczuć wyraźnej przewagi w Babilonie świąt prawosławnych nad katolickimi. I chociaż ojciec Soszka nie tylko nie przynosił takich wspaniałych cukierków, ale trzeba było jego samego jeszcze suto ugościć i obdarować, to dobroć promieniująca z jego oblicza korzystnie kontrastowała z oschłością księdza, co nie było bez wpływu na coraz większą chwiejność katolicyści mego ojca.

W kościele odprawiane było właśnie na-

bożeństwo wieczorne. Zatrzymaliśmy się na chwilę. Jawtuch podziwiał wrzynającą się w noc białą budowlę. Gdy ruszyliśmy dalej, w skrzypienie kół długo jeszcze wplatały się dźwięki organów, przywołując w naszej pamięci świeżo oglądane obrazy procesji wokół kościoła ze świecami, chorągwiami i pieśniami, śpiewanymi w obcej mowie.

Ostatnie kilometry szliśmy jak we śnie. Wydawało się, że ta podróż nigdy się nie skończy, że będziemy iść za Jawtuchem w nieskończoność, bez udziału naszej świadomości, wsłuchani w skrzypienie wózka przesiedleńców, wiodącego nas do nikąd. Nie odczuwaliśmy już potrzeby ani ciepłego mleka, ani świeżego chleba. Nie grają żadne orkiestry dęte, niepotrzebny jest leżący na wózku klarnet ojca.

Noc, cisza, nieznane... Z nocy wyłania się pociąg, który ciężko jedzie z Europy do Azji. Pod domem mego wuja zagwizdał parowóz, wydobywając z nas ostatek sił: oto znajoma topola z wypaloną duszą, drzewo trwające wiecznie w tym małym państewku z długimi domami, wyglądającymi jak fantastyczne pociągi. Nie słyszymy już parowozów, nie widzimy unoszącego się z nich dymu, pociągi gdzieś tam stanęły w nieładzie...

Każde gospodarstwo ma tu własną dróżkę. Oto dróżka dziadka: ani razu przez całą drogę nasz wózek nie toczył się tak szybko...

Przyjechaliśmy. Jawtuch zastukał w okno. Pojawiła się w nim jakaś postać w bieli. Szarzało już. Dziadek chyba nie poznał Jawtucha,

ale otworzył drzwi — i stanął jak wryty. Dlaczego milczy? Przecież myśmy zrobili trzydzieści pięć kilometrów, a on milczy... Nie możemy zrobić już ani kroku więcej, a wujek Jawtucha mieszka na drugim końcu wsi. Młodsze dzieci padały na zarośnięte rdestem podwórze...

— Nikt was nie zatrzymywał? — pyta Czornohor.

— Nie, nikt nie zatrzymywał — odpowiada Jawtuch. — Przyprowadziliśmy wam wnuka.

— Widzę, widzę... — Dziadek zbliżył się do mnie.

— No to my już jakoś dowleczymy się do wujka...

— Wczoraj spalono tu stajnię. Kołchozową...

— Tu też jest już kołchoz?

— Spaliły się konie... Woły... Jakie woły! Mój też...

— To jak stąd najbliżej do wujka?

— Zabrali ich dziś z Zielonych Młynów. Wuja z ciotką i jeszcze kilku innych podpalać. Zabrali mu olejarnię więc on, dureń, zaczął z nimi wojnę... Zawzięty z was naród, Goli. A przecież nie tacy znów goli... Wasz wuj z nas też wyssał sporo oleju... No, czemu stoicie? Wchodźcie z dziećmi do chaty. A wózek zostawcie tu. Co to za wózek! Nie mógł wam Babilon dać porządnego wozu?

— Mógł... — odpowiedziała Prisia, podnosząc z ziemi dzieci.

— Wozy są... Tylko konie kiepskie, nie doszłyby. Zostawiłem tam parę koni. Jednego widzieliście, jak tu przyjeżdżaliśmy... Deresz. Chodził w przyprzegu...

— Aha, pamiętam... A kasztan jeszcze żyje?

— Chodzi w kieracie — rzekł Jaśko.

— Niedobrze zaczyna się dziać...A wartościowsze rzeczy zabierzcie z wózka do mieszkaniania.

— Klarnet — przypomniał sobie Jawtuch.

— A kto będzie grać?

— Ja.

— No, no — powiedział dziadek i poszedł do szopy po słomę dla nas.

— I widzisz, Jawtuch? Po co nam było iść z Babilonu? — rzekła Prisia i z dwoma chłopcami na rękach weszła do obcego domu...

Po dwóch dniach przyszedli po Jawtucha. Ktoś z Babilonu doniósł, że jest tu, w Zielonych Młynach. Powieźli go do Kopajgorodu, a stamtąd przekażą go do Glińska, do Macedońskiego. To właśnie Macedoński zainteresował się nim. Ci z Kopajgorodu nie mają do niego żadnych pretensji. Dla nich to po prostu obywatel J.K. Goły.

— To wy?

— Ja... Jawtuch Kornilowicz...Goły...

Co noc budzą Prisię pociągi...

A żyto kwitnie pod samym progiem. I przeklinała i kochała teraz ten swój Babilon, jak nigdy dotąd. Zielone Młyny nie dla niej... A Jawtuch powiedział, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, to wróci tu może na zawsze...

ROZDZIAŁ X

Już drugi miesiąc mieszkamy w tej na pół rodzinnej i na pół obcej miejscowości zwącej się pięknie Zielone Młyny, chociaż jest tu tylko jeden młyn — parowy, czarny, zakopcony. Powoli przyzwyczajamy się do dziwacznej, ale pięknej gwary, której niuansów nie potrafiła nauczyć się nasza babka Sołomija, a nasz ojciec również odwykł szybko od niej w Babilonie. Przywykamy do pociągów, budzących nas w środku nocy nie tyle pogwizdywaniem, co ciężkim łomotem kół; pod górę pociągi napinają się jak struny, brzęczą, parowozy dostają zadyszki, za każdym razem mam ochotę wstać z podłogi, gdzie wszyscy śpimy pokotem na słomie, wybiec i pomóc im. Kiedy słyszy się je w nocy, ma się wrażenie, że przewożą olbrzymią Azję do Europy i buntowniczą Europę do opróżnionej Azji.

W dzień wybiegamy do nich. W otwartych wagonach jadą w przegrodach konie. Są smutne i zamyślane, jak ludzie. Wiozą je chyba dla nas. Wiozą też krowy różnej maści, przykute łańcuchami do zaimprowizowanych jaseł. Wiozą luzem stłoczone niewiarygodnie białe i czarne owce; jedna z nich okociła się podczas transportu i stała teraz nad swoim jagnięciem w całkowitej rozpacz. I wiozą jeszcze kamienie (po co?), wiozą nie okorowane cedry, wiozą zielone haubice bez pokrowców, wiozą nowe młockarnie. I wiozą żołnierzy z maskami prze-

ciwgazowymi — pewnie znowu gdzieś na świecie jest niespokojnie.

Pociągi pasażerskie są oblepione pasażerami bez biletu. To chłopci wracają skądś do domu, bo zbliżają się żniwa. Stoją na buforach, na schodkach, jadą nawet na dachach.

Prisia co noc płacze — cicho, by gospodarze nie czuli się dotknięci. Przyjęli nas jak najlepiej, to jednak ludzie dobrzy, szczerzy, duszę by oddali. Nie możemy jednak przywyknąć do ich kraju, nawet do tych pięknych rzeczy, które tu są, a u nas nigdy ich chyba nie będzie. Tu jednak wszystko, co babilońskie, stało się nam jeszcze droższe, bez tego zmarnielibyśmy, przepadli.

Dziadek dawno już wyczuł naszą rozpacz i tęsknotę za rodzinnym domem, więc jak tylko zaczęło żółknąć żyto i zapachniało pierwszym chlebem w tej gościnnej krainie, wytoczył ze stodoły nasz legendarny wózek, który w drodze mocno ucierpiał i rozlatywał się. Dziadek, znając już wszystkie jego wady, zmontował go na nowo. Można było oczywiście wyprosić u kogoś na kilka dni wóz z końmi, dziadek był jednak ambitny i przewidujący. Niedobrze byłoby, powiedział, wracać panami tam, skąd wyszliście dziadami. Przywiązał też do wózka wiaderko ze smarem, który Łemkowie sami wyrabiają, żeby wózek nie skrzypiał, tak jak w tę stronę.

Mieliśmy wyjść przed świtem, żeby o świcie być już za wsią — Prisia też ma swoją ambicję. Perswadowali jej: są w Młynach puste domy, można tam zamieszkać i zostać. Nawet

sam nauczyciel, Łuka Modestowicz, przychodził do niej w tej sprawie. Nauczyciel był jednocześnie kapelmistrzem, zależało mu więc na tym, by mieć w orkiestrze klawecistę z darem bożym, jak mawiał, bo takim okazał się najstarszy syn Jawtucha, Iwaśko. Ja natomiast, zdaniem nauczyciela, nie miałem słuchu. To Wałachy głuchmaki wszystkiemu winni! przeklinałem ich, słuchając, jak Iwaśko gra na klawecie. Mimo to jednak Prisia nie zgodziła się zostać z powodu Iwaśki, który chyba po ojcu miał słuch i pociąg do muzyki, zwłaszcza tej tęsknej. Z całego Babilonu jeden tylko Jawtuch przychodził do ojca posłuchać jego gry na klawecie. Było to dla niego nie tylko rozrywką ale i potrzebą. Iwaśko mógłby teraz grać dla swego ojca, gdyby ten nie odbił się od rodziny...

Przez całą noc gwizdały na pożegnanie pociągi. Nad ranem przywieźli ze stepu na wozie dziadka Czornohora. Poszedł rano na pierwsze kołchoźne żniwa, a że był zawzięty i nie chciał się dać wyprzedzić młodym, padł wieczorem w tym współzawodnictwie. Wraz z nim przywieźli na wozie jego kosę, wyszczerbioną, ale z nowymi pięknymi grabkami, zrobionymi na te pierwsze żniwa...

Trzeba więc było wtoczyć nasz wózek z powrotem do szopy. Pochowali dziadka koło kamiennej kaplicy cmentarnej, której wąskie okienka przypominały basztę obronną. Zielone Młyny chowały w tym miejscu swoich wybitnych obywateli. Okazuje się, że u rdzennych

Łemków, w Karpatach, każda wieś ma swój mały panteon. W Babilonie zaś chowają za porządkiem, tylko według wyznania, nie biorąc pod uwagę innych kryteriów... Chowano Czornohora przy dźwiękach orkiestry, w której Iwaśko zadziwiał Łemków wysokim kunsztem gry na tym najbardziej minorowym instrumencie, zaś nauczyciel i kapelmistrz, Łuka Modestowicz, wygłosił nad mogiłą Czornohora piękną mowę.

Teraz nikt już nas nie zatrzymywał. Nauczyciel, gdy dowiedział się, kiedy wychodzimy, przyszedł się pożegnać. Wyprowadził nasz wózek daleko za wieś. Potem długo jeszcze stał na drodze. Z szarego przedświtku wyłaniała się jak krzyż na rozdrożu wysoka postać tego wątlęgo, mądrego człowieka. Przed nami droga była prosta jak linijka, którą dobry nauczyciel bił kiedyś po łapach mego ojca za krnąbrność i nieposłuszeństwo. Wieźliśmy na wózku klarnet ojca, gdyż nauczyciel nalegał, żeby zabrać go dla Iwaśka, i teraz klarnet ten będzie nam śpiewać przez całą drogę, przez trzydzieści pięć kilometrów.

Liczba dzieci za wózkiem jakby się zwiększyła. Podrośliśmy chyba przez ten czas; wszyscy boso, w długich spodniach, wszyscy żwawi, zwinni, zgrani jak cyganiątka. Prisia — ciągle jeszcze ładna i dumna, z rozpaczą w oczach — do ostatniego dnia miała nadzieję, że Jawtuch powróci tu, do dzieci. Gdzie on teraz jest, co się z nim dzieje, żyje, czy też zmarł na obczyźnie? Chyba zesłali go...

Wózek toczył się lekko, samobieźnie, z trudem nadążaliśmy za nim. Prisia nie zabrała smaru, w małym wiaderku na smar, przywiązanym jeszcze przez dziadka do wózka, jechał mały kotek, którego dzieci uparły się, by zabrać. Przez całą drogę spał, głupiutki, zwinięty na dnie wiaderka, nie mając pojęcia, że wiozą go do Babilonu.

Gdzieś w połowie drogi wózek zaczął trzeszczeć, toczył się coraz ciężiej i ciężiej. Ratowało nas jedynie to, że droga do domu wydawała nam się o połowę krótsza. Ledwie oderwaliśmy się od Rajgorodu, a tu już Owcze, ledwie minęliśmy Owcze, a tu już Borówka, a potem jeszcze tylko Nowa Hrebła, a za nią już komuna, a za komuną Abisyńskie Wzgórza — babilońska ziemia.

Komunę przekształcono na kołchoz. Żniwa w całej pełni, terkocą żniwiarki, skrzydła ich zanurzają się w zbożu jak wiosła. Na jeziorze majaczą białe łabędzie. Ale gdy przyjdzie czas wyraju, Babilon nie zdoła ich zatrzymać. Przelecą nad nim, rozbudzą w ludzkich sercach smutek i powędrują wysokim niebem gdzieś daleko na północ, chyba aż nad samo Morze Białe.

W każdej wsi zatrzymywali nas, odradzali iść dalej, chcieli oddać nam chatę i wszystko, co trzeba. Ciotka Prisia podobała się wszystkim przewodniczącym i wszystkim brygadzystom; nie żeby zalecali się do niej, przekonali się teraz na własne oczy, widząc ją z jej czeredą za wózkiem, o tym, o czym już słyszeli nieraz: że nie ma na świecie kobiet ładniejszych od

babilońskich. A w dodatku ilu jeszcze woźniców przy wózku! Woźniców zawsze brak...

Prisia cicho zapłakała, kiedy wyciągnęliśmy nasz wózek na Abisyńskie Wzgórza i zobaczyliśmy Babilon w południowej mgiełce: olbrzymi, bliski sercu, z cmentarzem, wiatrakami, z białymi pałacami, choć to tylko zwykłe chaty, gęsto stojące pod babilońskimi wzgórzami.

Nie ma nic potężniejszego i piękniejszego od naszego Babilonu, kiedy wraca się do niego z innej krainy, gdzie pod samą chałupą przebiegają pociągi z Europy do Azji, gdzie przed świtem na drodze pozostawiliśmy dobrego nauczyciela naszego ojca, wątłego, wysokiego, mądrego, w długiej białej koszuli przepasanej jedwabnym paskiem z dwoma frędzlami. W Babilonie nikt nie ma takiego plecionego, wspnianego paska, a może tylko my nie widzieliśmy takiego na nikim, w Babilonie nie ma pociągów, nie ma wirówek, oddzielających w jednej chwili śmietanę od mleka, nie ma lekkich jak ptaki snopowiązałek, co same koszą i same wiążą manilskim szpagatem, nie ma domu kultury, w którym co sobotę gra orkiestra i Łemkowie piją tywrowskie piwo beczkowe, pozostawiające pianę na wąsach; nie ma wielu innych rzeczy w Babilonie, ale jest sam Babilon, z którym nie mogą się równać żadne Zielone Młyny, żadne Owczę, a nawet sam Glińsk niewart nic bez Babilonu, bo nie ma na całym świecie drugiego Babilonu, prócz oczywiście tego, który zaginął kiedyś w dawnej

Mezopotamii, o czym dowiedzieliśmy się od Lewka Chrobrego, zanim zaczęliśmy chodzić do szkoły. Ludzie muszą niekiedy przejść i przez mity, żeby odnaleźć prawdziwy sens życia.

Babilon to wielkie jak sito chleby, jakie wypiekają tylko u nas, to olbrzymie pożary, które wybuchają niemal podczas każdych zniw. zmuszając do budowania nowych domów i odmładzając go przez to, to święta Jordanu, jakie nie mają równych sobie na całym świecie, to wesołe, bardziej służące rozrywce niż przelewowi krwi wojny z sąsiednimi „plemionami”: kapelusznikami, zdechłymi muchami oraz innymi plemionami i ludami, których przedstawiciele, przeważnie płci żeńskiej, wspaniale później aklimatyzują się w Babilonie i płodzą dzieci dla przyszłych wojen światowych, okrutne i mordercze, to dwaj mędrcy Fabianowie, z których jeden, Lew Chrobry, żyje chyba i dotąd, to górne czarne wichry, które przelatują z gorącego południa i rozbijają się o babilońskie wzgórza, to wreszcie my, ciotka Prisia, nasz wózek z kotkiem w wiaderku i klarnet ojca na wózku.

Prisia napomina swoje dzieci: nie trzeba, żeby ludzie dowiedzieli się, że ich ojca, Jawtucha, aresztowano w Zielonych Młynach. Mamy wszystkim mówić, że zabił go tam pociąg. Prisia dodała przy tym, zwracając się do najmłodszych dzieci, że ich ojciec był prawdziwym bohaterem, nie mógł więc tak po prostu, zwyczajnie umrzeć. Uwierzą czy nie uwierzą, to

ich rzecz, ale nie wolno mówić prawdy, bo byłaby to radość dla wrogów. „Więc dlaczego idziemy do wrogów?” „Bo to wrogowie swoi, a nie obcy”. Prisia wypłakała się, odpoczęła, zaprzęgała się znowu do wózka, a my podreptaliśmy za nią, tacy sami jak na początku drogi — żwawi, zwinni, zgrani, dzielni i mądrzejsi chyba, zwłaszcza że z południowej mgiełki Babilon wyłaniał się coraz wyraźniej.

Tu i ówdzie zboże było już skoszone, tu i ówdzie stały równym rzędem półkopki, wyprężone jak carskie wojsko na mustrze, widać już w życie głowy żniwiarek i plecy kosiarzy posuwających się tyralierą, widać jadące wozy załadowane snopami, wzywane niecierpliwie przez maszynę parową z kołchoźnego klepiska; i znowu ryknęła młockarnia, która wyłoniła się zza góry, jak zwiastun jakiejś niezwyklej, nieznanej przyszłości...

Maszyna jeszcze raz nabrała pary i zahuczała wesoło na obiad — tak jak dawniej w komunie. Wszyscy przerwali pracę i ruszyli na wezwanie — kosiarze, żniwiarki i ich dzieci, nadjechał Łukian Sokoluk na młodziutkim koniu, którego nie powinno się było jeszcze dosiadać, stanęła młockarnia, odkaszlnęła maszyna parowa. Zaczął się wielki babiloński obiad w cieniu pod stogiem siana. Kasza gotowała się w kotłach pod gołym niebem, chleb przywiozła na wozie Malwa Kozuszna. Kiedy wróciła ze szpitala w Glińsku, powierzono jej pieczę nad wiatrakami i chlebem dla kołchozu.

Kiedy Prisia podeszła, Malwa przywitała

się z nią, zawsze to przecież krewna. Szukała w tłumie Jawtucha, nie wiedziała jeszcze, że zabił go pociąg... A ludzie ciągnęli bez przerwy na obiad. Wałachowie całą gromadą z moim ojcem na czele, Skoromni trzymając krok jak na defiladzie, Bezkorowajni, przyjechał też na koniu Ruban.

— Szczęść wam Boże! — Prisia kłaniała się na wszystkie strony.

— A gdzie twój? — pytali o Jawtucha.

— Pociąg go zabił...

— U nas nie ma pociągów. Żyłby, jakby tu był...

— Kto to wie, gdzie go śmierć czeka...

— Porządny był z niego człowiek, niech mu ziemia lekką będzie!

— A ty, Malwo, tu? Nie w komunie?

— Nie widzę świata poza Babilonem.

— No a on?...

— Syn? Rośnie!

— Jak też to w życiu się układa — rzekła Prisia.

Podszedł do niej Lew Chrobry w kapeluszu Jawtucha, z kosą o łapczywych grabkach. Nigdy nie przypuszczała, że będzie mu do twarzy z kosą i w tym zniwiarskim kapeluszu. Stała przed nim skulona, nikła, a on uśmiechał się, błyskając złotymi okularami. Powiedział, że dom ich stoi jak stał, z wszystkim, co pozostawiła, on nie mógł tam mieszkać, bo od jakiegoś czasu prześladował go Jawtuch... No więc mieszka po staremu na Tatarskich Wałach samotny jak palec...

O nas wszyscy wnet zapomnieli, jakbyśmy wcale nie przemierzili tych trzydziestu pięciu kilometrów. Wciągnęliśmy sami wózek na wysoką Babilońską Górę otoczoną zamkami z letnich mgiełek, stojących po obu stronach drogi do nikąd. Właśnie zbliżała się pora czarnych wichrów, dokonujących nalotów na Babilon aż z Taurydy.

Groblą szedł cap Fabian — zmartwychwstał jednak ten diabeł rogaty. Zatrzymał nas, poszperał w wózku, pokiwał bródką i poszedł dalej kąpać się w południowej mgielce. Albo nas nie poznał, albo to nie był on, lecz jeden z jego synów — czy dostatecznie mądry, żeby nosić to imię?

Kiedy wtoczyliśmy wózek na rodzinne podwórze, dzieci rzuciły się na rdest, turlały się po ziemi, szalały z radości, a Iwaśko wydobył klarnet z wózka i zagrał to, czego zdążył nauczyć go nauczyciel w Zielonych Młynach.

Słuchajcie, żywi i zmartwychwstali! To o was, to dla ciebie, mój Babilonie...

W tym dniu Jawtuch przybył do Zielonych Młynów. Wysiadł na stacji Pyłypy (oburzała go nazwa stacji, a poza tym kłął Łemków za to, że nie postarali się o stację w samej wsi) i wieczorem był na miejscu. Jak nowo narodzony, żwawy, rozmowny, zaczepiał po drodze pastuchów, nisko kłaniał się młodym żniwiarkom, spodziewając się ujrzeć wśród nich Prisie, a

przed kosiarzami zdejmował czapkę, wołając „Szczęść Boże!”

I tu nagle smutna niespodzianka... Jak oni mogli wrócić bez niego?! Żał mu było nie tyle tego, że poszli, co szczęścia oczekiwania na przywitanie. A tu jeszcze Czornohorycha zaczęła płakać po mężu...

Zjadł kolację, podziękował, powiedział, że wyszło tam jakieś zarządzenie korzystne dla średniaków, a on był przecież zawsze średniakiem, no więc dlatego taki dziś wesół i żwawy...

I poszedł w noc. Przeciw trzydziestu pięciu kilometrom.

Szedł z energią, czapka w rękę, gwiazdy nad głową, całe gwiazdozbiory roily się i gasły na niebie i w jego oczach. Całą noc szedł do swego Babilonu. Od czasu do czasu potykał się o białe snopy, pojedyncze, po dwa, a nawet więcej. Jawtuch nie chciał przestępować przez nie, obchodził je, nakładając drogi, tak ostrożnie, jakby to on je pogubił z własnego wozu.

Wstąpił wreszcie na babiloński gościniec. Padł na kolana i ucałował ziemię.

W nadrannej mgle Babilon wyglądał jak olbrzymia, zwarta budowla, podobna do tej biblijnej z jego wyobraźni. Mnóstwo pięter, okien, pasaży, łuków, portali. Z podniebnych mroków patrzył na to wszystko biały Bóg z przechyloną na bok głową jakby w podziw dla zuchwałości ludzi, którzy odważyli się wznosić tę szatańską budowlę. Pierwsze promienie słońca padły na Jego siwą głowę, w której nie było chyba nic prócz strachu przed

ludźmi. Potem, pokorny i cichy, zapłonął w ogniu świtu, jakby wołał spłonąć, by nie przeszkadzać ludziom, jeśli sięgną zbyt wysoko i zechcą przejść sami przez Wrota Boga...

Ziemi! Rodzisz nas chyba po to, żebyśmy powierzali ci swoje dumne serce. Nie możemy nigdzie uciec od ciebie, jak nie uciekniemy od własnego losu, dokądkolwiek by nas zagnały huragany czasu: ale gdy tylko ucichną i zaczniesz wyłaniać się twój horyzont, znowu zapagniemy wrócić do tych miejsc, gdzie po raz pierwszy ujrzeliśmy cię z wysokości kołyski, a potem przez te małe okienka o czterech szybkach; tęsknimy do tych zielonych podwórz, gdzie po raz pierwszy stanęliśmy na tobie boso, odczuliśmy twoje ciepło i poczuliśmy w żyłach twą niezmierzoną siłę. Tylko ty możesz zawracać z dalekich krajów łabędzie stada. Kto nie słyszał nigdy, jak trwożnie telekają, szukając cię w czarnych chmurach, kto nie widział, jak ich nieustraszeni przewodnicy rozbijają się w nocy o nieznane skały, aby inni żyli i mogli dolecieć do ciebie — ten nigdy nie pojmie, że w ludziach żyją te same nakazy ziemi obiecanej. Jednych nie odstrasza nawet trzydzieści pięć milionów kilometrów, innym zaś, krążącym na mniejszych orbitach, wystarcza trzydzieści pięć...

Redaktor
Elżbieta Kwaśniewska

Redaktor techniczny
Jerzy Jaworski

Korektor
Jadwiga Szymonek

*Dwa tysiące pięćset czterdziesta ósma
publikacja LSW*

Wyd. I. Nakład 10 000+305 egz. Pap.
druk. mat. kl. III 70 g 82×104 cm. Od-
dano do składania 29 VII 1974 r. Podpi-
sano do druku w grudniu 1974 r. Druk
ukończono w styczniu 1975 r. Ark. druk.

24,25; ark. wyd. 14

Białostockie Zakłady Graficzne
Białystok, al. Tysiąclecia P.P. 2

Zam. nr 2117/74 O-1

Cena zł 30.—

